

## Rozdział 1

- Kochaj mnie. – Godzinami mruczał te słowa i godzinami naprawdę się kochali. Drzemała wtulona w niego, podczas gdy on pozostawał twardy w niej. Trwali tak zespoleni wspólnym oddechem, wspólnym rytmem serca, wspólną miłością, wspólnym życiem.

– Jesteś moja na zawsze – szeptał przez całą noc. Było jeszcze ciemno, gdy kochał się z nią po raz ostatni; odgłosy ulicy napępiały pokój, słupy świateł samochodów i autobusów odbijały się w belkach na suficie. Wtedy ujął ją za nadgarstki, delikatnie popychając na kolana i odrzucając na bok narzutę z łóżka, przyciągnął ją do siebie, a jego usta zatopiły się w jej włosach. – Kochaj mnie zawsze – szeptał, zanim jego wargi odnalazły jej usta.

- Nie odjeżdżaj – wyszeptała. Pocałował ją wtedy i nie przestawał całować, przerywając jedynie, by spojrzeć jej w oczy, by lekko westchnąć, gdy sięgnęła dłonią w dół i go dotknęła.

- Jestem z tobą, kochanie, jestem tutaj – powiedział miękko, a jego czarne oczy zmarszczyły się w lekkim uśmiechu. Smakując jej usta zakrył je swoimi, znowu ją całując, pieszcząc, zatapiając twarz w jej piersi, oblizując jej brodawki, przycisnął ją do siebie, by wchłonąć jej drżenie, aby stało się jego drżeniem. Wargi dotykały warg, języki spotykały się i uciekały. Położył się na niej, rozchylając kolaniem jej uda, napierając na nią twardym ciałem i coraz bardziej niecierpliwymi pocałunkami.

Gdy zanurzył się w nią, oboje wydali jęk, po czym zagubili się odczuciu historii, która była ponad czasem. Trzymał ją tak mocno, że z trudem oddychała, kochał ją tak intensywnie, aż wyrwał jej się okrzyk zdziwienia. Lecz gdy kazał jej przysiąc, że będzie go zawsze kochała, niezależnie od tego co się wydarzy, nie drgnął mu nawet mięsień. Kiedy błagał, by go nigdy nie opuszczała, jego dotyk stał się niemal nieśmiały.

- Wiecznie – przysięgała.

- Zawsze – powtórzył – i coraz bardziej.

W żartach Coriander mówiła Danny'emu, że wystarczy, by na nią spojrział, dotknął jej, kochał się z nią, a ona natychmiast wyzbywa się pozorów rozsądku. Zamierzam rozpocząć badania kliniczne, żartowała, w jaki sposób mężczyźni są w stanie zmienić zazwyczaj inteligentne i rozsądne kobiety w porażone miłością głuptasy. Miała już nawet teorię, sperma przenika do części mózgu odpowiedzialnej za rozsądek... Zwykle z tego żartowała, ale ostatnio wydawało jej się, że jest odcięta od jakiegokolwiek sfery jego życia poza seksem.

Musiała przeczytać gazetę, by się dowiedzieć, czy miał udany dzień. Nie miała mu nic do zaoferowania, gdy kluczył, unikał rozmowy albo spędzał bezsenną noc spacerując i paląc. Lecz nawet w zwykłych okolicznościach nie było nic szczególnie budującego w tym, gdy po przebudzeniu widziało się męża, który tłucze się ubrany po mieszkaniu jak włamywacz.

Lecz gdy się obudziła tamtego ranka, szczególnie zaniepokoił ją widok Danny'ego stojącego przy oknie, palącego papierosa, całego w czerni – w czarnych spodniach i golfie. Jego profil, wyrzeźbiony na tle różowego światła poranka, wyglądał niemal surrealistycznie.

Mrużył oczy przed mgiełką dymu falującą z papierosa. Udając, że śpi, obserwowała go spod kołdry i zastanawiała się, czy rozpocząć dyskusję od nowa. Jeżeli przez ostatnie sześć miesięcy czegoś się nauczyła, to tego, żeby nawet nie próbować wymóc na nim rozmowy na jakikolwiek temat związany z jego pracą, ponieważ odpowiedź będzie zawsze ta sama. Jej branża miała się świetnie niezależnie od zawirowań finansowych i ekonomicznych, jego branża z kolei była wrażliwa na najsłabsze nawet zmiany na całym świecie. Problem tkwił w tym, że

panował większy popyt na jej zawodowe umiejętności niż na jego – więcej było ludzi ugodzonych kulą, dźganych nożami niż inwestujących i oszczędzających. Kiedyś zawarli umowę, że jeśli nie będzie zanudzała go rozmowami o organach dawców, on nie będzie jej zanudzał sprawami korporacji, jednakże tego szczególnego poranka reguły zdawały się nie obowiązywać.

Odczekała minutę lub dwie, zanim się przeciągnęła – tak jakby dopiero co otworzyła oczy, by uchwycić przygaszone światło poranka, rzucić okiem na zegar przy łóżku, by wyszeptać: – Dopiero szósta...

Nie poruszył się, chociaż ręka mu drżała, gdy unosił papierosa do ust. – Śpij, Coriander – powiedział niezbyt przekonującym tonem.

Siedząc oparta o poduszki, przejechała dłonią po włosach, zanim wyciągnęła ją ku niemu. – O której odlatuje twój samolot?

- Dopiero o szóstej wieczorem – powiedział odwracając się.

To jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała.

- Więc po co ten pośpiech? Zauważyła, że Danny ma zaczerwienione oczy, jakby płakał, z ciemnymi podkowami, jakby od miesiący nie sypiał.

Zamiast odpowiedzieć, zapytał: – O której musisz być w szpitalu?

- Dopiero w południe. – Był to pierwszy mężczyzna, z którym się kochała.

Następne pytanie zadał z wielką powagą. – Czy popełniłaś błąd wychodząc za mnie?

Danny lubił podteksty, ukryte plany i podwójne znaczenia.

- Co to za pytanie? – spytała.

- No wiesz, mogłaś wyjść za kogoś innego, za lekarza lub dyplomatę – powiedział, przesuwając się w kierunku łóżka.

Czasami łamał jej serce. – Los – powiedziała lekko. – To było zapisane w gwiazdach.

- W gwiazdach – powtórzył miękko. – I przypuszczam, że każdy, kto był w więzieniu Puesto Vasco podczas reżimu junty, był Wodnikiem, a każdy w Auschwitz był Lwem.

Pochyliła się bliżej, starając się nie poddawać jego grobowemu nastrojowi. – Myślisz, że po tych wszystkich latach bez ciebie byłabym na tyle głupia, by nie wyjść za ciebie, kiedy w końcu poprosiłeś?

Siedział na brzegu łóżka, a jego ciemne oczy się zaszklily. – Nie potrzebujesz wszystkich tych problemów, Coriander. Mówię to dla twojego dobra, będzie ci lepiej beze mnie.

Przyglądała mu się przez chwilę i zaskoczyły ją wszystkie siwe włosy, najwyraźniej od niedawna rysujące smugi na tych gęstych, kręconych, czarnych bakach, które u niego uwielbiała.

- Jeśli ktoś poprzedza radę słowami „dla twojego dobra”, nigdy nie przynosi dobrej wiadomości. – powiedziała uśmiechając się. – I jeśli ktoś zaczyna zdanie od „a propos”, też nie ma w zanadru nic dobrego. Wiedziałeś o tym? Nie jest to nigdy „a propos, odchodzę od żony”, ale „a propos, romans skończony” – Szczebotała, mimo iż czuła już ciężar w żołądku. – „Opuszczam cię dla twojego dobra”, nigdy „zostaję z tobą na zawsze dla twojego dobra...” – mówiła wyciągając rękę, by pogładzić mu włosy.

Był taki poważny. – Coriander, nie...

- Ostatnim razem, gdy odepchnąłeś mnie „dla mojego dobra”, zniknąłeś na dziesięć lat.

- Byłaś taka młoda – wymruczał, potrząsając głową. – Miałeś ledwo dwadzieścia lat...

- To było w tej strasznej kawiarni w Cordobie, niedaleko uniwersytetu – ciągnęła.

Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił trochę dymu, zanim dodał: – Więc to nie była taka zła rada....

- Czy istnieje przepis wyznaczający limit dobrych rad? Spojrzał na nią czule: – Może powinien być.

- Przykro ci, że nie posłuchałam twojej rady? – spytała.

- Tylko ze względu na ciebie.

- Kocham cię, Danny – powiedziała uroczyście.

- Te amo – odpowiedział, uciekając się do swego ojczystego hiszpańskiego. Lecz z jakichś względów nie czuła się tym podbudowana, może dlatego, że zabrzmiało to jak rodzaj te amo, które poprzedza adios.

- Uporamy się z tym – powiedziała cichutko. – Przebrniemy przez to tak, jak przebrnęliśmy przez wszystko inne. – Jej bursztynowe oczy zaiskrzyły, gdy czubkiem palca delikatnie dotknęła jego ust. – Nie wyjeżdżaj w ten weekend, a ja spróbuję znaleźć zastępstwo w szpitalu. – A gdy nie odpowiadał, naciskała: – No już, kochanie, pojedziemy do Coney Island i będziemy jeść hot dogi u Nathana...

- Nie znajdziesz nikogo, kto w ostatniej chwili weźmie za ciebie zastępstwo w świąteczny weekend. – Sięgnął do popielniczki na stoliku nocnym i zgasił papierosa. – Zresztą jestem tam umówiony z kimś, kto mógłby mnie wyciągnąć z tego bałaganu.

- Po raz pierwszy brzmi to chociaż trochę bardziej optymistycznie...

- To kwestia prawdopodobieństwa...

- Co masz na myśli?

- Ty jesteś jedną z tych osób, które powinny rozumieć znaczenie prawdopodobieństwa – powiedział.

- Pięćdziesiąt procent szans powodzenia trudnej operacji nic nie znaczy. Jeśli pacjent przeżyje, prawdopodobieństwo wynosi sto, jeśli umrze, równa się zeru. A ty jak sądzisz?

- Kto wie? Walczę jak lew i za każdym razem, gdy myślę, że pozbyłem się jednej przeszkody, pojawiają się dwie jeszcze większe...

- Kim jest ta osoba, która mogłaby pomóc?

- Jeśli to ujawnię, powiem ci o wszystkim...

- Jeśli ujawnię, przeczytam o tym w rubryce finansowej „Timesa”.

- Tym razem powiem ci o wszystkim, nawet jeśli nie ujawnia.

- Kiedy? – nie cierpiała go naciskać.

- Kiedy wrócę...

- Obiecujesz?

- Przysięgam! – Podniósł rękę.

Zaczęła coś mówić, jednak spostrzegła, że jej się przypatruje. – Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Pochylił się nad nią i pocałował czule. – Teraz jesteś nawet piękniejsza niż wtedy, gdy cię odnalazłem...

Wykrzywiła twarz. – Lata smutku sprawiają, że kobieta wygląda bardziej interesująco.

- Quiereme para siempre no importe lo que pase. – Powtórzył te słowa, tym razem dodając zastrzeżenie. Kochaj mnie stale, bez względu na to, co się wydarzy. Położyła dłonie na jego dłoniach, a łzy napłynęły jej do oczu.

- Oczywiście, będę cię zawsze kochać i nic złego się nie wydarzy...

Nie mogła się jednak oprzeć prośbie o jeszcze jedno ostatnie zapewnienie, zanim wyjedzie na weekend...

- Nie może się zdarzyć, prawda?

Dał wymijającą odpowiedź. – Ryzyko jest duże.

- Na przykład? – Czasami prawie go nie znała – człowieka, który uwiódł ją, gdy miała dwadzieścia lat, porzucił, gdy miała dwadzieścia jeden, ożenił się z nią, gdy miała trzydzieści jeden, i teraz, gdy miała trzydzieści cztery, dawał jej odczuć, że wkrótce powtórzy ten schemat.

- Kiedy wrócę – powiedział zmęczonym głosem – powiem ci o wszystkim.

Niespokojne uderzenia serca stanowiły muzykę w tle.

- Jedno pytanie? Skinął głową.

- A co by było, gdybyś po prostu oszedł i przyjął na siebie straty?

- Ucierpiałoby wielu ludzi.

- Nie jesteś ubezpieczony?

- To są dwa pytania. – Znowu to poważne spojrzenie. – Przede wszystkim mam zobowiązania w stosunku do ludzi, którzy zainwestowali pieniądze w bank, a największe zobowiązanie mam w stosunku do klientów....

To, co najbardziej w nim kochała, to jego poczucie przyzwoitości, które sprawiało, że taką wagę przywiązywał do sprawiedliwości i moralności.

- Pamiętaj o jednym, kochanie. Jeśli nawet wszystko zawodzi, nie znaczy to, że nie jesteś prawy i uczciwy. To tylko interesy w banku...

- Nic nie rozumiesz, Coriander. To to samo. Ja to bank, co do ostatniego długu, debetu, straty, transferu, depozytu. Ja za wszystko odpowiadam.

- To dotyczy interesów, a nie ciebie – upierała się.

- To więcej niż interes, amor mio, to dotyczy ludzkiego życia.

- Co pieniądze mają wspólnego z ludzkim życiem? – spierała się.

- Może byłem zbyt ambitny – powiedział prawie do siebie.

- Może nie powinniśmy byli przyjeżdżać do Nowego Jorku powiedziała cichutko, obwiniając się i złościąc za wszystkie te lata zamieszania, którego doświadczyli w Argentynie. Może powinnam się upierać, żebyśmy wrócili do Buenos Aires. – Jej głos nabrał proszącego tonu. – Pojechałabym z tobą wszędzie.

Wyraz niezmiernego smutku pojawił się na jego ładnej twarzy. – Mam zbyt wiele wspomnień z Argentyny. Zresztą myślałem, że chciałaś być w Nowym Jorku ze względu na swoją pracę. – Oczy znowu napełniły mu się łzami – Zrobiłbym wszystko, aby cię uszczęśliwić.

Jedno mogło pojechać wszędzie, drugie mogło zrobić wszystko, jednakże pozostawało odczucie, że w pewnym sensie ich los jest już przesądzony. Kiedyś na Uniwersytecie w Cordobie, gdy on był profesorem, ona zaś studentką, próbowała go przekonać, by pozostał na uczelni i nie przechodził do biznesu. Nie ma nic bardziej żalostnego niż bojownik bez sprawy, za którą walczy – przekonywała go – nic smutniejszego niż idealista, który nie wie, kiedy odwieść apaszkę; a przegrani są ci, którzy z małymi bródkami i plecakami chodzą po lasach tropikalnych i uczestniczą w ekologicznych szczytach; zwycięzcami zaś buntownicy, którzy wnoszą swą terrorystyczną taktykę do sal konferencyjnych i banków, handlując wyświechtanymi sloganami i retoryką o wysokich pensjach i udziałach. Nie kupiła tego nigdy, nawet przez chwilę. Nic jej nie przekona, że on dba o pieniądze, władzę albo świat korporacji, lub że kiedykolwiek zostanie uznany za bojownika bez sprawy, bo przecież on umie odróżnić las tropikalny od bagna.

Dotknęła jego twarzy i zauważyła, że kielkujący zarost też nie jest niczym na pokaz. Nie umiała zliczyć, ile razy miała starty naskórek na twarzy z powodu tego mocnego zarostu i pocałunków.

Gdy mu się przyglądała, wydawał się tak smutny i niespokojny, że postanowiła powiedzieć mu teraz to, co zamierzała powiedzieć dopiero po powrocie z weekendu.

- Jestem w ciąży – rzekła wprost, bez ostrzeżenia, niemal przepraszająco, i czekała.

Tysiące uczuć pojawiło się w jego oczach: od szoku, smutku po niesamowitą radość i skończyło się tym, że przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona ciągle mrucząc: – Dzięki Ci Boże, dzięki Ci Boże za to... i setki myśli przebiegły jej głowę – od zdziwienia, niepewności, po ulgę – i skończyło się tym, że zastanawiała się, co dokładnie chciał przez to powiedzieć.

- Dzięki Ci Boże... – Dzięki Ci Boże za co? Za dziecko, które zastąpi ojca?

## Rozdział 2

Manuel Rojas spotkał Jezusa. Zdarzyło się to wczoraj, gdy jechał tą samą drogą na międzynarodowe lotnisko w Acapulco. Oto On, po prostu stał na skraju brudnej drogi prowadzącej z Cerro el Burro. obok drogowskazu podającego odległość: 12 mil do Chilpancingo, 50 do Acapulco. Jednakże Jezus właściwie nie stał na skraju brudnej drogi, a unosił się nad nią. Jedną z pierwszych rzeczy, którą zauważył Manuel, było to, że Jego stopy w brązowych skórzanych sandałach prawie nie dotykały ziemi, a ramiona – z dłońmi uniesionymi w górę – były rozpostarte, ale nie tak, jakby zatrzymywał samochód, a raczej, jakby błogosławił wszystko dookoła: kurz, kameleony, kaktusy, nawet anteny telewizyjne na domkach w pobliżu autostrady.

Manuel podjechał i zatrzymał się. Wygramoliwszy się z ciężarówki, stanął niezbyt blisko, ale wystarczająco, aby nie przeoczyć żadnego szczegółu, i wpatrywał się. Żałował, że nie ma aparatu. Jezus też po prostu stał tuż przy drogowskazie. Jego długa biała szata powiewała, chociaż nie było wiatru, Manuel też natychmiast to zauważył. W Cerro el Burro w lipcu nie było wiatru, tylko mnóstwo słońca, palący upał i kurz.

Kiedy Manuel wrócił tego wieczora z Acapulco, poszedł prosto do kościoła, by porozmawiać z księdzem. Ojciec Ramon, mimo że próbował zachowywać spokój, był bardzo podniecony tym wydarzeniem. Świadczył o tym sposób, w jaki wyciszał Manuela, mówiąc mu, by rozpoczął od początku wizji i by mówił bardzo wolno, aby on mógł to wszystko zanotować na wypadek, gdyby potrzebował tego do oficjalnego sprawozdania. Nie dlatego, że nie ufał Manuelowi. Chodziło mu tylko o to, że w sprawach wiary człowiek czasami daje się ponieść emocjom. Manuel z zadziwiającym spokojem opowiedział o każdym szczególe, jak jechał na lotnisko w Acapulco, by zgłosić się na ogłoszenie w sprawie pracy, pierwszą okazję zatrudnienia od sześciu miesięcy, o tym, że jest bezrobotny i kiedy miał właśnie zmówić krótką modlitwę w intencji pomyślnego załatwienia sprawy, ukazał mu się Chrystus. Manuel był bardzo zażenowany faktem, że prosił Boga o względy, ale czasy były ciężkie i o pracę trudno. Posada pomocnika kelnera w Pelicanos Rosas w terminalu Aeromexico nie była idealna, ponieważ oznaczała codzienne podróże tam i z powrotem, razem ponad sto mil. Lecz oznaczała również stałe dochody i gwarantowała nadgodziny w poniedziałki, gdy przylatywały czartery. Manuel opisał jasnobrażowe włosy Jezusa, spływające na Jego ramiona, Jego rzadką brodę i dobre, pełne przebaczenia oczy, które jednocześnie wyglądały na tak skrzywdzone i zdradzone. Ojciec Ramon spytał, co Manuel robił poza tym, że stał tam i gapił się jak sroka w kość. Manuel powiedział mu, że upadł na kolana i płakał, a gdy spojrzał w górę, Jezus jakby się rozpułnął.

Ksiądz był zmartwiony. Nie widział nic szczególnego w tej wizji, nic, co by ją odróżniało od tych piętnastu innych, które zgłoszono w okolicach Meksyku w zeszłym roku. Trapiło ojca Ramona to, czy Watykan potraktuje to na tyle serio, by ustanowić Cerro del Burro świętym miejscem, może nawet włączyć je w trasę papieża Jana Pawła II podczas jego jesiennej pielgrzymki do Ameryki Łacińskiej. Gdyby tylko Manuel mógł sobie przypomnieć coś jeszcze, zanim prześlą faks do Rzymu. Może mógłby poświęcić dzień lub dwa na modlitwę o jeszcze jeden znak albo nawet wizję, o coś, co by przyciągnęło uwagę Watykańskiej Komisji Cudów.

3 lipca, dwa dni po tym wydarzeniu, Manuel był znowu w tym samym miejscu na drodze między międzynarodowym lotniskiem w Acapulco i Cerro el Burro, jednak nie przytrafiło mu się już nic nowego. Nie żeby miał jakieś wątpliwości co do tego, że został naznaczony cudem. Czyż w końcu nie dojechał na lotnisko, by pokonać tych 64 innych kandydatów i skończyć jako

pomocnik kelnera w Pelicanos Rosas w terminalu Aeromexico? I co z tego, że kierownik dał mu na początek taką samą stawkę godzinową na nocnej zmianie jak chłopcom, którzy pracowali w dzień? Było to bez znaczenia. Tylko dwie rzeczy liczyły się dla Manuela. Miał pracę i spotkał Jezusa.

Manuel rozmyślał o swojej nowej pracy, gdy brał niebezpieczny zakręt, gdzie droga z Cerro el Burro łączyła się z dwupasmową asfaltową autostradą, ciągnącą się do Acapulco. Jego nowy podświetlany zegarek elektroniczny wskazywał dokładnie jedenastą pięćdziesiąt siedem, gdy zobaczył wybuch. Nie było wątpliwości co do czasu, ponieważ Manuel właśnie sprawdzał, czy nie spóźnia się do pracy. Był to ogłuszający wybuch, z tak nagłym błyskiem ognia nad głową, że Manuel nacisnął na hamulce i straciwszy panowanie nad kierownicą zjechał z drogi, uderzając głową w przednią szybę. Wjazd z powrotem na drogę zabrał mu pełne trzydzieści sekund lub nawet więcej. Oślaniając oczy, obserwował tę nurkującą kulę ognia, która oświetlała wzgórza otaczające Acapulco. Seria mniejszych wybuchów ukołysała noc, gdy szczątki wraku płynęły na ziemię. Zabrzmiał jeszcze jeden ostatni grzmiący wybuch, zanim niebo znowu się uspokoiło, oświetlone tylko rozrzuconymi gwiazdami i delikatną smugą szarobiałego dymu wznoszącego się ze szczytu jednego z tych odległych wzgórz. Manuel przeżegnał się.

Najpierw pomyślał, że samolot wybuchł w powietrzu, zestrzelony jak jedna z tych aluminiowych puszek, na których ćwiczył celność strzelania. Następnie pomyślał o Jezusie, chociaż był zupełnie przekonany, że to, co właśnie zobaczył, nie było kolejną wizją. Właściwie rozmyślał nad tym przez dobre dziesięć minut i jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że był świadkiem całkowitego zniszczenia zarówno człowieka, jak i maszyny. Kilka sekund wcześniej widział mrugające światelka schodzące coraz niżej w kierunku lotniska. Teraz miał dylemat. Jeśli się nie pośpieszy, spóźni się i straci pracę, zanim jeszcze ją rozpoczął. Jednak jak mógłby odjechać nie zgłaszając tego, co właśnie zobaczył? Najbliższy posterunek policji był o dziesięć mil stąd, w bok od głównej drogi, w mieście Chilpancingo. W głębi duszy czuł, że nie ma wyboru, ponieważ wszystko to miało związek z Jezusem. W końcu, gdyby nie On, nie jechałby tą drogą, ponieważ nie jechałby na lotnisko, bo nie miałby pracy. Wreszcie Manuel dobił targu ze swoim sumieniem. Postanowił zgłosić wybuch na posterunku policji na lotnisku, kiedy już skończy się jego zmiana. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek mógł przeżyć to piekło; nie wyglądało to więc na sprawę życia i śmierci.

\*\*\*\*\*

Pięć godzin po wypadku, prawie o szóstej rano, szef policji na międzynarodowym lotnisku w Acapulco ostatecznie ogłosił stan pogotowia. Zgłosił zaginięcie i przypuszczalne rozbicie samolotu, który okazał się prywatnym Dassault Falconem przylatującym z nowojorskiego lotniska LaGuardia. Wysłano samolot poszukiwawczy Cessna 185, którego pilot po powrocie zameldował, że dokładnie na południowy zachód od Chilpancingo, na wzniesieniu około dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, dostrzegł szczątki czegoś, co wygląda jak samolot. Lecz biorąc pod uwagę trudne warunki terenowe, tylko policyjny helikopter mógłby zbliżyć się na tyle, by ocenić rozmiary katastrofy i potwierdzić, że samolot został kompletnie zniszczony i nic nie świadczy o tym, że któraś z ofiar przeżyła.

\*\*\*\*\*

Kiedy kończyła się zmiana Manuela, słońce już weszło, a różowe światło odbijało się w wysokich białych budynkach, które stały szeregiem na plaży. Posterunek policji mieścił się na parterze Cocos Condominiums, w odległości około dwóch trzecich drogi do plaży Caleta. Manuel przeszedł przez rozsuwane drzwi z przyciemnionego szkła i stanął w świecącym od czarnego marmuru hallu, w którym strzałka wskazywała, że posterunek policji znajduje się na tyłach za jeszcze jednymi rozsuwanymi drzwiami. Popychając bramkę z kutej stali, Manuel podszedł do biurka z przodu i podał dyżurującemu policjantowi powód, dla którego tu się zjawił. Poprowadzono go poprzez długi korytarz do następnego pokoju, gdzie kapitanowi policji opisał to, co zobaczył. Zdziwiło go znużenie i wyraźny brak zainteresowania u wszystkich słuchających jego historii. A co więcej, wydawało się, że nikt nawet nic nie słyszał o wypadku.

Manuel znalazł się w małym pokoju z rzeźbionym biurkiem z ciemnego drewna, za którym znajdowało się czarne skórzane krzesło z poręczami. Trzy mniejsze skórzane krzesła stały przodem do biurka, a na ścianie wisały trzy podobizny: jedna Pancho Villi, druga prezydenta Carlosa Salinasa, a trzecia Jezusa Chrystusa. Manuel znowu się przeżegnał. Na krzesle za biurkiem siedział kapitan, a na jednym z pozostałych krzesel mężczyzna w pogniecionym garniturze z szarego jedwabiu. Wyglądał na czterdzieści lat. Właściwie mógł być młodszy, jeśli się popatrzyło na ciemne loki okalające jego twarz cherubina o delikatnych, drobnych rysach. Na drugim krzesle siedział młodszy mężczyzna, wysoki i chudy, o ostrzejszych rysach, z ciemnymi, przylizanymi gładko do tyłu, włosami. Manuel starał się nie przyglądać. Mężczyzna miał zamiast rąk dwie metalowe protezy.

- Dwa dni temu widziałeś Jezusa, a zeszłej nocy samolot eksplodujący w powietrzu. – Kapitan pochylił się nad biurkiem; lustrzane lotnicze okulary zakrywały większość jego twarzy.

Manuel nie powinien był wspominać o tym, że zobaczył Jezusa, ale chciał im wyjaśnić, jak dobrze zna drogę, jak często po niej jeździ i że widział inne rzeczy, nawet mniej wiarygodne niż wybuch w powietrzu.

- Wczoraj wieczorem to było coś innego, señor capitan – powiedział Manuel z przekonaniem – To, co widziałem, to była bomba!

- Czemu czekałeś całą noc, by to zgłosić? – zapytał mężczyzna o twarzy cherubina. Mówił po hiszpańsku z obcym akcentem, bardziej miękko niż Meksykanie, lecz jego ton był arogancki.

- Bałem się, że jeśli się zatrzymam, spóźnię się do pracy, señor. Była to moja pierwsza noc w pracy.

- I nie powiedziałeś o tym nikomu w pracy? – Tym razem pytał człowiek z metalowymi hakami. Jego akcent był także bardziej miękki od meksykańskiego, ale głos nie brzmiał wcale arogancko, było w nim niemal współczucie.

- Bałem się, że pomyślą, że zmyślam.

- A nie jest tak? – zapytał kapitan uśmiechając się.

- Może wypijeś trochę za dużo tekili?

Manuel był obrażony. – Przysięgam, señor capitan. Nie piłem. Jechałem i zobaczyłem wybuch samolotu, tak po prostu – bum! – Zacisnął pięść. – Widziałem to na własne oczy.

Kapitan odchylił się na krzesło. – Wczoraj nie było zgłoszenia żadnego wypadku ani wybuchu – powiedział po prostu. Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i kolejny mężczyzna wszedł do pokoju. Krępy i całkiem łysy, miał w wyglądzie coś z pana Propera. Przez chwilę rozglądał się wokół, po czym ruszył w stronę cywila o twarzy cherubina i wyszeptał mu coś do ucha, zanim zajął miejsce naprzeciw Manuela. – Może zainspirowała cię nadchodząca wizyta Jana Pawła II? – zapytał mężczyzna. Wszyscy się roześmieli.

- Nie, señor – wyszeptał cicho Manuel, pochylając głowę.

Zapadła cisza, podczas której kapitan zdawał się rozważać sytuację, poprawiając okulary na nosie, przekładając papiery, aż wreszcie lekko wzruszył ramionami i spojrział w górę. – Dziękuję ci, że tu przyszedłeś, ale obawiam się, że niewiele możemy zrobić w sprawie wybuchających samolotów-widm. – Wstał. – Albo wizji. – Przeszedł dookoła biurka. – Możesz już odejść – powiedział. – No już, możesz iść.

Manuel wstał nieśpiesznie, a krzesło zgrzytnęło o podłogę. – A jeśli zdarzył się cud – zaczął powoli – i ktoś przeżył?

- Nie ma cudów, Manuel – kapitan powiedział po prostu. – W tym cały problem, cudów po prostu nie ma. – Spojrzął na pozostałych mężczyzn.

- I nie było katastrofy samolotu – dodał łysy mężczyzna. Manuel chciał zapytać, jak mogą być tak pewni, skoro

nie było ich tam i nie widzieli na własne oczy, ale nic nie powiedział.

- To, co widziałeś, było spadającą gwiazdą albo błyskawicą – zaproponował z uśmiechem Cherubin.

Manuel nadal nic nie mówił, tylko przyglądał się swoim butom. Może chciałeś zrobić wrażenie na szefie, żeby cię przeniósł na dzienną zmianę – zasugerował łysy, a jego czarne oczy świeciły pod bezwłosymi brwiami.

Kapitan przytrzymał otwarte drzwi. – Jeśli się pośpieszysz, zdążysz do Cerro el Burro na poranną mszę.

- Jeśli usłyszycie o czymś – zaczął Manuel, wycofując się w kierunku drzwi – i będziecie chcieli, żebym przyjechał...

- Jeśli o czymś usłyszemy, wezwiemy cię, nie martw się – zapewnił kapitan. Wszyscy wtedy stali, łysy mężczyzna przesunął się na środek pokoju, drugi opierał się o krzesło.

- Dziękuję, że przyszedłeś – powiedział grzecznie. – Jedź ostrożnie – dodał ktoś inny. – I na razie daj sobie spokój z wizjami – z uśmiechem doradził Manuelowi kapitan.

\*\*\*\*\*

Gdy o siódmej rano 4 lipca Joe Pasinsky kończył swoją zmianę kontrolera ruchu lotniczego w biurze Gwenda w Westchester, zadzwonił telefon. Podnosząc słuchawkę Joe usłyszał, jak ktoś z wieży kontrolnej międzynarodowego lotniska w Acapulco mówi, że jeden z ich samolotów spadł na wzgórze otaczające Acapulco. Wstępne informacje wskazywały na to, że nikt nie przeżył. Pasinsky natychmiast zadzwonił do Fritza Luckinbilla, właściciela Gwendy, który poinstruował go, by nic nie robił, dopóki on tam nie dotrze, zapewniając go w następnej chwili, że za pięć minut wyjedzie z domu w pobliskim Greenwich Connecticut. Dwadzieścia minut później Luckinbill siedział przy telefonie przy biurku w Gwenda. W godzinach porannych Pasinsky i Luckinbill śledzili rozwój wypadków odbierając telefony i fakсы. Informacje na temat wypadku były niepełne, ponieważ Waszyngton nie mógł wszcząć dochodzenia, dopóki nie zostanie formalnie zaproszony do uczestnictwa przez rząd meksykański. W końcu, o jedenastej przed południem, prawie dwanaście godzin po wypadku, Meksykanie pozwolili na przyjazd na miejsce wypadku i zabranie tego, co zostało z samolotu, załogi i pasażerów. Chociaż Luckinbill poczuł ulgę, że nie musi dłużej siedzieć z założonymi rękami, najbardziej interesował się odzyskaniem niezniszczalnej czarnej skrzynki ulokowanej w ogonie samolotu. Dopiero gdy będzie w posiadaniu tego urządzenia, dowie się dokładnie, co się stało. Czarna skrzynka zawierała wykresy lotu do momentu uderzenia o ziemię, a także nagrania wszystkich rozmów między kabiną pilota i wieżami kontrolnymi. Zaniepokoił Luckinbilla fakt, że Meksykanie ani słowem nie wspomnieli o skrzynce, a gdy w końcu o nią zapytał, poinformowano go, że



dotychczas jej nie znaleziono. Przed południem leciał już lotem komercyjnym w kierunku Meksyku.

\*\*\*\*\*

Zanim dwupasmowa autostrada z Acapulco przeszła w brudną drogę łączącą Chilpancigo i Cerro el Burro, ruch był bardzo duży. Manuel dopiero wtedy zauważył samochód i to prawdopodobnie dlatego, że w zasięgu mili nie było innych pojazdów. Najbardziej zaskoczyli go pasażerowie samochodu. Byli to dwaj mężczyźni z posterunku. Łysy i krępy siedział za kierownicą samochodu jadącego tuż przy ciężarówce, a ten z twarzą cherubina pokazał Manuelowi, by zjechał na pobocze.

Manuel uznał, że wreszcie zgłoszono zaginięcie samolotu i że tych dwóch przyjechało za nim, aby mógł opowiedzieć historię stosownym władzom. Sygnalizując, że zastosuje się do polecenia, Manuel zjechał na pobocze i zatrzymał się. Otworzywszy drzwi, wyskoczył z ciężarówki i stał nie dalej jak trzy metry od miejsca, gdzie zobaczył Jezusa. Widział, jak mężczyźni wychodzą i zauważył, że nie ma z nimi tego, który zamiast rąk miał metalowe haki. Przez moment czy dwa Manuel zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Póki nie zobaczył pistoletu.

Jednym zamaszystym ruchem łysy wyjął broń z kabury, wycelował i oddał trzy następujące szybko po sobie strzały. Manuel dostał dwa razy w piersi i raz w brzuch, zanim – gdy osunął się już na ziemię – z bliskiej odległości wpakowano mu trzy kule w głowę. Zmarł natychmiast. Mężczyźni przeciągnęli ciało do ciężarówki, usadowili je na siedzeniu kierowcy, zapięli wokół niego pasy i ułożyli ręce na kierownicy.

Łysy włączył motor i zwolnił hamulec ręczny, po czym dołączył do swego kompana z tyłu pojazdu. Potrzeba było niewiele wysiłku, by zepchnąć ciężarówkę w dół wąwozu. Koziołkując i objając się o skały i drzewa, ciężarówka w końcu wylądowała na dnie, gdzie stanęła w płomieniach.

### Rozdział 3

– Oddychaj, żyj, nie umieraj mi. Chodź, wracaj. – Coriander powtarzała wciąż te słowa, jakby były rodzajem mantry. – Oddychaj, żyj, nie umieraj mi, no, dalej, wracaj.

- Kiedy w kółko powtarzała te słowa, z głośników płynął głos Orbisona śpiewającego Słodkich snów, dziecino, zaś jej ręka w podwójnych rękawiczkach sięgała kawałków mięsa między żebrami pacjenta, aby masować jego nie bijące serce. Wszędzie wokół Coriander – na noszach, w zabiegowym, na ruchomych łózkach na korytarzu, na wózkach na podjeździe – słysząc było jęki, rozpaczliwy płacz, niezrozumiałe krzyki i błagania, wszystkie uciszane przez głośne autorytatywne głosy, tak jakby każdy dookoła był głupi i głuchy, a nie po prostu ranny i przerażony. Tylko na pourazowym mogła powstać taka kakofonia dźwięków.

- Oddychaj, żyj, nie umieraj mi, no dalej, wracaj.

- Coriander wypowiadała to bezustannie, aż technik obsługujący respirator ostrzegł: – Uwaga na wstrząs.

- Później nastąpiła pauza, zgodnie z rytmem piosenki Roya i wszyscy oprócz młodej pakistańskiej siostry, trzymającej elektrody na sercu pacjenta, odsunęli od niego ręce i odstąpili o krok. Zachęcający pisk w monitorze przyniósł zbiorowe westchnienie ulgi. Ktoś rzucił: – Tak, w porządku, ruszyło, teraz do roboty! – Coriander podjęła masaż, wciąż nie przekonana o

zwycięstwie. Jeszcze nie. Oddycha, żyje, nie umiera, powraca, prawie, może.... – Ale na jak długo? – śmiał się zastanawiać jeden ze stażystów, także w przybrudzonych zielonych rękawicach. Coriander, nie przerywając pracy, odpowiedziała cicho, że nie ona do niego strzelała, że ona jest tylko po to, aby posklejać rozbite skorupy i zbierać cięgi, jeśli klej nie będzie się trzymał. Na ekranie był widoczny zapis ciśnienia – dobry znak – i puls – cud nad cudy – na poziomie 36. Czy cuda się nigdy nie skończą? – Tak trzymaj – ponaglał kierownik dyżuru, który nagle się pojawił, zachęcając Coriander gdzieś z boku noszy. – Robisz ekstra masaż, Wyatt. Czy ktoś ci już mówił, że podniosłabyś umarłego z grobu...

Wybaczyła mu tę gruboskórność; dla niektórych to jedyny sposób, aby nie poddać się paraliżującemu strachowi i niepokojowi. Wolałaby chyba łagodniejszą formę wyrażania tego strachu i zwykle: „Niech cię uścisnę” wywołałoby cieplejszą reakcję. – Miejmy nadzieję – powiedziała, koncentrując się na sercu, które zaczęło bić regularnie. Spojrzał jej przez ramię. – Natnij tchawicę, Wyatt, bo może krwawić do gardła.

- Proszę podejść bliżej, doktorze, jest już...
- Uwielbiam, jak to mówisz – odpowiedział, pochylając się, aby wyszeptać jej to do ucha.
- Dlaczego pachniesz węglem drzewnym? – zapytała ignorując żart.
- Bo oderwałem się od grilla, żeby tu przyjść.

Czy nie jesteśmy wspaniali, myślała Coriander nie przerywając masażu. Rana postrzałowa, zagrożenie życia, śmierć za ścianą i co może być jeszcze nowego? Zwykły Czwarty Lipca w Szpitalu Ogólnym na Brooklynie w Nowym Jorku. I mogło być jeszcze gorzej. Mogłaby być na dyżurze tej nocy, gdy ktoś otworzył ogień do dwudziestu siedmiu osób siedzących w McDonalddie przy Atlantic Avenue. Z drugiej strony, mogłaby spędzać weekend z mężem w Acapulco.

Przebita nerka, przypuszczalne naruszenie jelit, wlot kuli w dole pleców, wylot nieco niżej, po lewej stronie brzucha. Teraz, gdy serce pacjenta już biło, gdy oddychał i żył – i zdarzało się to za każdym razem, gdy jej się powiodło – odczuwała tę samą złość, mdłości i niepewność.

- Czy oni, na miłość boską, nie mają nic innego do roboty? – Coriander zastanawiała się na głos, przygotowując się do zamknięcia nacięcia po lewej stronie.

- Puls znowu niestabilny, więc obserwuj ciśnienie albo będziemy musieli zastosować wstrząs – ostrzegł technik. Ktoś trzymał nić i zakrzywioną igłę, która popadła w zapomnienie, gdy Coriander wsunęła znowu rękę w rozwartą dziurę, by dotrzeć do serca i masować rytmicznie i równomiernie. Kiedy go przywieźli, miał w zakrwawionej kieszeni spodni plik banknotów studolarowych, zapalniczkę z czystego złota i kolekcję kart kredytowych. – Żona i brat są na zewnątrz, bardzo przejęci, chcesz z nimi porozmawiać? – pytał jeden ze stażystów. Przytaknęła znużona, nie przestając masować. Niewinny przechodzień – oświadczył glina wywracając oczy, gdy go przywieźli – właśnie wychodził z kościoła i szedł do matki...

Była po drugiej stronie korytarza, gdy wpadł kierownik dyżuru. Popatrz na to – powiedział, ściskając mocno jej ramiona, gdy odciągał ją od pacjenta z bólami piersi.

Popatrz na to, Wyatt, to jest zagrożenie życia. Zauważyła w jego głosie błysk radości. Nie była pod wrażeniem, ponieważ dookoła nieustannie trwało zagrożenie życia z wyjątkiem sytuacji, gdy badano przyczyny śmierci. Popatrz na to, Wyatt – i popatrzyła – a to przypadkiem było gołym Murzynem, leżącym na stole, z bezwładnym penisem na jednej stronie, no i co z tego? Czy spodziewała, że kierownik mógłby zamiast tego powiedzieć: „Nie patrz tam Wyatt”, po czym odwrócić jej twarz i zasłonić widok? Nie spodziewała się tego, ale wolałaby to, bo od momentu, gdy dotknęła pacjenta, jego życie było w jej rękach. Owszem, kierownik zawsze grał jej trochę na nerwach każąc jej uczestniczyć, dotykać, uzdrawiać, leczyć albo nie, w zależności od okoliczności.

Kiedyś jej ojciec wypowiedział te same słowa: „Nie patrz na to, Coriander” – dawno temu w Buenos Aires, podczas rządów reżimu wojskowego w 1978 roku, kiedy tajniacy wlekli po ulicy starego człowieka.

Coriander obserwowała, jak staruszek błaga o pomoc, przyklejając się do przechodniów, zaciskając ręce na klapach ich płaszczy. Ani jeden z elegancko ubranych, szacownych świadków tamtego zdarzenia na Calle Florida nie okazał nawet śladu oburzenia czy współczucia, kiedy staruszka w końcu wrzucono do czekającego samochodu. Przez lata prześladował ją ten obraz, jako przykład horroru, który miał miejsce w Buenos Aires.

To wtedy, w 1978 roku, za rządów junty generała Videli, ponad 8000 osób zginęło bez śladu, kiedy faszyci domowego chowu rozjeżdżali się szarymi fordami falconami, zgarniając ludzi z ulic, restauracji, biur czy łóżek w środku nocy, wprost do więzień czy miejsc kaźni, z których rzadko się wydostawali. Coriander miała wtedy dwadzieścia lat i właśnie rozpoczynała studia medyczne.

Dla ojca Coriander życie było serią przeprowadzek. Pracował cały czas w Ameryce Południowej i ciągle dla tej samej kompanii naftowej, po czym na koniec kariery uhonorowany został stanowiskiem dyplomaty w Argentynie. Mianowany ambasadorem USA za prezydentury Nixona, Palmer Wyatt pozostał za Forda i jako wyjątek pozostał też w 1976 roku, gdy Carter wygrał wybory prezydenckie. Departament Stanu uznał, że sytuacja jest krytyczna, a Wyatt nie tylko rozumie politykę, ale też ma ciepłe, serdeczne stosunki z juntą, toteż lepiej zostawić rzeczy własnemu biegowi. Na korzyść Wyatta przemawiał także fakt, że jego żona pochodziła ze znamienitej argentyńskiej rodziny – Floria Lucia Sarmiento Wyatt wywodziła się z rodu byłego prezydenta Domingo Sarmiento. człowieka, który niegdyś podzielił Argentyńczyków na cywilizowanych Europejczyków i prymitywnych candillos, gauchos i Indian. W czasach, gdy Palmer i Floria zajmowali ambasadę amerykańską, zawarto więcej umów handlowych i osiągnięto więcej sukcesów dyplomatycznych niż w jakimkolwiek innym okresie, z wyjątkiem drugich rządów Juana Perona w 1973 roku. Jedynie Coriander uważała za niemożliwe pogodzenie dwóch kultur i stale łąpała się na tym, że jest gdzieś pośrodku.

W połowie Amerykanka, w połowie Argentynka, w końcu została odrzucona przez obydwie strony. Argentyńczycy byli nieufni wobec jej opinii – gringo – a Amerykanie podejrzliwi wobec jej motywów – hippiska. Jedyne, co mogła zrobić, to czynić wysiłki w swoim bezbłędnym hiszpańskim, by ją zrozumiano, by uwierzono w jej słowa i by mogła udowodnić słuszność swojego postępowania.

Wiele lat później, kiedy przyjechała do Brooklynu na szkolenie, czyniła takie same wysiłki. Najbardziej zwróciło jej uwagę w Szpitalu Ogólnym podobieństwo do atmosfery w Buenos Aires – nieufność i podejrzania szerzyły się tak samo jak smutek i brak nadziei, jak gniew i rozpacz. Różnica polegała na tym, że w argentyńskim hiszpańskim spółgłoski brzmiały bardziej miękko niż te, które słyszała w ustach Portorykan i Dominikańczyków na Brooklynie. Poza tym w Buenos Aires ludzie byli bardziej rozluźnieni i nie traktowali świąt tak poważnie jak mieszkańcy Brooklynu, którzy wprost umierali z pragnienia, by Czwartego Lipca dostać się na pourazowy.

\*\*\*\*\*

- Załóżcie mu cewnik – poleciła Coriander, patrząc na wypełniającą się krwią rurkę. – Podejrzewam pęknięcie nerki, więc zabierzmy go szybko na górę...

Kierownik stanął w nogach łóżka.– Jakie są rokowania operacji? – tak jakby był lepszy sposób usunięcia tej kuli.

- Jakie są rokowania bez operacji? – odpowiedziała zupełnie pewna tego, co czeka pacjenta. – Nigdy nie słyszałam, by kula rozpuściła się sama, doktorze.

Zignorował sarkazm. – Jeśli pacjent odmelduje się na stole operacyjnym, nas proces sądowy. Jeśli zejdzie tutaj, na pourazowym, wystarczy krótkie oświadczenie przed komisją zgonów i hasta la vista... – Wzruszył ramionami; jego bezbarwne oczy mrugały gwałtownie za okularami w różowych oprawkach.

– Żartujesz.

- Nie żartuję.

- Śnisz, doktorze...

- Co ty, Wyatt? Też znalazłaś sobie kandydata do operacji.

- Jest jeszcze gorszym kandydatem na śmierć.

- Dlaczego, Wyatt?

- Za młody...

- Nikt nie żyje wiecznie.

Zatrzymała się, by na niego spojrzeć. – Jest duża różnica między śmiercią we śnie w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat i śmiercią z powodu uleczalnej rany postrzałowej w wieku dwudziestu pięciu lat...

- Po prostu załatwiasz mu rentę, Wyatt. Będzie się tutaj bez przerwy pojawiał...

- Podaj mi wiarygodne rozwiązanie, a rozważę je – powiedziała słodko.

- Zrób USG, żeby mieć pewność, że nerka jest naruszona.

- Nie mam czasu...

- Pomyśl o zespole, Wyatt...

– Zrób mi przysługę, Stan, i wracaj do swojego grilla. Jego głos przybrał ton udawanego żalu. – Ciekawi mnie, dlaczego wybrałaś chirurgię urazową. Na dermatologii mogłabyś uniknąć takich okropnych dylematów.

Tego żartu Coriander nie mogła traktować naturalnie, choć udawało jej się traktować naturalnie wszystko inne, co przynosiło jej wspomnienia z młodości: syreny, protesty, walki i straty. Więc jak to się stało, że chcesz być chirurgiem, a nie dermatologiem albo pediatrą, albo ginekologiem – to specjalności kobiet w tym ograniczonym więzieniu męskiej medycyny? Była żądna intymności; tej potrzeby nigdy nie mogła wyjaśnić, może to relikw z czasów dzieciństwa. A cóż może być bardziej intymnego niż opatrywanie ran drugiego człowieka; cóż bardziej osobistego od śmierci – to pytanie, na które nie umiała dać odpowiedzi. Były też inne pytania, na które nigdy nie dawała odpowiedzi, na przykład, na temat siebie i swojego dziewictwa, gdy zażenowanie nie pozwalało jej się przyznać, że w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat jest ciągle jeszcze nietknięta. Więc kłamała i wymyślała kochanków. Były też pytania, na które nigdy nie udzielała odpowiedzi – studia medyczne – bo nieswojo było jej się przyznać, że zaczęła pierwszy rok mając niespełna dwadzieścia jeden lat. Więc kłamała i dodawała sobie lat. I poprzez całe to zażenowanie i nieśmiałość nabrała zwyczaju utrzymywania dystansu, który teraz był już tak zakorzeniony, że wręcz niemożliwy do przewyciężenia.

Kiedyś była to seria przyjaźni, które nigdy nie osiągnęły stadium prawdziwej intymności, bo kończyły się za każdym razem, gdy przeprowadzała się do innego państwa. Gdy w wieku czternastu lat przybyła do ambasady USA w Buenos Aires, wzbudziła sensację, wywołując okrzyki radości i podniecenia personelu. Odziedziczyła wszystko, co najlepsze, po rodzicach – pod względem wyglądu, temperamentu i niezwyklej kondycji. Coriander Wyatt była z rodzaju tych pięknych kobiet, które wyglądały pięknie, nawet jeśli wyglądały źle, i nadal tak było. Miała te same gęste blond włosy, które kłębiły się wokół twarzy, bursztynowe oczy połyskujące złotem, gdy była szczęśliwa, i czarnymi plamami, gdy była smutna, perfekcyjnie wyczelowane rysy i

ciut za duże usta, szczupłe ciało i ciut za duży biust. Jej nos z niewyraźnym paskiem piegów u nasady zawsze błyszczał nie upudrowany, jej pełne wdzięku ręce ze zwięzającymi się palcami poruszały się bez przerwy, gdy mówiła, długie uda zdawały się jeszcze wyciągać, gdy wstawała z krzesła, oczy świeciły i interesowały się wszystkim, cokolwiek usłyszała, zobaczyła, czego posmakowała lub dotknęła. Jej głos mógł przybrać ton łagodny lub ostry, jak ciężarówka o napędzie na cztery koła, zmieniająca biegi na opuszczonej autostradzie. Czasami zła dykcja i gramatyka ją peszyła, skłaniając do milczenia, innym razem rzuciła stek przekleństw, które przyprawiłyby nowojorskiego taksówkarza o rumieniec.

W ciągu kilku miesięcy od przyjazdu do Buenos Aires Coriander opanowała już do perfekcji stanie godzinami w okropnym upale i zimnie, słuchanie nudnych przemów politycznych i pustych obietnic politycznych. Bywały dni, gdy była zmuszona uczestniczyć w jednej ceremonii za drugą, obserwować idealną dyplomatyczną obecność mojego ojca i idealną dyplomatyczną nieobecność matki. Oczekiwano od niej, że zastąpi swą matkę u boku ojca tak, by nikt tego nie zauważył. Floria Lucia stworzyła konflikt, i Floria zaproponowała rozwiązanie...

Floria Lucia Sarmiento Wyatt była kobietą nie mogącą żyć bez cukru, niezależnie od tego, czy były nim popudrowane ciasteczka, które wprost pożerała, czy był rozcieńczony w koktajlach, które piła; czy też zdobywała go zlizując klejące się okruchy z idealnie wypielęgowanych palców, czy wlewając w siebie whisky przez idealnie pomalowane usta. Z upływem lat uzależnienie okazało się śmiertelne, chociaż Floria Lucia pozostała świeża jak rosa aż do końca. Jak to się dzieje, mawiał Palmer, że nawet w świetle dziennym ta cholerna kobieta nie wygląda ani o dzień starzej niż pięćdziesiąt lat, a w świetle świec uszłaby za czterdziestolatkę. I cóż z tego, że duże jak brazylijskie orzechy diamenty nie należały do niej, sukienki ozdobione koralikami były wypożyczone, a mantylki ze starej koronki były noszone wcześniej przez cały szwadron kobiet z rodu Sarmiento? Floria Lucia zawsze dyktowała modę. Była piękną. Była także zморą. Zawsze czarująca, podniecająca, zabawna i zawsze parszywa matka. Kiedy miała trzeźwy dzień, była nieprzewidywalna, w dni nietrzeźwe była nieracjonalna. Coriander jeszcze nie skończyła czternastu lat, kiedy rozgryzła to, że córka żyjąca w cieniu pięknej matki o złej sławie ma trzy możliwe wyjścia. Może pozostać w jej cieniu na zawsze, odrzucić ją bezlitośnie albo odsunąć wszystko na bok i zająć się własnym życiem. Instynktownie Coriander wybrała to ostatnie, chociaż zajmowanie się własnym życiem miało swoje szczególne ograniczenia. Coriander chciała być lekarzem i zajmować się chirurgią urazową w Nowym Jorku, podczas gdy jej ojciec zawsze zakładał, że będzie prowadziła praktykę w Buenos Aires. Ostatecznie los zdecydował za nią, gdy Floria Lucia zrobiła jedyną niesamolubną rzecz w swoim życiu. Umarła. W bladobrzoskwiniowym pokoju obok Kliniki Francuskiej w Buenos Aires, za jedwabną beżową zasłoną upiętą na wypolerowanym dębie, Floria Lucia zgasła jak świeca migocąca w ciepłym wiosennym powiewie argentyńskiego wieczoru.

\*\*\*\*\*

Coriander była na korytarzu na zewnątrz oddziału pourazowego, rozmawiając z żoną i bratem pacjenta, który już leżał na stole operacyjnym. Wyjaśniała: – Zapanowaliśmy już nad krwawieniem i wyizolowaliśmy punkt krytyczny rany postrzałowej, więc ma duże szanse, żeby się z tego wywinąć.

Kobiela płakała. – Niech Bóg panią doktor błogosławi, nigdy pani lego nie zapomnimy...

- Będziemy się za panią modlić – dodał brat. Odpowiedziałyby coś, chociaż ten rodzaj podziękowań zawsze wprawiał ją w zakłopotanie, gdyby nie pojawiła się ta młoda dziewczyna. Ubrana tylko w body i wysokie czarne buty, z niebieskimi nastroszonymi włosami, z roz-

mazanym czarnym cieniem do powiek i rozmazaną czerwoną szminką, podeszła do niej z papierosem.

- Masz coś na moje nerwy, doktorko?
- Nie można tu palić, tu jest tlen...
- Odpieprz się, doktorko...

Ciągle łkając, kobieta nie zważała na dziewczynę. – Kiedy możemy go zobaczyć? – zapytała.

Nadal prowadząc dwie rozmowy równocześnie, Coriander powiedziała: – Gdy tylko będzie na pooperacyjnym. – I zwróciła się do dziewczyny mówiąc: – To jest szpital...To nie żaden szpital, to rzeźnia! Masz demerol na moje nerwy, doktorko...

Też na nic nie zważając, płaczący brat ciągnął: – Czy naprawdę nic mu nie grozi?

- Mówmy po kolei – poradziła Coriander. – Wyszedł już z początkowego niebezpiecznego wstrząsu...

- Dzięki pani, pani doktor, to pani go uratowała...
- No już, doktorko, jeden demerol.
- Nie mogę dać ci demerolu bez badania...
- Niech cię szlag...

Coriander obróciła się do dwojga krewnych pacjenta.

- Może napijecie się państwo kawy. Operacja potrwa na pewno jeszcze około trzech godzin. – Znowu się obróciła.

- Jeśli nie zgasisz papierosa, wezwę straż...
- Jest pani świętą, pani doktor...
- Rzeźniczka....

Za chwilę zjawili się strażnicy i uwolnili dziewczynę od jej papierosa, eskortując ją wykrzykującą przekleństwa do poczekalni. Prawdopodobnie ta sytuacja nie wyprowadziła Coriander szczególnie z równowagi tylko dlatego, że uważała takie sceny za jeden z wielu bezsensów, tak typowych dla prawdziwego życia. W połowie korytarza podeszła do niej jedna z twardych, starszych pielęgniarek. Te pielęgniarki mogłyby wykonać każdy zabieg chirurgiczny lepiej niż młody stażysta. – Żona i brat tej rany postrzałowej czekają tam – wskazała ręką.

Zmieszana Coriander odpowiedziała: – Ale właśnie z nimi rozmawiałam...

Siostra wzniosła w górę wzrok, gdy po matczynemu popychała Coriander w kierunku jeszcze jednej płaczącej kobiety i zażawionego mężczyzny. – Rozmawiałas z kochanką i kumplem, żona i brat są tam...

Gdy Coriander kierowała się do tych dwojga, postanowiła nie konfrontować fałszywej żony i brata. W końcu żal jest żalem, a miłość miłością niezależnie od statusu i tytułu. Jaką to stanowi różnicę? W życiu zdarzają się dużo gorsze rzeczy.

\*\*\*\*\*

Wtedy, w 1978 roku, w Buenos Aires sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Bez ostrzeżenia przeszukiwano dom po domu, a mężczyzn, kobiety i dzieci również aresztowano na miejscu. Po tygodniach tortur, zwykle wystarczyło dziesięć dni w odosobnieniu, aby więzień zaczął mówić i denuncjować swoich przyjaciół, rodzinę, robić wszystko, by przeżyć jeszcze kilka dni lub szybko umrzeć. W takiej atmosferze Palmer Wyatt wypisał swoją córkę z Uniwersytetu w Buenos Aires i zapisał do Uniwersytetu w Cor-dobie, który uważał za względnie bezpieczny. To tam Coriander Wyatt spotkała Danny'ego Vidala...

\*\*\*\*\*

Pacjent z raną postrzałową, przyczepiony do całego zestawu butli i rurek, oczekiwał na operację. Nieunikniona śmierć zmieniła się teraz w możliwość śmierci na skutek infekcji lub błędu chirurgicznego lub o jedno za dużo przejście przez drzwi oddziału pourazowego. Adios prawa nerko, pomyślała Coriander, wracając na pogotowie, gdzie nie potrzebowała więcej niż pół minuty, by ocenić, czy przypadek na stole jest wart jej czasu, wysiłku i sprzętu. • Włożyć rurkę do tchawicy, udrozić, przypominała zespołowi, gdy przewożono pacjenta obok niej, obserwujcie ciśnienie w drodze do góry, obserwujcie puls. Niczym w jakimś podrzędnym prywatnym klubie, gdzie wszyscy są włączeni w ten stan pogotowia. Nigdy nikt nie wypadł z rutyny przepisów, nawet pomiędzy katastrofami. Jesteś serdecznie proszony o uratowanie komuś życia Czwartego Lipca PWK – Przynieś Własną Krew. Aż do następnego razu, gdy pojawiał się ten sam pacjent z tą samą wymówką. – Ja tylko tam stałem, doktorze, zajmowałem się własnymi sprawami.

Kiedy wychodziła z pourazowego, sanitariusze pchali nosze. Tym razem niemal wylewało się z nich ciało kobiety, która miała półtorej nogi i wyraz twarzy przerażonego zwierzęcia schwytanego w sidła. Coriander wzięła kartę od jednego z sanitariuszy, wwozących pacjentkę na salę. Poszła za nimi. – Jak się pani dziś miewa, pani Rodriguez? – zapytała kobietę, po czym powtórzyła pytanie po hiszpańsku. – Como está, senora Rodriguez? – Usta i język kobiety były wyraźnie spuchnięte, prawa strona całkowicie sparaliżowana, zdrowa noga po prawej stronie, pech...

– Nie mówi – tłumaczył sanitariusz. – Wstrząs mózgowo-naczyniowy – paraliż. – Jak gdyby Coriander nie znała terminologii. Spojrzała dziwnie na sanitariusza; jakże oni, przywożący pacjentów, uwielbiali tłumaczyć wszystko dyżurującym lekarzom. Co miała teraz powiedzieć? Przykro mi, senora Rodriguez, miała pani wstrząs mózgowo-naczyniowy, ale niestety, to nieodpowiedni rodzaj urazu po tej stronie korytarza. Widzi pani, senora Rodriguez, nie jest pani odpowiednią pacjentką tutaj, ponieważ ta strona korytarza zarezerwowana jest dla noży i kul, podczas gdy druga strona zarezerwowana jest dla złamanych serc. Nie, żeby Coriander była emocjonalnie związana z każdym pacjentem, którym się zajmowała, po prostu czuła więź z każdym, kto był bezradny w tej stacji napraw po drodze na miejskie wysypisko śmieci. Biorąc kobietę za rękę, zobaczyła, jak jej oczy napełniają się łzami. Spytała cicho: – Czy umie pani pisać? – Kobieta potwierdziła wzrokiem. – Proszę napisać numer telefonu przyjaciela albo kogoś z rodziny... – Łzy płynęły po policzkach kobiety. Coriander wyjęła pióro i bloczek papieru i czekała, aż zobaczyła słowo: NIKT. Poczowała, że jej serce szarpnęło się w piersi. Trzymając kobietę za rękę, zwróciła się do jednej z sióstr. – Proszę położyć panią Rodriguez na tym oddziale i zapisać mnie jako przyjmującą i prowadzącą. – Obróciła się potem, przechodząc do następnego nieszczęśnika, który był tuż pod ręką. Nie musiała daleko szukać.

Siostra wołała ją, przyzywając z powrotem na pogotowie. – Mamy ranę od noża, doktor Wyatt: Nie tak źle. pacjent kwalifikuje się do leczenia ambulatoryjnego, przyszedł sam. Czy mogłaby go pani przyjąć? Przeszła przez drzwi, by ocenić stan pacjenta, chociaż tym razem zabrało jej to więcej niż trzydzieści sekund, ponieważ rana od noża nadawała się do leczenia ambulatoryjnego. Tutaj są ich rany, tam gdzie jest ich polityka.

- Potrzebuje pani długopisu, pani doktor? – zapytała pielęgniarka. Potrząsając głową, Coriander obmacała pacjenta. Po co właściwie robić notatki w takim miejscu i na jakich kartach? Pacjent szczyrzył zęby i czemu nie, przecież żyje? – Możliwość rozciętej śledziony, rana bolesna. Prześwietlimy, ale nie ruszać za wiele i upewnijcie się, że jest na lewej stronie do prześwietlenia – wyprostowała się. – Podłączcie go do monitora.

- Pacjent śmierdzi alkoholem – oświadczyła siostra, nachylając się nad przypuszczalnie rozciętą śledzioną – Czy mieszmamy to z iniekcją dożylną?

- Co on ma do stracenia – Coriander zapytała zmęczonym głosem – poza swoim życiem? – Chociaż Coriander cierpiała, cierpiała za nich wszystkich, mogłaby jednak na nich wrzeszczeć i potrząsać nimi, aż zrozumieliby, że życie jest ciężkie, ale nie ma innej alternatywy. Wychowanie, Coriander, maniery, takt, doktor Wyatt, przyzwoitość, jeśli można prosić, pani doktor, procedura, doktor Wyatt. – Iniekcja dożylna czy nie? – powiedziała siostra, praktycznie ziewając.

- Zmieszaj to – nakazała Coriander – lekarstwa, alkohol, wszystko, a kiedy stan pacjenta będzie stabilny, odtruujemy go, jeśli będzie trzeba. – Cierpiała, ponieważ w większości przypadków nie mogła zmienić rezultatu, tak samo jak cierpiała, ponieważ mogła wyjść nie oglądając się za siebie, zanim zaczął się następny dyżur. Winiła się za to, że żyje w innym świecie, mieszka wysoko przy Piątej Alei na Manhattanie z widokiem na Central Park. Kiedyś, siedząc w limuzynie w Buenos Aires, czuła się bezradna, pozbawiona nadziei i zła z powodu wszystkich dzieci ze slumsów San Telmo i Monserrat. Wtedy limuzyna wcale nawet nie zwalniała ani nie zatrzymywała się, gdy Coriander śpieszyła na lotnisko do samolotu, który miał ją zabrać z powrotem do szpitala na praktykę.

- Spójrz na niego, Wyatt, miała pełne prawo spojrzeć na tego szczególnego pacjenta z perforowaną nerką, chociaż był nagi, ponieważ była tą wybranką, która, na miłość boską, włożyła rękę w jego pierś. A w końcu, czy to nie Danny nauczył ją wszystkiego o dłoniach na sercu dawno leniu w Argentynie, zanim nauczyła się stosować tę technikę w bardziej dosłownym znaczeniu... Odsunęła kosmyk włosów z twarzy i wzięła głęboki oddech. Już dwadzieścia siedem godzin bez snu; jeśli będzie miała szczęście, zostało jeszcze tylko dziewięć. Mogłaby być z mężem na plaży w Acapulco.

#### **Rozdział 4**

Gliniarz chciał, aby opatrzeć mu drobną ranę na rękach. Nic poważnego, pani doktor, oberwałem i teraz nie mogę zaciskać dłoni.

Coriander słuchała narzekania, chociaż wcale nie była przekonana, czy oberwał, czy raczej sam komuś spuścił manto tymi rękoma. Znowu robiło się gorąco po kilku godzinach spokoju. Zwykle między drugą a dziewiątą rano następowało krótkie wytchnienie po tym, jak dokonała się pierwsza fala alkoholowej lub narkotykowej przemocy, ofiary zostały przyjęte, przeniesione do kostnicy albo zwolnione, by odespać gdzieś w rynsztoku. Była dziewiąta piętnaście i teraz nowa grupa wchłonawszy swoją dawkę osiągnęła ten odnowiony poziom irracjonalnego zachowania, który prowadził wprost na pourazowy.

- Jak pan zranił ręce? – Coriander spytała gliniarza, który wydostał się z morza niebieskich mundurów, tłoczących się wokół drzwi. Za każdym razem, gdy widziała wszystkie te niebieskie mundury, wyobrażała sobie, że właśnie weszła w środek dobrze uzbrojonej drużyny grającego w kręgle. – Trzecie łóżko – przerwała jej siostra, wpychając jej kartę do rąk. – Więzień przykuty kajdankami do krat łóżka potrzebuje szybkiej diagnozy. – Biorąc kartę, Coriander przeczytała ją szybko, zanim odwróciła się do policjanta. – Czy to pański więzień?

- Nie pozwalał się aresztować, pani doktor...

Nadal przeglądała kartę, zanim w końcu podniosła wzrok. – Cud, że żyje – powiedziała z niedowierzaniem.



- Ten facet to zwierzę, pani doktor, zrzucił dziewczynę ze schodów, żeby wyskoczyć oknem z narkotykami...

Słyszała to już tyle razy, że wolałaby niemal, by wymyślili nową procedurę. – Gdzie jest dziewczyna?

- No, pani doktor, ci ludzie spadają jak kot na cztery łapy.

- Najwyraźniej znalazłeś takiego, który nie spadł na cztery łapy – powiedziała i skierowała się do więźnia.

Gliniarz ciągnął za nią. – A co z moimi rękoma, pani doktor?

- Poproś któregoś sanitariusza, żeby cię zabrał na prześwietlenie.

- A co ze zwolnieniem z pracy? – naciskał. Zatrzymała się dopiero po dojsciu do łóżka. – Zajmijmy się najpierw wynikami.

- Co z moim więźniem? – gestykulował. – Kiedy go mogę zabrać?

Jej głos zabrzmiał lodowato. – Nigdy, gdyby to ode mnie zależało... – Odsunęła zasłonę i podeszła do łóżka. Jeden z tych, którzy jak kot spadają na cztery łapy, leżał na intensywnej terapii z pękniętą wątrobą, naruszoną śledzioną, rozciętą wargą i jednym okiem tak spuchniętym, że całą lewą stronę twarzy miał nabiegłą krwią. Niewiele brakowało, a wybuchnęłaby płaczem. Delikatnie odkrywając prześcieradło zabrała się do badania mężczyzny, zaczynając od stóp i kostek, by sprawdzić, czy ma jeszcze więcej złamań. Coriander uniosła wzrok, kiedy zasłona rozsunęła się, i zobaczyła, że obok niej stoi jej najbliższa przyjaciółka, którą poznała, gdy przed ośmioma laty /jawiła się w tym szpitalu, by rozpocząć staż. – Napad? – zapytała Lottie.

Uwaga Coriander skoncentrowała się znowu na pacjencie. – Nie pozwalał się aresztować – odpowiedziała przez zaciśnięte usta. Kątem oka Coriander zobaczyła niedowierzanie majaczące na twarzy przyjaciółki.

- Subtelna różnica – Lottie powiedziała cicho.

- Kusi mnie, by napisać raport – powiedziała Coriander, kręcąc głową.

- A co, jeśli wyjdiesz stąd o trzeciej w nocy i coś się wydarzy?

- Myślisz, że to popsuje ten od dawna trwający romans między nami i policją?

- Nie sądzę, byś ty musiała być tą osobą, która wystawi ten związek na próbę – odpowiedziała Lottie.

Kilka pielęgniarek zebrało się wokół łóżka. – Co pani o tym myśli, doktor Wyatt? – zapytała jedna z nich.

A co miała myśleć? Że system ma swoje wady, że czasami przestępcy stają się ofiarami, ofiary stają się statystyką, zaś strażnicy prawa przestępcami? W jej głosie brzmiało więcej znużenia niż gniewu. – Pęknięta lewa kość udowa, oto, co myślę, więc zróbcie zdjęcie, dopóki jest na stole, i włóżcie go w kombinezon przeciwstrząsowy, by go zanieść na górę. – Obróciła się do Lottie. – Pewnie myślisz, że po tylu latach nie powinnam już tego tak odbierać?

- Gdybyś tego tak nie odbierała, powinnaś chyba zmienić specjalizację na dermatologię i nauczyć się walczyć z plagą łuszczycy.

- Jesteś już dzisiaj drugą osobą, która proponuje mi zajęcie się dermatologią.

- Nie mogę tylko uwierzyć w to, że ktoś mógłby mieć tak ogromną potrzebę zdobycia nowojorskiej renty, żeby przewiesić sobie kaliber 38 i patrolować ulice Nowego Jorku – Coriander uśmiechnęła się, wdzięczna za przewidywalną dozę nienabożnego humoru Lottie. Ciemnowłosa, seksowna, zawsze odchudzająca się Lottie przeniosła się na pourazowy z ortopedii, kiedy rozpadło się jej małżeństwo. Pomysł polegał na tym, by pracować w nieludzkich godzinach i przed powrotem do domu tak się zmęczyć, by nie zauważyć, że jest sama. – Pomyśl, ten facet żyje, a mógłby pojechać prosto do kostnicy. Uznaj to za błogosławieństwo...

- Lottie, muszę ci coś powiedzieć. Może zrezygnowałam z rozpaczania nad nim, ale nie uznaję tego za błogosławieństwo.

- Musisz przestać tak się przejmować każdym przyjmowanym pacjentem – poradziła Lottie.

- Nie każdym – zaprotestowała Coriander – tylko tymi, którzy są bezdomni i stracili nadzieję, i mają kiepskie rokowania. Czyli mniej więcej osiemdziesięcioma pięcioma procentami.

- A co zostaje dla ciebie?

- Nie musisz pytać.

- A co zostaje dla Danny'ego? – sprecyzowała Lottie. Iskra bólu pojawiła się w jej oczach, zanim zdołała ją strząsnąć mrugnięciem. – Więcej niż zdaje się ostatnio potrzebować.

- Wyjechał na weekend?

- W interesach... – odpowiedziała lekko Coriander.

- Kiedy mu o tym powiesz?

- Powiedziałam, zanim wyjechał.

Lottie przyjrzała jej się dokładnie. – Był poruszony?

Stały oparte o ścianę w środku ruchliwego korytarza, który oddzielał intensywną terapię od oddziału pourazowego. – Poruszony to za dużo powiedziane. Powiedziałabym, że mu ulżyło, tylko że miałam uczucie, że mu ulżyło ze względu na mnie, tak jakbym teraz miała się martwić o kogoś więcej poza nim.

- A co z urlopem? – zastanawiała się Lottie.

- Kiedy nie będę mogła podejść do stołu operacyjnego, na jakiś czas przerwę – odpowiedziała Coriander.

Lottie miała jeszcze coś dodać, gdy uwaga obydwu kobiet skierowała się na wahadłowe drzwi. Pchali biegiem łóżko na intensywną terapię. – Rana postrzałowa – oświadczyła Lottie, zaś Coriander dodała: – Niemożliwe! – Jeden z sanitariuszy wrzeszczał, przekrzykując rosnący hałas na korytarzu. – Dwie kule w brzuchu, niech ktoś mi pomoże zatamować krwawienie! – Obydwie rzuciły się do łóżka. Coriander, przyciskając obydwie ręce do rany od kuli, by zatamować upływ krwi, zaś Lottie wykrzykując pytania do sanitariusza. – Jaki kaliber? – Nie wiem – sanitariusz odpowiedział zdyszany, gdy dziesięć lub dwadzieścia osób pracowało, by przygotować iniekcję dożylną i dostarczyć pacjentowi krwi.

- Kiedy? – Lottie wrzasnęła poprzez zamieszanie. – Dwadzieścia minut temu! – odwrzasnął sanitariusz. – Przywieźcie tutaj respirator! – rozkazała Coriander świadoma tego, że jeden z policjantów zbliżył się do niej. Trzydzieści cholernych ludzi w restauracji i nikt nic nie wie! To było podsumowanie jednego z policjantów, zanim pokazał ten gest, tak tutaj popularny. Palcem wskazującym przejechał po szyi i zapytał: – Czy pacjent jest do uratowania?

Po tak długim czasie Coriander prawie uodporniła się na to pytanie i ten gest. – Za wcześniej, aby to stwierdzić

- odpowiedziała prostując się, by wziąć od sanitariusza kłamerę i wykonać prowizoryczne szycie.

- Wstrzymajcie się z nazwaniem tego zabójstwem – powiedziała pracując, rejestrując puls i ciśnienie. – Zaczyna się stabilizować! – wykrzyknęła do innych.

Pacjent został przebadany, ale zanim się nim zajęto, gliniarze chcieli wiedzieć, jakie są rokowania, zanim pacjent umarł, chcieli oświadczenia. Krwawienie zostało opanowane i mężczyzna został podłączony do respiratora. – Będziecie operować? – zapytał jeden z gliniarzy.

- Nie ja, na górze jest zespół – wzięła oddech. – Na V pewno ten nie wydaje mi się do uratowania.

Policjant wzruszył ramionami. – Myślę, że się tutaj mimo wszystko pokręcę, czasami wszystko może się odwrócić...

Byli jak sępy czyhające na to, by napaść stała się morderstwem. Podniósłszy pacjenta na pierwszy poziom przeżycia Coriander przekazała go kolegom, którzy mieli utrzymywać stabilizację do operacji. Lottie była już po drugiej stronie pokoju. Spoglądając w kierunku jednego z gabinetów, Coriander zauważyła, że palaczka z niebieskimi nastroszonymi włosami i rozmazanym makijażem siedzi na jednym ze stołów. Najwyraźniej ktoś pozwolił jej zapalić, ponieważ trzymała papierosa nad malutką cynową popielniczką na kolanach. – Hej, doktorko – pomachała dużo ludzi ginie tutaj, prawda? – Coriander nie odpowiedziała. Zawracając skierowała się ku intensywnej terapii, kiedy zauważyła imponujący zarys sylwetek lekarza dyżurnego i dwóch stażystów. Białe kitle rozwiewały się w podmuchu powietrza z wahadłowych drzwi. Przeszli trzej równocześnie przez korytarz, ledwo kiwając głowami do łych czuwających, dając wrażenie zespołu do spraw katastrof szukającego katastrofy. Coriander nie miała wątpliwości, że przyszli przedyskutować ranę postrzałową z przedziurawioną prawą nerką, która wykitowała na stole operacyjnym. Przypomniała sobie ostrzeżenie – to twoje dziecko, Wyatt – to znaczy, jeśli pacjent umrze podczas operacji, a nie na oddziale pourazowym – to oznacza pozwanie do sądu, a me krótkie oświadczenie przed komisją zgonów.

Ignorując ich wejście, przeszła do tej najnowszej rany postrzałowej, która miała właśnie przejść do sali operacyjnej, sprawdzając przepływ lekarstw przez kroplówkę. -Niech to dokończy doktor Bruner – zasugerował dyżurny zaskakująco delikatnym tonem. Coriander zerknęła w poszukiwaniu Lottie, która stała w nogach łóżka i wzruszyła ramionami. – Wejdzmy do środka – zaproponował dyżurny, wskazując mały pokój w odległym zakątku oddziału. Coriander zgodziła się, zauważając, że dwóch stażystów ma kłopoty z patrzeniem jej w oczy – gdy maszerowali równo w jednym szeregu – na zaplecze oddziału. Nikt nic nie mówił. Kiedy wszyscy znaleźli się przy drzwiach, tylko dyżurny i Coriander weszli do środka. Tak jakby ustalono wcześniej, że stażyści będą pokutowali przed drzwiami.

Dopiero, gdy oboje usiedli, dyżurny zaczął z niespotykaną delikatnością: – Coriander, kochanie... – i uciał. Wydawało się, że ma kłopoty z powiedzeniem tego, z czym tu przyszedł.

Śluchaj, Stan, ułatwię ci to – powiedziała niecierpliwie Coriander. – Biorę na siebie odpowiedzialność bez względu na to, co wydarzyło się na górze podczas operacji. I jeśli to poprawi ci samopoczucie, zanim jeszcze się dowiedziałam, co się stało, napiszę oświadczenie do akt, że w tych samych okolicznościach i przy tych samych wskazaniach zrobiłabym znowu to samo.

- Wydarzył się wypadek – przerwał.

Mało brakowało a wy buchnęłyby śmiechem. – A czy to tutaj jakaś nowina? – Lecz chociaż zaczęła swobodnie, jej ton zmienił się, gdy tylko zauważyła prawdziwy smutek na jego twarzy. Ostrożnie zapytała: – Jaki wypadek?

- Mieliśmy telefon z Acapulco.

Czuła się tak, jakby ktoś ją rozciął, by zrobić operację serca i zapomniał zeszyć. Słyszała słowa, ale nie mogła do końca pojąć ich znaczenia. – Twój mąż uczestniczył w katastrofie samolotowej, Coriander – powiedział cicho dyżurny.

Nie. Pomyślała to słowo, zanim rzeczywiście je wypowiedziała, chociaż kiedy je wypowiedziała, był to szept.

- Nie. – Zanim bardzo wolno potrząsnęła głową z jednej strony na drugą, aby wypowiedzieć je głośniej. – Nie.

- I potem znowu; kosmyki włosów huśtały się przy podbródku, kościach policzkowych, na szyi i ramionach. Nie. Jej oczy były szeroko otwarte i przestraszone, przybrały jaśniejszy odcień bursztynu z powodu łez. – Jak jest źle?

- To było wszystko, co zdołała powiedzieć.

Lekarz wziął głęboki oddech i pochylił się nad nią.

- Jakiś mężczyzna dzwonił z Acapulco. Przedstawił się jako twój szwagier, Jorge Vidal.

Lecz to nie była odpowiedź. – Jak jest źle? – z trudem wyszeptła pytanie.

- Nie żyje, Cory. Twój mąż nie żyje...

Ktoś inny musiał krzyknąć, bo to na pewno nie mogła być ona. W końcu miała do czynienia z taką gwałtowną śmiercią na co dzień, co oznaczało, że takie rzeczy jej się nie przydarzały, ona była na administracyjnym końcu katastrofy i ludzkiego cierpienia, nie na tym doświadczanym końcu, na miłość boską. Czy nie wiedziała o tym? Wyciągnęła rękę do dyżurnego i zaczęła zupełnie racjonalnie (to znaczy, jeśli się nie słuchało wypowiedzanych słów, brzmiało to racjonalnie): – Mój mąż pojechał do Acapulco spotkać się z kimś, kto miał mu pomóc wszystko naprawić, czy nie rozumiesz... – Bo przyszło jej do głowy, że jeśli wyjaśni wszystko spokojnie, on stwierdzi, że nastąpiła straszna, straszna pomyłka. Może gdyby utrzymała panowanie nad sytuacją, byłaby w stanie przekonać go, by zaczął od początku i przedyskutował to, z czym tu naprawdę przyszedł, a był to oczywiście pacjent, który odmeldował się na stole tego ranka. – Czy nie rozumiesz – błagała – gdyby coś się stało, ktoś by zadzwonił...

– Próbuję ci powiedzieć, Cory, że ktoś rzeczywiście zadzwonił. Twój szwagier. Jorge Vidal.

– Proszę, Stan – błagała, a lzy utrudniały jej mówienie proszę nie mów tego, odwołaj to, odwołaj to wszystko... Jak mogła go przekonać, że nastąpiła pomyłka, jeśli nie wytłumaczyła, jak żywy był Danny, kiedy trzymał ją w ramionach całą noc, na pewno nie więcej niż czterdzieści trzy godziny temu, kiedy ona poszła na dyżur, a on wyjechał do Acapulco. Jak mogła mu powiedzieć o tym, jak Danny się z nią kochał całymi godzinami, będąc w niej, kiedy spali, poruszając tylko ustami, by powiedzieć, jak bardzo ją kocha, aż do ostatniej chwili, zanim wyszła do pracy. Dala mu życie i bogactwo, powiedział, on dał jej odwagę i radość, powiedziała mu; był jej obsesją, ona była jego słabością. – Przykro mi, Cory, Chryste, przykro mi... W jego głosie czaiły się łzy.

To był koniec kwestii i wiedziała o tym. Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia i zrobienia, poza powtarzaniem bez końca tych słów, aż uwierzy w nie sama. – Nie żyje, mój mąż me żyje. Po prostu. Tak po prostu, tylko jakoś nie mogła do końca zrozumieć, jak Danny przeszedł od stanu idealnego zdrowia do stanu „Twój mąż nie żyje...” Bez rokowań, bez oświadczeń, bez jednego nawet: „Czy da się go uratować, pani doktor?” Po prostu nie żyje. I czego nie mogła także zupełnie zrozumieć, jak coś tak straszego mogło się przydarzyć Danny'emu, który tyle' przeszedł, by zacząć wszystko od nowa.

W pewnym momencie musieli wejść do pokoju stażysty, ponieważ jeden z nich klęczał obok niej i sprawdzał jej puls, zaś drugi konferował z dyżurnym na temat tego, że j nie powinna sama jechać do domu. I Lottie też tam była, klęcząc z drugiej strony i płacząc. Jak dziwnie, pomyślała, takie sceny zwykle przytrafiają się w poczekalni innym ludziom, na pewno nie jej. mężom innych kobiet, na pewno nie jej mężowi.

Zdecydowano, że Lottie zawiezie ją do domu i zostanie z nią, gdy ona będzie załatwiać konieczne sprawy. Była właściwie boleśnie świadoma tego niepisanego porządku każdej tragedii, tej szczególnej rutyny dla następstw każdej nagiej lub nie tak nagłej śmierci. Były telefony do wykonania, bilety samolotowe do zarezerwowania, walizki do spakowania, miliony detali i nie

spisanych lisi, które bez przerwy kłębiły się jej w głowie, gdy zdejmowała fartuch, by przebrać się w ubranie wyjściowe.

Musiała zadzwonić do Jorge w Acapulco i do ojca w Buenos Aires; dziwne, że wszyscy, których potrzebowała, byli poza krajem, włącznie z Dannym, który nagle znalazł się poza jej życiem.

Kiedy wynurzyła się z pokoju, Lottie i człowiek, którego nie знаła, stali w korytarzu. Oczy Coriander napełniły się łzami, które szybko rozlały się po jej policzkach. Z ręką na żołądku w geście obronnym słuchała, jak Lottie przedstawia mężczyznę. – Cory, to Adam Singer z Biura Prokuratora Okręgowego.

Coriander spojrzała na niego. Wydał jej się dość miły, po czterdziestce, z uprzejmym wyrazem oczu. Lottie czekała, aż obcy wyjaśni, dlaczego przyszedł, bo było jasne, że ona także nie miała o tym pojęcia. – Pani Vidal – zaczął – przepraszam, że zjawiam się bez zapowiedzi, ale muszę się skontaktować z pani mężem, a wiem tylko, że jest w Meksyku. Pomyślałem, że mogłaby pani dać mi numer jego telefonu.

Była świadoma zaskoczenia na twarzy Lottie i usłyszała, jak jej przyjaciółka odpowiada: – Czy nie wie pan...

Lecz Coriander przerwała jej ostro, jakby chciała wypowiedzieć słowa sama, jakby one były jej katharsis... – Mój mąż żyje...

Mężczyzna zbladł. – Co?

Instynktownie Lottie zbliżyła się i otoczyła ją ramieniem. – O co chodzi? – zażądała wyjaśnień.

Zakłopotany mężczyzna potrząsnął głową. – Nie wiem, co powiedzieć, ale mam pozew sądowy dla pana Vidala – oświadczył, wskazując na kieszeń. – Trzydzieści cztery przypadki oszustw bankowych i innego rodzaju oskarżenia, które dotyczą zniknięcia ponad pięćdziesięciu milionów dolarów z banku Inter Federated.

## Rozdział 5

Ojciec trzymał ją pod ramię. Stojąc w nasłonecznionej części zakurzonego podwórka pośrodku zabudowań kostnicy Sanchez w 'Chilpancingo w Meksyku, Palmer Wyatt nawet nie mrugnął. – Coriander, błagam cię, nie chodź lam. Nie ma powodu, byś oglądała coś tak straszego...

Coriander odwróciła głowę; twarz miała ściągniętą w wyrazie zimnego piękna. Odwagi, mówił wyraz jej twarzy, ci ludzie nie wiedzą, co mówią. Danny nigdy nie pozwoliłby sobie skończyć w kawałkach – i to, mój Boże, na takim wysypisku jak to. – Muszę go zidentyfikować – upierała się, niemal uginając się pod ciężarem tych słów. Schwyciła mocniej ramię ojca. – Jeśli go nie zobaczę, nigdy nie będę wiedziała na pewno.

– Proszę, nie zdręczaj się – błagał Palmer. – Niech twój szwagier się tym zajmie, proszę kochanie, nie ma już tutaj dla ciebie nic do roboty. Już po wszystkim. – Elegancki mężczyzna ze strzechą białych włosów i czerstwą cerą miał twarz ściągniętą bólem, gdy sprzeczał się cicho ze swym jedynym dzieckiem.

- Nie jest po wszystkim – wyszeptwała. – To się nie wydarzyło, jeśli nie ma tam Danny'ego – dodała cicho.

- Nie mogę na to pozwolić – powiedział Palmer, gdy czubkiem palca powstrzymał łzę, która miała właśnie popłynąć po jego policzku. Coriander przyglądała się ojcu. Mimo tylu lat niechęci, którą hodował wobec jej męża, znalazł się przy niej natychmiast, gdy zadzwoniła Jakby

czytał w jej myślach. – Kocham cię i przez te ostatnie trzy lata myślałem o tobie każdego dnia i martwiłem się, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Było lepiej niż w porządku, byłam szczęśliwa, kochałam go. nadal go kocham.

Palmer wyglądał na zgnębionego. – Jak ja bym chciał, żebyś nie cierpiała, jak chciałbym, żeby to się nigdy nie zdarzyło...

- Nie chciałam, żeby wyjeżdżał w weekend – Coriander powiedziała płacząco. – Powiedziałam mu, że nie pójdę do pracy, ale on stwierdził, że nie znajdą w szpitalu nikogo, kto by mnie zastąpił.

Palmer przyciągnął ją do siebie. – I tak by poleciał, nie możesz się winić. – Poglaskał ją po głowie. – Tak mi przykro, że musiało ci się to zdarzyć...

- Nic mi nie zdarzyło. To Danny'emu się zdarzyło, zobacz, co się z nim stało... – Lecz za mocno już wtedy płakała, by powiedzieć jeszcze coś więcej.

Palmer nadal ją uspokajał, głaszcząc po włosach, gdy szlochała na jego ramieniu. – Z czasem pogodzisz się z tym, kochanie, obiecuję...

Wątpliwe było, czy kiedykolwiek się z tym pogodzi, ponieważ nigdy nie godziła się z niczym, co miało związek z Dannym. Pamiętała, jak kochali się po raz pierwszy, jakby to było wczoraj, w pokoju na odległym skraju Tigre Delta, w elegancko zaciemnionym pokoju w Hotelu el Tropezón. Widziała wciąż tych pięć starych panien, które były właścicielkami budynku i które robiły co mogły, by utrzymać pozory art deco z lat dwudziestych, aż po kolorową latarenkę w środku trawnika. Czula jeszcze cytrynową wodę toaletową Danny'ego, kiedy wyszedł spod prysznicza owinięty w ręcznik, otaczając ją ramionami, by przyciągnąć ją do siebie. Słyszała jeszcze jego słowa, zanim zaprowadził ją do łóżka. „Nigdy nie pozwolę ci odejść, Coriander – obiecywał. – Jesteś moja na zawsze...”

Głos jej ojca sprowadził ją z powrotem do rzeczywistości. – Był w nim jakiś cholerny fatalizm, chociaż kiedyś w Buenos Aires, kiedy spiskował przeciwko juncie, myślał, że jest nietykalny – dodał Palmer.

Coriander uwolniła się z uścisku ojca. – Nie mylił się, prawda?

Wtedy przeżył wszystko po to tylko, żeby skończyć w bezsensownym wypadku. – Coriander zakrzuszyła się kolejnymi łzami.

Palmer przeniósł się z jednego brązowego kordybanu do drugiego. – Dziękuję tylko Bogu, że ciebie nie było w tym samolocie.

- To było przeznaczenie – powiedziała, przypominając sobie jego słowa wypowiedziane tylko kilka godzin wcześniej, kiedy się kochali... Tak było w gwiazdach, powiedział Danny, tak jakby każdy w Auschwitz i Puesto Vasco urodził się pod tą samą gwiazdą, wszyscy na pokładzie tego samolotu także, dodała w myślach.

- Ciągle się zastanawiam, czy Danny miał wrogów, którzy mogliby coś takiego zrobić...

- Ja też – powiedziała cicho Coriander – i to jest straszne...

- Nigdy nie wiadomo – ciągnął Palmer. – Danny wszędzie widział demony, miał w sobie ten upór, spaczony pogląd, że jeśli ktoś nie jest chętny ryzykować swoim życiem, automatycznie staje się wrogiem.

Coriander odwróciła swoją śliczną twarz. – Czy byłeś wtedy jego wrogiem, tatusiu? – zapytała świadoma, że od lat już go tak nie nazywała.

- Byłem w sytuacji bez wyjścia...

Coriander przygryzła dolną wargę, by powstrzymać powódź łez, która w każdej chwili groziła rozlaniem. – Może gdybyś go bronił, wszystko potoczyłoby się inaczej...

- Zostałabyś? – naciskał ojciec.

- Jak mogłabym zostać, kiedy on już wyjechał?

- Obwiniam się.
- Trochę już na to za późno.
- Co masz na myśli?
- Będę miała dziecko – oświadczyła nagle.

Reakcja Palmera była przewidywalna, jakby wiadomość dotyczyła śmierci, a nie nadchodzącego życia. – Co zrobisz? – wyszeptał.

- Będę je kochać – powiedziała po prostu.
- Moja biedna Coriander, zupełnie sama... Coriander potrząsnęła głową. – Wcale nie sama...

- Nigdy nie powinienem był cię wysyłać do Cordoby – powiedział Palmer niemal do siebie.

- To najlepsza rzecz, jaką dla mnie zrobiłeś – powiedziała cicho Coriander. – Spotkałam tam Danny ego...

\*\*\*\*\*

Setki ludzi zabrano na pola niedaleko uniwersytetu w Buenos Aires i rozstrzelano. Rząd generała Videli utrzymywał, że byli to więźniowie z Villa Devoto, wplątani w zamieszki, podczas których zginęli strażnicy i niewinni cywile. Członkowie lewego skrzydła jednakże utrzymywali, że ofiarami byli desaparecidos, zaginieni, których miesiącami trzymano odciętych od świata w Villa Devoto. Była to bezczelna zbrodnia, ale Waszyngton zdecydował się nie wyrażać protestu z powodu łamania przez juntę praw człowieka, z powodu niebezpiecznej sytuacji w innej części świata. Sekretarz Stanu poinstruował ambasadora Wyatta, że ponieważ fundamentalści islamscy grożą obaleniem proamerykańskiego tronu szacha Iranu, byłoby nierozważnie wzbudzać więcej antyamerykańskiego gniewu; należało więc unikać wszystkiego, co mogłoby prowadzić do tego, że jeszcze jeden kawałek świata stałby się wrogo nastawiony wobec interesów jankeskich. W tej atmosferze przemocy i nastrojów antyamerykańskich Palmer Wyatt wypisał swoją córkę z uniwersytetu w Buenos Aires i zapisał ją na uważany przez niego za bezpieczny uniwersytet w Cordobie.

Cordoba była jednym z najstarszych miast Argentyny, miastem z zaskakującą ilością kościołów, kaplic i klasztorów, zbudowanych przez jezuitów, franciszkanów, karmelitanki. Uniwersytet prowadzony był przez jezuitów, w ekonomii przeważało rolnictwo, w topografii płaskie pumpy i pofałdowane sierry, szokujące zestawienie terenu, zwiastun bardziej poważnych sprzeczności. Palmer nie wiedział jednak, że uniwersytet w Cordobie był także centrum działalności antyrządowej, kwaterą główną lewicującej grupy partyzanckiej, zwanej Montoneros. Jednak z pozoru zdawał się spokojną odmianą od codziennego terroru Buenos Aires. Właściwie życie Coriander w Cordobie nie obfitowało w wydarzenia do czasu, gdy minął miesiąc od masakry więźniów w Villa Devoto.

Siedziała w małej boliche obok uniwersytetu, słuchając jak przyjaciel gra na bandoneonie, gdy kilkoro studentów tańczyło tango. Uświadomiła sobie, że Hernando skończył grać mniej więcej w tym samym czasie, gdy zauważyła studenta podchodzącego do jej stolika. Niestety, nie zareagowała na tyle szybko, by uniknąć tego, co się potem zdarzyło. Plunął jej w twarz; facista, gringa! – wykrzyknął na nią, a potem przyłączyli się do niego kolejni studenci, by ją męczyć. Chrześcijanka czy nie, nadstawiła drugi policzek po to tylko, by znowu napluto jej w twarz. W ciągu paru sekund wybuchła wrzawa – wszyscy stali na krzesłach, przybierali różne polityczne pozy, wrzeszczeli, przepychali się. Hernando zeskokzył ze sceny i przepychał się w jej kierunku, gdy do kawiarni wszedł profesor i dwóch jezuickich księży. Nie tracili czasu, gdy przepychali się

przez wściekły tłum. uspokajając jednych, odpychając innych; jeden z księży nawoływał do pokoju i dialogu, drugi stał na stole pośrodku sali i gwizdał na palcach, zaś profesor podążał ku przypartej w rogu Coriander. – Chodź ze mną – rozkazał w swoim angielskim lekko zabarwionym miękkim argentyńskim akcentem. Od razu go rozpoznała. Był to jej profesor od ekonomii. Nie czekając na odpowiedź, złapał ją za rękę i wymaszerował z nią przez całą salę na zewnątrz, na niezwykły skwer z kocimi łbami.

- Cała się trzęsiesz – powiedział.

- Trzęsę się – przyznała i jakoś przez to malutkie powtórzenie ustanowiony został początek namiętności.

Ściągnął z pleców sweter i otulił ją. – Dlaczego na moich zajęciach zawsze siedzisz z tyłu?

- Pewnie dlatego, że boję się zasłaniać komukolwiek widok – powiedziała zaskoczona, że wiedział nawet kim jest. I wtedy dodała tak, jakby on sam już tego nie zauważył: – Jestem wysoka.

Uśmiechnął się. – Czy stworzyłbym incydent dyplomatyczny, gdybym cię zaprosił do swojego biura na trochę matę?

Była jeszcze bardziej zaskoczona zakresem jego wiedzy.

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Wszyscy wiedzą, kim jesteś. Takie wiadomości rozchodzą się szybko. – Spojrzał jej głęboko w oczy.

Nagle dotarło to do niej. – Zaatakowano mnie tam przez mojego ojca, prawda?

Biorąc ją pod ramię, ruszył z nią w kierunku swojego biura w budynku nauk społecznych. – My tutaj gwałtownie reagujemy na niesprawiedliwość wokół...

Zatrzymała się, by na niego spojrzeć. – A dlaczego ja?

- Jesteś jego córką...

- Dlaczego jego oskarżają?

- Współuczestnictwo poprzez brak reakcji. – Jego ciemne oczy wypaliły dziurę koło jej górnej wargi. – Czy nigdy nie reagowałaś na nic gwałtownie?

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. – Nie jestem pewna, czy moja zdolność do reakcji mieści w sobie przemoc.

Zdawał się jej przyglądać. – Wiesz, tak naprawdę nie jesteś piękna...

Miotła się przez chwilę między rozbawieniem i irytacją. – Co to właściwie ma z tym wszystkim wspólnego?

- Gdybyś była mniej atrakcyjna, podjąłbym wysiłek, by cię poznać przed miesiącem, zaraz po twoim przyjeździe.

- Nie rozumiem...

- Czekałem, aż mnie będziesz potrzebować...

- Skąd wiedziałeś, że będę? – zapytała świadoma, że niemal odebrało jej głos.

To było tylko kwestią czasu, kiedy się wplączesz i kłopoty lub kiedy kłopoty cię znajdą. – Uśmiechnął się szeroko. – Przynajmniej dzięki temu wiedziałem, że nie ryzykuję odrzucenia.

W jakiś sposób to wytłumaczenie ją zmartwiło. – Czy to znaczy, że twój pogląd na niesprawiedliwość jest wprost proporcjonalny do preferencji seksualnych?

To on zatrzymał się wtedy, by spojrzeć na nią z podziwem. – Bardzo dobrze, seniorita Wyatt, możesz nie być aż tak piękna, ale jesteś mądra. – Znowu wziął ją pod rękę. – Przypuszczam, że to nie powinno mnie dziwić, bo twój ojciec był na tyle inteligentny, by przetrzymać trzy administracje amerykańskie.

- A która z tych administracji była wystarczającym powodem, by na mnie napluć? – Jej wzrok był nieustępliwy.



- Porozmawiamy o wszystkich powodach, które usprawiedliwiają to, co się stało... – odpowiedział, poprawiając swój sweter na jej ramionach.

Wywinęła się spod jego dotyku. – Nic nie usprawiedliwia tego, co się tam stało...

- Jeśli nie możesz zrozumieć elementarnego strachu i gniewu ludzi, nie możesz zrozumieć zła, które zajęło mój kraj.

- To, co tam się stało, było skierowane do niewłaściwej osoby i bezużyteczne. Nie uratowało ani jednej niewinnej ofiary...

- To dowód na to, jak wybuchowa jest sytuacja...

- A czyją byłoby winą, gdyby oni wszyscy zostali wywiezieni i wtrąceni do więzienia?

- To byłby jeszcze jeden przykład zła.

- Nie – spierała się. – Byłby to jeszcze jeden przykład głupoty, bo ja byłabym przyczyną, a moją jedyną zbrodnią jest to, że jestem córką swojego ojca.

- Jakikolwiek byłby powód, jeszcze więcej niewinnych ludzi zginęłoby w rękach reżimu.

- A ty jesteś skłonny poświęcić ich życie, by mieć przykład niesprawiedliwości reżimu?

- Nie jestem skłonny do niczego. Nie mogę nakazywać, co ludzie powinni myśleć albo czuć. Jestem tu tylko po to, by ich wspierać.

- Więc w końcu byłaby tablica w ścianie tej kawiarni albo nazwano by ulicę od daty zdarzenia, a może, jeśli ktoś zastanawiałby się, dlaczego to się zdarzyło, o ile przez lata nie przekreślono by historii, wyszłaby na jaw prawda, że ktoś splunął na córkę ambasadora amerykańskiego i spowodował zamieszki, które sprowadziły policję.

- Lepsze to, niż gdyby zdarzenie miało przejść nie zauważone.

- Lepiej ratować życie niż tworzyć męczenników... Zdawał się rozbawiony. – Taki pragmatyzm jest bardzo amerykański, a może powinnaś się nauczyć więcej o abstrakcjach i symbolach...

- Nie ma nic abstrakcyjnego czy symbolicznego w śmierci, więc jeśli abstrakcyjny gniew lub symboliczna wściekłość będzie kosztować życie, wtedy junta wygra następną rundę...

- Każdy, kto nie jest po ich stronie, jest podejrzany. Nie rozumiesz, że to nie jest abstrakcja? Reżim ma wszędzie szpiegów...

- Może powinieneś się nauczyć nie oceniać czyjejś lojalności w oparciu o geny? – W jej oczach błyszczał gniew.

Obserwował ją z cichym podziwem. – Dlaczego nie przemówiłaś dawno temu?

- Czy dostałabym więcej tych owacji na stojąco? Uśmiechnął się. – Dlaczego nie przyszedł do mnie? Wszyscy wiedzą, kim jestem...

- Najwyraźniej wszyscy wiedzą także, kim ja jestem...

Pokiwał z wolną głową, nie spuszczać z niej wzroku. Straciliśmy tylko miesiąc, Coriander Wyatt – powiedział cicho – z całego życia, to nie tak wiele...

Nazywał się Danny Vidal i gdy nie spiskował przeciwko juncie jako jeden z bardziej znaczących członków Montoneros, uczył ekonomii na uniwersytecie w Cordobie. Podczas swoich zajęć bądź po zajęciach, otoczony świtą w tej kafejce, stawiał wyzwania, wyśmiewał, obrażał i doprowadzał studentów do łez tak szybko, jak szybko wznosił ich na wyżyny błyskotliwości.

Nie był przystojny w klasycznym tego słowa znaczeniu, to oczywiste; było w nim natomiast to zmysłowe napięcie, wyczuwalne dla każdego, kto znalazł się w jego towarzystwie – nawet wtedy, gdy przyjmował tę wyćwiczoną pozę obojętności, jeśli ktoś zbyt chiał się spoufalić. Nie był szczególnie wysoki, zaledwie jej wzrostu – metr siedemdziesiąt – umięśniony, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, o rysach twarzy, które były wyrafinowane i jednocze-

śnie pełne wyrazu, o zaskakująco grubych i silnych rękach jak na mężczyznę o jego posturze. Miał śniadą cerę i czarne włosy z odcieniami siwizny tu i ówdzie, która pewnego dnia sprawi, że będzie wyglądał dystyngowanie – jeśli dożyje. Po angielsku mówił melodyjnie z lekkim argentyńskim akcentem, po hiszpańsku rytmicznie z tym samym argentyńskim brzmieniem, a jego głos był stworzony do uwodzenia. Taki mężczyzna, który nie przepuszcza żadnej okazji, niczego sobie nie odmawia, chociaż plotka głosiła, że był dla kobiet emocjonalnie nieprzystępny, co tylko potęgowało jego tajemniczość.

Było coś dręcząco seksownego w facecie, który oplakiwał kobietę zamordowaną przez juntę. A że ta kobieta w dodatku była sławną i piękną lewicującą aktorką, mężczyzna stawał się jeszcze bardziej godny pożądania ze względu na związki z upadłym aniołem. Alicja Morena została zrzuciona ze sceny teatru w Buenos Aires przez policję, ponieważ rząd oskarżył ją o to, że dąży do jego obalenia. Oskarżenie to nie mijalo się z prawdą. Była zaginiona przez dwa i pół miesiąca, zanim nagle zwrócono ją jak paczkę, która zabłąkała się w niesprawnym systemie pocztowym Argentyny. Zgwałcona, pobita, torturowana i prawie nieżywa, Alicja została wyrzucona w biegu z forda falcona, ponieważ reżim ocenił, że nie jest mu już do niczego potrzebna i może jedynie posłużyć jako przykład, jaki los spotyka osoby, które się przeciwstawiają reżimowi. Umarła w ramionach Danny'ego. Później tej nocy, podczas czuwania przy świecach na Plaża de Mayo, Danny wygłosił pełne pasji oświadczenie, że ci, którzy kochali Alicję, wiedzą przynajmniej, jaki los ją spotkał, nie tak jak tysiące innych, właśnie tutaj, w Buenos Aires, którzy nigdy się nie dowiedzą, co zdarzyło się z ich przyjaciółmi, rodziną albo ukochanymi.

Kiedy weszli do jego gabinetu, Danny wskazał Coriander krzesło, sam zaś zabrał się za przygotowywanie mate, typowego napoju argentyńskiego z herbacianych liści, ziół startych w pustym gourde, zalanych gorącą wodą, popijanego poprzez bombilla lub słomkę. Kiedy napar był gotowy, przyniósł go i postawił przed nią na stole, po czym wysunął krzesło obok niej. Usiadł i pociągnął łyk, zanim podał słomkę do jej ust. – Czy jest ci teraz cieplej? – zapytał.

Skinęła głową, nie spuszczać z niego wzroku. – Powiedz mi, dlaczego ta cała antyamerykańska sprawa jest tak związana z anty-Wyattowską?

Kiedy zaczął mówić, w jego głosie nagle zabrzmiało znużenie. – Mieliśmy nadzieję, że kiedy prezydentem został Carter, zmieni się polityka amerykańska wobec łamania praw obywatelskich, które ma tutaj miejsce. Ale kiedy na stanowisko ambasadora został ponownie mianowany twój ojciec i zmiany nie nastąpiły, logiczne było kierować oskarżenia pod jego adresem, pod adresem wszystkich tych bezimiennych biurokratów w Waszyngtonie...

– Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że ojciec pozostał na stanowisku, bo Waszyngton chce mieć tutaj kogoś mającego dostęp do ludzi niedostępnych? – Nie poznawała własnego głosu.

- Czy mówisz o ludziach z junty czy ofiarach?
- O jednych i o drugich...
- Twój ojciec nie wydaje się szczególnie zainteresowany ofiarami...
- To nieprawda...
- Nie wydał ani jednego oficjalnego oświadczenia przeciwstawiającego się przemocy.
- Nie może się wypowiadać jako prywatny obywatel, potrzebuje poparcia Waszyngtonu.
- To jeszcze jedna dobra uwaga. Dlaczego Waszyngton nie przeciwstawia się juncie? – spojrzał na nią intensywnie.
- Nie masz żadnych kontaktów z ludźmi z Departamentu Stanu, którzy mogliby ci powiedzieć?

- Od wszystkich naszych dobrych przyjaciół z Waszyngtonu dostajemy tylko obietnice, to dlatego próbowaliśmy rozmawiać z twoim ojcem. Niestety, jest jedną z tych niedostępnych osób...

Zaryzykowała. – Chciałbyś się z nim spotkać? – Mówiła pośpiesznie. – Bo jeśli byś chciał, mógłbyś przyjść na przyjęcie świąteczne w ambasadzie.

W jego głosie czaiło się lekkie szyderstwo. – Czy to oficjalne zaproszenie?

- Tak – zaledwie wyszeptała, niezupełnie pewna, jak mogła się odważyć nie zapytawszy najpierw o pozwolenie.

Przyglądał się jej twarzy, zanim jego wzrok napotkał jej spojrzenie. – Pod jednym warunkiem...

- Jakim?

- Zatańczysz ze mną i będziesz osobą, która nas sobie przedstawi – powiedział z rozbawionym błyskiem w oczach.

- To dwa warunki...

Uśmiechnął się, jego wzrok zatrzymał się teraz na jej ustach. Trzęsła się. – Znowu ci zimno? Potrząsnęła głową.

Wstał, by przejść przez pokój, by zapalić kilka świeczek na stole pod przeciwległą ścianą, zanim znowu usiadł niebezpiecznie blisko jej ust. Dotknął jej policzka. – O co się zakładasz, że się w tobie zakocham?

- Przegrasz – zaledwie wyszeptała.

- Nigdy nie przegrywam... – Pochylił się wtedy, by przycisnąć lekko usta do jej warg, wycofując się prawie natychmiast. Miała zamknięte oczy w oczekiwaniu na więcej, a gdy nie było więcej, otworzyła je i zobaczyła, jak patrzy na nią czule. Patrzyła, jak pochylił się w przód, by ją znów pocałować, tym razem z większym żarem, delikatnie smakując ją językiem. Poczowała, że wciągnął ją w siebie. – Co teraz się stanie? – wyszeptała, gdy ich usta się rozdzieliły.

- Dopóki ja tutaj jestem, Coriander Wyatt, już nigdy nic złego ci się nie przytrafi, obiecuję... – I to nie tak, że nie dotrzymał obietnicy, po prostu pozostał w mieście zbyt krótko, by to mogło mieć znaczenie.

Gdy nadeszły święta, generał Videla rozkazał wtrącić do nieznanymi więzień i miejsc kaźni rozrzuconych po całym kraju następne dwa tysiące cywili, Palmer Wyatt wydał eleganckie świąteczne przyjęcie, a Danny Vidal został kochankiem Coriander Wyatt. Gdy nadeszła wiosna, kobiety w białych chustkach pikietowały Plaža de Mayo w Buenos Aires, trzymając transparenty z imionami swych zaginionych dzieci i wnuków. Donde Estan. Gdzie oni są, napisane było na transparentach niesionych przez matki i babki, których kręgi przybliżyły się do generałów, siedzących na Casa Rosada i wyglądających na skwer. Coriander mawiała, że Plaža de Mayo stał się kliniką dla każdego, kto zaznał cierpienia z rąk reżimu, miejscem spotkań dla wszystkich, których do szaleństwa doprowadzała brutalność, jaka zapanowała w Argentynie. Wtedy pomagała już Danny'emu w ruchu antyrządowym, drukując ulotki, pisząc na maszynie listy zaginionych studentów, podając kawę na tajnych spotkaniach, maszerując. Gdy nadeszło lato, Danny oświadczył nagle, że rezygnuje z posady na uniwersytecie, by prowadzić Credito de la Plata Bank w Buenos Aires, ale wcześniej oświadczył, że ich romans jest skończony. Dla jej dobra, powiedział, opuszcza ją, aby mogła zająć się własnym życiem. Dodał, że będzie ją zawsze kochać. Gdy się rozstali, nigdy nie dostała od niego wiadomości; nie odpowiadała na telefony, a jej listy wracały nie otwarte. Gdy nadeszła jesień, Coriander dowiedziała się, że bank został zamknięty przez juntę, a jego urzędnicy aresztowani i oskarżeni o pranie brudnych pieniędzy dla Montoneros. Danny'emu udało się uciec. Krążyły plotki, że wyjechał na Kubę, ale nikt nie wiedział nic pewnego, a przynajmniej nikt nic nie mówił.

Wiele lat później, w 1984 roku, kiedy Coriander przyjechała na Brooklyn, miała odpowiednie wykształcenie medyczne i wewnętrzną niezgodę na ludzkie cierpienie. Przybyła także ze złamanym sercem, bo kochała jeszcze jedynego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochała w swoim życiu, Danny'ego Vidala. Szpital Ogólny na Brooklynie miał swoje zalety, z czego zdała sobie sprawę niemal natychmiast. Na Brooklynie przynajmniej, kiedy na nią pluto, mogła coś zrobić w swojej obronie, a nie po prostu siedzieć bez reakcji.

\*\*\*\*\*

Teraz, w lipcu, kierując się do podłużnego stiukowego budynku w zakurzonej upale Meksyku, niemal czuła smak jego ust, jego język, niemal widziała ten leniwy uśmiech, który zaczynał się skrzywieniem kącików tych ust, które całowały całe jej ciało, uśmiech, w którym błyskały idealnie białe zęby – żeby cię zjeść, moje kochanie. Wysoko uniesiona głowa, włosy ocierające się o jej ramiona, kłębiące się nad jej czołem, oczy wpatrzone prosto przed siebie zza ciemnych okularów. Coriander ruszyła do piekła. Miska, na miłość boską! Obraz nie zniknął. Danny leżał w kawałkach w misce czekając, aż się po niego zgłoszą. Zaniósł się łkaniem, które poza jej ciałem było tylko westchnieniem.

- Wiedziałem, że to zły pomysł – powiedział Palmer bez większego przekonania.

- To straszny pomysł – zgodziła się, a łzy płynęły jej po policzkach. Zatrzymała się, aby zdjąć okulary i oprzeć głowę na ramieniu ojca.

Nie zważając na to, psy szczekały, a ludzie witali się ze sobą, tak jak mogliby witać się w restauracji, w eleganckiej Recoleta albo na Avenida Corrientes, albo spacerując na Calle Florida w Buenos Aires. Mężczyzna oderwał się od grupki ludzi wyglądających na urzędników. Był przygarbiony, pozieleniał, w szarym garniturze, z wyrazem zawodowego smutku na twarzy. Wiedział od razu. Buenos dias, senora Vidal, jestem Enrique Sanchez, przedsiębiorca pogrzebowy w Chilpancingo. – Mężczyzna wyciągnął wychudzoną rękę, którą postanowiła zignorować. Tylko bez przedsiębiorców proszę, nawet przedsiębiorców pogrzebowych. Rzucając się w wir akcji dyplomatycznej, Palmer wyciągnął swoją starą i wysoce doświadczoną rękę, biegłą w potrząsaniu i podpisywaniu bezużytecznych przyjacielskich umów. – Jestem ambasador Wyatt, jestem ojcem senory Vidal. Sam pan rozumie, jaki to straszny dla nas szok. Gdyby pan mógł oszczędzić nam zbędnej biurokracji...

- Rozmawiałam z kimś z pańskiego biura – powiedziała Coriander, wracając do życia.

- Tak, rozmawiała pani z Anunciem, moim urzędnikiem.

- Powiedział, że prawie nic nie zostało do zidentyfikowania – mówiła dalej, niemal upadając pod ciężarem własnych słów.

Mężczyzna zerknął na Palmera, a później znów spojrzął na Coriander. Ze smutkiem odpowiedział: – To prawda, nie zostało prawie nic.

Zaczęła się trząść. Drżenie zaczęło się od rąk, później ogarnęło całe ciało, aż poczuła się strasznie, strasznie zziębnięta. Tęskniła za otulającymi ją ramionami Danny'ego. – Proszę – zaczęła, biorąc głęboki oddech. – Chcę, żeby mi pan wszystko wytłumaczył, señor Sanchez.

Mężczyzna mówił tak szybko, jakby musiał czym prędzej przekazać informacje, by móc przejść do następnego etapu tej katastrofy. Widzi pani, wypadek zdarzył się nocą, a po tych terenach włóczą się wilki i oczywiście są miejscowi chłopcy, którzy zabrali wszystko, co mogli znaleźć. – Wzruszył ramionami. – To, co znajdowało się wewnątrz samolotu, rozrzucone było w promieniu pięćdziesięciu mil, a co się tyczy jakichkolwiek dokumentów czy bagażu, trudno jest cokolwiek znaleźć...

Nie miała wątpliwości, że krok po kroku wkracza « obłąd. Jej głos trząsł się, gdy pytała: – Co zostało dla nunc do zidentyfikowania?

Palmer przyciągnął ją bliżej i otoczył ramieniem. – Coriander, wolałbym, byś tego nie robiła...

Lecz Coriander nie zwracała uwagi... – Proszę kontynuować, panie Sanchez – rzekła.

Sanchez drgnął, czując na sobie wzrok Palmera. – Nie .nogę zacząć dochodzenia, dopóki nie dokonano wiarygodnej) identyfikacji. Zaplątał się, więc przerwał na chwilę.

Rozumieją państwo, senor Jorge Vidal zidentyfikował już pewne części ciała, ale dopóki nie mamy drugiej osoby... – uciał. – Mieliliśmy nadzieję, że senora Vidal mogłaby to zrobić. – Spojrzał bezradnie w niebo.

Nie do wiary, ale ona myślała dokładnie to samo. – Czas podliczyć głosy, prawda? – zapytała z niedowierzaniem. Kciuki do góry lub kciuki w dół.

– O, gdyby pani mogła! – z ulgą wykrzyknął Sanchez.

Palmer zaczął coś mówić, ale znowu Coriander przerwała. – Czyj to pomysł, senor Sanchez? – zapytała delikatnie.

– To pomysł Jorge Vidala – tłumaczył nieszczęsny przedsiębiorca pogrzebowy, zanim dodał: – widzi pani, senora Wyatt, zostało trzydzieści kilo szczątków, które podzieliliśmy na trzy oddzielne części, w trzech osobnych miskach. W tych okolicznościach jedynym sposobem identyfikacji ofiar jest eliminacja.

Gdyby Coriander mogła obserwować z boku tę sytuację, być może uznałaby to założenie za fascynujące. Może gdyby uczestniczyła w tym służbowo, mogłaby docenić pomysł jako dość intrygujący. Podział szczątków na trzy równe części reprezentujące trzy istoty ludzkie – dwóch pilotów i jednego męża to był całkiem oryginalny pomysł. A jeśli przez przypadek zostałyby nierówno podzielone, można było założyć, że podziału dokonano proporcjonalnie do wagi ich ciał za życia. Lecz teraz tkwiła w tym wszystkim aż po uszy. – Senor Sanchez, jestem lekarzem – powiedziała przez łyżę, chociaż równie dobrze mogła być astronautą, bo przecież była tutaj całkowicie pozbawiona obiektywizmu. – Skąd mogę wiedzieć, że mój mąż naprawdę zginął w tej katastrofie, jeśli nie ma fragmentów kości, zębów, czy odcisków palców? – Gryząc wnętrze policzka, aż poczuła na języku krew, przypomniała sobie, jak kiedyś całowała Danny'ego, skubiąc, żując, gryząc, aż oboje poczuli smak krwi.

- Była jedna znacząca część ciała – wyszeptał z trudem Sanchez.

A więc są części, które mają jakieś znaczenie, chciała wrzasnąć. A gdzie są części potrzebne do tego aroganckiego spojrzenia: „Mam to, na co chcesz spojrzeć?” – które nigdy, nawet w najgorszych czasach nie zawahało się. – Jaka część? – zapytała.

Palmer był znowu za sterem, pochylając się w przód, tak jakby z tyłu wiał wiatr, ale Coriander go uprzedziła. – Jaka część? – powtórzyła, z nutą hysterii w głosie.

- Tors – odpowiedział z trudem mężczyzna – jedyna część, która nie była pokawałkowana...

Chcę cię, pragnę cię, kocham każdy twój kawałek. Jak, do cholery, Danny mógł wylecieć do Acapulco prywatnym samolotem, by skończyć w prywatnej misce? – W oparciu o tors? – zapytała.

- Tak... hm... tak – wyjąkał mężczyzna. – Wiem tylko, że senor Vidal załatwia kremację, więc gdyby pani tylko mogła potwierdzić identyfikację....

- Co? – ryknął Palmer.

- Kremację? – powtórzyła Coriander, pewna, że źle usłyszała.

- Tylko, by uniknąć biurokracji – powiedział mężczyzna bezradnie. – Widzi pani, pani mąż jest cudzoziemcem, a przez to w Meksyku wszystko jest bardzo skomplikowane.

Przetransportowanie ciała wymaga wypełnienia tylu druków... – Wzruszył ramionami. – Prochy są... – zdawał się szukać słowa.

- Niczym – wyszeptła. – Są po prostu niczym. – Była oszołomiona.

- Jeśli moja córka jest zaskoczona, to ja jestem osłupiała. Jak pan, czy ktokolwiek inny, śmiał podejmować tego rodzaju decyzję nie konsultując się przedtem z moją córką? W końcu ona jest żoną.

Coriander była blada, nawet pod opalenizną, którą złapała na nosie i policzkach. Decyzja o kremacji nie miała według niej nic wspólnego z prawem własności, sięgała poza związki i tytuły. Jednak nawet w tej chwili Coriander zauważyła ironię sytuacji. Po raz pierwszy przez te wszystkie lata ojciec bronił jej statusu jako żony Danny'ego Vidala, więcej niż bronił, właściwie go jej przyznawał. Chociaż przyszło jej do głowy, że łatwiej mu było to zaakceptować teraz, ponieważ ten status miał właśnie pójść zapomnienie.

- Gdzie są te części? – udało jej się zapytać.

- W kostnicy, senora – powiedział Sanchez wycofując się. – Bardzo, bardzo mi przykro, ale myślałem, że pani wie... – Enrique Sanchez cały czas się wycofywał, z każdym krokiem mamrocząc kondolencje. Coriander nie miała wątpliwości, że już setki razy wykonywał ten dwukrok, ponieważ robił to tak dobrze – nie potykał się o korzenie drzew czy kamienie ani nawet o znak na podwórku informujący przybyszów, że przyjechali do kostnicy Sancheza, tak jakby ją ktoś mógł pomylić z ranczem Canyon. Kiedy w końcu zniknął z boku budynku, Coriander oświadczyła płaczącym głosem: -Wchodzę do środka.

- Pozwól mi przynajmniej wejść z tobą – błagał Palmer.

- Idę sama – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. Odwróciwszy się poszła w kierunku łukowatego przejścia prowadzącego do tego opuszczonego budynku, umownie nazywanego kostnicą.

W przyciemnionym świetle korytarza Jorge Vidal ruszył, aby niezgrabnie przyjąć ją w niedbały uścisk; jego twarz cherubina rozmazana była od łez, kręcone czarne włosy potargane, a delikatne rysy przyobleczone w żal. Odsunęła się na tyle tylko, by uniknąć otarcia policzkiem o jego policzek. Trzy karaluchy wspięły się po ścianie niedaleko miejsca, gdzie sterta kurzu została starannie podmieciona w róg. – Coriander, querida, que desastrel – płakał. – Mieliśmy się spotkać z Danny'ym w Acapulco. Mieliśmy ci zrobić niespodziankę z najpiękniejszej willi.

Zmieszana, odpowiedziała ostrożnie: – Jaka willa? Danny nic mi nie mówił, że ma się z tobą spotkać.

- Niespodzianka. Chciał ci kupić willę w ramach niespodzianki – Jorge powiedział równie ostrożnie. – Postanowiliśmy się spotkać, gdy zadzwonił z Houston.

- Miał się z kimś spotkać w sprawach banku...

Jorge wyglądał na zbitego z tropu. – Nie, querida, w sprawie willi...

To było niedorzeczne. Danny by jej powiedział. Nigdy nie zaskoczyłby jej domem nie przedyskutowawszy z nią tego uprzednio. I jeszcze jedno, przecież to wariactwo. – Co on robił w Houston? – jej głos był lodowaty.

- Samolot wylądował, by dotankować.

- A on wysiadł, by do ciebie zadzwonić? – To się nie trzymało kupy.

- Si querida, miałem zabrać go do hotelu i rano miał pójść prosto do biura handlu nieruchomościami.

Lecz ją w tej chwili bardziej niż wille albo rozmowy telefoniczne interesowały wysiłki Jorge, by zniszczyć to niewiele, co zostało z jej męża. Jej ton pozostał zaledwie uprzejmy, bo nawet w zwyczajnych okolicznościach nie pozostawali w serdecznych stosunkach. Stracił jej zaufanie i podziw, kiedy opuścił żonę i troje dzieci dla całego ciągu niedojrzałych gwiazdek i

modelek, zostawiając je także w różnych stanach od ciąży po oszołomienie. – Nie możesz tego zrobić – powiedziała. W jej głosie pojawił się błagalny ton, który słyszała i nienawidziła go. – Nie możesz go skremować.

- Sanchez ci nie wytłumaczył?

- Nie obchodzi mnie żadne tłumaczenie. Nie dotkniesz mojego męża.

- Nic nie zostało! – zawył.

Samokontrola, którą do tej pory miała, nagle ją opuściła. Jej głos był ostry. – Zostało cokolwiek, czy nie, to nie robi różnicy... – płakała. – Nie podejdziesz do niego.

On jednak upierał się. – Ależ, Coriander, wszystko jest już załatwione. Zrobiłem to dla ciebie, żebyś nie była narażona na dodatkowe cierpienie z powodu biurokracji. To oszczędza wszystkich biurokratycznych formalności i smutku.

Gdyby ktoś powiedział, że rzeczywiście wtedy się zawahała, uwierzyłaby. – Na czym to opierasz! – krzyczała. – Skąd wiesz, że to Danny?

- Por favor querida, no hay nada, nic nie zostało.

- Na czym to opierasz?

- Na piersiach – znowu wymamrotał – na kawałku jego piersi.

Zrobiła krok w przód. Kręciło jej się w głowie. Zobaczyła ku własnej satysfakcji, jak jej szwagier wzdrygnął się. – Nie zrobisz nic, nic, bo to nie od ciebie zależy, tylko ode mnie.

Lecz on stał tylko w milczeniu, nie mrugnawszy okiem, tylko usta miał lekko uchylone, gdy ona otarła się o niego i weszła do kostnicy.

## Rozdział 6

Najpierw dopadł ją zapach. Był zgniły, gorszy niż kwas mrówkowy, smród, który nie był jej nieznanym zważywszy, że w trakcie praktyk przeszła przez oddział poparzeniowy.

Rozpoznała odór spalonego mięsa, który zawsze przypominał jej przypalone kotlety baranie. Prawie się za-krztusiła. Otworzyła torebkę, wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła ją do nosa i ust.

Rozejrzawszy się dookoła wchłonęła wszystko, czując ciężar podłogi z płytek, obdrapanych ścian, zardzewiałych rur, które pokrywały jedną całą ścianę pomieszczenia, połamanych krzesel, które zostały wepchnięte na drugą stronę pokoju. Przypominało jej to mieszkanie na Brooklynie, gdzie kiedyś nadzorowała usuwanie martwego niemowlęcia, opakowanego w pierwsze strony gazet.

Zmuszając się do płytkich oddechów, skupiła się na długim stole w centralnym punkcie pomieszczenia Oto on. Lub oto oni, ponieważ były trzy miski ze zwykłego czarno-białego obdrapanego metalu, zawierające kawałki ciała. Opatrzone w karteczki, jak zauważyła, każda miska miała karteczkę z numerem, nazwiskiem i podpisem; trzy miski, trzy ofiary, dwóch pilotów, jeden pasażer. Nic dodać, nic ująć.

Trzęsąc się podniosła wzrok ku blaskowi sufitu, podświetlanego lampami jarzeniowymi nad jej głową, by wysiłkiem woli utrzymać łzy w kanalikach łzowych. Płakała cicho, z twarzą ukrytą w chusteczce, aż podniosła wzrok i zauważyła mężczyznę.

Naprzeciwko stołu z miskami zawierającymi kawałki ciała stał mężczyzna, także zasłaniając sobie chusteczką nos i usta i mrużył oczy z powodu smrodu. Wydał jej się skądś znajomy. – Nic pani nie jest? – zapytał. Co to za pytanie...

- Kim pan jest? – zaczęła świadoma, że on kieruje ją w stronę wyjścia. – Tędy.

Lecz ona nie zwracała już uwagi. Jej wzrok przykuła miska z prawej strony, zawierająca coś, co wydawało się owłosionym torsem. To było groteskowe. Nigdy w życiu nie widziała niczego, co by ją na tę chwilę przygotowało. Zamykając oczy czuła, że jest na skraju omdlenia. W mgnieniu oka nieznajomy znalazł się z drugiej strony stołu i trzymał ją w pasie, a w następnym momencie poczuła, że prowadzi ją w kierunku drzwi. Dopiero wtedy, gdy znaleźli się na korytarzu, rozpoznała w nim mężczyznę z Biura Prokuratora Okręgowego, który przyszedł do szpitala z pozwem sądowym dla Danny'ego. Nadal nie mogła mówić, jej zmysły odurzone były tymi kawałkami ciała, wszystkim, co zostało z tego, co było trzema istotami ludzkimi, z których jedną miał być jej mąż, tylko że nic, co pozostało, nie było Danny'm. Nigdy przedtem nie widziała tego torsu, a znała każdy centymetr ciała Danny'ego. Wzięła głęboki oddech. – Co pan tu robi?

Jak mógłby to wytłumaczyć w jednym czy dwóch zdaniach, a nawet gdyby potrafił, to wszystkie myśli, które kłębiły mu się w głowie, dotyczyły jednego: jak ona pięknie wygląda w czerni, jak bezbronne, nawet bardziej wzruszająco niż w szpitalu. Najbardziej martwiło go to, że nawet same takie myśli były nieprzyzwoite. – Więc pamięta mnie pani?

Pozew – bardziej obwieściła niż odpowiedziała, spoglądając do góry na fluorescencyjne światło na suficie, kolejny raz próbując utrzymać łzy tam, gdzie powinny pozostać. – Czy nie jest na to trochę za późno?

Jego ton niezmiennie był zakłopotany. – W normalnych okolicznościach byłoby to... – Potrząsnął głową. – Proszę zrozumieć, przykro mi z tego powodu... – I było mu przykro, czuł się prawdziwie zdruzgotany tą konfrontacją, bo Adam Singer był miłym człowiekiem, skromnym, troskliwym, wrażliwym – były to niezwykle cechy u faceta, który rozpoczął karierę jako gliniarz i przedzierał się przez wieczorową szkołę prawa, by skończyć jako specjalny śledczy w Biurze Prokuratora Okręgowego – w Południowym Okręgu na Manhattanie.

Tu nie wystarczą przeprosiny – Coriander odpierała atak.

Nie było co do tego wątpliwości. – Czy możemy wyjść porozmawiać?

Koncentrując się na swych czarnych skórzanych baletkach, gdy przesuwali się po zabrudzonej podłodze z linoleum, szła do wyjścia ciągle z nieznajomym u boku. Kiedy w końcu znaleźli się przy drzwiach i wyszli na zewnątrz, na podwórko, zatrzymała się, by wysłuchać, co miał do powiedzenia. – Prokuratura nie jest przekonana, że pani mąż nie żyje – powiedział i zawiesił głos, by usłyszeć reakcję. Lecz w jej oczach było tylko skupienie, gdy czekała, by usłyszeć więcej. – Wysłano mnie tutaj, abym dokonał oficjalnej identyfikacji ciała, a teraz – wzruszył ramionami – nie sądzę, aby było jakieś ciało do identyfikacji.

– Jeśli mój mąż żyje, to kto w takim razie jest w tej misce?

– Nie wiem – Adam odpowiedział szczerze – ale tego zamierzam się dowiedzieć...

– A jeśli to nie mój mąż, to co się z nim stało? – Ręce jej się trzęsły, głos jej drżał.

Adam żałował, że kiedykolwiek tym się zajął. – Wiem tylko to, że pani mąż miał ogromne problemy w interesach.

Wyraz jej twarzy mówił wszystko, że szaleństwem z jego strony było nawet proponowanie takiego wytłumaczenia. – I z tego powodu sądzicie, że może żyć?

Adam wziął głęboki oddech. – Kłopoty w interesach to mało powiedziane. Pani męża czekają poważne oskarżenia o oszustwa bankowe i kradzież.

– I to wystarczy, by założyć, że postanowił zniknąć i postawić mnie w takiej sytuacji... – Czuła, jak fala emocji podnosi się w jej piersiach. – To okrutne sugerować coś takiego, i szalone, i kłamliwe – dodała znów bliska łez. Odwróciła się, by odejść.

Lecz on był zaraz przy niej. – Zdaję sobie sprawę, że to dla pani szok, ale przynajmniej proszę dać mi wytłumaczyć. Nie przystanęła. – Nie sądzę, by pan cokolwiek rozumiał.



- Proszę mnie zrozumieć – powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu, by ją zatrzymać. – Zdaję sobie sprawę, przez co pani przechodzi i nie umniejszam koszmaru ani szoku tego przeżycia...

Wycofała ramię, próbując się zdecydować czy uciec, czy go wysłuchać. – Czego pan ode mnie chce?

Musiał się powstrzymać, by nie wziąć jej w ramiona, by ją uspokoić, pocieszyć i głównie z powodu jej dolnej wargi, która nieprzerwanie drżała, gdy Coriander wciąż starała się powstrzymać łzy. Mając czterdzieści lat i przepracowawszy dziesięć lat w zawodzie, którego nieodłączną częścią był cynizm, a w którym żal był luksusem, Adam Singer uważał, że jest odporny na zrozpaczone atrakcyjne kobiety. Coriander Wyatt Vidal udowodniła, że tak nie jest. – Chcę, żeby pomogła mi pani odkryć prawdę i proszę nie pytać dlaczego, bo to naprawdę proste. – Śpieszył się teraz, ponieważ miał tylko jedną szansę, aby do niej dotrzeć i wiedział o tym. – Jeśli jest tylko jedna szansa na tysiąc, że pani mąż żyje i mogę go znaleźć lub mogę pani udowodnić, że jest gdzieś indziej i nie leży w tej misce, podejmie ją pani, nawet jeśli będzie to oznaczało wniesienie oskarżenia, proces i wyrok sądowy. – Przerwał na chwilę. – Nawet jeśli to okrutne i szalone, bo tylko jeśli go znajdę, będzie mogła pani poznać prawdę.

Przyjrzała mu się uważnie. Ubrany w dżinsy i pogniecioną tkaną marynarkę z chusteczką w butonierce, miał dziwny styl, rodzaj naturalnego szyku. Emanował tutaj pewnością siebie, a jednak tak nie pasował do tego miejsca, jego włosy były jasnobrązowe i dłuższe niż nakazywała moda, nos nieco spiczasty, oczy miały intensywny jasnoniebieski kolor i nigdy nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, na kogo ich właściciel patrzy lub do kogo mówi, bo patrzyły wprost i nie można było umknąć temu spojrzeniu. Wyglądał bardziej na piłkarza niż inspektora śledczego z Biura Prokuratora Okręgowego: wysoki, o szerokich ramionach, które z jakiegoś powodu niemal kusily, by pozwolić się zamknąć w ich uścisku i odsunąć resztę bolesnego świata... Potrząsnęła głową. – Nie mogę w to uwierzyć – wyszeptała. – W ani jedno słowo...

- Piętnaście minut – wyszeptał do niej, wysuwając swój ostateczny argument.

W jej oczach lśniły łzy, a głos drżał niepewnie. – Gdzie pan się zatrzymał? – zapytała w końcu. Jej głos nie pozostawiał wątpliwości, że jest całkowicie rozbita.

- W Pardorze – powiedział cichutko. Musiał się powstrzymać, by nie wydać westchnienia ulgi, właściwie musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki, by jej nie dotknąć...

Była zrezygnowana, a jej głos brzmiał cicho i odlegle. – Spotkajmy się w restauracji o siódmej – powiedziała, zanim zostawiła go stojącego z zaskoczoną miną. Dwa wyliniące psy skoczyły, by obwąchać grunt dookoła niego.

Gdy odchodziła, zdawało jej się, że rozumie wszystko, choć do tej pory ten inspektor był jedyną osobą, która potwierdziła jej nadzieje. A w każdym razie, po cholerę ten pośpiech, by kremować szczątki, co do których była absolutnie pewna, że nie należały do jej męża...

## Rozdział 7

Życie było pełne niespodzianek. Jednego dnia człowiek jest żywy i zdrowy i okrada bank z miliona dolarów, a następnego dnia leży pokawałkowany w obdrapanej, metalowej misce w jakiejś dziurze pięćdziesiąt mil od Acapulco. Adam był pełen emocji, gdy kierował się z podwórza w stronę hotelu. Słońce zachodziło i powiewał odświeżający suchy wiatr od położonego w dali Sierra Madre del Sur. Zdjął marynarkę i zawinął rękawy uznając, iż nie zaszkodzi się przejść, bo przesiąknął smrodem formaldehydu i musiał uporządkować myśli. Spacer da mu szansę zastanowienia się nad wszystkim.

Martwiła go ta Coriander Wyatt Vidal, a co to za imię Coriander – i nie tylko dlatego, że była atrakcyjną kobietą z paskudnym problemem. Martwiła go, bo miał to dręczące uczucie, że wie więcej niż daje po sobie poznać, i martwiła go, bo niszczyła jego teorię, że Vidal upozorował własną śmierć. Facet nie był na tyle głupi, by porzucić tak wyglądającą żonę, chyba że ona wie więcej niż mówi, co sprowadzało go znów do wyjściowego dylematu...

Gdy doszedł do głównej drogi, zdecydował się pójść przez nie tkniętą dwudziestowieczną cywilizacją starą część Chilpancingo z czerwonymi dachówkami i czyściutkimi, białymi chodnikami. Zdecydowanie to miejsce różniło się od jakiegokolwiek meksykańskiego miasta, które kiedykolwiek widział. Nie było tu śmieci, slumsów ani biedy. Nie przyszłoby mu jednak do głowy, by tu przyjechać na wakacje. Nie było tu nic do roboty ani do zwiedzania, najwyżej mógłby zapisać się na uniwersytet Guerrero albo obejrzeć malowidła na ścianach przed ratuszem, upamiętniające ten krótki moment w historii, gdy Chilpancingo próbowało się oderwać od Meksyku. Kostnica chyba po raz ostatni była tak zapełniona. Wtedy, gdy w 1813 roku Jose Luis Morales y Pavon wpadł na ten pomysł i został zastrzelony wraz ze wszystkimi swoimi ludźmi przez oddziały hiszpańskie. Zaś dzisiejszego ranka kostnica właściwie wrzała aktywnością i nie tylko z powodu katastrofy samolotu. Najwyraźniej jeden z miejscowych mieszkańców źle ocenił zakręt na drodze i spłonął wraz z ciężarówką na dnie wąwozu. Gdy Adam zastanawiał się nad tym, uświadomił sobie, że ta sprawa od początku nie zapowiadała się łatwo. Problem polegał na tym, że odkąd rozpoczęło się pochodzenie było zbyt dużo odpowiedzi krążących dookoła tych samych pytań.

Na przykład, czy Vidal wynajął samolot, by go przewiózł do Acapulco na weekend, z zamiarem wydostania się na zewnątrz, zanim samolot wygodnie się rozbije? Czy wyleguje się teraz gdzieś na plaży z pięćdziesięcioma milionami dolarów, piña colada, bez cienia skruchy? Czy zgodnie z planem za sześć miesięcy lub rok Coriander dołączy do niego, by żyć długo i szczęśliwie w jakiejś kryjówce w Ameryce Łacińskiej, z którą nie ma umowy o ekstradycji? Albo może nie wiedziała o niczym, a facet rzeczywiście ma niedorozwinięte libido i słaby wzrok i naprawdę wystartował bez niej. Sześć miesięcy, rok później zacznie wszystko od nowa z kimś innym, czyż oni wszyscy nie są tacy... Albo może biednego skurczybyka naprawdę opuściło szczęście i spadł w dół z samolotem, jednak to nadal nie wyjaśnia, co stało się z pieniędzmi. Czy ma je Coriander, czy ktoś inny wie, gdzie są... Adam potrząsnął głową; cała ta sprawa była serią sprzecznych hipotez nawet dla niego, który żył z nią przez ostatnie sześć miesięcy. Jedyną pozytywną rzeczą, która z tego wynikała, było to, że pomagała mu zapomnieć o własnych problemach.

Jednak późno w nocy lub kiedy był sam albo wtedy w ciągu dnia, gdy miał czas o tym pomyśleć, nadal to bolało. Gdzieś głęboko w nim, w miejscu, którego nie mógł nawet zlokalizować, było to chore, puste uczucie, które internista nazywał początkiem wrzodu dwunastnicy. I cóż to za różnica, czym miało się to okazać – nawet po wypiciu szklanki jakiejś zawiesiny i poddaniu się prześwietleniu – nie zmieni to niczego ani nie odda mu ostatnich dziesięciu lat życia...

To wszystko od samego początku było nie tak, teraz mógł powiedzieć to z całą pewnością, nawet jeśli to wcale nie poprawiało mu samopoczucia. Gdyby nie został postrzelony, nigdy by jej nie spotkał, jednak otarcie się o śmierć ma także to do siebie, że zmienia całkowicie punkt widzenia człowieka na życie. Leżąc w rynsztoku i wykrwawiając się na śmierć musisz przewartościować swoje priorytety, widok tych migocących czerwonych świateł do góry nogami i wszystkich przerażonych twarzy wpatrzonych w ciebie, gdy dziękują Bogu, że to byłeś ty, a nie oni, daje ci natychmiastową ocenę, jak pozbawione znaczenia może być życie, jak bezsensownie jest je przeżyć nie czując niczego i nikogo nie kochając...

Kiedy obudził się na oddziale intensywnej terapii, wszystko, co zobaczył, to piękne białe zęby, śmiejące się do niego spod czupryny czarnych włosów i tego wykrochmalonego białego czepek. Zakochał się. Nie znał nawet jej imienia i nie wiedział, gdzie jest, ale zakochał się do cna. Ewa, czy można się z tego wyleczyć, na imię miała Ewa, nigdy by w to nie uwierzył, gdyby nie było to napisane na tej małej białej plastikowej plakietce, przypiętej nad prawą piersią, pierwsza rzecz, którą mógł przeczytać, gdy w końcu wzrok mu się wyostrzył. Był pewien, że umarł i poszedł do nieba. Przez następne trzy tygodnie Ewa opróżniała jego cewnik, wcierała olejek na czubek jego penisa, zmieniała przynajmniej dwa razy dziennie prześcieradła, nacierała go dodatkowo spirytusem, a kiedy w końcu przeniesiony został z intensywnej terapii do prywatnego pokoju, przychodziła codziennie go odwiedzać.

Niech wam nie przyjdą do głowy takie słowa jak wdzięczność, zauroczenie, ani nastrój chwili, po prostu wszystko wydawało się takie odpowiednie – Adam i Ewa i w dodatku ta chińska restauracja na Soho – Rajski Ogród – gdzie jeden z jego kumpli zamówił ich weselną kolację. Sześć miesięcy później Adam był jeszcze na chorobowym i na dziennych studiach prawniczych, a Ewa była już w ciąży. A dwa lata później Adam wreszcie skończył studia i porzucił na zawsze policję, gdy został zatrudniony przez prokuratora okręgowego, aby prowadzić jakieś prace dochodzeniowe niższego stopnia. Było to lepsze niż patrolowanie ulic jako część pierwszego frontu sił miejskich. Penny miała wtedy półtora roku, a Ewa rzuciła pracę w szpitalu, by pracować prywatnie. Życie płynęło ze swymi zwykłymi problemami i radościami; dziecko ładnie rosło. Ewa miała czas, by pójść na lekcje gotowania, a Adam cieszył się z nowej posady specjalnego inspektora dochodzeniowego w Biurze Prokuratora Okręgowego na Manhattanie. Kłopoty zaczęły się w tym samym czasie, co wielki przełom, kiedy przydzielono mu ważną sprawę terrorystyczną i zaczął pracować ze specjalnym agentem oddelegowanym z biura FBI w Waszyngtonie. Prowadzili dochodzenie w sprawie jednostki grupy Abbu Nidala, która rzekomo rozpoczęła działania na Upper East Side. Kiedy sprawa ciągnęła się miesiącami, w naturalny sposób agent FBI i Adam zaprzyjaźnili się. Od tego czasu facet plątał się po domu, a Ewa wypróbowywała na nim swoje obiady dla smakoszy. Kręcili się dookoła stołu kuchennego i było to miłe, bo Adam mógł spotykać się z Penny, a facet nie musiał jeść wszystkich swoich posiłków w restauracjach lub sam w pokoju hotelowym. Ironia losu polegała na tym, że sprawę zawieszono, gdy okazało się, że podejrzani nie dopuścili się niczego bardziej podejrzanego niż otwarcie sieci restauracji ze specjalnością falafel przy Lexington Avenue. Adamowi i jego partnerowi powiedziano, że muszą czekać, aż stanie się coś spektakularnego, zanim będą mogli się włączyć. Coś spektakularnego zdarzyło się rzeczywiście, tyle tylko, że w kuchni Adama...

To było naprawdę dziwaczne – sposób, w jaki Adam po raz pierwszy zdał sobie sprawę, co się dzieje, chociaż zabrało mu to sporo czasu i trafiło to w niego jak grom z jasnego nieba, a przecież sprawa ciągnęła się już od miesięcy. Pewnego wieczora wszyscy siedzieli przy stole kuchennym – kilka dni przed zawieszeniem dochodzenia -jedząc spaghetti i pijąc wino, a agent FBI przyszedł nawet z dziewczyną, którą Ewa mu przedstawiła, kiedy Adam zobaczył spojrzenie, które wymienili między sobą – facet i Ewa. To, co Adam zobaczył w tym ułamku sekundy, zmieniło jego życie – w tym ułamku czasu, który zabrało spojrzeniu ustalenie się w powietrzu nad stołem, zanim wyparowało, kiedy każde z nich odwróciło wzrok – sprawiło, że zrobiło mu się niedobrze. I chociaż wszyscy siedzieli tam ubrani, śmiejąc się i rozmawiając bez żadnego flirtowania ani podtekstów w rozmowie, jedząc spaghetti, ścierając sos pomidorowy z kącików ust, popijając wino i rozlewając krople na stół, wiedział, że tych dwoje ludzi widziało się nago, dotykało nawzajem swych ciał, kochało się, osiągało szczyty pożądania. W czasie, jaki potrzebny był, by to przelotne spojrzenie przeszło nad stołem i zawisło gdzieś nad bagietkami Stella d'Oro, całe życie Adama zabłysło mu przed oczyma, a z nim historia dzielonych tajemnic, intymnych

chwil i wszechogarniających tęsknot, które nieodwołalnie zmieniły swój kierunek. Adam przeprosił, poszedł do łazienki i zwymiotował.

Scena, która nastąpiła potem, była nawet gorsza niż moment uświadomienia sobie sytuacji – łyzy i przeprosiny w rodzaju: – Nigdy nie chcieliśmy, aby to się stało – pochodzącymi od faceta i: – Zawsze będę o tobie myśleć – pochodzącymi od Ewy. Po przeprowadzeniu separacji Adam zaczął sypiać z kobietą, która była tamtej nocy świadkiem zakończenia jego małżeństwa. Łatwiej było rozmawiać o tym z kimś, z kim mógł się porozumieć na skróty, bez konieczności tłumaczenia każdego szczegółu, bo ona wiedziała nawet, co tego wieczoru jedli na kolację.

Teraz, rok później, to nadal bolało jak diabli, głównie dlatego, że ufał facetowi, przecież na miłość boską pracowali razem dzień i noc, przesiadywał w ich domu, bawił się z dzieckiem, stołował się; faceci po prostu nie robią sobie czegoś takiego. Ewa to inna historia, niezupełnie było to dogłębne poczucie zdrady, które wyszło znikąd, bo w pewnym sensie instynktownie wiedział, że nie będzie to trwało wiecznie. Jedyna sprawa, która doprowadzała go do szaleństwa, to fakt, że za każdym razem, gdy o niej myślał, odczuwał ten sam ból, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie go postrzelono, gdy to wszystko się zaczęło.

\*\*\*\*\*

Tuż obok nowoczesnego hallu hotelu Parador el Marques znajdowała się surowa restauracja z białymi gipsowymi ścianami, nie wykończonymi dębowymi stołami i krzesłami. Adam zajął stolik w odległej części sali, skąd widoczne było wejście. Zamówił piwo, a kiedy je przyniesiono, zaczął spijać pianę z nad brzegu szklanki, zanim pociągnął kilka długich łyków i zabrał się znów do przeglądania w myślach wydarzeń w sprawie Vidala, które doprowadziły do jego wycieczki do Meksyku.

\*\*\*\*\*

Cztery lata temu Danny Vidal przybył do Nowego Jorku z zaświadczeniem finansowym szacującym majątek w Buenos Aires na ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. W ciągu dwóch miesięcy Vidalowi udało się zdobyć odpowiednie koneksje i nawiązać odpowiednie kontakty, by przyjęto jego ofertę zakupu Inter Federated Bank w New York City.

Kiedy Danny Vidal przejął Inter Federated, bank miał już przybladłą reputację złych pożyczek i nie zabezpieczonych kredytów; to dlatego mógł go kupić po tak niskiej cenie i za tak niewiele gotówki. Nikt nie chciał jeszcze jednego upadku banku, najmniej FDIC i dlatego oferta zakupu była tak szybko przyjęta przez Nowojorską Stanową Komisję Bankową. Każdy wiedział, że Inter Federated chwieje się na skraju bankructwa i każdy miał nadzieję, że Argentyńczycy techną nowe życie w tę dogorywającą instytucję. W ciągu dwóch lat, kiedy Vidal prowadził bank, wchodził on w coraz większe i większe długi z powodu nalotów kredytowych, nielegalnych pożyczek i debetów. Jeszcze bardziej niepokojące były ogromne depozyty, które wychodziły z Argentyny jako „ruchomy kapitał” i znajdowały drogę na osobiste konto Vidala, zanim zostawały przelane i wszelki ślad po nich ginął. Właściwie, prawie całe te pieniądze pochodzące z nielegalnych pożyczek, kredytów i debetów szły na konto Vidala, gdzie pozostawały na tyle długo, by wskazywać zdrowe saldo pod koniec miesiąca, kiedy robili rutynowe inspekcje.

Sprytna gra, ocenił Adam, tyle że niczego nie mógł udowodnić, ponieważ wszystkie zapiski i karty transakcji zniknęły wraz z gotówką. Potrzebował nazwisk, dróg, którymi

przechodziły pieniądze, potwierdzeń bankowych, potrzebował kogoś z wewnątrz, kto chciałby mówić.

Przełom nastąpił rankiem czwartego lipca właśnie, gdy Adam przygotowywał się do wyjazdu pociągiem do Waszyngtonu, by odwiedzić Penny podczas świątecznego weekendu. Zdawało się, że asystent Vidala, niechętnie nastawiony do współpracy, odkąd zaczęło się dochodzenie, był wystarczająco czymś poruszony i chciał przyjechać do centrum, by porozmawiać. Adam wytłumaczył Ewie, że musi być do dyspozycji, święto czy nie. Nawet gdyby prokurator okręgowy został już „przewieziony drogą powietrzną” do swego domu w Hamptons, a pozostali z ekipy wyjechali już na wieś lub na plażę, albo stali się nieosiągalni, ukrywając się za automatycznymi sekretarkami w mieście, w żadnym wypadku nie pozwoliłyby nikomu innemu porozmawiać z tym mężczyzną. To była jego sprawa i zbyt ciężko nad nią pracował, aby jej nie ciągnąć dalej. Natomiast Penny powiedział, że się spóźni i przyjedzie wieczorem.

Klimatyzacja w biurze Adama rankiem czwartego lipca nie działała. Nie tylko w biurze Adama, ale w Biurze Prokuratora Okręgowego także i najwyraźniej w całym wschodnim skrzydle budynku. Nawet biorąc pod uwagę, że konstrukcja naprzeciwko starego sądu przy Centre Street była archaiczna, nie mogło to stanowić usprawiedliwienia dla awarii sieci elektrycznej. Nie dalej jak w zeszłym roku wymieniono wszystkie przewody w budynku, zarówno te od klimatyzacji, jak i ogrzewania. Ci, którzy pracowali w weekendy, święta i wieczorami, nie mieli już problemów z doświadczaniem ekstremalnych warunków pogodowych bez ogrzewania czy klimatyzacji. Poza tym czwartym lipca, jednym najgorętszych dni lata z temperaturą zbliżającą się do czterdziestu stopni i wilgotnością wykraczającą poza skalę, kiedy to klimatyzacja nie działała i nie miał kto jej naprawić.

Fernando Stampa był niskim mężczyzną, idealnie proporcjonalnym w miniaturze, ubranym w nieco znoszony ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i rdzawy krawat, przytwierdzony przy pomocy starodawnej spinki. Na lewym ręku miał obrączkę i zegarek z rozciągliwą bransoletką, w prawym ręku trzymał zmiętą białą chusteczkę, którą nieustannie ocierał sobie czoło. Upał go dobijał, chociaż mógł się bardziej pocić z czystego zdenerwowania.

– Czy ma pan tutaj w Nowym Jorku rodzinę? – zapytał Adam. – Potrzebujemy telefonu kontaktowego do pana, to działanie rutynowe.

- Mam żonę.

- Bez dzieci?

Stampa wyglądał na zaniepokojonego. – Miałem kiedyś syna...

- Co się stało?

- Był jednym z zaginionych – powiedział cicho mężczyzna.

To niezupełnie dotarło do Adama. – Co ma pan na myśli? zapytał.

- Czternaście lat temu – zaczął Stampa – podczas Guerra Sucia, czyli brudnej wojny w Buenos Aires, generał Vidal . junta odpowiedzialni byli za zniknięcie ponad ośmiu tysięcy ludzi. Mój syn został zabrany z innymi studentami, którzy przeciwstawiali się juncie.

- Co się z nim stało?

– Mieliśmy szczęście, w końcu odnaleźliśmy jego ciało. Trudno było znaleźć słowa, by pocieszyć mężczyznę.

– Czy dlatego pan wyjechał, panie Stampa?

- Zbyt dużo wspomnień – powiedział cicho.

Adam dalej zadawał pytania. – Najwyraźniej zna pan pana Vidala od lat. Jak długo właściwie pracował pan dla niego w banku w Buenos Aires?

- Tylko około sześciu miesięcy, ale związek z Dannym polegał także na przyjaźni. Przystaliśmy do niego, gdy próbowaliśmy znaleźć naszego syna.

- I wtedy pana zatrudnił?

- Tak, ponieważ wiedział, że mój syn został zabrany przez wojskowych, i wiedział, że nie mamy pieniędzy. Płacił mi nawet, jeśli nie przychodziłem do pracy, kiedy wyjeżdżałem w poszukiwaniu syna.

- Czy spotkał pan kiedy Coriander Wyatt Vidal?

- Wtedy nie, poznałem ją w Nowym Jorku.

- Nie wiedziałem, że od tak dawna są małżeństwem.

- Pobrali się dopiero jakieś trzy i pół roku temu, ale poznali się, gdy była jego studentką na uniwersytecie w Cordobie.

- Ale jest Amerykanką, prawda?

Stampa przytaknął. – Jej ojciec był amerykańskim ambasadorem w Argentynie.

- Dlaczego rząd zamknął bank w Buenos Aires?

- Oskarżyli bank o pranie pieniędzy dla Montoneros.

- A tak było?

- Tak.

- Czy pan też został aresztowany?

Mężczyzna potrząsnął głową. – Uratowało mnie to, że nie byłem oficjalnie zatrudniony, więc policja nie wiedziała, że tam pracuję. Także przypadkiem nie było mnie w banku tego dnia, kiedy policja zrobiła nalot.

- Czy wie pan, czym się wtedy zajmował bank? – zapytał Adam, a gdy Stampa nie odpowiedział, dodał: – Proszę zrozumieć, nie prowadzę dochodzenia w sprawie Cred i to de la Plata.

W końcu, po kilku minutach, Fernando Stampa opisał, jak Montoneros rozpoczęli serię napadów i porwań, by zebrać gotówkę potrzebną na przeciwstawienie się juncie, i o tym, że zdobycze były lokowane w banku na kontach fikcyjnych osób, a Danny Vidal nadzorował wszystkie transakcje. – Każdy, kto miał choć odrobinę przyzwoitości, robił co mógł. – Stampa zakończył: – Nietrudno było znaleźć rekrutów.

- Czy pana syn był jednym z rekrutów Danny'ego?

- Mój syn był idealistą i dlatego stał się ofiarą... – Stampa znowu zamilkł.

Adam starał się to wszystko szybko poskładać, by znaleźć związek między okresem przemocy w najbardziej na południe wysuniętym kraju świata, wymuszeniem pieniędzy w City Bank w Nowym Jorku i jednym załamany człowiekiem, który starał się uratować to niewiele, co pozostało z jego życia. – A co z panią Vidal, czy też została zwerbowana?

- Ona to co innego – powiedział cicho Stampa. – Była w nim zakochana.

- Jak pan odkrył, co się stało z pańskim synem?

Łzy napłynęły do oczu mężczyzny. – Rząd zrzucał ciała z helikopterów do Rio de la Plata. Znaleźliśmy jego ciało wyrzucone na brzeg.

- Czy członkowie junty zostali ukarani?

Stampa zaśmiał się głucho. – Mamy teraz w Argentynie demokrację, co oznacza, że nasz prezydent ułaskawił wszystkich członków junty, którzy przebywali w więzieniu...

Adam delikatnie nakierował rozmowę z powrotem na sprawę, w której mężczyzna przyszedł. – Chciałbym, aby wyraził pan zgodę na zaprotokołowanie wszystkiego, o czym będziemy rozmawiali.

- Obiecał pan...

- Obiecałem, że nikt nie przeczyta protokołu, jeśli pan wcześniej nie wyrazi zgody.

Skinął głową. – Proszę dalej.

Adam wstał. – Zamówiłem stenotypistkę – powiedział, gdy szedł w kierunku drzwi. Nie było go tylko chwileczkę, a kiedy wrócił, prowadził za sobą kobietę niosącą małą maszynę przykrytą grubym plastikiem. Zostali sobie przedstawieni, po czym kobieta zasiadła za biurkiem Adama, rozpakowała maszynę i czekała z palcami ustawionymi na klawiszach. – Musimy jeszcze dopełnić pewnych formalności, panie Stampa – wyjaśnił Adam, po czym zapytał mężczyznę, czy rezygnuje ze swego prawa do adwokata i poprosił, by oświadczył do akt, że przyszedł tu z własnej woli, bez pozwu czy nakazu sądowego, i potwierdził, że cokolwiek powie, może zostać wykorzystane jako dowód sądowy w przypadku procesu. – Dlaczego zdecydował się pan tu przyjść? Co się stało?

- Mam kłopoty – zaczął Stampa, a łzy napłynęły mu do oczu.

- Niech pan zacznie od początku, a może będę mógł pomóc.

Stampa zdawał się wahać przez moment i potrząsał głową.

- Gdyby pan nie myślał, że mogę pomóc, panie Stampa – namawiał Adam – nie przyszedłby pan tutaj.

Po chwili Stampa odetchnął. – Tydzień temu, w piątek, Danny wezwał mnie do swojego biura i powiedział mi o umowie, nad którą pracował w Buenos Aires. Ale z przyczyn politycznych jego nazwisko nie mogło pojawić się na żadnym z dokumentów ani czeków. Poprosił mnie o przysługę.

- Czy wytłumaczył, na czym polegała umowa?

- Nie, powiedział tylko, że potrzebuje, żebym podpisał pięć czystych czeków z rachunku, który trzymam w innym banku.

- Czy może pan podać nazwę banku, panie Stampa?

- Republic Exchange.

- Proszę dalej – powiedział Adam, skinąwszy do stenotypistki.

- Powiedział tylko, że potrzebuje mojego podpisu i że dokona wszystkich potrzebnych lokat na moich rachunkach, aby pokryć czeki, które wypisze.

- Co miał pan uzyskać z transakcji?

- Nic – powiedział cicho Stampa – to była przysługa i Bóg wie, że wiele byłem mu dłużny.

Bóg wie. – Czy podpisał pan czeki?

- Tak.

- Co się stało później?

- Przez pięć roboczych dni nic się nie działo i wtedy, zaraz przed zamknięciem banku na weekend Czwartego Lipca, zostałem wezwany na dół przez jednego z wiceprezesów.

- Niech w aktach będzie zapisane, że było to wczoraj, trzeciego lipca 1992 roku. Proszę dalej, panie Stampa.

Stampa wyglądał na zażenowanego. – Wszystkie moje czeki były bez pokrycia.

- O jakich sumach rozmawiamy?

- Danny wypisał każdy czek na dwieście tysięcy dolarów. – Znowu wyglądał na zażenowanego, tak jakby to była jego wina.

Adam był wstrząśnięty, nawet stenotypistka drgnęła. Milion dolarów? – Mężczyzna potwierdził skinieniem. Stenotypistka nie może zanotować skinienia głową – udało się powiedzieć Adamowi.

- Tak – odpowiedział Stampa – milion dolarów. Adam doszedł do siebie. – Czego spodziewał się od pana wiceprezes?

- Spodziewał się, że pokryję czeki.

- Czy powiedział mu pan, że była to transakcja między panem i panem Vidalem?

- Powiedziałem mu, że to musi być jakaś pomyłka.

- Nie powiedział mu pan, że pan Vidal obiecał pokryć te czeki lokując pieniądze na pana kontach w Republic?

- Nie, bo wtedy musiałbym podać powody, a umowa była zawarta w tajemnicy. Danny powiedział, żebym nikomu nie mówił. Miałem nadzieję, że była to jakaś pomyłka, albo że pieniądze zaginęły, albo po prostu nie sprawdzili mojego rachunku.

Adam potrząsnął głową. Z trudem przychodziło mu zrozumieć zwykłą bezczelność tego wszystkiego. – Czy tak było, gdy poszedł pan do Republic?

Stampa wziął głęboki oddech. – Nie – powiedział cicho. – Kiedy poszedłem do banku, powiedziano mi, że na mój rachunek nic nie wpłynęło, odkąd kilka tygodni wcześniej ulokowałem tam depozyt.

Nie do wiary. – Czy próbował się pan skontaktować z panem Vidalem?

- Tak, ale on już wyjechał na weekend.

- Kiedy wyjechał?

- Tak naprawdę to wcale nie pojawił się trzeciego lipca. Wyszedł z banku drugiego lipca po zamknięciu...

- Czy próbował się pan z nim skontaktować w domu?

- Tak, ale nikt nie odbierał telefonu.

- A czy poszedł pan tam?

Stampa wyglądał żałośnie. – Jak mógłbym to zrobić? Nie mogłem tak po prostu wkroczyć...

Sytuacja była tak żalosna, że niemal niewiarygodna dla każdego, kto nie znał jego historii. Załamało go już zniknięcie syna, więc ta ostatnia tragedia po prostu zgasiła tylko ostatnią iskierkę zaufania, którą miał dla ludzi.

- Zatrzymajmy się na chwilę, panie Stampa. Nie rozumiem, dlaczego Inter Federated wezwał pana, skoro wszystkie te czeki były zwrócone z sygnaturą „niewystarczające środki”. Zakładam, że zwrócono je Danny'emu Vidalowi, ponieważ on był wypłacającym.

- W zwyczajnych okolicznościach tak by się stało, tylko że Danny dał swoją osobista gwarancję, więc bank przyjął moje czeki za gotówkę.

Adam był wyraźnie poruszony. – Zrealizowano czek na milion dolarów, zanim Inter Federated otrzymał potwierdzenie zapłaty od Republic? Jak Vidalowi udało się przekonać kogoś do zrobienia tego?

- Jest właścicielem banku, nieprawdaż? Kto miałby mu odmówić, zwłaszcza jeśli czeki były wypisane na niego i podpisane przeze mnie, jego osobistego asystenta. – Lecz ton jego głosu nagle stał się rozpaczliwy, kiedy podjął:

- Jestem winien bankowi pieniądze, ja, ja jestem odpowiedzialny.

Nadal dla Adama nie wszystko było jasne, coś było nie w porządku. – Zaraz, zaraz panie Stampa, jeśli Vidal ulokował te czeki na swoich kontach w Inter Federated nawet w postaci gotówki – a one wróciły pięć dni później, dlaczego Inter Federated po prostu nie cofnie pieniędzy z jego konta, tak jakby transakcja nigdy nie nastąpiła i nikt nie stracił ani centa.

Stampa uśmiechnął się smutno. – To byłoby logiczne rozwiązanie, tylko że Danny nigdy nie ulokował pieniędzy na żadnym ze swoich kont.

Adama zmroziło. Ostrożnie dobierał słowa. – Czy mówi pan, że Danny Vidal wyszedł z banku przed weekendem świętecznym z milionem dolarów gotówką?



- Na to wygląda. – Stampa rozglądał się w poszukiwaniu wody. Adam napełnił papierowy kubeczek wodą z lodówki turystycznej, która stała w rogu pokoju. Wręczył Stampie kubeczek, zanim usiadł znowu i zapytał: – Gdzie on teraz jest?

- W Meksyku.

- Czy wie pan gdzie?

- Gdzieś w Acapulco. Powiedział wszystkim, że jedzie tam poszukać domu, żeby uciec od podatków, ponieważ, przyszedł mu do głowy pomysł, żeby część czasu spędzać w Acapulco, a część w Nowym Jorku...

Bez wątplenia był to dom za milion dolarów. A jednak coś tu nie grało. Nie miało szczególnego sensu, by ktoś laki jak Vidal ryzykował wszystko dla miliona dolarów, skoro już okradł bank na pięćdziesiąt milionów. Dlaczego miałby ukraść tylko milion komuś, kto na pewno zgłosiłby to władzom w chwili, gdy czeka zastaną zwrócone? A kontynuując tę linię rozumowania, dlaczego Vidal nie zrobił niczego, by zapobiec odkryciu Stampy? To nie trzymało się kupy. – A co z jego żoną, czy też jest w Meksyku?

- Nie, ma dyżur w szpitalu.

Adam skinął głową, wpatrując się w dal. – A tak, ona jest lekarką. Wzruszające, on doprowadza do zawałów, ona je leczy, niezły zespół. – Przyszło mu wtedy do głowy, że może nie byłby to taki zły pomysł, gdyby kazał Stampie zaprzysiąc pozew dla Vidala... Przyszło mu także do głowy, że może byłby to dobry pomysł przejechać się do szpitala brooklyńskiego i porozmawiać z żoną Vidala... Adama nie zaskoczył widok Stampy na granicy łez, gdy pytała: – Czy mi pan pomoże?

Adam przeszedł do rzeczy. – Mam zamiar załatwić panu ochronę, jeśli da mi pan dostęp do pewnych akt bankowych i dokumentów. Przede wszystkim, czy ma pan klucze do biur bankowych?

Wsuwając rękę do kieszeni po chusteczkę, mężczyzna skinął głową.

- Zakładam też, że ma pan nazwiska i adresy większości waszych klientów.

Lecz wtedy Stampa zaproponował wyraźny układ.

- Czy zapewnicie mi nietykalność, jeśli dam wam, czego chcecie?

- To jest moim zamiarem, ale muszę porozmawiać z prokuratorem okręgowym... – Był ostrożny, chociaż nie było powodu przysparzać temu człowiekowi jeszcze więcej cierpień. – Proszę pana, proszę tutaj zostać, tymczasem ja postaram się złapać prokuratora okręgowego w domu. – Nagle przyszło to Adamowi do głowy. – Proszę mi powiedzieć, co pańskim zdaniem Vidal zrobiłby w poniedziałek, gdyby pan tutaj dziś nie przyszedł?

Stampa znów pobladł. – Odesłałby mnie. Powiedziałby, żeby się nie martwić, że zajmie się wszystkim... – Wzruszył ramionami. – Musiałbym się tłumaczyć, że nie wierzę. Zastosowałby wszystkie zwykłe zagrywki...

- Nie byłby zupełnie bez racji, ponieważ chyba zawsze dbał o pana w przeszłości. – Coś tu niezupełnie pasowało w tym całym wrabianiu faceta.

- Tym razem to coś innego. Zdradził mnie – mężczyzna powiedział przez łzy – okłamał mnie, nie zostawił wyboru.

Była to albo kwestia złodziejskiego honoru, albo źle pojętej moralności. Obydwie te sytuacje były dziwaczne, jednak Adam nauczył się je rozumieć po latach jako coś, co dotyka większość osób, kiedy narażony jest ich własny tyłek. Lecz w tej chwili ważniejsze było przygotowanie zaprzysiężenia pozwu i przygotowanie oświadczenia do podpisu. Kilka minut Adam rozmawiał przez telefon załatwiając wszystkie konieczne sprawy; w niecałą godzinę nakaz był zaprzysiężony, a pozew został wetknięty do kieszeni; w ciągu następnej półgodziny Adam

znalazł się w wagonie metra kierującym się do szpitala na Brooklynie, by porozmawiać z Coriander Wyatt Vidal...

\*\*\*\*\*

A oto dwa dni później w Chilpancingo w Meksyku, wiedząc mniej niż wiedział, kiedy parę miesięcy wstecz rozpoczął to dochodzenie, usłyszał, jak ktoś wypowiada jego nazwisko i rozejrzał się, by zobaczyć stojącego tam podnieconego właściciela Gwenda Charter. Fritz Luckinbill chciał porozmawiać. Nie każdy chce, pomyślał Adam, gdy wstał, by uścisnąć rękę mężczyzny. Wszyscy czymś ryzykowali w tej historii, a zresztą była dopiero szósta dwadzieścia. Miał jeszcze czterdzieści minut do spotkania z wdową lub żoną – do której z tych kategorii należy: oto jedno z fundamentalnych pytań w tej sprawie...

## Rozdział 8

Fritz Luckinbill był masywny, potężny, ciężki i wyraźnie zatroskany. Rude włosy przyprószone miał siwizną, czerwoną twarz wyzłobioną niebieskimi żyłami i zdawał się zdruzgotany tą straszną tragedią, która kosztowała go dwóch pilotów w kwiecie wieku, nowiusieńki samolot i nie zapłacony rachunek na piętnaście tysięcy dolarów za podróż w tę i z powrotem do Acapulco. Śmierć pasażera była inną kwestią, która na pewno przyniesie pozew sądowy o zaniedbanie wniesiony przez rodzinę.

Po kilku minutach wymiany wrażeń na temat obsady, narzekania na upał i zamawiania drinków dla siebie i dla właściciela firmy czarterowej, Adam w końcu zapytał:

- Czy zwykle nie płacą panu z góry?

Wokół oczu mężczyzny widać było zmęczenie. – Zależy, czy znam klienta, albo czy ustalenia dotyczące zapłaty zostały załatwione wcześniej...

- Czy znał pan Danny'ego Vidala?

- Nie.

- Dlaczego otworzył pan kredyt?

Westchnął. – Ponieważ facet prowadził bank. Jakiego solidniejszego klienta można mieć? Ponieważ zaoferowano mi wybór między zapłatą z góry czekiem lub gotówką po przylocie. Brat faceta miał rzekomo spotkać się z nim w Acapulco z gotówką...

– Czy rozmawiał pan z Jorge Vidalem po wypadku? Luckinbill roześmiał się. – Tak, rozmawiałem z nim lub on rozmawiał ze mną. Powiedział mi, że rodzina myśli o wniesieniu oskarżenia do sądu...

- Muszą udowodnić błąd pilota...

- Meksykańscy wpisali już błąd pilota we wstępnym raporcie – pochylił się w przód. – Proszę zrozumieć, panie Singer, nie będę marnował pańskiego czasu, dlatego chciałem z panem porozmawiać. Plotka głosi, że ma pan pozew sądowy dla mojego nieżyjącego pasażera.

Adam był świadomy odgłosów szcękających naczyń i dwóch elektrycznych wentylatorów wirujących nad ich głowami. – Taaak...

- Co oznacza, że żyje, a jeśli żyje, rodzina nie może oskarżyć o nieumyślne zabójstwo – powiedział podekscytowany Luckinbill.

Adam nie odpowiedział od razu, koncentrując się na piwie na stoliku przed sobą. – To nie jest takie proste...

- Spojrzał do góry. – Cóż, niech pan mi powie, co odkryliście, kiedy pojechaliście na miejsce katastrofy?

- Skąd pan wie, że pojechałem? Adam uśmiechnął się. – Plotka...

Luckinbill wziął oddech. – Pojechałem tam, by poszukać zaginionej czarnej skrzynki, bo bez niej nie mogę nawet potwierdzić nazwisk moich pilotów...

- Meksykanie jej nie mają?

- W tym rzecz, że nie...

- Jak mogli bez niej złożyć wstępny raport?

- Bo coś tutaj śmierdzi, to dlatego – powiedział gorzko Luckinbill. – Nie mogę nawet położyć rąk na tej pieprzonej skrzynce.

- Co się stało, gdy weszliście na górę?

Luckinbill oparł się na krzesło, skrzyżował ramiona na piersi i zaczął. – Pojechałem tam z dużo dinero i rozgłosiłem, że chcę odkupić z powrotem wszystko, co znaleźli wieśniacy.

- Jakies oferty?

Luckinbill skinął głową. – Nie do wiary, jak zagarnęli wszystko, na czym mogli położyć łapy. Za parę dolców wykupiłem zegar wysokościomierza, a za dwadzieścia, jeden z chromowanych hydraulicznych cylindrów i przewody. – Nagle twarz mu się ściągnęła. – I tu jest najlepsze...

- Czarna skrzynka? – naciskał Adam.

Luckinbill uniósł wysoko ramiona. – Zdaje się, że ktoś już tam był, węszył i odszedł z jej kawałkami...

Adam poczuł, że jego uwaga napina się niczym lina. – Skąd pan wie?

- Stara kobieta stamtąd powiedziała mi o tym, opisała nawet taśmę magnetyczną nawiniętą na metalową szpulkę i srebrną folię. Opis przypominał dość dokładnie rejestrator lotu i taśmę głosu. W każdym razie jakiś facet kupił to od niej za pięćdziesiąt dolców...

- Czy wie pan kto?

- Nie mam pojęcia, tyle tylko, że według tych górali to gringo i nie ma włosów na głowie...

- Luckinbill wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że to nie za wiele, jak na początek, ale to wszystko, co udało mi się odkryć.

Adam sięgnął do kieszeni po mały notatnik i pióro. Zapisał coś. – Czy rozpoznał pan którąkolwiek z tych części ciała jako należącą do któregoś z pana pilotów?

Luckinbill wykrzywił twarz. – Trudno jest powiedzieć z całą pewnością, ale po to poszedłem do kostnicy. – Przyjrzał się Adamowi dokładnie. – To wtedy usłyszałem o kremacji.

- Jakiej kremacji?

- Paru pracowników tamtejszego Czerwonego Krzyża powiedziało mi, że brat Vidala włożył szczątki do pieca...

Adam poczuł mdlące niedowierzanie. – Po co ten pośpiech?

- To ma coś wspólnego z oszczędzaniem rodzinie smutku i biurokracji, gdyby doszło do wywożenia ciała z Meksyku...

- Nazywanie tego, co tam zostało, ciałem to naciąganie...

- Rozumiem, że był pan w kostnicy...

- Nazywanie tego kostnicą to też naciąganie. – Nagle zobaczył twarz Coriander, więcej niż jej twarz, przypominał sobie każdą łzę, zmarszczkę i intonację jej głosu, każdą minę, każdy gest. Zerknął na zegarek; będzie tutaj lada chwila, chyba że zdecydowała się nie pokazywać. – Czy wdowa uczestniczyła w tej kremacji?

- Nie jestem nawet pewien, czy o niej wie. Ostatnio słyszałem, że zabroniła bratu dotykać czegokolwiek. Zdaje się, że skremował tors, i zdaje się, że ona przysięga, że to nie jej mąż...

Adam przypomniał sobie przerażenie na twarzy Coriander, gdy zobaczyła miskę z prawej strony. – Czy widział pan tors?

Luckinbill przytaknął.

- Co pan pamięta?

Luckinbill nawet przez moment się nie zawahał. – Mnóstwo czarnych, zmatowiałych włosów.

- Czy może pan stwierdzić, że ten tors należał do jednego z pańskich pilotów?

- Mogę przysiąc, że nie.

- Na jakiej podstawie?

- Bo obydwaj piloci spędzili kilka przerw w lotach podczas weekendów w moim domu w Greenwich – Luckinbill mówił dalej beznamiętnie. – Obydwaj byli jasnowłosi, z jasnym zarostem...

Teraz było ciężko, ale będzie jeszcze trudniej, jeśli kiedykolwiek dojdzie do procesu. – Czy jest pan w stu procentach pewien, że Vidal wszedł do tego samolotu w Nowym Jorku?

- Absolutnie. Mamy świadków, którzy go widzieli...

- Rozumiem, że samolot lądował, by dotankować w Houston...

- Sprawdzam to teraz, próbuję się dowiedzieć, kto miał tej nocy dyżur....

- Na kogo pan stawia?

- Trudno powiedzieć, bo nie ma się o co zaczepić. Wszystko, co zostało z mojego samolotu, to kadłub i resztki bezużytecznego wyposażenia, które wykupiłem od tych górali. I jeszcze ten łysy facet, który pojawia się znikąd i wykupuje coś, co wygląda na kawałki czarnej skrzynki.

- Zdawało się, że rozważa, czy ma sens mówić dalej. Najwyraźniej uznał, że tak. – Jedyne, czego jestem pewien, to moja teoria dotycząca drzew.

- Jakich drzew?

- Tych na szczycie góry. – Pochylił się w przód. – Widzi pan, jeśli samolot naprawdę wrył się w ten szczyt tak, jak podają Meksykańczycy, żeby udowodnić błąd pilota, te drzewa złamałyby się na pół jak zapałki...

- A te drzewa nadal stoją – powiedział Adam w zamyśleniu. – Czy o to chodzi?

Luckinbill przytaknął.

Adam starał się, żeby oczywisty wniosek zabrzmiał specjalnie bezbarwnie. – Więc sądząc po tych drzewach, samolot eksplodował w powietrzu i wylądował w kawałkach na górze?

Wiadomość była pełna i Luckinbill, po raz pierwszy odkąd usiadł, zdawał się odprężony. – To jedyne wytłumaczenie, które przychodzi mi do głowy.

- Jakie jest to jedyne wytłumaczenie, panie Luckinbill... – Adam chciał to usłyszeć wprost.

- Bomba.

- A co z biednym sukinsynem, który się spalił w tym piecu? Na kogo pan stawia?

Luckinbill wzruszył ramionami. – Nikt, kogo znam, to pewne...

To jeszcze nie wystarczało, nawet daleko do tego było. Adam potrzebował niezbitych dowodów – nazwisk i raportów z wypadku i świadków – a sądząc z zasad i przepisów tego ekskluzywnego klubu zwanego Meksykiem, niełatwo będzie je zdobyć. Musiał także pojechać do Houston, by porozmawiać z każdym, kto miał jakikolwiek kontakt z samolotem, załogą i pasażerami, gdy samolot wylądował, by dotankować; musiał porozmawiać z Enrique Sanchezem i Jorge Vidalem i prawie z każdym, kto chociaż pośrednio związany był z tym bałaganem. Lecz najważniejsze, co musiał zrobić, to pamiętać, że wszyscy są podejrzani, włącznie z Coriander, która właśnie weszła do restauracji...

## Rozdział 9

Coriander rozejrzała się szybko po restauracji, zanim zauważyła Adama. Stał już obserwując ją, gdy zmierzała do stolika. Gdy szła, jej myśli wirowały w miliony pomieszanych kierunków. Z każdą upływającą godziną była coraz bardziej pewna, że nie chce być wdową. Pozostała czekającą żoną, czekającą na odpowiedzi na pytania, które nie zostały nawet zadane i to dlatego zgodziła się spotkać z mężczyzną z pozwem w kieszeni.

Adam wyciągnął rękę. – Witam w moim biurze – powiedział.

Uścisnęła ją lekko. – Dlaczego?

– Miałem panią zapytać o to samo...

Usiadła i skrzyżowała nogi pod stołem. – Powinien pan wiedzieć, to pan ma pozew.

– Pytałem o kremację. Dlaczego odmawiała pani uznania tych szczątków za ciało pani męża?

Na to zbladła. – Dlaczego pan mówi, że odmawiałam? Nadal odmawiam...

- Odmawiała pani – powtórzył Adam, bacznie jej się przypatrując. – Brat pani męża kazał je skremować jakąś rodzinę temu.

Spięła się. – Skąd pan wie?

- Powiedział mi właściciel firmy czarterowej, a dowiedział się, ponieważ był w kostnicy zaraz przed spotkaniem tutaj ze mną. – Jeśli kłamała, to była cholernie dobrą aktorką.

- Proszę pani... naprawdę mi przykro z tego powodu. Siedziała przez jakiś czas w milczeniu, z czołem podpartym rękoma, zanim wzięła głęboki oddech. – To nie do mego należała decyzja – powiedziała monotonna. – Należała do mnie i mówiłam mu, żeby nie kremować.

- Cóż, najwyraźniej nie posłuchał...

Zmarszczyła czoło. – Nic, nic nie było Dannym... – Danny. Jezu! To niewiarygodne, lecz prawdziwe, że istota ludzka może przeżyć niemal wszystko.

- Jeśli pani chce, mogę panią tam zabrać...

- Nie mogę ugasić pożaru, prawda?

- Nie, nie może pani ugasić pożaru – zgodził się, odczuwając niewiarygodny smutek.

Zastanawiała się. – A co z właścicielem firmy czarterowej, czy mógł zidentyfikować pilotów?

To było trudne. – Nie jestem pewien. – Unikał odpowiedzi.

- A co z tym torsem?

- Nie rozpoznał go. – Adam z wdzięcznością podniósł wzrok na przybyłego kelnera, po czym zapytał Coriander:

- Czy chciałaby pani coś zjeść?

- Mój organizm zdaje się i bez tego przechodzić wstrząs gastralny, dziękuję...

Uśmiechnąłby się, gdyby sytuacja nie była tak beznadziejna. – Drinka?

Złożyła ręce na brzuchu. – Po prostu herbatę. Spojrzała w bok, w dal, gdy Adam niskim idiotycznym hiszpańskim zamawiał colę dla siebie, bez lodu, i herbatę dla niej. Kiedy skończył i kelner odszedł, wróciła do swego wyjściowego pytania. – Dlaczego?

- Ponieważ jest zbyt wygodnie dać się zabić w przeddzień oskarżenia sądowego.

- A ja stwierdzam, że to niezwykle wygodne, że zjawił się pan, by przedstawić pozew teraz... – Wskazała na okno i na góry w oddali.

- Wcześniej nie było wystarczających punktów zaczepienia.

- Nie rozumiem – powiedziała, potrząsając głową. – Cokolwiek zdarzyło się w banku, nie nastąpiło to z dnia na dzień.

Wszystko, czego go uczyli, gdy zaczynał w tej branży, było bezużyteczne, gdy chodziło o nią. Złam ich, wyprowadź z równowagi pytaniami, które nie trzymają się kupy, a potem przeprosisz za kłopoty tylko po to, by zacząć ich znowu przesłuchiwać, cały czas zastanawiając się, czy warto nad nimi pracować, czy ich poświęcić. W jej przypadku zasady od początku nie znalazły zastosowania...

- Czy chce pani, abym wyjaśnił?

- Gdybym miała wybór, wolałabym, żeby pan sobie poszedł.

- Nie mam do pani żalu – powiedział uprzejmie. Wzruszyła ramionami. – Jestem tutaj, żeby zrozumieć... Nie wahał się. – Każdy bank, który ma koncesję w stanie Nowy Jork, poddawany jest rutynowym kontrolom. W zeszłym miesiącu księgowi wykryli serię nieprawidłowości i debetów. Zdaje się, że pani mąż nieustannie przemieszczał pieniądze, więc był zawsze jeden krok przed kontrolerami...

- Z wyjątkiem zeszłego miesiąca – przerwała mu. Adam skinął głową. – Albo już mu nie zależało, albo stał się niedbały, ale pod koniec czerwca w księgach brakowało pięćdziesięciu milionów.

Straciła panowanie nad sobą. – To niemożliwe. Gdyby znał pan mojego męża, zrozumiałby pan, że on nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. – W jej oczach błyszczały łzy.

- Skąd pan wie, że w ogóle wiedział, co się działo?

Z jednej strony chciał jej to wyjaśnić, z drugiej chciał wstać i wyjść. I zabrać ją ze sobą...

- Zanim przyszedłem do szpitala, aby się z panią spotkać, rozmawiałem z kimś, kto zaoferował nam częściowy dowód z obietnicą, że dostarczy więcej. – Adam podjął decyzję, by na razie nie wspominać o Stampie i tym milionie dolarów.

- Kto?

- Niestety, tego nie mogę pani powiedzieć.

- Nie – powiedziała cicho. – Nie sądziłam, że pan może. Wrócił kelner, by podać herbatę i colę. Kiedy znowu odszedł, Adam zmienił temat. – Czy naprawdę wierzy pani, że pani mąż nie żyje?

- Nikt nie mógłby przeżyć tej katastrofy – zrobiła unik; jej myśli nie ustawały w gonitwie. Nie miała sprzymierzeńców. Nawet wśród tych, którzy próbowali udowodnić, że Danny żyje, nie było nikogo...

- Nikt, kto naprawdę w niej uczestniczył, nie mógł przeżyć – zgodził się Adam.

- Czy ma pan dowód, że mój mąż nie leciał tym samolotem? – Zaciśnęła dłonie na kolanach, ale nadal drżały.

- Oczywiście mamy wystarczająco dużo dowodów, aby kontynuować śledztwo – blefował, świadomy, że co innego było wprowadzić w błąd mówiąc o dowodach, co innego o życiu.

- To nie jest odpowiedź.

Pochylił się w przód. – Czy nie sądzi pani, że mam lepsze rzeczy do roboty niż uganianie się za nieboszczykiem?

W tym momencie nienawidziła go, nienawidziła ich wszystkich. – Nie jestem pewna – odpowiedziała spokojnie – ponieważ na wszystkim możecie przystawić gumową pieczęć i będzie to wyglądało oficjalnie. – Odwagi, kochanie, zawsze powtarzał Danny, jeśli chodzi o bezmyślnych biurokratów, nie ma nic bardziej skutecznego jak odwaga.

- Gdyby pani mąż nie kazał się zabić, pani Vidal, bank zamknięto by przed poniedziałkiem rano i nie otwarto, dopóki wszystkie rachunki i akta nie zostałyby skontrolowane. A rozmawiamy o trzydziestu czterech zarzutach dotyczących niezgodnych z prawem pożyczek i czternastu dotyczących niezgodnych z prawem lokat.

Była bardziej zła niż zmartwiona. – Gdzie są wszystkie pieniądze?

Miał nadzieję, że nie zapyta, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

– To jedna z dużych tajemnic. Chyba że pani może mi powiedzieć...

Stawało się to z wolna coraz bardziej niewiarygodne. Zaczęła. – Przychodzi pan do szpitala z pozwem dla mojego męża ledwo kilka minut po tym, jak dowiedziałam się o wypadku, a później zjawia się pan tutaj, mając nadzieję, że dostarczę dowodu, którego pan potrzebuje, by zrobić z tego sprawę. – Zaczepnęła powietrza i mówiła dalej, choć widziała, że on chce coś powiedzieć. – To wystarczająco bolesne, że oskarża pan mojego męża o porzucenie mnie, a już zupełnie nieludzkie jest oskarżanie go o sfingowanie własnej śmierci i zabicie dwóch niewinnych ludzi tylko po to, by uniknąć kłopotów w interesach.

Co miał powiedzieć? Czy to, że jeśli jej mąż ją naprawdę opuścił, nie zasługiwał na pięćdziesiąt milionów dolarów, z którymi uciekł? Adam żałował, że nie ma wszystkich odpowiedzi, a naprawdę żałował tego, że te pytania dotyczą jej męża; a jeszcze bardziej żałował tego, że spotkali się w takich okolicznościach. – Czy chce pani, bym wyjaśnił, jak zniknęły pieniądze?

Wyraz jej twarzy był daleki od przyjacielskiego. – Chyba lepsze to niż proszenie mnie, bym pomogła panu wymyślać, co się z nimi stało.

Adam zastanawiał się przez chwilę, jak to się stało, że nagle przeszedł do obrony. – Pani mąż otworzył kilka kont w Inter Federated z depozytami czasami tak niewielkimi, jak kilkaset dolarów, po czym podwyższył dopuszczalne limity pożyczek, które obowiązują w każdym banku. Uciekł się do wypisywania czeków bez pokrycia, o wiele tysięcy przekraczających stan kont oraz udzielania kredytów przewyższających stan kont o setki tysięcy. – Najlepsze, to, co na pewno wywoła jej natychmiastową reakcję, miało dopiero nadejść. – Przez ostatnie sześć miesięcy przelewał pieniądze z tych kont, nie zostawiając żadnego widocznego śladu dokąd idą pieniądze i narażając bank, swoich klientów oraz swoją pozycję przed Nowojorską Stanową Komisją Bankową na ryzyko...

Nie wspominając o naszym życiu. Poderwała się, by go bronić. – To niemożliwe! – wykrzyknęła z pasją. – Pieniądze nic dla niego nie znaczą, nigdy by czegoś takiego nie zrobił...

- Może ma wydatki, o których pani nie wie – zasugerował Adam, nienawidząc nagle tego, co robi...

Nie miała zamiaru pozwolić mu się z tego wywinąć. – Na przykład? – rzuciła wyzwanie.

Adama wzruszyła jej bezbronność, a zbił go z tropu jej mąż i to, co, do cholery, robił. – Jest dużo możliwości w tej sprawie – zaczął i był zaskoczony, kiedy mu przerwała.

- Nawet gdybym chciała założyć, że mój mąż prowadził podwójne życie – przerwała – z drugą żoną lub kochanką – znowu przerwała – czy pięćdziesiąt milionów dolarów to nie jest lekka rozrzutność?

Jej rozumowanie nie było błędne, jednak już zbyt wiele widział w swoim życiu, aby cokolwiek mogło go zaskoczyć. Nakazał sobie zatroskany ton. – To jest trochę nieodpowiedzialne... – Nieodpowiedzialne, tak jak: „Możesz powiedzieć, że jestem nieodpowiedzialny, ale...” Z jakiegoś powodu właśnie wtedy zauważył, że nadal jest w czerni i poza włosami, które teraz miała zebrane spinką na karku, nic się nie zmieniło w jej wyglądzie. – Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, co naprawdę stało się z samolotem...

- Jeżeli pańska teza jest prawdziwa i mój mąż wyłudził wszystkie te pieniądze, więcej jest wart żywy niż umarły stwierdziła.

- Myślałem raczej, że umieścił bombę na pokładzie, po czym wysiadł, powiedzmy, w Houston...

- Mój mąż nie jest mordercą.

- Czy jest pani tego pewna?

Była wściekła. – Oczywiście, że tak. Zaczął naciskać. – Proszę mi coś powiedzieć, co pani uzyska po śmierci męża?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Dlaczego?

- Po prostu nie rozmawialiśmy. Mój mąż jest... – Znowu ten czas terażniejszy. – ...tylko dwanaście lat starszy i zawsze mieliśmy inne zmartwienia. – Nie wyjaśniła tylko, że po tym. przez co przeszli, nie była w stanie rozmawiać o śmierci w związku z nim. I tak, jak ona nie była w stanie rozmawiać o śmierci, tak Danny był niechętny rozmowom o przeciwieństwie śmierci. Porozmawiamy o dziecku, kiedy osiedlimy się w Nowym Jorku; kiedy mieszkanie będzie skończone, kiedy interesy w banku pójdą lepiej, kiedy w szpitalu ustabilizują się godziny pracy, kiedy Rio de la Plata zamarznie, kiedy, kiedy, kiedy... – Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć – zaczęła łamiącym się głosem. Złapała oddech. – Chociaż chcę wierzyć, że mój mąż żyje, to nie jest możliwe.

Adam czekał, sfrustrowany i wściekły, że taka kobieta znalazła się w takiej sytuacji.

Coriander przerwała, by połknąć łzy, zanim napłynęły popychane emocjami słowa. – Jestem w ciąży i kochaliśmy się, więc musiałby być potworem, żeby coś takiego zrobić.

Nie mogła mówić dalej, ale właściwie nie musiała, bo po twarzy Adama jasno było widać, że zrozumiał. Pomyślał o Ewie i zdał sobie sprawę, że po raz drugi w życiu jest tak emocjonalnie roztrzęsiony, aż czuje mdłości...

- Nie wiem, co powiedzieć – rzekł, a później, tak, jakby to było najbardziej naturalne, wyciągnął dłoń ponad stolikiem, by ująć jej rękę. Ku jego zaskoczeniu nie cofnęła dłoni, a nawet zdawała się czerpać pociechę z tych kilku chwil kontaktu.

- Ani ja – wykrztusiła w końcu i zabrała rękę, by wytrzeć kolejne łzy.

- Jest pani pewna, że wiedział?

- Tak – powiedziała cicho i z wielką godnością – wiedział dokładnie.

Adam po prostu siedział tam zatopiony w myślach, zanim w końcu powiedział: – Proszę pani, nie wiem nic na temat pani związku, wiem tylko, że ludzie czasami pakują się w sytuacje, w których na jakiś czas tracą rozum i robią rzeczy, których by nigdy nie zrobili, gdyby myśleli jasno...

- Danny nigdy by tego nie zrobił, nigdy by mnie nie zostawił w takiej sytuacji – powiedziała cicho.

Adam odpowiedział niskim głosem: – Potrzebuję pani pomocy. Zacząłem to wyjaśniać wtedy, w kostnicy... -wskazał na okno.

- Jestem całkowicie świadoma – powiedziała – że chce pan, bym mu pomogła wnieść sprawę przeciwko mojemu mężowi...

Czuł się wyjątkowo podle. – Ta sprawa bardziej dotyczy pani niż kogokolwiek innego. Przecież chce się pani dowiedzieć, czy pani mąż żyje, a jeśli tak, to gdzie i dlaczego, i uzyskać odpowiedzi na wszystkie inne pytania, które się z tym wiążą.

Nieźle to wymyślił. Dowiedzieć się, czy jej mąż żyje, a potem być zmuszoną do konfrontacji z nim, żeby mogła zrozumieć, jak mógł jej, im, coś takiego zrobić...

Jednak ona nie wahała się ani chwili. – Tak – powiedziała po prostu.

To nie wystarczało. Kiedy doszedł tak daleko, wiedział wystarczająco dużo, aby to wszystko znowu odwrócić. – Nawet jeśli to oznacza, że skończy w więzieniu?

Nawet jeśli to oznacza, że ja skończę ze złamanym sercem i zdruzgotanym życiem. – Tak – powiedziała znowu, po czym poprawiła się na krześle.

- Czy mogę zadać pani teraz kilka pytań? – spytał delikatnie.



Przytaknęła.

- Czy wiedziała pani, że samolot miał lądowanie, żeby dotankować w Houston?

- Tak.

- Kto pani powiedział?

- Brat męża.

- Skąd wiedział?

- Ponieważ mój mąż dzwonił do niego z Houston, przynajmniej tak powiedział.

- Czy pani mąż dzwonił do pani z Houston?

- Miałam dyżur w szpitalu przez cały weekend.

- Czy dzwonił tam do pani?

- Nie.

- Czy ma pani automatyczną sekretarkę w mieszkaniu?

- Tak.

- Czy dostała pani jakieś wiadomości podczas weekendu?

- Tylko kilka głuchych telefonów, ale Danny nigdy by nie odłożył słuchawki, zostawiłby wiadomość.

Gdyby nie bawił się w umarłego, zostawiłby wiadomość... – Dlaczego nie pojechała pani z nim do Acapulco?

- Świąteczny weekend na oddziale pourazowym jest jak dyżur po bitwie. Nikt z własnej woli nie zgodziłby się zamienić dyżurami.

Postanowił podjąć ryzyko... – Rozumiem, że poznała pani męża za czasów junty w Argentynie... Przytaknęła... – Byłam jego studentką...

- I rozumiem, że pani mąż był zaangażowany w działalność opozycyjną przeciwko władzy wojskowej.

Na jej twarzy widział mądrość. – Czy to ten pana tajemniczy świadek?

– Kiedy prowadzi się śledztwo, rozmawia się z każdym. Przyjrzała mu się przez chwilę, zanim powiedziała: – Fernando Stampa nigdy nie przebolewał straty syna...

- Czy wini go pani za to?

- Oczywiście, że go nie winię, ale on także nigdy nie wybaczył Danny'emu tego, że go nie znalazł...

- Skąd pani o tym wie?

- Bo wszyscy żyjemy z poczuciem winy, że przeżyliśmy, podczas gdy ludzie, których kochaliśmy, nie przeżyli.

- Czy straciła pani kogoś bliskiego?

- Straciłam najlepszego przyjaciela – uśmiechnęła się smutno. – Ironia losu tkwi w tym, że gdybym nie straciła Hernando, prawdopodobnie nigdy nie wyszłabym za Danny'ego. – Zaczęła opowiadać, a Adam słuchał.

Poznała Hernando w tej samej boliche koło uniwersytetu, gdzie kilka tygodni później poznała Danny'ego. Pewnego popołudnia poszła tam, by się uczyć. Próbowwała się przebić przez esej Borgesa o Don Kichocie, a Hernando przygrywał do tanga na swym bandoneonie, ćwicząc przed wieczornym występem. Przystanął przy jej stoliku i to, co rozpoczęło się jako leniwa rozmowa o Borgesie i tangu, skończyło się obiadem i ożywioną dyskusją polityczną na temat sytuacji w Argentynie.

Hernando Sykes był wydawcą codziennej gazety uniwersyteckiej, która systematycznie atakowała reżim, a on w artykułach wstępnych wyliczał nazwiska, wiek i wszystkie dostępne szczegóły na temat każdej osoby aresztowanej przez tajną policję. Uważał, że dając zaginionym tożsamość nie tylko sprawia, że z danych statystycznych stają się prawdziwymi ludźmi, ale także

daje ich rodzinom i przyjaciołom poparcie, by żądali informacji na temat ich stanu i popełnionego przestępstwa. Z czasem matki i babki z Plaza de Mayo doczekały się czegoś więcej niż wydrukowanie nazwisk ich zaginionych dzieci i wnuków, dostarczały mu zdjęcia, a Hernando także drukował je w swojej gazecie.

Od początku Coriander i Hernando ulegli wzajemnemu zauroczeniu, które było daleko większe od fascynacji fizycznej. Oboje byli w stanie uznać atrakcyjność drugiego nie roszcząc sobie do niego żadnych praw. Chociaż naprawdę się kochali, żadne nie miało złudzeń co do ograniczeń ich związku. Okazało się to i tak bez znaczenia, ponieważ kilka tygodni później Coriander spotkała Danny'ego i wkrótce rozpoczął się ich romans.

Hernando był ładnym chłopcem z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, cichym i poważnym, wysokim i chudym, sprawiającym wrażenie mądrego ponad swój wiek. Miał arystokratyczne rysy swojej argentyńskiej matki – ciemne włosy, wąski nos, wystające kości policzkowe, wyrzeźbione usta, szczere ciemne oczy i różową cerę szkockiego ojca. Poznał Coriander, gdy był już członkiem Montoneros, jednym z uczniów Danny'ego, walczącym marksistą, który wierzył w przemoc jako jedyną drogę do osiągnięcia demokracji. Nawet beret i broda, którą nosił, miały kultywować wizerunek Che...

Pewnego weekendu u schyłku lata Coriander, Danny i Hernando zdecydowali się pojechać do Buenos Aires. Danny miał spotkanie w jednej z kryjówek Montoneros w La Boca w dzielnicy klasy robotniczej nad kanałem Riachuelo, podczas gdy Coriander i Hernando poszli posłuchać tanga i potańczyć w klubie La Verduleria przy Avenida Corrientes. Umówili się, że jeśli Danny się nie pojawi przed zamknięciem klubu, spotkają się z powrotem w domu w La Boca.

Avenida Corrientes była jedną z najruchliwszych ulic w Buenos Aires, znaną jako „aleja, która nigdy nie śpi”, podobna do Times Square, Pigalle, Piccadilly. Światła neonów, bary z fast-food i oświetlone rury zwane kioscos stojące szeregiem wzdłuż ulicy; mnóstwo kin, a także straganów rozmiarów znaczka pocztowego, kafejek ukrytych na tyłach, sprzedających wszystko od zagranicznych gazet, najlepszych wydań książek po najnowsze bestsellery – wszystko popierane przez rząd i cenzurowane.

Kiedyś przystań marynarzy. La Verdueria, została odnowiona w sposób pretensjonalny i na wielką skalę. Karzeł pilnował drzwi, prowadząc ludzi do stolików, podczas gdy piosenkarz otwierał występy potworną imitacją Franka Sinatry, a o trzeciej nad ranem zespół zaczynał grać cumbie, samby i tanga. Coriander i Hernando przybyli w porę, by potańczyć.

Były to niebezpieczne czasy w Argentynie. Rząd niemal nie potrzebował usprawiedliwień do przemocy, kilka linijek wyrecytowanych z wiersza Pabla Nerudy o walce zbrojnej albo fragment czy dwa z Mao mogły wystarczyć. Więcej niż dwie osoby razem to była konspiracja, zagrożenie narodowego bezpieczeństwa, co oznaczało, że unikano zebrań w prywatnych domach. Zamiast tego ludzie spotykali się w miejscach publicznych – restauracjach, na występach, meczach piłkarskich, operze, kinie, na rogatekach, w autobusach, gdziekolwiek, gdzie to było na tyle bezczelne i oczywiste, by nie wzbudzało podejrzeń. O wpół do szóstej Coriander zaczęła się już niepokoić o Danny'ego i o to, co się działo na spotkaniu w La Boca. Poprosiła, żeby Hernando zabrał ją do domu.

Właśnie wyszli z La Verduleria i przechodzili przez Corrientes, idąc ramię przy ramieniu, kiedy to się stało. Szary ford falcon zahamował obok nich z piskiem opon, a z niego wyskoczyło trzech mężczyzn, którzy ich otoczyli. Z cieni i ciszy dochodził odgłos skórzanych podeszew (ratujących chodnik, ciężkie oddechy i chrząkanie, gdy te potwory zaczęły używać pięści i pałek. Nawet karzeł na pierwszy odgłos pisku hamulców uciekł do Verduleria, zamykając za sobą drzwi. Wykidajło zamknął je na klucz. Wiele dni później ktoś, kto był w środku, kiedy to

wszystko miało miejsce, wspominał osobie, która powtórzyła Danny'emu, że przez cały ten czas grano tango, by zagłuszyć krzyki kobiety na ulicy.

Coriander potrzebowała tylko chwili, by zdać sobie sprawę, że to Hernando był ich celem, nie ona. Już na ziemi, skręcał się z bólu, gdy mężczyźni nad nim pracowali, jeden trzymając go za włosy i trzaskając nieustannie po twarzy, drugi zdejmując mu buty i pasek, zaś trzeci – kopiając go skórzanym butem po żebrach.

Coriander była dokładnie pośrodku zamieszania, łapiąc za koszulę Hernando, ściskając jego ramię, wieszając się na nim, gdy go bili. I kiedy się to wszystko działo, po części z powodu hysterii, a po części instynktownie, nieustannie wykrzykiwała jego imię, znowu i znowu, tak jakby nadanie tożsamości mogło mu zagwarantować dalszą egzystencję. W pierwszych dziesięciu sekundach potyczki straciła buty i podarła suknię, w następnych trzydziestu dostała pięścią w prawy policzek i usta, kopnięta w brzuch i odrzucona na bok, gdzie odbiła się od grupy gapiów, którzy natychmiast rozproszyli się i odeszli. Nikt nie chciał mieć z nią nic wspólnego... Znowu była w środku walki, szarpiąc, drapiąc, błagając, pochylając się, by uniknąć uderzeń i pałek, okręcając się wokół chłopca, wieszając się na nim, kiedy ciągnięto go do samochodu. To było bezcelowe. Znowu odepchnięta, wylądowała na ulicy i uświadomiła sobie, iż nie był to przypadkowy atak, że musieli wiedzieć, że Hernando będzie w Buenos Aires tego weekendu. Dopiero kiedy samochód odjechał z piskiem opon, pozostawiając atmosferę terroru i budzącej się ulgi, Coriander udało się wstać. Ludzie wtedy wrócili do życia, odważając się ruszać i szeptać między sobą, znowu zaczął się ruch uliczny i nawet policjanci, którzy patrolowali Corrientes, podglądali zza drzwi, gdzie się pochowali, gdy to wszystko się zaczęło.

Coriander odmawiała przyjęcia jakiegokolwiek oferowanej pomocy: podwiezienia do domu albo do szpitala. Brzydząc się tą nagłą troską, ignorowała ich wszystkich i skoncentrowała się na znalezieniu butów, które w końcu zlokalizowała pod samochodem. Usiadła na skraju krawężnika, by je założyć. Jej myśli pędziły w kierunku tysiąca alternatyw, aż nieświadoma czasu i odległości wyruszyła w kierunku La Boca, niesiona bardziej gniewem niż energią. Lecz od La Boca dzieliły ją mile, a nad budynkami na Avenida Corrientes już wychodziło słońce. W podartej sukience, z potarganymi włosami, siniakami i pobita, szła nie ustając, ignorując samochody i ich pasażerów, którzy wyglądali, aby się jej przyjrzeć. Przeszła tak jakieś dziesięć przecznic i w końcu poddała się, kiedy colectivo zatrzymał się na przystanku. Wsiadła. Jej zmęczenie było wszechogarniające, ból przeszywał jej pierś. Wyglądała przez okno, gdy autobus jechał przez Avenida Pedro de Mendozo i przez most Nicolasa Avellanedy. Na Calle Necochea wysiadła i szła dalej pieszo wzdłuż kanału Riachuelo w kierunku kryjówek Danny'ego obok rozkrzyczanych stołówek i błyskających świateł; nie przestawała iść, potykając się o głośniki stereo, które ustawione były na zewnątrz na chodnikach z tą wrzaskliwą muzyką rockową, obok sprzedawców, którzy próbowali ją zaciągnąć do straganów, obok krytych blachą domów pomalowanych na – jaskrawopomarańczowo, niebiesko, czerwono – z metalowymi klatkami dla ptaków, przewieszonymi przez balkony w nowoorleańskim stylu, wszystkie z ciemnymi malunkami na ścianach, na których pochylone postacie śpieszyły się jak mrówki.

Kiedy Danny otworzył drzwi i zobaczył ją stojącą tam w tym stanie, niemal upadł rażony szokiem. Rzucając się na nią, wtulił ją w ramiona, całował siniaki i wziął na ręce, aby ją wnieść do środka. Wystarczyło tylko jedno zdanie, by wytłumaczyć, co się stało, że junta zabrała Hernando, w następnym zdaniu oboje stwierdzili, że ich jedyną nadzieją jest pójście do ambasady i uzyskanie pomocy jej ojca. Danny zgodził się, że to tylko z powodu dobrych układów Palmera z juntą oszczędzono jej życie. Żadne z nich nie wiedziało o tym, że wówczas w domu w La Boca kręciła się taśma i wszystkie rozmowy Danny'ego były nagrywane, co oznaczało, że generałowie siedzący w Casa Rosada już informowali Palmera Wyatta o tym, że

jego córka odniosła obrażenia. Nawet zanim jeszcze Danny i Coriander weszli do samochodu, by przejechać przez miasto, Palmer już na nich czekał.

Jechali w milczeniu. Coriander siedziała bardzo blisko Danny ego z głową opartą o jego ramię, z ręką na jego udzie. Samochód podjechał pod bramę ambasady i Danny zatrzymał się. Pojawiło się dwóch strażników, jeden skierował się do miejsca kierowcy, drugi do Coriander, obydwaj świecący latarkami, a Palmer już wychodził im na spotkanie.

Coriander otworzyła drzwi i bez słowa wyszła z samochodu. Danny także wyszedł i oparł się o dach. W kilka sekund Palmer był obok niej, gładząc jej twarz i przyciskając jej rękę do swych ust, zbyt przejęty uczuciami, by mówić. Wszystko, co mógł z siebie wydobyć, to urywane okrzyki przerażenia, a potem zaczął bełkotać znowu i znowu: – Nie miało ci się to przydarzyć, o Boże, nie miało się to stać.

Lecz Coriander wyrwała się już z tego uścisku i ze łzami płynącymi po twarzy oskarżała. – Wiedziałeś jeszcze zanim przyjechaliliśmy tutaj, wiedziałeś...

Później Danny przyznał, że nigdy nie widział tak żywego uczucia na twarzy mężczyzny, jak wtedy, gdy ojciec wyjmował chusteczkę, by wytrzeć krew z ust Coriander. – Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczna – to wszystko, co udało mu się powiedzieć drżącym głosem.

– Zabrali Hernando! – wykrzyknęła – Bili go i zabrali go samochodem. Proszę, odzyskaj go, zrób coś...

Było jasne, że Palmer był mniej przygotowany na prośbę córki niż na jej stan fizyczny. Spojrzał ponad nią, poprzez dach samochodu, na Danny'ego. – Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Mógłbym panu zadać to samo pytanie – powiedział Danny, patrząc na Palmera.

- Przestańcie! – krzyknęła Coriander. – Nie traćcie czasu!

Jednak Palmer niechętnie podejmował zobowiązania.

- Na jakiej podstawie sądzicie, że mam władzę, by coś zrobić? – argumentował. – Jestem tu tylko gościem...

- Gdybyś nie miał żadnej władzy, byłabym teraz tam, gdzie jest Hernando – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Proszę, znajdź go i uratuj mu życie.

Palmer zdawała się zastanawiać, po czym odwrócił się, podszedł do budki strażnika i podniósł słuchawkę. Czy Coriander i Danny'ego spotkały się nad samochodem; wystarczył tylko jeden telefon... Po kilku minutach Palmer był z powrotem na dziedzińcu. – Jest w Puesto Vasco.

Westchnęła. Puesto Vasco, więzienie w piwnicach Szkoły Inżynierii Morskiej. – To koniec! – wybuchnęła płaczem.

- On nie żyje.

- Niekoniecznie – powiedział pocieszająco Palmer. – Został tylko oskarżony...

Okręciła się wokół. – Oskarżony? Tak, jakby miał mieć sprawiedliwy proces albo jakby pozwolono mu zadzwonić... – Złapała ojca za koszulę. – Przestań mnie traktować, jak głupią gęś!

Mężczyzna zdawał się nagle odzyskiwać kontrolę nad sytuacją. – Chodź do domu – targował się – obiecuję, że nigdy się już z nim nie spotkasz – wskazał na Danny'ego – a ja spróbuję pomóc, tylko wróć do domu...

– Do domu? – krzyczała. – Ja nie mam domu... Klócili się przez następne kilka minut;

Palmer błagał ją, by wróciła, Coriander odmawiała. W końcu Palmer po prostu się poddał. – Nic nie mogę zrobić dla twojego przyjaciela – powiedział smutno.

Kiedy Danny i Coriander przejeżdżali przez bramy i opuszczali teren ambasady, mogli zobaczyć we wstecznym lusterku Palmera Wyatta wyglądającego na tak bezradnego i załamane, jakby właśnie stracił dziecko. Coriander w kółko powtarzała, że jej ojciec wiedział,

co się stało, zanim zdążyli dojechać do ambasady. Danny się nie sprzeczał. Problem w tym, że żadne nie wiedziało dokładnie, ile powiedziano Palmerowi.

Kiedy dojechali do La Boca, zaczęli dzwonić do każdego, kto im przyszedł do głowy, by uzyskać pomoc. Jak było do przewidzenia, za każdym razem napotykali taką samą reakcję – ludzie stawali się głusi i niemi, odwieszając szybko słuchawki, udając, że nie ma ich w domu, błagając, by ich w to nie mieszać. Pozostali w La Boca przez następnych kilka dni, cały czas i myśli poświęcając na znalezienie Hernando i uratowanie mu życia, a początkowy wstrząs ustąpił. Kiedy wrócili do Cordoby, nie ustalali w wysiłkach, chociaż po jakimś czasie Hernando stał się częścią wydłużającej się listy zaginionych, aż istnienie jego i innych wygasło do stanu bolesnej abstrakcji.

Jako oficjalny powód aresztowania Hernando podano jego wywrotową działalność związaną z wydawaniem gazety na uniwersytecie w Cordobie. Publiczny proces był na użytek świata, a werdykt na użytek Argentyny. Wyrok miał poznać tylko Hernando. Przeparadował przed ławą przysięgłych, uznano go za winnego, skazano na śmierć i znowu wtrącono do więzienia. Sześć miesięcy później Danny opuścił Cordobę dla Buenos Aires, by prowadzić Bank Credito de la Plata i żeby następnej zimy samemu zniknąć.

\*\*\*\*\*

Po latach żałowała tej chwili bardziej niż jakiegokolwiek innej, tak jakby wybrała własne życie kosztem Hernanda, jakby go porzuciła odmawiając porzucenia Danny'ego.

– Więc Hernando jest jednym z zaginionych, a to eufemistyczne stwierdzenie, że nie żyje – powiedział Adam.

W tym momencie powinna była chyba opowiedzieć Adamowi resztę historii, ale ten stan napięcia, niejasności był już chyba jej przyzwyczajeniem. Myślała teraz o tym, co powiedział jej Danny, że ledwie kilka dni przed zamknięciem banku, tuż zanim ją opuścił, Hernando się znowu pojawił. Pozbawiony rąk i z przywiązaniem do ciała bandoneonem został pewnej nocy zrzucony przed La Verduleria. To do Danny'ego Hernando zadzwonił i to Danny pędził na Avenida Corrientes. Tej nocy klub był zatłoczony. Karzeł miał nowy uniform.

- Hernando był więcej niż jeszcze jedną ofiarą reżimu, był moją ofiarą... – Nawet gdyby chciała wtedy to wytłumaczyć, nie mogłaby. Odwracając się na dźwięk swego imienia, zobaczyła swojego ojca. Świeżo ogolony, ze śladami białego talku na twarzy, po prysznicu, z mokrymi jeszcze włosami zaczesanymi prosto do tyłu, Palmer Wyatt ucałował córkę w czubek głowy, po czym przedstawił się Adamowi. Usiadł obok córki. – To jest dosyć niezwykle, prawda – powiedział – przynoszenie pozwu dla nieżyjącej osoby?

- Bardzo – przyznał Adam.

- Więc dlaczego pan to robi?

- Bo on nie wierzy, że Danny nie żyje – odpowiedziała Coriander ze wzrokiem utkwionym w Adama.

- Czy ma pan powody, by w to wierzyć?

- Wystarczające – powiedział wymijająco Adam. Zerkając na córkę, Palmer zapytał delikatnie: – Czy jest coś, w czym mógłbym pomóc?

Coriander pokręciła głową. – Nie sędzę.

Palmer wydawał się strapiiony. – Słuchaj, obawiam się, że mam przykre wieści – zaczął. – Zdaje się, że Jorge nakazał kremację szczątków.

- Wiem – powiedziała – pan Singer mi powiedział.

- Kto powiedział panu o kremacji? – spytał Adam.
- Jorge Vidal – odpowiedział Palmer.

Adam ledwo pokiwał głową. Pojawił się kelner i Adam poprosił o rachunek, ale wyglądał na rozkojarzonego. Kiedy kelner odszedł, Adam zwrócił znowu swoją uwagę na Palmera Wyatta. – Czy Jorge Vidal wspomniał o czymś jeszcze?

Palmer potrząsnął głową. – Nie jesteśmy właściwie w takich stosunkach, by mi się zwierzał...

- Nic na temat czarnej skrzynki?
- Nic – powiedział Palmer, gdy kelner wrócił z rachunkiem. – Mam nadzieję, że nie wychodzi pan z mojego powodu...

Adam potrząsnął głową. – Nie, właściwie mam umówione spotkanie z księdzem – powiedział, sięgając do kieszeni po pieniądze.

- Z jakim księdzem? – spytała Coriander.

Adam spojrział na Palmera, zanim odpowiedział. – Zdaje się, że jeden z miejscowych miał wizję – specjalnie wyrażał się niejasno. – Zobaczył Jezusa przy drodze między Cerro el Burro i Chilpancingo.

- Co to ma z tym wszystkim wspólnego?

Adam wstał. – Zawsze interesuje mnie duchowa strona spraw. – Palmer też wstał i wyciągnął rękę. – Miło mi było pana poznać. – Uścisnęli dłonie.

Zaskoczyła go. – Czy da mi pan znać?

– Będę w kontakcie – powiedział, a ich oczy spotkały się. Znowu go zaskoczyła. – Czy ten miejscowy, który widział Jezusa, widział także wypadek?

- Naprawdę nie wiem, co widział – odpowiedział Adam, wsuwając rękę do kieszeni po wizytówkę. Zwrócił się do Palmera. – Czy będzie pan przez jakiś czas w Nowym Jorku?

- Tak i w Waszyngtonie – odpowiedział Palmer, także sięgając do kieszeni po wizytówkę. Odwrócił ją, aby naskrobać coś na odwrocie. – Tutaj są wszystkie moje numery w Buenos Aires, a także w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

Adam wsunął wizytówkę do kieszeni. – Niech pani o siebie dba – powiedział, patrząc na Coriander i przysięgając sobie, że od tej chwili nie da się już schwytać w żadne emocjonalne pułapki. Mógłby równie dobrze przysięgać, że przestanie oddychać, ponieważ sprawa była od początku do końca przegrana – odkąd ją tylko zobaczył na oddziale pourazowym. – Porozmawiam z panią w Nowym Jorku.

- Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały tak, jak zamierzał, jak niejasna sugestia oficjalnej obietnicy, która niosła z sobą tylko zawodowe motywy. Przeszedł przez salę i wyszedł na zewnątrz. Po jego wyjściu Palmer w końcu powiedział: – Nie ufam mu.

- Nie musisz mu ufać – powiedziała delikatnie Coriander.
- Nie mam zaufania do tego, co robi – poprawił się Palmer.
- Próbuje znaleźć Danny'ego.
- Nie podobają mi się jego powody.
- Powody tak naprawdę się nie liczą.

Palmer sięgnął, by ją złapać za rękę. – On nie żyje, Coriander.

Mały mięsień drgał na jej szczęce. – Uwierzę w to, jeśli będę miała jakiegokolwiek dowody, że był w tym samolocie.

Palmer zniżył głos. – Przynajmniej dla dobra twojego dziecka, Coriander – wyszeptał – powinnaś mieć świadomość reperkusji. Nie zdajesz sobie sprawy, że prokurator okręgowy może trzymać pozew otwarty w nieskończoność i po oskarżeniu firmy czarterowej nigdy nie otrzymasz

nawet centa. Dopóki istnieć będzie cień wątpliwości, że Danny zginął w tym wypadku, nie będziesz nawet mogła wnieść przeciwko nim oskarżenia.

Była tylko lekko zaskoczona. – Nie mam zamiaru wnosić oskarżenia przeciwko firmie czarterowej – powiedziała.

- A jakim cudem zdążyłeś się dowiedzieć o tym pozwie?

- Jorge mi powiedział.

Irytacja była ewidentna. – O czym jeszcze ci powiedział?

- Powiedział mi, że bank jest zadłużony, więc byłoby mądrze nie odrzucać możliwości szybkiego wniesienia oskarżenia. Zadłużony, to mało powiedziane. Mówi się, że w poniedziałek ma zostać zamknięty przez Nowojorską Stanową Komisję Bankową, co oznacza, że cały majątek, który twój mąż posiadał, zostanie zajęty. – Palmer wyglądał na zatroskanego. – Jak zamierzasz utrzymać mieszkanie?

- Nie zamierzam – odpowiedziała po prostu.

Palmer próbował innej sztuczki. – Danny nie pochwaląby komitwy, w którą zdajesz się wchodzić z tym człowiekiem.

- Danny'ego tu nie ma – odparowała, chociaż ta myśl już jej przyszła do głowy. Lecz jak szybko przyszła, tak szybko ją odrzuciła. W najmniejszym stopniu nie przejmowała się aprobatą lub jej brakiem ze strony ojca, a tym bardziej ze strony męża. Liczyło się tylko to, by się dowiedzieć, czy ich wspólne życie było całkowitym, absolutnym kłamstwem i dla tej wiedzy Coriander zawarłaby pakt nawet z diabłem.

- Jorge zamierza dać ci urnę z prochami Danny'ego.

- Powiedz mu, by się nie kłopotał.

- To jest w protokole, Coriander – delikatnie naciskał Coriander.

- Więc ty ją weź – powiedziała – to twoja branża.

- Musisz postarać się stawiać czoło rzeczywistości i myśleć głową, a nie sercem.

Odrzuciła się, by nie widział jej łez. Rzecz w tym, że stawiała czoło rzeczywistości, bo inaczej byłaby chętna zachowywać się jak idealna argentyńska żona oplakująca męża i wziąć tę cholerną urnę napełnioną tymi nieznanymi prochami. Lecz nawet Danny znał ją na tyle, że nie spodziewałby się, że to zrobi. Dziwne było to, że jej uczucia zwracały się do początku, kiedy po raz pierwszy się w nim zakochała i straciła go. Jakoś nieustannie w wyobraźni widziała siebie między tymi kobietami, które maszerowały na Plaza de Mayo tak dawno temu, tymi, których mężowie i synowie zaginęli.

## Rozdział 10

Był to dzień wypłaty w Patagonii. Czterdzieści sześć milionów czterysta tysięcy dolarów w banknotach o dużych nominałach transportowano dwusilnikową cessną, która właśnie podchodziła do lądowania na prowizorycznym pasie na estancia wzdłuż brzegów kanału Beagle niedaleko Ushuaia. Karol Darwin przewędrował Patagonię aż po najbardziej na południe wysunięte miasto na ziemi – Ushuaia, by badać teren oraz życie Indian. Po ośmiu latach osamotnienia w tym odległym kraju powrócił do Anglii, by dać światu swą teorię ewolucji, która jakoś nie brała pod uwagę Boga...

W oddali postrzępiony szczyt Monte Olivia wznosił się na wysokość kilku tysięcy metrów, otoczony pięcioma zaokrąglonymi wzgórzami zwanymi Cinco Hermanos, a wszystkie nakryte były czapami śniegu i wyglądały na gęsty las po obydwu stronach kanału Beagle.

Pieniądze zapakowane były w 46 pudełkach po butach, po milionie ciasno upchniętym w każdym, w banknotach, które nie były ani zniszczone, ani podarte. Same pudełka pochodziły z całego świata, niektóre od Gucciego i Westona, niektóre nosiły znak Florsheim albo Bally, jeszcze inne sieci sklepów obuwniczych ze zniżkami – Eram z Francji i Fayva z Ameryki; wszystkie mieściły się w dwóch torbach uszytych z materiału ze spadochronów, wybrzuszonych z nadmiaru zawartości.

Samolot pilotowany był przez starego Jugosłowianina, który przed wieloma laty osiedlił się w małej jugosłowiańskiej społeczności w Povenir, mieście po chilijskiej stronie Cieśniny Magellana. Kiedyś marzeniem pilota była praca w Aerolinas Argentinas i zaoszczędzenie takiej ilości pieniędzy, która pozwoliłaby mu wrócić w aureoli bohatera do swego rodzinnego miasta w Chorwacji. Na karb niepowodzenia należy niewątpliwie złożyć fakt, iż mężczyzna upijał się w pewnym barze w pobliżu chilijskiej bazy marynarki wojennej po każdym krótkim przeskoku przez cieśninę. Następnie – było to niemal rytuałem – jechał do przystani promów w Porvenir, by przeczytać na drogowskazie odległość do Jugosławii – zaledwie 19662 kilometry od chilijskiego Tierra del Fuego.

W pobliżu *estancia*, gdzie samolot podchodził do lądowania, rozciągała się kamienista plaża, pusta poza jednym człowiekiem, który czekał stojąc pośród stada morskich ptaków; jego traperzy rozgniatały małże i skorupy krabów za każdym razem, gdy niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. W pobliżu para biało-czarnych siewek krzyczała i paradowała dokoła rodziny padłych pingwinów; nieżywe ptaki przypominały małe dzieci ubrane w świąteczne garnitury do trumny. Mężczyzna był krępy, jego ciało kiedyś było muskularne, miał zdrową cerę, a jego głowa, twarz i powieki pozbawione były włosów. Przez ramię miał przewieszona krótką broń – belgijski FNŁ, a za pasem spodni helcona.

MacKinley Swayze znaczył wiele dla wybranej grupy ludzi w Ameryce Łacińskiej, chociaż jego kariera najemnika zaczęła się po drugiej stronie świata. Jego miłość do wojny i broni zaprowadziła go w latach pięćdziesiątych z pracy w fabryce w Altoona w Pensylwanii na Kubę i później do Wietnamu w 1969 roku, gdzie pracował jako mechanik pokładowy dla Vietkongu, obsługując sowieckie samoloty transportowe, przewożące oddziały północnego Wietnamu do Hanoi i z powrotem. Wsławił się jako specjalista od materiałów wybuchowych wytwarzając bombę do wysokościomierzy z trójtoluenu trotylu lub TNT – materiału zwykle używanego do wybuchu w pociskach artyleryjskich. Swayze odkrył, że ta substancja chemiczna, użyta w wystarczająco dużych ilościach, może wysadzić samolot, a dokładnie amerykański 707, który został wynajęty od stanowej firmy czarterowej. w jeden weekend przewiózł prawie połowę 101 kompanii z Sajgonu. Swayze kupił wysokościomierz do bomby w sklepie na terenie bazy amerykańskiej, ukrył go razem z materiałami wybuchowymi w przyborniku i nastawił czasomierz tak, aby samolot wybuchł w momencie wznoszenia nad Morzem Południowochińskim. Na jego usprawiedliwienie – nie było ani jednej cywilnej ofiary.

Nie był nieatrakcyjny, mimo spustoszenia, jakie uczyniło na jego głowie łysienie. Właściwie jego błyszczące czarne oczy, osadzone w tej idealnie bezwłosej twarzy, były niemal zmysłowe, tak chłoniły wszystko wprost do serca, umysłu, pamięci. Kurczowo uczepiony wspomnień swej nastoletniej kubańskiej narzeczonej, która zmarła przy porodzie w przeddzień upadku Batisty, Swayze dawno temu już zrezygnował z kobiet. A może ta koścista Kubanka z niepełnym uzębieniem i posiniaczonymi kolanami zmarła z powodu zaawansowanej rzeźączki, trudno powiedzieć. Jakakolwiek była przyczyna, Swayze zniknął wkrótce po jej śmierci i śmierci noworodka płci męskiej. Zniknął z pola widzenia gdzieś między Kubą i Salwadorem; bezużyteczny, utrzymywali niektórzy, chory i oszalały ze smutku, twierdzili inni, podczas gdy jeszcze inni przysięgali, że nic z tych rzeczy, że na pewno jest gdzieś w Ameryce Łacińskiej



ćwicząc komandosów na przyszłe rewolucje. Kiedyś na początku lat siedemdziesiątych pojawił się w Argentynie, gdzie wraz z kilkoma walecznymi jezuitami, kilkoma byłymi prawicowymi katolickimi properonistami i paroma intelektualistami z wyższej klasy średniej, zafascynowanymi przemocą, założył Montoneros. Albo dokładniej, założył na nowo Montoneros, ponieważ istnieli na sto lat przed Peronem jako gauchos i caudillos, którzy ścierali się z oddziałami hiszpańskimi przy wyzwolaniu Argentyny.

\*\*\*\*\*

Stojąc na patagońskiej plaży w ten mroźny dzień szóstego lipca w środku typowej argentyńskiej zimy, Swayze ani na chwilę nie spuścił oczu z drzwi cessny. Wyraz jego twarzy przechodził od agresji do cichej rozpaczy, w miarę jak obserwował, że silniki samolotu schodzą z obrotów. Wyl wiatr, niosący morską wodę wprost na okna samolotu. Pokryty płótnem trap zrzucony z otwartego luku kiwał się we wszystkie strony na wietrze. Pojawił się samotny pasażer. W jednym ręku trzymał czarną aktówkę, podczas gdy druga ręka ścisnęła skręcony uchwyt z liny. Osiągnąwszy ostatni stopień trapu nastąpił na twardy piasek, wsuwając wolną rękę do kieszeni swego trenca. Z głową ukrytą za podniesionym kołnierzem cofnął się kilka kroków, zrobił kilka do przodu, chwiał się na boki, broniąc się przed wiatrem i wodą, kierując swe kroki do jednoosobowego komitetu powitalnego.

Swayze powitał go z niekłamana radością, przesuwając pistolet na bok, by wziąć przybyłego w niedźwiedzi uścisk.

- Cóż za ciekawe spotkanie na końcu świata, Danny Vidal.

- Śmiejąc się i poklepując go po plecach, Swayze rozluźnił uścisk i wyciągnął rękę po aktówkę.

Danny odsunął aktówkę poza zasięg jego ręki, jego ciemne oczy błyszczały, gdy patrzył wprost w oczy Swayze'ego. – Wiele czasu minęło, Mac – powiedział z miękkim śpiewnym akcentem; nieznaczny uśmiech igrał w kąciku jego ust. – Mucho tiempo – dodał i utkwiał wzrok nad głową mężczyzny, przeszukując plażę w zasięgu wzroku w obawie przed niespodziewanymi komplikacjami.

- Stampa poszedł do prokuratora okręgowego – oznajmił Swayze.

- To nie było zupełnie nieoczekiwane – Danny rzucił lekkim tonem. – Skąd wiesz?

- Specjalny śledczy z Biura Prokuratora Okręgowego pojawił się w Chilpancingo z pozwem w kieszeni adresowanym do ciebie.

Z początku było to niemal komiczne, chociaż, gdy odpowiedział, w jego głosie nie było ani radości, ani braku powagi. – Pozew dotyczący czego?

- Tego miliona dolarów – odpowiedział Swayze, wskazując dłonią jeepa cherokee zaparkowanego na piasku kilka metrów dalej. – Nachodzi także twoją żonę – dodał, uciekając spojrzeniem w bok.

Jego Coriander jest zbyt mądra, zbyt twarda, zbyt mu ufała, by uwierzyć, że mógł sfabrykować własną śmierć; nie wierzyłaby w to nawet przez chwilę. Danny nic nie mówił, gdy szedł ze Swayze'em do jeepa.

- Jesteś zwykle ostrożny, mój chłopcze – powiedział Swayze – ale to był duży błąd. – Przerwał i skinął na starego Jugosłowianina, który podszedł z torbami w obydwu rękach. – Porozmawiamy o tym w samochodzie. – Pilot wrzucił torby na tylne siedzenie jeepa i czekał na zapłatę. Swayze sięgnął do kieszeni i wręczył mężczyźnie kopertę.

- Będę z tobą w kontakcie, Milos – powiedział. Jugosłowianin skinął głową, wepchnął kopertę za pas, prawie nie patrząc na mężczyznę, po czym zawrócił do samolotu. Swayze odpiął

broń i umieścił ją na tylnym siedzeniu. Za chwilę wyprostował się i przytrzymując otwarte drzwi dla Danny'ego, spytał tonem zatroskanego ojca: – Po co, do diabła, hombre zabrałeś ten milion dolarów...

- Dla Coriander – powiedział po prostu Danny i wsiadł do samochodu.

Swayze potrząsał głową, gdy przechodził dookoła na drugą stronę, otwierał drzwi i wsiadał do jeepa. Siedział tak przez moment, nie dotykając kluczyków ani stacyjki.

- Jak ma dostać te pieniądze? – zapytał w końcu. – Nie możesz przesyłać ich co miesiąc z adresem zwrotnym na kopercie, na miłość boską, hombre! – Potrząsając znowu głową, wyciągnął rękę, by poczochnąć włosy Danny'ego.

- Może zamierzasz odliczyć sobie to od podatku jako alimenty? – Uśmiechnął się.

- Wszystko jest załatwione – powiedział Danny i popatrzył z niejasną niepewnością na wzburzone wody.

- Wiesz, Danny, kocham cię jak syna i znam takie uczucie dla kobiety, wiesz, że znam, ale to dotyczy nie tylko nas, to dotyczy wielu innych osób. – Przerwał i znowu przeszedł na żartobliwy ton. – Więc, o co w tym wszystkim chodzi? Pożegnalny dar miliona dolarów, czy tak? Dostyc hojnie, nawet jak na ciebie, nieprawdaż?

- Jaka to robi różnicę? Nie żyję, pamiętaj.

- Danny, posłuchaj mnie – powiedział Swayze poważnie. Pozostawianie za sobą śladu emocji sprawi, że ludzie zaczną się zastanawiać, czy naprawdę nie żyjesz. Potrzeba tylko, żeby jeden ambitny asystent prokuratora okręgowego nad tym posiedział. Poobserwuje Coriander tak długo, jak będzie trzeba, gotów to robić poza godzinami pracy i wierz mi: nie jest to trud ani kłopot. – Otworzył okno, aby splunąć i znowu je zamknął. – Są gorsze zajęcia, hombre, niż odwiedzanie co jakiś czas twojej pięknej kobiety, by ją przesłuchać. Wierz mi, on nie będzie miał powodu, by porzucać tę sprawę, jeśli poczuje, że istnieje najmniejsza wątpliwość. Lepiej nawet nie myśl o kontaktowaniu się z nią, słyszysz? Po prostu zapomnij o tym – powiedział znowu – albo zniszczysz wszystko, nad czym pracowaliśmy.

Zniszczysz wszystko... Danny nawet nie mógł zliczyć, ile razy byli o włos od totalnej klapy i za każdym razem to on znajdował rozwiązanie, jak wybrnąć z opresji. Ostatnio pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy znalazł sposób, by zdobyć wystarczająco dużo pieniędzy na nadchodzące lata. Wtedy zdecydował, że potrzebny im jest bank, w którym będą prane wszystkie dochody z porwań i napadów. Jednak na otwarcie banku potrzeba pieniędzy, a Danny wpadł na pomysł nie tylko, jak zdobyć wystarczającą ilość gotówki na wykupienie banku, ale jak dokonać przy tym politycznego oświadczenia, które usłyszy cała Argentyna.

Dyrektor wiodącego monopolu zboża i mąki z młynami na całym świecie, a sztabem w Buenos Aires, był śledzony, gdy pewnego ranka opuszczał dom. Zawrócony z głównej drogi przez „policjantów”, trzymających światła uliczne na baterie, został napadnięty z ukrycia przez około dwudziestu „monterów telefonicznych”, a w rzeczywistości przez cztery plutony Montoneros z kolumny Evy Peron. W ciągu kilku godzin Swayze skomponował „komunikat wojenny” oświadczając, że mężczyzna postawiony będzie przed sadem za „zbrodnie przeciwko robotnikom”. Główne oskarżenie dotyczyło tego, że rząd magazynuje towar, by wymusić wzrost cen z korzyścią dla korporacji, która z kolei daje łapówki kilku wysoko postawionym członkom junty. To Danny ustalił cenę za głowę mężczyzny na sześćdziesiąt milionów dolarów, która była największym okupem w historii, ale przedsiębiorstwo zapłaciło go w ciągu tygodnia w zamian za bezpieczne zwolnienie szefa. Osiągnąwszy ceł Montoneros rozpoczęli agresywną kampanię reklamową, wnosząc gigantyczne plakaty dookoła Buenos Aires, opłacając małe ogłoszenia w zachodnich gazetach oraz rozdzielając żywność i ubrania z tuzina pełnych ciężarówek

mieszkańcom dzielnic klasy robotniczej i VMas miserias, oświadczając światu, że pieniądze ludu zwrócono w końcu prawowitym właścicielom.

Z sześćdziesięciu milionów wypłaconego okupu dziesięć milionów wykorzystano nie tylko na wyżywienie ludzi i na reklamę, ale także na zakup broni i amunicji oraz napełnienie mmi porzrzucanych po całym kraju kryjówek i estancia Montoneros. Pozostałe pięćdziesiąt milionów stanowiło zapłatę za Bank Credito de la Plata. Montoneros znowu działali. Danny Vidal miał nowy zawód. Coriander to była inna historia...

Dobre czasy trwały do 1976 roku, kiedy do władzy doszedł generał Videla. Zamknięcie banku i aresztowanie urzędników zabrało juncie tylko miesiące. Tylko Danny'emu udało się uciec do Hawany z większością gotówki. Dziesięć lat. sześć miesięcy, trzy tygodnie i czternaście dni – potem pieniądze prawie się skończyły, zostały zużyte, by podtrzymywać umierającą rewolucję. Związek Radziecki zbankrutował na komunizmie uznanym za złą inwestycję. Kuba została sama... Wtedy to Danny pojawił się w Nowym Jorku, by zacząć po raz kolejny od nowa, by wskrzesić Montoneros do jeszcze jednej rundy.

Będąc jeszcze w Hawanie, dowiedział się, że bank Inter Federated w Nowym Jorku jest na sprzedaż. Nawiązał odpowiednie kontakty w pewnych kręgach finansowych, by z powodzeniem wynegocjować zakup, układając równocześnie pięcioletni plan, by zebrać następne pięćdziesiąt milionów dolarów. Każdego miesiąca Fernando Stampa przewoził aktówkę zawierającą sześćset tysięcy dolarów gotówką do Hawany – procenty z rachunków depozytariuszy. Swayze czekał, by zdeponować pieniądze w Kubańskim Banku Narodowym, poprzez który można było kupić broń, nakarmić oddziały i podtrzymywać ideologię. Niestety, układ trwał tylko sześć miesięcy, dopóki Inter Federated nie popadł w nieodwracalną katastrofę finansową. W kufrach Montoneros w Hawanie leżały tylko trzy miliony sześćset tysięcy dolarów. Potrzebne było tylko czterdzieści sześć milionów, czterysta tysięcy, by osiągnąć te pięćdziesiąt milionów...

Z biegiem czasu bank popadał w coraz większe długi. Jedynym rozwiązaniem dla Danny'ego było użycie kapitału depozytariuszy zamiast ich procentów, by sfinansować bazę działań Montoneros na Kubie. Rewolucja nie jest tania. Gdy w grę wchodzi uratowanie świata, trudno szukać tanich okazji. Wkrótce sprzeniewierzenie pieniędzy i wystawianie czeków bez pokrycia stało się codzienną rutyną, wszystko, aby zebrać te miliony.

Na miesiąc przed weekendem Czwartego Lipca Danny był już świadomy, że Nowojorska Stanowa Komisja Bankowa i Biuro Prokuratora Okręgowego prowadzi dochodzenie, które w końcu doprowadzi do oskarżenia go. Na tygodnie przed tym ostatecznym świątecznym weekendem miał także świadomość, że bank nigdy nie przetrwa dochodzenia. Dla niego obydwie rezultaty oznaczały osobiste poniżenie, aresztowanie, a nawet możliwą deportację z powrotem do Argentyny. Zniknięcie było jedynym rozwiązaniem. Kiedy w końcu podjął decyzję i wyszedł z banku przed świętem Czwartego Lipca, wszystkie te miliony zostały już przerzucone poprzez Hernando do Houston. Dodatkowy milion znajdował się w aktówce Danny'ego. Miał go przekazać Hernando w Houston, który da go Jorge, a ten z kolei dostarczy pieniądze Coriander.

Swayze powiedział to znowu. – Głupio, Danny. Zabranie tego ostatniego miliona było głupią pomyłką.

– Bardzo wysoko na liście głupich pomyłek jest zabicie tego Meksykanina.

Z ręką na sprzęgle, gdy wrzucał drugi bieg, Swayze przyśpieszył na wydmie. – Widział wybuch, pojawił się na posterunku policji, kiedy Jorge i ja załatwialiśmy jeszcze sprawy i utrzymywał, że widział, jak samolot wybuchł w powietrzu.

- Jeśli on to widział, to ilu innych także widziało? Co zamierzacie zrobić, wymieść cały teren?

- Będziemy robić to po kolei, a z tym akurat nie mieliśmy wyboru. Twój brat i Hernando właśnie uzgodnili z kapitanem policji cenę za wstrzymanie przez przynajmniej cztery godziny raportu o katastrofie. Potrzebowałem czasu, by dotrzeć na miejsce i znaleźć czarną skrzynkę. A oprócz tego...

Danny wolno kiwał głową. – Potrzebowałeś jeszcze jednego ciała w kostnicy, czyż nie?

Swayze roześmiał się. – Kawałki były do przyjęcia...

Pomyślał o Coriander w kostnicy w Chilpancingo identyfikującej te kawałki... – Gdzie jest teraz czarna skrzynka? – zapytał, chcąc porzucić ten temat, a z nim pozbyć się wszystkich tych obrazów...

- To inny problem. Mam większą jej część, wykupiłem ją od starej kobiety na miejscu katastrofy, ale nie mam jeszcze całości.

- To świetnie – powiedział Danny z sarkazmem.

- Nie martw się, zdobędziemy ją. Ci chłopcy na górze nie wiedzą nawet, co mają. Grabili po prostu wszystko, na czym mogli położyć łapy. Jorge nad tym pracuje...

Znowu w głosie Danny'ego był sarkazm. – To wielka ulga. – Wyciągnął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i założył je. – Ta czarna skrzynka była twoim drugim błędem – upominał spokojnie. – Trzecim było to, że na lotnisku w Houston nie czekała na mnie informacja na pagerze. Co się stało?

- Jorge był zajęty czymś innym – odpowiedział wymijająco.

Danny wyglądał na oburzonego. – Bez wątplenia czymś mało znaczącym. Powinieneś był przypilnować, aby o niczym nie zapomniał.

- Miałem ręce pełne policji.

- Niewiele brakowało...

- Co zrobiłeś, gdy zdałeś sobie sprawę, że Jorge zapomniał zadzwonić? – zapytał Swayze zniecierpliwiony, chcąc zmienić temat.

- Wykręciłem kilka numerów telefonicznych, o których wiedziałem, że nie odpowiedzą. – Wzruszył ramionami. – Później powiedziałem, że mam pilny interes do załatwienia w Houston.

- Zaoferował, że poczeka?

- Przestał oferować, kiedy mu przypomniałem, że mój brat czeka w Acapulco z jego pieniędzmi.

Swayze nie spuszczał wzroku z drogi. – Do kogo zadzwoniłeś?

Musiał po raz ostatni usłyszeć jej głos. – Zadzwoniłem do domu i odwiesiłem słuchawkę, gdy usłyszałem automatyczną sekretarkę.

Swayze wyglądał na nagle zaniepokojonego. – Cóż, już prawie po wszystkim, jeśli prokurator okręgowy zadecyduje, że ma lepsze rzeczy do roboty niż walka z meksykańską biurokracją i jeśli uzna, że nie ma korzyści z walki z wdową po tobie.

- Ona da sobie radę.

- Nie jestem taki pewien.

Nie miało sensu drażnienie tego tematu. Nie zależało mu na tym, by o niej rozmawiać. – Jorge nienawidzi widoku krwi – powiedział nagle.

Swayze zrozumiał. – Dobrze mu zrobiło to, że zabiłem tego Meksykanina, bo to tak nim wstrząsnęło, że wyglądał na człowieka, który rzeczywiście stracił brata w katastrofie samolotowej. – Zmieniając bieg, Swayze przyspieszył na zakręcie. Jeep zatoczył się w przód, gdy wjechał w stos kamieni. – Do tamtego momentu bardzo dobrze się bawił, niezwykle mu odpowiadało wplątanie w intrygę. Dopiero zabicie tego Meksykanina sprowadziło go na ziemię. – Swayze mrużył oczy przed promieniami słońca przebijającymi się przez szare chmury. – Chociaż nie jestem pewien, czy podoba mu się to, co się dzieje teraz.

- Co masz na myśli?
- Mam na głowie kremację i sprawy bankowe i wszystkie inne problemy.
- Jakie inne problemy?
- Na przykład z wdową po tobie...

Na przykład. Kłamca, złodziej, morderca, a teraz jeszcze to: człowiek, który opuścił swoją żonę nie zostawiając nawet kartki, a ona nigdy nie dowie się, dlaczego. Przez większość swojego życia Danny był po trosze każdym z wymienionych, z różnych powodów – trochę politycznych, bardziej finansowych, trochę z obowiązku, bardziej z wyboru. Był przede wszystkim człowiekiem w najwyższym stopniu pozbawionym szacunku dla konwencji i moralności, obdarzonym jednocześnie zaskakująco dobrym instynktem politycznym w sprawach lojalności i pieniędzy. Co więcej, był człowiekiem niezwykle wyczulonym na niebezpieczeństwo; szósty zmysł dyktował mu, co robić i dokąd pójść, by utrzymać się przy życiu i dalej funkcjonować. Bez jego czaru, wdzięku, jego błyskotliwości i inteligencji byłoby mu jeszcze trudniej.

Widział teraz swoją Coriander w drodze do krematorium, później stojącą jak dobry mały żołnierz, całą w czerni dopełnionej pamiątką rodzinną, czarną mantylką Sarmiento z koronki, upiętą dookoła głowy i ramion. Widział ją przyjmującą urnę – jej bursztynowe oczy wypełnia rozpacza, a usta trzęsą się, idealna oplakująca męża argentyńska żona. Tylko że on znał ją lepiej.

Swayze znowu mówił. – Będziesz tutaj na razie bezpieczniejszy niż na Kubie. Zbyt dużo agentów CIA i FBI zalewa Hawanę, tak czy siak, Danny, chłopcze, potrzebujesz odpoczynku, by oderwać umysł od tych spraw. Ushuaia to kraj dla mężczyzn, tu zapomnisz o wszystkich kobietach. – Kobiety, tak jakby kiedyś była jakakolwiek inna oprócz niej... Swayze obrócił się, by go poklepać po ramieniu.

– Kiedy wszystko ucichnie, a ten pozew pójdzie w zapomnienie i dochodzenie w Nowym Jorku zostanie umorzone, wyjedziesz na Kubę. Fidel czeka na ciebie z otwartymi ramionami.

– Zmienił się?

- Wcale się nie zmienił, co prawdopodobnie doprowadzi w końcu do jego upadku – prorokował Swayze. – Posiwał i przytył i nie ma takiej kondycji, by mówić godzinami, ale nigdy nie popuści, będzie się zawsze trzymał, dopóki go nie wyniosą z Pałacu Ludu. – Swayze oparł się wygodnie za kółkiem. – Przynajmniej miałeś ją przez trzy lata, hombre, kiedy reszta z nas przesiadywała w dżunglach lub w więzieniach. Niektórzy mężczyźni nigdy nie mają takiej kobiety.

\*\*\*\*\*

Drogo jednak zapłacił za swoją Coriander. Zamykając oczy, przypomniał sobie to przyjęcie świąteczne w 1978 roku po ich pierwszym spotkaniu na uniwersytecie w Cordobie. Ambasador Palmer Wyatt mógłby być pomarszczonym sprzedawcą pudełek, gdyby nie jego urok i kultura; sznurowane buty i zapinane kołnierzyki były jego znakiem firmowym, to, i słabość do starej whisky i młodych kobiet. Dobry stary znajomy republikanin, właśnie taki, jaki był potrzebny w Buenos Aires, by pomóc juncie uczynić jeszcze większy zwrot w prawo, by stosować więcej tortur i zaprowadzić większy terror, pomyślał gorzko. Lecz Swayze miał rację co do jednej sprawy, nie wszyscy mieli kobietę taką jak Coriander, a ta świąteczna noc była tylko jednym przykładem, że każdy, kto ją poznał, myślał tak samo...

Widział ją ciągle stojącą w tym orszaku powitalnym, ubraną w ciemnoróżową aksamitną suknię, z ciemnoróżową aksamitną wstążką wplecioną w długie włosy. Wyglądała tak nieśmiało, tak bezbrinnie, tak ślicznie z jednym odkrytym ramieniem, rękoma wykonującymi ruchy, o których później dowiedział się, że są typowymi nerwowymi gestami tego jej odznaczającego się

obojczyka tuż nad tą imponującą przełęczą. Tej nocy zachowywano szczególne środki bezpieczeństwa i było to zrozumiałe po masie pogroźek, jakie w ambasadzie odebrano, kiedy po masakrze w Villa Devoto Wyatt stanął po stronie junty. Piętnastu dodatkowych ochroniarzy uzbrojonych w uzi otaczało ambasadora i jego córkę. Nie była to jednak na tyle wystarczająca ochrona, by uniemożliwić otrzymanie zaproszeń Danny'emu i kilku innym wielce szanowanym biznesmenom, należącym do Montoneros. Danny otrzymał je od Coriander, natomiast pozostali byli na stałej liście gości. Lecz piękno i równocześnie siła tej grupy tkwiła właśnie w tym, że jej członkowie mogli przeniknąć do każdej tkanki argentyńskiego społeczeństwa, a w tym samym czasie spiskowali, przygotowując jego upadek.

Opierając się o marmurowa kolumnę, Danny ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku, obserwując jak próbowała prowadzić rozmowy ze wszystkimi swoimi gośćmi, którzy podchodzili do orszaku uściskać dłonie, prawić komplementy, dowiedzieć się o szkołę albo wspomnieć, że mają syna, bratanka, kuzyna, wnuczka, przyjaciela, który może przejeżdżać przez Cordobę. Może młody mężczyzna mógłby do niej zadzwonić... Wyglądała tak niespokojnie, jakby każda minuta tego wieczoru była nie do zniesienia...

\*\*\*\*\*

Swayze znowu mówił, przerywając jego sen na jawie, by przypomnieć o tym cholernym milionie dolarów. – Za tyle pieniędzy, hombre, mógłbyś do końca życia, na dwadzieścia wcieleń, amigo, na sto, mieć każdą dziewicę lub kurwę z Patagonii. – Roześmiał się. – A kto wie, ilu dziewic będziesz potrzebował jako mężczyzna rozpoczynający drugie wcielenie? Lub kurew, kto wie, *quien sabe, hombre, quien sabe?*

Wyciągnąwszy nogi, Danny udawał, że śpi ukryty za okularami przeciwsłonecznymi. Dziewica czy kurwa, miał to kiedyś równocześnie w jednej kobiecie, od samego początku jego Coriander była jedną i drugą, choć nie wiedziała o tym, nieświadoma, ile może i jak na niego działa. Nauczył ją to zauważać, pielęgnował w niej instynkt, który prowadził ją dalej niż kiedykolwiek sobie wyobrażała, a jeszcze nie było dość.

Danny wspominał każdy najmniejszy szczegół tych świąt, wtedy w 1978 roku.

\*\*\*\*\*

Tego wieczoru, gdy odbywało się przyjęcie, Danny zmierzył odległość i czas, potrzebny kolumnie samochodów ambasadora na dotarcie z biura do ambasady. Ktoś wpadł na pomysł, by to sprawdzić na wypadek, gdyby zdecydowali się porwać córkę ambasadora i trzymać ją dla okupu. Posługując się walkie-talkie do utrzymania stałego kontaktu z dwoma swoimi towarzyszami, Danny ze skraju parku obserwował kolumnę, gdy przekazano mu informację, że samochody z piskiem opon wyjechały już z podjazdu oficjalnej rezydencji, by skierować się na przyjęcie. Kierowca pierwszego samochodu przewoził jeden pistolet maszynowy i czterech strażników uzbrojonych w karabiny M-16, w środkowym samochodzie jechała rodzina z dwoma ochroniarzami z dwustronnymi odbiornikami radiowymi i bronią automatyczną przytuloną na kolanach, dodatkowy człowiek umieszczony był w tyle limuzyny z pistoletem maszynowym wystającym zza tylnej szyby. Ostatni samochód jechał za nimi z pięcioma kolejnymi strażnikami, także w pełni uzbrojonymi, pistolety maszynowe wystawały z okien. 40 mil na godzinę – to była precyzyjnie wyznaczona prędkość, z którą jechała kolumna samochodów – nie mniej, nie więcej

– aż znalazła się przed elektroniczną bramą ambasady, zaprogramowaną, by się otworzyć automatycznie w ściśle określonej chwili. Musiał się dowiedzieć, jaki jest czas i odległość, dopiero potem wsiadł do własnego samochodu, by się pojawić na przyjęciu.

Zanim ostatni gość przeszedł wzdłuż orszaku powitalnego, Coriander popłynęła do jednego z połączonych narożników wielkiej sali balowej. Wypożyczony z Prado Los Borrachos Velasqueza zajmował większość ściany, przed którą stała. Danny wolałby jednak wziąć ją za rękę, wyciągnąć stamtąd i kochać się z nią; zamiast tego przyciągnął jej wzrok i delikatnie skinął głową, nie zaskoczony, gdy odpowiedziała delikatnym skinieniem z nieśmiałym uśmiechem igrającym na jej cudownych ustach: – Nie sądziłam, że przyjdiesz.

- Jak mógłbym nie przyjść?
- Myślałam, że uznasz, iż nie jest to tego warte.
- Wręcz przeciwnie, jestem optymistą...
- Sądziłabym, że jest wręcz przeciwnie.
- Może ty mnie zmieniłaś.

Wyglądała na zażenowaną. – Poznałeś już mojego ojca?

- Jeszcze nie, ale obiecałaś mi taniec i obiecałaś mi, że nas sobie przedstawiś.

Rozejrzała się wkoło: – Co powiesz na dotrzymanie jednej z tych obietnic?

- Której?

- Tej, na której bardziej ci zależy. – Odwróciła się wtedy, by odejść. Obserwował ją przez kilka chwil, gdy przechodziła do sąsiedniego pokoju; pół tuzina potencjalnych kochanków, eskorty, partnerów do tańca ciągnęło za nią, a dopiero później on w dyskretnej odległości.

Francuski lakierowany bufet nakryto złotymi sztućcami i niebieskimi porcelanowymi talerzami, ozdabianymi złotem pucharkami, różowymi serwetkami z adamaszku; wszystko zgromadzone pod różowym kryształowym żyrandolem, którego każda żarówka miała własny satynowy abażur; srebrne wiaderka na każdym z krańców stołu mieściły szampana, platory z wędzonym łososiem, pasztet, kawior, owoce, przystawki z argentyńskiej wołowiny, wszystko pieczołowicie przygotowane, podawane i nalewane przez kelnerów w galowych strojach i kelnerki w czarnych mundurkach z wykrochmalonymi białymi fartuszkami i plisowanymi czepkami. Jedzenia wystarczyłoby, by karmić jego ludzi przez miesiąc, rok, na pewno wystarczająco długo, by wygonić generała Videlę i zmienić ambasadę amerykańską w ich własny prywatny Casa Rosada.

Otoczona gośćmi Coriander nie przestawała spoglądać w kierunku Danny'ego. Ku swemu rozbawieniu dostrzegł, że zauważyła jego udawane zainteresowanie pewną starszą blondynką, której sukienka miała wycięcie sięgające kości ogonowej. Gdyby tylko jego Coriander wiedziała, jak mało o to dbał. W tle grano walca – Mis Noches Sin Ti – co blondynka wzięła za wskazówkę do tańca, a Danny za wskazówkę, by się wycofać. Coriander była dokładnie w zasięgu jego wzroku. Ruch przy bufecie był niemal przewidywalny i tak zabawny, że Danny musiał powstrzymać uśmiech: blondynka śledząca Danny'ego, procesja dobrych partii podążająca za Coriander. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, dopóki ona nie zjawiała się przed nim znowu, Coriander ze wspaniałymi oczyma i cudownymi ustami nagle ożywiona, gdy rozmawiała i śmiała się z kilkoma młodymi przyjaciółmi i wszystko to dla niego. Jak gdyby nie dostrzeżona przez niego nie była w stanie wypowiedzieć nawet słowa.

– Tańczysz walca? – zapytał, gdy nagle umilkła. Zastanawiała się tak krótko, jej oczy były niemal pełne żalu. – Tak – odpowiedziała. Tak poważna jego Coriander, tak niewinna wtedy. Podając jej ramię, rzekł: – Czy mogę prosić o ten taniec? – a jej bursztynowe oczy zaiskrzyły się, gdy spytała: – Czy poznałeś już ambasadora? – Zrozumiał. – Jeszcze nie. – Lekko się uśmiechnęła. – Obiecałam już ten taniec – odpowiedziała, zanim odwróciła się tyłem, by podać

ramię krępemu, podtatusiałemu mężczyźnie w okularach w czarnych oprawkach i z sygnetem na środkowym palcu.

Chwilę później Danny wolnym krokiem podszedł do miejsca, gdzie stał ambasador otoczony wianuszkami mężczyzn, zainteresowanych jego poglądami na temat inflacji, dewaluacji australa, demokracji, komunizmu i grupy terrorystycznej zwanej Montoneros.

To, co zdarzyło się później, nastąpiło nieoczekiwanie, zanim Danny mógł usłyszeć resztę na temat współczesnej prodemokratycznej, antykomunistycznej, miłującej Boga junty... W jednej chwili nie było nic interesującego, w następnej było wszystko, dla czego warto żyć, oddychać. Coriander pojawiła się znikąd, by przerwać przemówienie ojca, ujęła go pod ramię, a wzrok utkwiła w Dannym.

Palmer mógł mieć wiele wad, ale z pewnością nie był głupi, gdy chodziło o jego jedyne dziecko. – Czy spotkaliście się już? – spytał Danny'ego. – Jestem Palmer Wyatt.

- To mój profesor ekonomii, Danny Vidal – powiedziała Coriander, przedstawiając ich sobie.

Palmer zerknął na córkę, po czym skierował wzrok na Danny'ego. Wyciągnął dłoń i powiedział swym czarującym głosem: – Chciałbym podziękować panu za udzielenie pomocy Coriander w tej paskudnej sytuacji.

– Sytuacja była mniej paskudna niż jej powód... Palmer zawahał się tylko przez moment, zanim jego twarz stała się jowialna i roześmiał się, taki dyplomatyczny śmiech, który oznaczał wszystko poza humorem. – Czy wiesz, moja droga, że ten człowiek próbuje ci wpoić naukę społeczną, która od dziesięcioleci próbuje stworzyć nowe podstawy matematyki?

Uśmiechnęła się ze wzrokiem nadal utkwionym w Dannym. – Potrzeba talentu, by zmienić abstrakcję w rzeczywistość...

- Albo nierzeczywistość w polityczną abstrakcję – odpowiedział gładko Palmer.

Wywiązała się rozmowa na temat pogody, planów wakacyjnych w Punta del Este po drugiej stronie rzeki, w Urugwaju, jeszcze trochę na temat guerillas, ekonomii, aż po wyznaczonym uprzejmością czasie Danny przeprosił i wycofał się. Lecz nawet gdy odchodził, czuł ją na karku i w dole żołądka; trudno się opamiętać, jeśli się kogoś tak bardzo pragnie. Przed wyjściem potrzebował ochłonać na świeżym powietrzu, ponieważ w tych kręgach nic tak się nie liczyło, jak zachowanie stosowne do sytuacji. Znowu pojawiła się znikąd, wkraczając na ten granitowy balkon na którym stał, taras, który był przedłużeniem wspaniałej sali balowej, okalającej całe drugie piętro ambasady. Bez słowa podeszła i stanęła oparta o barierkę, z twarzą gdzieś między nim a księżycem.

Cicho spytała: – Tańczysz walca? – Przez jego twarz przemknęło rozbawienie, kiedy wpatrywał się w nią, by ocenić ryzyko, zanim przestał oceniać cokolwiek i wziął ją w ramiona. Tańczyli walca do nie istniejącej muzyki, wirując wokół, aż przystanął trzymając ją w ramionach jego dłoń z tyłu jej głowy, jej usta pod jego kontrolą nie dbał o to, by spytać, czy nie ma nic przeciwko temu albo czy mógłby, po prostu przycisnął wargi do jej ust, najpierw musnął delikatnie, nawet niewinnie i z pewnością bez jawnej namiętności, po czym przyciągnął ją bliżej, a jego usta wpiły się w nią, jego język wdarł się między jej wargi. Całowała jak kurwa, odpowiadając na pieszczoty bez żadnych zahamowań; tylko kurwa albo dziewczyna potrafi tak całować.

\*\*\*\*\*



Znowu Swayze wrócił do tematu pieniędzy. – Hernando ma wszystkie dane w komputerze, włącznie z tym, ile pieniędzy dokąd idzie i na czyją kampanię wyborczą. Według nas przynajmniej czternastu kandydatów reprezentujących socjalistów lub komunistów ma szansę wygrać w około osiemnastu miastach Ameryki Łacińskiej. Kiedy tak się stanie, możemy zacząć myśleć o przeniesieniu się na stałe do Miami...

- Spokojnie, Mac. Nie rób się zbyt ambitny. – Danny otworzył jedno oko i uśmiechnął się. – Niech Hernando robi analizy polityczne, a ty martw się stroną militarną. Zbierz amunicję i dostarcz mi plany wszystkich zagranicznych placówek i ambasad w Argentynie, które są zagrożone. Pamiętaj Mac, jesteś odpowiedzialny za to, by stało się coś spektakularnego. – Danny mówił dalej pogodnie: – Niech Hernando martwi się o dalekosiężne plany, a mnie się pozwól martwić o pieniądze...

Lecz Swayze prawie nie słuchał. – To jest to – ciągnął podekscytowany. – Nie może nam się nie udać bez względu na to, który idiota siedzi w Casa Rosada lub w Białym Domu...

- Nic nie jest pewne – ostrzegwał Danny. – Pamiętaj tylko, że wszystko może się zdarzyć i naruszyć cała równowagę. Nagle mogą zlikwidować bezrobocie w Argentynie albo może zostać wprowadzony program nowego społecznego dobrobytu w Stanach, albo może wejść w życie plan pokojowy na Bliskim Wschodzie. Nigdy nie wolno lekceważyć przeciwnika.

- Ponieśliśmy wystarczająco dużo strat i ofiar, więc tym razem zwyciężymy...

- Co zdarzyło się w przeszłości, nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz. – Po tak wielu porażkach Danny wiedział, że sukces będzie zależał głównie od solidnej bazy finansowej i precyzyjnych informacji. Reszta była tylko mydleniem oczu. Atak tutaj, bomba tam, porwanie, morderstwo, Swayze mógł planować wszystkie ataki, które chciał, i przeprowadzać je tak długo, że w końcu przestałyby robić na kimkolwiek wrażenie, świat zmęczyłby się przemocą jako sposobem przekazywania informacji. Ludzie stawali się coraz bardziej wybredni, plany musiały być bardziej oryginalne. Prawdą jest, że zawsze po ataku terrorystycznym było to początkowe zamieszanie i zwrócenie uwagi mediów, przez kilka dni codziennie raporty o stanie ofiar, które niekiedy prowadziły do reportażu o zwykłych ludziach albo do specjalnego programu o terroryzmie i jeszcze jednej trzyminutowej wzmianki o ataku w noworocznym podsumowaniu globalnych potworności... Jednak rzadko w wyniku przemocy były obalane rządy czy wybierani odpowiedni kandydaci. Danny zawsze uważał, że potrzebna jest sieć finansowa dająca wsparcie kandydatom i dostarczająca pieniędzy na kampanię wyborczą, reklamę i wyciąganie na jaw skandali wymierzonych w przeciwników. To był ambitny plan, który pochłonie cały jego czas, energię i oddanie – kosztem wszystkiego innego.

Widział swoją Coriander w drodze powrotnej z krematorium, wtuloną w ramię swojego ojca i ściskającą urnę z prochami swojego męża. Widział ją wracającą do Nowego Jorku, by dalej żyć, pakującą się w mieszkaniu na sprzedaż – dzieła sztuki, srebra, antyki, obrazy, książki, wszystko kupione dla wschodzącej gwiazdy nowojorskiej sceny bankowej i jego pięknej, czarującej żony, która w ogóle o to wszystko nie dbała.

\*\*\*\*\*

Jego Coriander, tak nie zepsuta, tak pod wieloma względami prosta. Nie dbała o jego interesy, pieniądze, a nawet o wino, które tak bardzo kochał. Zrabował raz ogromną butelkę Mouton Rothschild i podarował jej, by uhonorować jej rok urodzenia, 1958. Nie mogłaby dbać o to mniej. Wino miesiącami będzie dobre, śmiała się, w jej oczach lśniła rozkosz, jej gołe ciało połyskiwało na prześcieradłach, jej skóra wciąż wilgotna od niego, jej usta jeszcze mokre od jego warg. Większość luksusów robiło małe wrażenie na tej dziewczynie, która wyrosła w każdym

luksusie, jaki pieniądze i wpływy mogły kupić. Nie masz gustu, droczył się z nią z miłością, jego gringo, znała tylko coca-colę, hamburgery i baseball. Mylił się, znała wiele rzeczy, nawet jeśli nie mieściły się w przedziale zwykłych luksusów. Chianti w lipcu mogło być dość dobre pod warunkiem, że mogła je wypić z jego ust, i aby udowodnić swoje twierdzenie i pokazać co umie, wtaczała się na niego, dosiadając go, pochylając się nad jego twarzą tak, że jej włosy muskały mu pierś i usta. Pokrywając jego oczy, nos i szyję pocałunkami, powoli, nieśpiesznie schodziła w dół, przyciskając usta do każdego żebra, zatrzymując się, by policzyć, skubiąc, aż jej usta osiągnęły swój cel, by wchłonąć go całego; jej język przebiegał po długości i szerokości jego wzrodu. Zatrzymał ją wtedy i wziął jej twarz w dłonie, aby ją podnieść tak, że jej usta były prawie na jego wargach. Jej głos stał się głębszy, gdy pytała dlaczego, namiętność na twarzy przeszła w zmieszanie, jej oczy żądały wyjaśnień. Lecz jakikolwiek powód był wtedy zbędny, bo on był już przepełniony oczywistą miłością. Przyglądał jej się uważnie, powierzając każdy milimetr jej twarzy i ciała swej pamięci, aż wyczytał coś znajomego w jej oczach, przyganę, a me złość, coś, co zrozumiał lepiej niż mógłby sobie wyobrazić. Wyraz jej twarzy mówił, że jest od niego bezgranicznie uzależniona, on zaś pozwolił jej się położyć. Bowiem razem naruszyli reguły i nie zatracili się bez reszty w akcie miłości. Ponieważ utraciła dziewictwo w wieku dwudziestu lat w wyniku świadomej decyzji, stała się myśliwym, a ponieważ zakochała się w mężczyźnie, który to zrobił – była zwierzyną. Jednak wszystko to stało się w rekordowym tempie. Zakochała się w nim, a w zamian on nauczył ją wszystkiego, by uczynić ją idealną kobietą dla innego mężczyzny.

Ciało, jeśli panowie pozwolą, słyszał właśnie ten jej napastliwy ton, który miał za chwilę przerodzić się w głos zjawy zwiastującej śmierć, gdy prosiła, a raczej żądała wyjaśnień, gdzie u licha jest ciało, a jeśli nie całe ciało, to chociaż ząb albo kość, albo odcisk palca lub jakikolwiek inny dowód, że jej mąż rzeczywiście stracił życie w tej katastrofie samolotu. Mógł nawet usłyszeć to władcze wyzwanie w jej głosie, kiedy rzucała żądania, które zainicjują dochodzenie – wyzwanie dla wszystkich, którzy mieli czelność próbować uspokajać ją kondolencjami i zapewnieniami zamiast konkretów i dowodów. Martwił go jedynie ten facet z Biura Prokuratora Okręgowego i to, jak zabierze się do rozgryzania wątpliwości...

Danny otworzył oczy i usiadł prosto na siedzeniu, który to ruch Swayze zinterpretował jako zaproszenie do kontynuacji rozmowy. – Jedyna sprawa, która mnie martwi, to, że ci islamscy fundamentaliści rzucają się, by przyznać się do każdego ataku, jaki wykonamy.

- Wykorzystaj ich – Danny przerwał sennym głosem.
- Co masz na myśli?
- Zawrzyj umowę. Co za różnica, kto się przyznaje, jeśli służy to temu samemu celowi. Wykorzystaj ich w akcjach samobójczych, zapłać im. W końcu niszczymy wspólnego wroga.
- A co z przesłaniem dla świata?
- To nie ma znaczenia, Mac, ponieważ każda prawowita grupa albo frakcja wariatów i tak zaprzecza albo przyznaje się do wszystkiego. Kto wie na pewno, kto co robi? Jedyne przesłanie, które robi wrażenie, to zgłiszczą i trupy na ekranach telewizyjnych.
- Ale chcemy, by nazwa Montoneros była na wszystkich ustach.
- Sława nie kupuje wyborów, Mac.

Danny nic więcej nie powiedział. Był rozbity przez te wszystkie wspomnienia o Coriander, jakby się z nią kochał godzinami bez jednego odczucia docierającego do jakiegokolwiek z jego zakończeń nerwów. Tęsknił za nią jak diabli.

Więcej słońca przebijało się przez chmury, błyski światła odbijały się w wodzie lub piasku. W pośepnym nastroju wyjrzał przez okno, gdzie mógł dojrzeć w oddali splendor pokrytych śniegiem gór; sceneria nie różniła się od antarktycznej wersji Cairns czy Brighton z wieloma

jeziorami i lodowcami opadającymi i wznoszącymi się na horyzoncie. Jeep trzymał się krętej drogi, dążąc w kierunku czegoś, co na jakiś czas stanie się jego nowym domem, w kierunku najdalej wysuniętego czubka nikąd, miasta w dole Patagonii, zwanego Ushuaia. Rozpaczliwie pragnął ją znowu ujrzeć. Upłynęło zaledwie czterdzieści osiem godzin, a on już musiał ją dotknąć, czuć ją, wytłumaczyć. Co przez lata było abstrakcją, stało się teraz rzeczywistością. Skończyło się. Jedyne dwie kobiety, które kochał w całym swoim życiu, odeszły: Alicja zmarła, a Coriander owdowiała.

Znowu zapadł w drzemkę, gdy jeep toczył się naprzód po wybojach. W oddali setki owiec pasły się na wybiegu; ranczo oznaczone było przez bliźniacze gable prowadzące do wejścia belkowanego domu ze stromym dachem. Mężczyzna ubrany w kilt człapał o lasce. To był szkocki lub walijski kraj, a oni byli twardzielami, na tyle odważnymi, by znieść patagońską zimę.

Pomyślał o zdjęciu z Coriander, które trzymał w portfelu. „Na zawsze razem” napisała z tyłu. Zdjęcia nie kłamią, powtarzała zawsze Coriander, tylko ludzie kłamią. Zachowaj moje zdjęcie, querida, pomyślał Danny, zachowaj je na zawsze mi amor, ponieważ zdjęcia nie kłamią – słowa dudniły mu w głowie – tylko ludzie kłamią.

## Rozdział 11

Coriander wróciła z Chilpancingo we wtorek i spędziła wieczór z ojcem, zanim odleciał ostatnim samolotem do Waszyngtonu. Gdy wyszedł, rzuciła się pod prysznic, stojąc tam z głową opartą o zimne płytki, niezupełnie pewna, gdzie zaczyna się woda, a kończą się jej łzy. Z ociekającymi włosami, Coriander wyciągnęła rękę, by zakręcić kran, owinęła się w ręcznik, zrobiła turban na głowie i wyszła. Stała przed lustrem i patrzyła poza swe odbicie. Trzeba trochę czasu, by się dostosować, rozumowała, trzeba trochę czasu, by zapomnieć, i odwagi, by pamiętać. W końcu przypadkiem była mężatką od trzech lat, w ciąży od trzech miesięcy i wdową od trzech dni.

Powoli skierowała się do sypialni, zatrzymując się, by rzucić walizkę i zaparzyć herbatę, zanim poszła do łóżka ze stertą poczty, włączając telewizor tylko dla głosu. Zasnęła z pocztą porozrzucaną wokół, mrugającym ekranem, włosami częściowo zawiniętymi w turban, leżąc w poprzek łóżka, tak jakby spała samotnie przez wiele lat.

Był już ranek, gdy się obudziła, przestraszona i zdezorientowana, przez pierwsze kilka sekund niezupełnie pewna gdzie jest, ciągle wyciągnięta w poprzek łóżka. Powoli podniosła się do pozycji siedzącej i obrzuciła spojrzeniem ten nieład – taca od herbaty na podłodze, poczta nadal rozrzucona na prześcieradłach, poranny talk-show w telewizji na cały regulator. Opierając się znowu o poduszki, z ręką wyciągniętą w pustkę białego prześcieradła, które okrywało stronę łóżka należącą do Danny'ego, przypomniała sobie, że on nie wróci wkrótce, że wszystko, co jej zostało ze wspólnego z nim życia, to rosnące w niej dziecko. I tak po prostu, w ciągu zaledwie trzech sekund, zinwentaryzowała całą swą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. I gdy tak siedziała, nie przestawało kołatać jej się w głowie wspomnienie dwóch chwil z Dannym, chwil sprzed dekady, które zawsze zdawały jej się jedną długą rozmową...

\*\*\*\*\*

Było to w Cordobie na uniwersytecie, tuż zanim wyjechał do Buenos Aires, by prowadzić bank, kiedy powiedział jej, że powinna o nim zapomnieć i dalej żyć... Widziała go wtedy po raz ostatni przed wyjazdem.

Coriander wyglądała pięknie tego ranka. Miała rozpuszczone włosy, twarz bez makijażu i była w niej dzikość, ten błysk w oku, który pochodził z przewidywania nadchodzącej wojny o to, by go przy sobie zatrzymać. Cała ubrana na czarno – sweter i spodnie, kozaki i czarna skórzana kurtka – zastąpiła mu drogę, gdy wynurzył się tego dnia z sali wykładowej. – Kocham cię – powiedziała zwyczajnie. On stał tam po prostu, wpatrując się w jej twarz, tak jakby nie był w stanie wyegzekwować od niej właściwej odpowiedzi. – Proszę, Coriander, nie rób tego... – Podeszła jeden krok bliżej, na tyle blisko, by dotknąć jego ramienia. – Weź mnie ze sobą... – Stał tam jeszcze przez moment, po czym obrócił się, by ruszyć długimi krokami do wyjścia. Lecz ona była tuż za nim, dotrzymując mu kroku, ale nie odważając się wziąć go pod ramię.

Szli w ciszy przez długi portyk z ceramiczną podłogą w kolorze rdzy, zanim wynurzyli się spod białego, ozdobionego sztukaterią łuku, zatrzymując się na pokrytym kocimi łbami skwerze; maluteńki kościół z wieżą dzwonniczą widniał w oddali. – Nie mogę ci niczego dać... – W jego oczach błyszczały łzy.

- Nie chcę niczego poza tobą...

- Nic nie zostało.

– Cokolwiek zostało, wystarczy mi... – I mimo wszystkich wysiłków łza potoczyła się po jej policzku.

Wziął ją za rękę. – Nie tutaj – powiedział, prowadząc ją do swojego gabinetu.

Nie było tam wtedy świec ani nie zabrał się do robienia mate, zwyczajnie wskazał jej krzesło, a sam odwrócił się, by usiąść twarzą do niej, z ramionami ułożonymi na oparciu krzesła. – Złożyłem już rezygnację.

Siedziała cicho, umierając w duchu, ale zdeterminowana nie błagać go w swojej sprawie, aż on nie przedstawi własnej.

Czekał na kłótnię. Jednak nic nie mówiła. – To trwa już od miesięcy... – Znowu przerwał, a ona nadal nic nie mówiła. – Wiesz, co się dzieje, Coriander. Każdego dnia nowi ludzie znikają, nowe ciała woda wyrzuca na brzeg, a świat zdaje się mieć to w nosie, zabijają najlepszych i najinteligentniejszych...

Kiedy jeszcze raz przerwał, sięgnęła po jego rękę, by przycisnąć je do ust i wyszeptać: – Pozwól mi być tam z tobą, by ci pomóc... – Przez kilka chwil panowała nieprzerwana cisza, potem Danny potrząsnął z wolna głową.

- Nie mogę...

Coriander nie poruszyła się, jej oczy napełniały się bólem, gdy zdesperowana próbowała nie płakać. Przyszło jej do głowy coś, co zawsze powtarzała Flora Lucia: że kobieta powinna wyglądać najlepiej, kiedy kogoś opuszcza lub gdy ktoś ją opuszcza, bo ten obraz na zawsze pozostaje w pamięci. – Jesteś tym, który pozwolił mi zrozumieć – zaczęła, z wysiłkiem zachowując panowanie nad sobą. – To dzięki tobie jest jeszcze nadzieja, by odnaleźć Hernando i wszystkich innych. Proszę, Danny, zabierz mnie ze sobą i pozwól mi być częścią tego, co robisz...

- Zasługujesz na coś lepszego...

- Kocham cię, to nie jest kwestia czegoś lepszego, mógłbyś być dla mnie najgorszą rzeczą na świecie, ale ja chcę ciebie...

Jego oczy napełniły się żalem. – Jesteś tak młoda, taka niewinna – zaczął, ale przerwała mu.

- Jesteś całym moim życiem. – Łzy były wyraźne w jej głosie.

- Czy nie rozumiesz, że już w tym jestem? To jest całe moje życie. Należę do czegoś, co przekracza moje osobiste uczucia..

- Powiedz, że mnie nie kochasz..

- Nie mogę ci tego powiedzieć – rzekł cicho.

Wtedy płakała już, ale nie dbała ani o wygląd, ani o swój obraz w jego pamięci, o nic poza tym, że go utraci. – Nie rób tego, Danny. Proszę, weź mnie ze sobą...

Westchnął i cofnął dłonie, by wstać i przespacerować się po pokoju. – Nie rozumiesz...

- Rozumiem więcej niż ci się zdaje – sprzeczała się gwałtownie. To ty nie rozumiesz, że nie musisz mnie odrzucać, by zrobić tamto, obie części twojego życia mogą przetrwać razem. Miłość do mnie nie może pozbawić cię miłości do tego, czym się zajmujesz....

Zatrzymał się, by na nią spojrzeć. – Zawsze będę cię kochał, Coriander...

Wstała, by stanąć bardzo blisko niego. – To nie wystarcza...

Ona to zainicjowała, nie on. – Kochaj się ze mną – powiedziała miękko. Zawahał się tylko przez moment, zanim wziął jej twarz czule w dłonie i całował ją, a potem otoczył ramionami i całował mocniej, jego język wślizgiwał się do jej ust, a tors napierał na jej piersi. Dopiero wtedy jej kruchość zniknęła razem z jego niezdecydowaniem, kiedy tak stali skubiąc, całując i żując nawzajem swoje usta, aż oboje poczuli smak krwi. Znowu ona to zainicjowała, gdy poprowadziła go do sofy, by klęknąć przy nim, rozpinając mu spodnie i koszulę, zrzucając także własne ubranie; jej język przebiegał po całej długości jego wzvodu, po jego brzuchu w górę i w dół jego ud, przez jego pierś, jej usta zatrzymywały się przy każdej brodawce. Więcej, pragnęła być w nim pogrzebana, wchłonąć go w siebie. W gorączkowym porywie kończyn wciągnęła go między swe nogi, jej usta zamykały się nad jego wargami, wszystkie inne obrazy i powody znikaly, bo razem wczolgiwali się wyżej i wyżej. I podczas tego wszystkiego, tym ostatnim razem, bez wiedzy ich obojga, włączona była kasetka ukryta w jego gabinecie, nagrywająca smutki i namiętności oraz ich odgłosy dla generałów w Casa Rosada i ambasadora amerykańskiego w jego ambasadzie...

Po tym trzymał ją w ramionach, chociaż żadne nie wypowiedziało słowa, aż dzwon kościelny zadzwonił w oddali, dając znak, że jest południe. Nie miała złudzeń, gdy wstawiała, by się ubrać świadoma, że on obserwuje każdy jej ruch. W ostatnim momencie wstał, wrzucił na siebie ubranie i oświadczył, że odprowadzi ją na zajęcia. Przyszło jej na myśl, by odmówić, ale nie zrobiła tego. Spleceni ramionami ruszyli w kierunku budynku nauk społecznych, poprzez skwer z kocimi łbami, gdzie stał ten maluteńki kościółek z dzwonnica, pod białym łukiem ze sztukateria, poprzez długi portyk i po rdzawej ceramicznej posadzce, aż zatrzymali się przed jego salą wykładową. To się nie zdarzy, powiedziała sobie w duchu, nie odwróci się i nie odejdzie, nie zostawi mnie samej. Myliła się. Zostawił ją stojącą tak, nie odwracając się nawet, gdy odchodził. Była jeszcze jedna rozmowa przez telefon, kiedy zadzwoniła do niego do banku w Buenos Aires, by mu powiedzieć, że planuje wyjazd do Nowego Jorku. Życzył jej wszystkiego dobrego...

Przez dziesięć lat, jakie zabrało Coriander zakończenie stażu i uzyskanie etatu w Szpitalu Ogólnym na Brooklynie, mieszkała sama na Upper West Side w domu z piaskowca niedaleko Central Parku. Dzielnica była niezwykła jak na Manhattan, z drzewami wzdłuż ulic, z pojemnikami na śmieci przymocowanymi łańcuchami do całej przecznicy świeżo pomalowanych bram. Właścicielką mieszkania była angielska aktorka koło osiemdziesiątki. Mieszkanie było rarytasem, zajmowało całe piętro, miało jeden pokój z wysokim sufitem i działającym kominkiem, alkoję mogącą pomieścić podwójne łóżko i deskę do prasowania, której Coriander używała głównie do składowania ubrań. Kuchnia była wystarczająca, zważywszy, że Coriander rzadko bywała w domu, jedząc większość posiłków w stołówce szpitalnej, a łazienka była starodawna, z wanną wspartą na kulach zakończonych pazurami i z ciekącymi kranami. Potrzebowała stoperów, by zasnąć.

Urzekająca i zbikowana, z talentem do wróżenia z fusów herbaty i kart, Miranda Malone była nie tylko właścicielką budynku, ale także mieszkała w mieszkaniu w oficynie z ośmioma

czy dziewięcioma kotami, które wchodziły i wychodziły przez rozrzucone pudła na śmieci. Ściany jej sypialni pokryte były starymi plakataми teatralnymi i fotografiami robionymi na każdym etapie kariery właścicielki. Salon także był zagracony różnego rodzaju kosmetykami, kolekcją boa z piór, krawieckimi manekinami, na których wisiały szeregi sukien z cekinami, podpórkami na peruki z perukami w różnych odcieniach rudych włosów Mirandy. Nad głowami manekinów wisiał wenecki żyrandol z barwionego szkła z delikatną warstwą kurzu na kryształach i żarówkach. Wiecznie nie zasłane łoże z pomiętymi satynowymi prześcieradłami, z którego Miranda zwykle wygłaszała tyrady, stało w centrum pokoju. Była istotą bezwstydną i bez wyrzutów sumienia żyjącą przeszłością, która zawierała jednego czy dwóch mężów oraz niezliczonych kochanków. Wspomnienia trzymały ją przy życiu, bowiem Miranda robiła wszystko dla nich, dla nich też zainwestowała w ten dom, i to właśnie dlatego zawsze robiła wykłady. – Nie ma nic złego w byciu przyłapanym bez majtek, kochanieńka, jeśli tylko masz gdzie je później powiesić...

Coriander zaczęła jako jej ulubiona lokatorka mniej dlatego, że zawsze na czas płaciła czynsz, a bardziej z powodu przenośnego elektrokardiografu i aparatu do mierzenia ciśnienia, który miał pod kontrolą jej nadciśnienie. Zostały przyjaciółkami po drugiej czy trzeciej „zawodowej” wizycie, kiedy Coriander zdała sobie sprawę, że jej także doskwiera samotność. Przywiązały się do siebie tak, jak tylko dwie kobiety, których życie jest w różnych stadiach stanów przejściowych, potrafią.

To Miranda namówiła Coriander do pójścia na przyjęcie w domu Remi i Luisa Botero, argentyńskiego małżeństwa, które mieszkało w Nowym Jorku. I mimo zmęczenia po jednym z tych maratońskich dyżurów w szpitalu. Coriander zdołała wziąć się w garść i odbyć wycieczkę przez miasto. Była to mroźna zimowa noc, która oferowała idealną wymówkę, by nie zakładać nic zwiewnego, dzięki czemu bardziej niż zwykle wyróżniała się w tłumie kobiet ubranych w suknie od projektantów mody. Coriander ubrana była w czarne spodnie, kozaki i golf; jej długie ciemnoblonde włosy kłębiły się na jej ramionach i płynęły w dół pleców, zebrane z obu stron twarzy czarnymi grzebieniami. Usta pomalowane miała na brzoskwiniowe policzki pokryte brzoskwiniowym różem, a oczy błyszczące i wilgotne z braku snu.

Remi Botero rzuciła się na Coriander, ledwie ta weszła do środka, trzepocąc długimi rękami, niebezpiecznie wymachując cygaretką z czystego srebra po zatłoczonym foyer. Była to kobieta bez wieku, wysoka i chuda jak trzcina z kruczoczarnymi włosami, wielkimi czarnymi oczyma i teatralnością, gestykulacją i tonem, z których nie rezygnowała nawet w prostej rozmowie. Remi miała pieniądze, natomiast Luis był intelektualistą. Projektowała biżuterię, która była sprzedawana tylko w jednym czy dwóch ekskluzywnych butikach na świecie i po cenach, przy których jeden czy dwóch klientów mógł sobie na nią pozwolić; Luis pisał erotyki, które sam wydawał i ofiarowywał jednemu czy dwóm czytelnikom na świecie, którym się podobały. – Bałam się, że nie przyjdiesz! – wykrzyknęła Remi, cmokając Coriander w oba policzki i podnosząc kieliszek szampana z tacy kelnera. – Chciałabym ci kogoś przedstawić – oświadczyła, popychając Coriander przez tłum.

Coriander nie mogła w pełni wytłumaczyć uczucia, jakiego doznała w dołku, kombinacji strachu i podniecenia, gdy podążała za gospodynią przez pokoje, zatrzymując się po drodze, by przywitać się z gośćmi, niektórych rozpoznawała, innych nie, chociaż nie byłaby w stanie rozpoznać później żadnej z tych twarzy, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Dopiero gdy dotarli do małego białego fortepianu koncertowego w narożniku pokoju, serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

On stał tam po prostu, słuchając kogoś, trzymając w pięknej ręce znajomego gitana. Prawie się nie zmienił, chociaż może miał krótsze włosy i więcej w nich było siwizny, i może kilka

nowych zmarszczek wokół oczu, gdy się uśmiechał. Poczuli się słabo, żalowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej kobiecego, miała nadzieję, że jej uśmiech nie będzie zbyt promienny, a jej głos zbyt piskliwy, że nie przydarzy jej się żadna z setek innych rzeczy, które pokazałyby, że nadal jej na nim zależy.

– Coriander – mówiła Remi, trzymając jej dłoń. – Chcę ci przedstawić Danny'ego Vidala...

Coriander nie była dalej niż pół metra od jego ust, skostniała, gdy Danny przebył tę odległość, by wziąć ją w ramiona. – Tęskniłem za tobą jak diabli wyszeptał, przyciskając usta do jej włosów.

Remi była zaskoczona. – Nie mówcie mi, że już się znacie – Coriander słyszała tak, jakby gospodyni mówiła z innej planety – a ja chciałam was sobie przedstawić – dorzuciła, po czym odeszła odciągnięta przez innego z gości.

Coriander i Danny byli sami pośrodku pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciosobowego tłumu gości.

Powinna była ukryć uczucia, zetrzeć ten wyraz czystego zdziwienia z twarzy i powiedzieć po prostu: „Miło mi cię znowu widzieć po tylu latach”, co mógłby wziąć za naganę, lub mogłaby udawać, że nie wie dokładnie, kim on jest, chociaż jego twarz wydaje się jej skądś znajoma. „Przypomnij mi, gdzie się spotkaliśmy”, co wzięłyby za obrazę. Lub mogła polegać na swoim instynkcie po tylu latach i zapytać po prostu: „Co, do diabła, się z tobą działo, kiedy ja cię kochałam, czekałam i nadal cię Kocham.” Co doprowadziłoby do niezłej sceny, o której wieści w ciągu paru dni dotarłyby do Buenos Aires. Jednakże nie miała czasu, by powiedzieć nawet słowo, udać zanik pamięci czy ignorancję albo obrazę, ponieważ wziął ją w ramiona, pocałował w usta i powiedział: – Nigdy przez te dziesięć lat nie przestałem cię kochać...

Oto ona z ich całą historią dokładnie odkrytą w środku przyjęcia dla całej zbiorowości argentyńskiej w Nowym Jorku. Lecz Coriander była wspaniała, przywołując na twarz jeden ze swych najlepszych uśmiechów, zbierając co do ostatniej uncji wdzięk, z którego posiadania nie zdawała sobie nawet sprawy. – Co robisz w Nowym Jorku? – zapytała idealnym tonem na przyjęcie.

- Znajduję cię znowu – powiedział, patrząc jej w oczy.

Cokolwiek by powiedziała, byłoby bezsensowne, ponieważ lata nic nie zmieniły w jej uczuciach do niego. Jednak próbowała. – Jak długo tu pozostaniesz? – zapytała, ignorując jego słowa, jego usta, jego oczy.

To był moment, kiedy jasno postawił sprawę, że nie ma zamiaru wytrzymać ani chwili dłużej z jej fasadą obojętności. Wziął ją pod ramię i poprowadził przez pokój, kiwając głową i uśmiechając się do zarysu ludzi bez twarzy.

- Zabieram cię do domu – poinformował ją.

Lecz wtedy coś pękło. Stając nieruchomo na drodze, zapytała: – A gdzie to dokładnie jest, gdzie, do diabła, jest dom po dziesięciu latach, sześciu miesiącach, trzech tygodniach i czternastu dniach?

Wpatrywał się w nią, lekki uśmiech majaczył w kącikach jego ust. – Wyglądasz tak samo – powiedział czule – masz nawet na sobie to samo ubranie...

Spojrzała w dół i przypomniała sobie, że tego ostatniego dnia w Cordobie cała była ubrana na czarno. Kiedy spojrzała w górę, w jej oczach lśniły łzy. – To nie wszystko – powiedziała cicho.

- Czy zrobiliby to jakkolwiek różnicę, gdybym zdał sprawę z tych ostatnich dziesięciu lat? Wybaczyłybyś mi wtedy? – Dziesięć lat, sześć miesięcy, trzy tygodnie i czternaście dni z jej życia, a on zastanawia się, czy przeprosiny lub wytłumaczenie zrobią jakąś różnicę. – Czy możemy pójść gdzieś porozmawiać?

Jeśli nic poza tym, to przynajmniej naturalna ciekawość sprawiła, że zgodziła się, nie wspominając już o tym, że nigdy go nie przeboleła. Nic nikomu nie mówiąc, wyszli. Skończyli w jej mieszkaniu, siedząc na podłodze i gawędząc do późna w nocy. Witaj w poniżeniu, gdy pociągała brandy z lampki, migocące światło z szeregu świec rzucało cienie na jego przystojną twarz, słuchając, gdy wygłaszał usprawiedliwienia i sprostowania. Ostatni cios w dumę, uznała, gdy zaczęła się podróż...

- Przyjechałem do Nowego Jorku z nadzieją, że cię odnajdę.
- Mogłeś mnie znaleźć dawno temu.
- Moje życie nie istniało, dopóki tu nie przyjechałem.
- Jesteś mi winien powody...
- Jest tak wiele powodów, kochanie. Nie wiem, od czego zacząć...
- Od początku, od dnia, w którym odszedłeś...
- Byłem zaangażowany w zdobywanie pieniędzy dla opozycji, negocjując zakup broni i zapasów i wtedy bank upadł...

- Może na początku, ale nie przez dziesięć lat, na miłość boską, Danny...
- Moje życie poświęcałem dla tragedii innych ludzi – powiedział, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Czy jest ktoś inny? – zapytała, wstrzymując oddech.
- Nigdy nie było nikogo innego – powiedział cicho.
- Dlaczego mnie nie zapytasz?
- Nie muszę...
- Jak możesz być tak arogancki?
- Nie jestem arogancki, wiem po prostu, że mnie kochasz. To, że nigdy nie może być dla nas nikogo innego. Myślałem o tobie w każdej minucie... – Jakoś udało mu się zredukować ich rozstanie do minut. Co nie miało znaczenia, ponieważ jeśli chodziło o nią, lata rozstania równie dobrze mogły być wiekami.

- Mogłeś dać mi jakiś znak życia albo przekazać, że chcesz, bym na ciebie poczekała.

Zaczął tłumaczyć, a jego wykrzywiona twarz zdawała się bliższa bólu niż kiedykolwiek przedtem, jego usta zaciśnięte w sposób, jakiego także nigdy nie widziała. – Myślałem o tym na samym początku, do czasu, gdy wszyscy zostali aresztowani, a ja uciekłem. Potem było to niemożliwe, nie mogłaś przyjechać tam, gdzie byłem.

- A gdzie byłeś?
- W Hawanie.
- W takim razie plotki były prawdziwe?
- Było ich tak wiele, że niektóre z nich urosły do mitów...
- Słyszeliśmy, że pierzesz pieniądze dla Montoneros poprzez bank w Buenos Aires. Kiedy junta zamknęła bank, udało ci się uciec z pieniędzmi na Kubę, gdzie wspierałeś rewolucję...
- To było jedyne miejsce, gdzie mogliśmy działać, inaczej nie byłoby żadnej nadziei dla nikogo. Ludzie ciągle znikali bez wieści, nigdy się nie poddaliśmy.

Była to zbyt wielka idea, żeby mogła zrozumieć, czuła do niej szacunek, co przeważało na korzyść jego wymówki. Nie zostawił jej ani dla kobiety, ani dla pieniędzy, ani dla przygody, ale po to, by spróbować powstrzymać horror, przez który ona sama przeszła, chociaż tylko na obrzeżach. Jednak spierała się przez łyż. – A gdybym ci powiedziała, że już cię nie Kocham? A gdybym ci powiedziała, że jestem zbyt zagniewana i zraniona, by kiedykolwiek cię jeszcze kochać? Czy kiedykolwiek rozważałeś tę możliwość?

- Wyjdź za mnie – powiedział nagle.



Na zawsze. W końcu Chciała się głośno roześmiać, tylko nie wiedziała, czy to z radości, ze złości, czy z powodu bezczelności tego wszystkiego. – Nie mogę przez to wszystko przechodzić znowu... – W jej głosie brzmiało ostrzeżenie.

- Przysięgam, nigdy nie będziesz musiała, daj mi tylko jeszcze jedną szansę...
- A co teraz?
- Przejmuję bank Inter Federated. Jej oczy rozszerzyły się. – Znowu?

Roześmiał się. – Nie, kochanie. Stałem się kapitalistą – powiedział, przysuwając się do niej bliżej.

- Jak możesz przejść z jednej skrajności w drugą?
- Powody tkwią w przeszłości. Kiedy odchodziłem, wierzyłem, że ciąży na mnie odpowiedzialność, by zmieniać świat i gdybym taki nie był, nie zakochałabym się we mnie.
- Przerwał. – Wydaje mi się, że mi się udało, ponieważ teraz nie ma powodów, by nadal walczyć...

Przyjęcie jego wytłumaczenia było uspokajające, ponieważ zawierało obietnicę na resztę życia. W każdym razie opór byłby bezcelowy, ponieważ całował ją, jego język wślizgiwał się między jej wargi, dłonie ujmowały jej twarz. Na jej jęk on odpowiedział ogromnym dreszczem i gdy tylko ich usta rozdzieliły, się zaczął zdejmować jej ubranie, jednocześnie rozpinając swoje. Wyślizgnąwszy się z szelek, zdjęwszy koszulę, zerwawszy muchę, odrzuciwszy kopniakiem buty i skarpetki, był kompletnie nagi i leżał obok niej na podłodze. Ich oczy spotkały się nad jej ciałem. Pozwól, pomyślała, pozwól mu na to wszystko, bo on już dawno wyszedł poza groźbę porzucenia. Nie mogłoby się to-zdarzyć powtórnie z taką samą siłą...

Potem rozmawiali o jej pracy w szpitalu i jego planach dotyczących banku Inter Federated; rozmawiali o jej ojcu i jego bracie, aż zapytała o Hernando.

- Żyje?

Danny wyjaśniał z ociąganiem. – Wiesz, że jego największą miłością była gra na bandoneonie.

- Była, więc wiesz na pewno, że nie żyje...
- Widziałem go tylko jeszcze raz...
- Gdzie? Co się stało?
- Odcięli mu ręce...

Westchnęła. – Ale gdzie on jest? Gdzie jest? – Powtarzała.

Danny wziął ją w ramiona. – Był tak zrozwyczajony, querida, że się zabił...

Płakała cichutko, gdy Danny ją trzymał, chociaż nie płakała tylko z powodu Hernando, ale z powodu wszystkich którzy cierpieli przez te lata. A kiedy przestała, rozmawiali jeszcze trochę o starych przyjaciółach z Buenos Aires i nowych przyjaciółach w Nowym Jorku, i jak bardzo on ją kocha i jak bardzo ona go kocha, aż wreszcie zgodzili się spróbować znowu być razem do końca życia.

W końcu Miranda Malone poznała Danny'ego Vidala i wkrótce przedstawiła Coriander negatywną opinię na jego temat wraz z pewną ogólną radą o życiu i miłości – Nie jesteś głównym wydarzeniem, kochanie.

- Inna kobieta?
- Zbyt proste.
- Bierzymy ślub w przyszłym miesiącu – oświadczyła Coriander, tak jakby to wszystko tłumaczyło

- Szkoda, że niektóre kobiety wychodzą za swoje pierwsze miłości z samych złych powodów – zauważyła Miranda – podniecenia, zaborczości, namiętności, i kończą cierpiąc poniżenie.

To była dziwna uwaga skierowana do osoby, która miała zacząć życie małżeńskie.

Na tydzień przed ślubem Danny zabrał Coriander by obejrzała ich nowe mieszkanie przy Piątej Alei Biorąc ją za rękę, oprowadził po dziesięciu wielkich pokojach które wychodziły na Metropolitańskie Muzeum Sztuki' Było w tym coś niepokojącego, tak jakby mieszkanie stanowiło część większego planu, ten sposób, w jaki Danny wyjaśniał, co dekorator zaprojektował, jak przedstawił ją malarzom, którzy malowali pasy na ścianach i kamieniarzom, którzy łatali marmurem kominki, stolarzom którzy przyciemniali dębową boazerię i sufity A później były te oprawione w skórę książki, które Danny zamawiał na kilogramy i wszystkie te antyki, które przybyły z domu aukcyjnego z Greenwich Village. Coriander odnosiła wrażenie, że wszystko jest zaprojektowane, by stworzyć natychmiastową przeszłość, każdy osiemnastowieczny nabytek i pierwsze wydanie, które weszło w ich życie było tam po to, by wytworzyć historię. Gdyby była mniej zaangażowana w swoją pracę lub gdyby była typem kobiety, którą interesuje wystrój wnętrz, mogłaby w tym mieć większy udział.

Danny tego popołudnia miał na sobie kremowy golf z szarymi spodniami i granatowym blezerem. Przeciwsłoneczne okulary na gumkę wystawały mu z kieszonki na piersi Coriander miała na sobie szary kostium z dopasowanym żakietem i mrożący uśmiech na ustach. Wyczuwał, że coś jest nie tak, ponieważ podszedł do niej, gdy stała przy jednym z okien i przytulił ją do siebie; jego broda muskała jej policzek, gdy jej patrzył przez ramię, mówiąc kojąco do ucha.

- Dlaczego taka smutna, querida?
- Nie smutna, przytłoczona.
- Patrz – wskazał – będziesz widziała park, gdzie będą się bawiły dzieci.
- Czyje dzieci?
- Nasze dzieci. Będziesz tu szczęśliwa, obiecuję ci, amor mio.
- Przypomina mi to ambasadę.
- To jest nasze, querida.

Chciała zwrócić uwagę, że nic w mieszkaniu nie należy do nich. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła to, co miało stać się ich nowym domem; zrobił to sam dla tego obcego człowieka, którym w jakiś sposób stał się w Nowym Jorku.

- Wiesz, kochanie – spróbowała. – Byłabym szczęśliwa mieszkając u Mirandy, dopóki bylibyśmy razem.

Uśmiechnął się ostro nigdy przedtem nie widziała u niego takiego uśmiechu. – Jak właściciel głównego banku w Nowym Jorku i jego nowo poślubiona żona mogą mieszkać w kamienicy? – Pocałował ją w nos.

- Chyba że Miranda chce ją sprzedać... – A kiedy nie odpowiadała, pocałował jej oczy i później usta. Bezwiednie zeszytywniała. – O co chodzi?

- Jestem przerażona – powiedziała po prostu. Znowu wziął ją w ramiona. – Czym, querida. Będziemy mieć wspaniałe życie...
- To nie jestem ja, to nie jesteś nawet ty...
- W mojej branży trzeba to mieć. Potrzebuję tego, by przyciągać klientów do banku.

I z kim miała się kłócić o coś, co stało się pracą całego jego życia? Byłaby diabelnie rozżalona, gdyby kazał jej zmienić specjalizację lub unormować godziny pracy... Jednak chciała wszystkiego.

- Gdzie się podział twój idealizm?

- Jest tutaj – powiedział, dotykając serca – ale czasy się zmieniły, kochanie. Moje życie już nie należy do oberwanej garstki idealistów dyskutujących o rewolucji w kafejce uniwersyteckiej albo uczących abstrakcyjnych teorii ekonomicznych. Obiecałem ci, querida, nigdy więcej polityki tylko biznes.

- Tak – powiedziała miękko. – Obiecałeś mi...

- To początek wspaniałego życia – rzekł cicho, gdy odchodził od okna; obejmował ją w pasie, jego usta znów muskały jej policzek, aż zatrzymał się pod masywnym kryształowym żyrandolem, zwisającym z rzeźbionego sufitu w salonie. Przyciągnął ją do siebie. Z miłością, tęsknotą i z wielką namiętnością pocałował ją jeszcze raz, i tym razem nie potrzeba było nic, by wzniecić ogień; ból pożądania już tam był. Jego język obrysował całe jej wargi, zanim wślizgnął się do jej ust powodując miłe mrowienie, to znajome uderzenie, kończące się gdzieś między jej udami.

- To twój dzień – wyszeptał. – Powiedz mi, czego chcesz...

- Zaalarmowana nie powiedziała mu, że najbardziej chce tego, by ten intruz – kimkolwiek on jest – odszedł.

## Rozdział 12

Było wcześniej rano. Kobieta czekająca w pogotowiu miała na sobie sukienkę bez rękawów i chusteczkę zawiązaną na głowie. Jej ramiona były zwiótczałe i białe, na twarzy perlila się delikatna warstewka potu, a niejasny ślad oparzenia skradał się w dół po jednej stronie jej szyi, by zniknąć pod kołnierzem. Była jedną z tych religijnych, której pięcioro dzieci w wieku od trzech do ośmiu lat potrzebowało dodatkowych szczepień. Starszy facet, który tam pokutował, wyglądał na zagubionego i rozdzierająco samotnego, gdy obserwował wszystko z intensywnością jastrzębia, odklejając wzrok jedynie po to, by zdjąć nylonowy czepek i potrzebować wilgotną głowę; jego bezzębne usta stale coś żuły. Była też para przyjezdnych czekająca na przyjaciela, który został tutaj przyciągnięty, gdy spadł ze stołka w barze i rozbił sobie głowę. Drzemali z wyciągniętymi nogami tak, że pracownicy szpitala pchający wózki potykali się o ich stopy. Parę prostytutek przysypiało w rogu, jedna z nich miała ładne ciało i buty na jaskrawoczerwonych obcasach, druga słuchała muzyki z odtwarzacza kompaktowego, kiwając się w rytm uderzeń wybuchających wprost w jej ucho.

Niedaleko wahadłowych drzwi, które oddzielały pogotowie od pourazowego, mężczyzna opierał się o ścianę. Miał na sobie garnitur khaki, lekką niebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i krawat wepchnięty w kieszonkę na piersi. Włosy miał zaczesane do tyłu i jeszcze wilgotne od porannego prysznic, był świeżo ogolony i pachniał cytryną. Nie pasował do tego miejsca.

Był to pierwszy dzień Coriander w pracy. Miała na sobie dzinsy i białą koszulkę pod białym wykrochmalonym fartuchem szpitalnym. Włosy miała zebrane do tyłu, wyraziste rysy i nie dbała o to, by nałożyć jakikolwiek makijaż. Zaparkowała samochód na parkingu, przeszła przez kładkę łączącą szpital z laboratoriami i bankiem krwi, i dalej przez labirynt podziemnych korytarzy. Teraz maszerowała energicznie przez pogotowie i podeszła do wahadłowych drzwi prowadzących do pourazowego. Zatrzymała się w bezruchu, gdy go zobaczyła. – Co pan tutaj robi? – zapytała, pamiętając wiadomość, którą zostawił na automatycznej sekretarce, kiedy zeszłej nocy wróciła z Chilpancingo. – Przepraszam, powinnam była do pana zadzwonić – przeprosiła – ale wróciliśmy późno i...

Adam wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie nie miała mi pani nic do powiedzenia.

- To nie jest usprawiedliwienie. Pan na pewno miał mi coś do powiedzenia...

- Nic, co nie mogłoby poczekać do rana. – Uśmiechnął się. – Czy mogę panią zaprosić na śniadanie?

Było coś w Adamie Singerze, co sprawiało, że natychmiast czuła się bezpieczna. Prawdopodobnie ta chłopięca uroda i dobre maniery, ponieważ nie mogło to na pewno być to, czym się zajmował zawodowo.

Zerknęła na zegarek. Ósma trzydzieści. Gdyby to było szybkie śniadanie, mogłaby się wyrwać na 15 minut...

- Możemy iść do greckiej kafejki po drugiej stronie ulicy. Kiedy zmieniły się światła i byli już na środku ulicy, zapytał: – Ma pani dyżur cały dzień?

- Cały dzień i jutrzejszą noc. – Zerknęła na niego.

- Trzydzieści sześć godzin.

- Czy pod koniec tych trzydziestu sześciu godzin wygląda pani równie pięknie jak teraz?

Mogłaby się obrazić, gdyby nie zmieniły się światła, wywołując natychmiastowy pisk opon w oddali, i Adam wziął ją pod ramię, by przebiec z nią w zacisze chodnika.

– Problem z panem jest taki. iż jest pan tak niesłuchanie miły, że prawie nie można się na pana złościć.

Mocniej ścisnął jej ramię. – Więc może mili faceci nie zawsze przegrywają.

Szli w milczeniu, aż znaleźli się w małej kafejce, gdzie właściciel przywitał ją po imieniu, a jeden z kelnerów zawołał: – Stolik dla dwóch osób w głębi sali dla pani doktor... – Obróciła się, by zapytać: – Może być? – Adam skinął głową, idąc tuż za nią.

Nie zaczęli rozmowy, dopóki kelner nie skończył nalewać kawy do kubków, które czekały już na stole. Nie była zupełnie pewna, z powodu którego z miliona powodów, ale czuła się nieswojo. Wybieraj, pomyślała w duchu.

- Więc dlaczego mnie pan odwiedził?

- Głównie, by zobaczyć, co u pani słychać... Odstawiła kubek. – Wyjechaliśmy z Meksyku wczoraj po południu... – Nie mogła się zdobyć, by wypowiedzieć nazwę miasta, którą będzie pamiętać do końca życia.

- Czy pani ojciec wrócił z panią?

- Tak, ale wczoraj wieczorem wyjechał do Waszyngtonu.

- Była pani sprytna, by wrócić prosto do pracy, wie pani.

- Nie miałam wyboru, nawet gdybym wołała ukryć się pod kołdrą. Brakuje nam personelu.

Postanowił od razu zrobić to, po co przyszedł. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie fotografie. Jedną jej podał. Było to zdjęcie szczerzącego zęby do aparatu mężczyzny stojącego przed walącą się chatą; czarne, długie, zmierzwione włosy opadały mu na czoło, gruby złoty łańcuch z zaskakującą kolekcją medali świecił na jego gołym torsie, pokrytym matowymi czarnymi włosami. – Rozpoznaje go pani?

Coriander przyjrzała się mężczyźnie, zanim podniosła wzrok. – Nie, kim on jest?

Zamiast odpowiedzi Adam wręczył jej drugie zdjęcie. – A co powie pani na to? – Było to to samo zdjęcie, tylko że na nim widoczna była tylko goła pierś, tak powiększona, by zająć całą powierzchnię zdjęcia.

Zbladła, gdy się jej przyglądała. – Co to jest? – wyszeptła, próbując to wszystko poskładać, słuchając wyjaśnień Adama.

- Ponieważ była pani tak pewna, że to nie był tors pani męża, przyszło mi do głowy, że musi być jeszcze jedno ciało, które wyjaśni pochodzenie tych szczątków posegregowanych do trzech misek. – Obserwował ją uważnie, by zobaczyć, czy będzie w stanie to znieść.

Jakby czytając w jego myślach, powiedziała: – W porządku, niech pan mówi dalej...

- Kiedy rozmawiałem z Luckinbillem, powiedział mi, że bratu pani męża bardzo się śpieszyło do kremacji tego torsu. Luckinbill przysięgał, że nie mógł tego zidentyfikować jako szczątków któregośkolwiek z jego pilotów; zdaje się, że ma basen w Connecticut, a obydwaj faceci przyjeżdżali w weekendy popływać. W każdym razie zacząłem myśleć, że ktoś zdobył gdzieś inne ciało, by napęlić tę trzecią miskę. – Przerwał. – Wszystko w porządku? – Przytaknęła. – Po spotkaniu z panią w hotelu wróciłem do kostnicy i rozmawiałem z tym żalonym małym urzędnikiem pogrzebowym, który powiedział mi, że z powodu upału nie są przygotowani na tak dużą ilość ciał. – Adam potrząsnął głową. – Zdawałoby się, że powinni już nadążać... W każdym razie powiedział mi, że kostnica po raz ostatni była tak zatłoczona w 1813 roku, kiedy ktoś wpadł na mądry pomysł odłączenia się od Meksyku i wszystkich wystrzelano... Więc narzekał, jak z trudem panuje nad tym interesem, a ja zapytałem go, jaki to interes, ponieważ, o ile wiem, zdarzyła się tylko katastrofa samolotu. Wtedy powiedział mi o wypadku, w którym jakiś facet z sąsiedniego miasta zjechał z drogi ciężarówką. – Przerwał. – Cholerstwo wybuchło na dnie wąwozu, nic nie zostało, przynajmniej tak powiedział właściciel zakładu pogrzebowego. – Adam przyglądał jej się jeszcze moment, zanim podjął: – Facet był naprawdę zdenerwowany i zmartwiony, więc kupiłem mu piwo. Wtedy trochę się rozluźnił i zaczął opowiadać, że papież może się zatrzymać w Cerro el Burro, to jest nazwa drugiego miasta na trasie jego pielgrzymki po Ameryce Łacińskiej...

Odzyskała głos. – Dlaczego?

- Spytałem dokładnie o to samo i, czy uwierzyłyby pani, na parę dni przed wypadkiem ciężarówki ten facet ze zdjęcia, ten, który zginął, utrzymywał, że widział Jezusa prawie w tym samym miejscu na drodze.

- Więc poszedł pan porozmawiać z miejscowym księdzem o wizji.

Adam przytaknął. – Z księdzem Ramonem. Zabrał mnie do domu tego faceta i przedstawił jego żonie, która dała mi fotografię. Kazałem powiększyć fragment, na którym widać tors, bo uderzyło mnie, że na pewno wyglądał tak samo. Co pani o tym myśli?

Spojrzała na fotografię torsu, po czym przeniosła wzrok na Adama i spytała go, czy jego zdaniem to zbieg okoliczności, że ten człowiek został zabity, czy ktoś celowo go zamordował po to tylko, by mieć jeszcze jedno ciało.

- Wracamy w ten sposób do punktu wyjścia. Gdyby brat pani męża nie śpieszył się z kremacją, nie kłopotałbym się o człowieka, który zjechał ciężarówką z drogi, ponieważ byłbym zbyt zajęty, by wydobywać stamtąd szczątki i dać je do laboratorium do analizy i identyfikacji. I gdybym to robił, zadbałbym, by dowiedzieć się, czy nie było jakiejś rany postrzałowej czy czegośkolwiek innego, co powiedziałoby mi o dokładnej przyczynie śmierci, kiedy już odkryłbym, że ten tors nie pochodzi z katastrofy samolotowej.

Pomyślała o tym, jak dużo czasu spędziła już przelękając wściekłość na Danny'ego, że zostawił ją w takiej sytuacji. – A co teraz? – Była nadal błada jak prześcieradło i wyglądała, jakby miała zemdleć.

- Niestety, nie pozostawiono żadnego fizycznego dowodu, więc muszę przebrnąć przez dzienniki pokładowe i raporty bankowe i porozmawiać z tyloma osobami, z iloma będę mógł, które albo widziały samolot przed katastrofą, albo widziały pani męża, albo wiedzą, co działo się w banku na dni lub tygodnie przed...

Trzymała zdjęcie. – To nie do uwierzenia, że ten człowiek, którego nigdy nie znałam i nigdy nie poznam, może być powodem, bym zaczęła się zastanawiać, czy moje całe życie nie było kłamstwem.

- A było?

- Nic już nie wiem – powiedziała uczciwie.
- Czy pani mąż kiedykolwiek zwierzał się pani z problemów, jakie miał?
- Niezupełnie. – Napotkała jego wzrok. – Poza ostatnim dniem.
- A co wtedy?
- Tylko niejasne aluzje, tak jakby chciał, żebym sama czegoś się domyśliła.
- Czy mogę pani zadać osobiste pytanie?
- Co chciałby pan wiedzieć?
- Co w nim takiego było, że zaryzykowała pani powtórnie?

W jej spojrzeniu była mądrość. – Wie pan o wszystkim, prawda?

To wtedy powiedział jej, że jego praca polega na tym, by wiedzieć wszystko, ponieważ jest zaangażowany w tę sprawę i musi zrozumieć ludzi najbliższych Danny'emu, musi wiedzieć, czy istnieje jakakolwiek możliwość dowiedzenia się kiedykolwiek prawdy. Powiedział jej, że nigdy jej nie zdradzi i że jest tutaj przy niej i pozostanie przy niej, aż ona otrzyma odpowiedzi na wszystkie swoje pytania; powiedział jej, że może mu ufać. Nie powiedział jej jednak, że trochę się już w niej zakochał..

- Danny był idealistą i to w nim kochałam. On prawdziwie przejmował się ludźmi. Był najbardziej wspaniałomyślnym i miłym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam, twardy, oddany i odważny... – Przerwała z dziwnym wyrazem twarzy. – Może powinnam zacząć od szczerości wobec siebie samej.

- Co ma pani na myśli?

- Prawda polega na tym, że niezwykle pociągaliśmy się nawzajem fizycznie...

Miał nadzieję, że głos mu się nie załamie. – A reszta...

- To było wszystko prawdziwe, ale myślę, że działało w przeciwną stronę niż zwykle. Byłam dzieckiem, gdy go pierwszy raz spotkałam. Początkowe zauroczenie, wtedy w Argentynie, było wszystkim tym, o czym właśnie wspomniałam.

- Jednak porzucił panią dwukrotnie – oświadczył raczej niż spytał.

- Sądzę, że wolał dziecko od kobiety.

Może to dlatego, że Adam nie miał nic do stracenia, nagle zaczął z innej beczki. – Chciałbym pani powiedzieć, żeby pani zadzwoniła do mnie, jeśli będzie pani potrzebowała porozmawiać, to znaczy, nawet jeśli nie dotyczyłoby to tej sprawy. – Miał już kartkę w rękę i skrobał cyfry, po czym ją jej wręczył. – Chcę pani dać swój numer domowy i prywatny numer w biurze na wypadek, gdyby pani mnie potrzebowała.

Nie była na to przygotowana... – Nie wiem, na ile jestem dobra w tych sprawach, to znaczy, w dzwonieniu tak po prostu, by porozmawiać o tym, co mnie gryzie.

- Spróbuje pani?

- Spróbuję

- Zje pani kiedyś ze mną kolację?

Przypatrywała mu się przez chwilę. – Nie zapytałam, czy jest pan żonaty.

- To nic.

- A jest pan?

- Byłem, żona opuściła mnie dla agenta FBI.

- Przykro mi... – powiedziała.

- Mnie też było przykro...

- Opowie mi pan o tym? – spytała i dodała: – Podczas kolacji?

- Wspomnienia blakną bardzo szybko. – Uśmiechnął się szeroko. – Więc lepiej chodźmy na kolację wkrótce.

Odpowiedziała uśmiechem, zanim zerknęła na zegarek. – Muszę wracać do pracy. – Wstała. – Dzięki za kawę.

Także wstając, powiedział cicho: – Dzwon do mnie Coriander Wyatt Vidal.

- Mam zamiar spróbować nauczyć się tego. – Odwróciła się, zanim mógł powiedzieć cokolwiek więcej, i przeszła długimi krokami przez kafejkę, znikając za drzwiami.

\*\*\*\*\*

Coriander miała sen. Dwa szare ptaki na środku wiejskiej drogi, jeden leżał nieruchomo zgnieciony, podczas gdy drugi spychał dziobem swego martwego kompana na bok. Popatrz na to, powiedziała do Danny'ego we śnie, ona go chroni, nawet po śmierci mała samiczka opiekuje się swoim towarzyszem. Dlaczego ona, a nie on? – spytał Danny we śnie, dlaczego martwy ptak to na pewno mężczyzna? Nie umiała odpowiedzieć. Ani we śnie, ani teraz. Po prostu wiedziała.

Była siódma piętnaście rano, od kawy z Adamem upłynęły już prawie dwadzieścia cztery godziny i Coriander właśnie budziła się z krótkiej drzemki i jeszcze jednego niepokojącego snu. Jak zwykle gdy myślała, że sen już nigdy nie nadejdzie, kiedy osiągała punkt przekraczający granice wyczerpania, kiedy zamiast snu przychodziły łyzy, w końcu zasypiała i przychodziły do niej sny – niepokojące portrety, w których występowali tylko oni we dwoje. Te ostatnie czterdzieści minut nie stanowiło wyjątku. Lecz jakkolwiek źle się czuła, lepiej było czuć się źle w pracy niż pozostawać w domu i czuć się jeszcze gorzej.

Większość współpracowników zobaczywszy ją wczoraj, przypatrywała się jej tylko z troską, chociaż nie wiedzieli, co powiedzieć. Kilkoro podeszło do niej, mamrocząc coś o Bogu i sile, i żeby tylko powiedziała, jeśli będzie czegoś potrzebowała...Lepsze to od kondolencji, w których ludzie właściwie opisywali, jak powinna się czuć; jaka powinna być smutna, jak przybita, jak ogromna to dla niej strata, jak nieutulony jej żal. Więcej niż czegokolwiek innego pragnęła, by wszyscy przestali odbijać jej ból w swoich oczach, lub opisywać, jak śmierć jej męża ją dotknęła. Niestety, sama wiedziała o tym aż za dobrze...

Lottie była jedną z niewielu osób, które nie zmusiły jej do przyznania żalu czy pogodzenia się ze smutkiem. Co nie znaczyło, że nie była podporą, chociaż może trochę przesadzała w uświadamianiu Coriander, że ci macho z męskiego bractwa chirurgów tylko czekają aż się potknie . upadnie z powodu osobistej tragedii – typowa wymówka, by zagrozić kobietom drogę do tego ostatniego męskiego bastionu medycyny. Gdy Coriander pisała raport z pierwszych dwudziestu czterech godzin, zastanowiła się nad ostatnimi wysiłkami Lottie, kiedy rzeczywiście potknęła się i niemal upadła. Incydent przydarzył się zaledwie kilka godzin wcześniej...

Gdzieś na Brooklynie, niedaleko od szpitala, młoda kobieta obudziła się i znalazła włamywacza w mieszkaniu. Pierwszy jej błąd polegał na tym, że usiadła na łóżku i zaczęła krzyczeć; drugi, że chcąc zadzwonić sięgnęła lewą ręką do aparatu telefonicznego stojącego po prawej stronie łóżka. Włamywacz trzymał jej rękę w powietrzu, gdy zanurzał nóż pod spód, w jej pierś. Dzięki sąsiadom, którzy usłyszeli krzyki i wykręcili 911, dwadzieścia minut później kobieta dotarła na pourazowy, gdzie Coriander i jej zespół byli już w pogotowiu i czekali na nią. Wstępne oględziny pozwoliły poznać całą historię; tętnice wydęte, serce niesłyszalne, ciśnienie beznadziejnie niskie. Kobieta ledwie żyła. Worek osierdziowy napełniony był krwią, co nie pozwalało świeżej krwi wpływać do serca.

Ruch przy noszach kobiety na intensywnej terapii robił wrażenie. W ciągu dziesięciu minut kobieta została przewieziona na górę do sali operacyjnej, gdzie jej serce zatrzymało się. Coriander była z pacjentką od pourazowego do sali operacyjnej i dostała się do środka jej piersi, by zrobić ręczny masaż serca, którego efektem było to, że krew przy pierwszym skurczu uderzyła

w sufit. Przytykając palec do dziury w lewej komorze serca zdołała zatrzymać potok krwi, gdy drugi chirurg założył klamrę na główną tętnicę płucną. Późniejsze wydarzenie doprowadziło do tego, że Coriander, jak to ujął młody stażysta, przegrała. Nastąpiło to w tym samym momencie, gdy Lottie weszła do bloku operacyjnego z sąsiedniej sali, gdzie właśnie nastawiła kość udową przypuszczalnej ofierze znęcania się nad dziećmi.

Coriander miała właśnie zszyć ranę w lewej komorze, gdy odkryła, że nie ma odpowiedniej igły – standardowa igła była zbyt mała, a duża igła była zbyt gruba, chociaż Coriander optowała za tą ostatnią, by zapobiec dalszemu rozrywaniu się mięśnia. I gdy nastąpił ten niepomysłny zbieg okoliczności, jedna z pielęgniarek wysłała stażystę z chirurgii do banku krwi, odległego od pourazowego o odpowiednik dwóch przecznic, by przyniósł nie pomieszaną krew grupy zero. Los sprawił, że urzędnik odmówił wydania jakiegokolwiek krwi, dopóki stażysta nie wypełni druczków wniosku o wydanie, biorąc pod uwagę, że krew była nie mieszana i nie było czasu, by dopasować pacjentkę. Dwadzieścia minut później bliski hysterii stażysta wrócił do sali operacyjnej z krwią dokładnie w momencie, gdy pacjentka dostała migotania przedsionków (znanego w języku medycznym jako fibrillatio atriorum, jak wyjaśnił jeden z chirurgów naczyniowych, kiedy wetknął głowę przez drzwi). Elektrowstrząsy przywróciły pacjentkę do życia, czy jak Coriander to ujęła „na granicę śmierci”; operacja trwała. Po kilku transfuzjach i jeszcze kilku wstrząsach pacjentka rzeczywiście na chwilę wróciła do życia, chociaż po powtarzających się epizodach migotania przedsionków, powtarzanych rundach zabiegów i następnej krwi, jasne się stało, że nic nie naprawi zniszczenia, które już się dokonało; to wydawało się oczywiste dla wszystkich poza Coriander. Zachowywała się jak szalona, gdy nakazywała: – Wlejmy w nią każdą kwartę jaką mamy...

- Pozwól jej umrzeć, Cory – delikatnie namawiała Lottie.

- To była dobra operacja, Wyatt – dodał chirurg naczyniowy.

- Niezła próba, pani doktor – dorzucił stażysta, na co Coriander odwróciła się i warknęła przez zaciśnięte zęby:

- To nie jest pieprzony mecz tenisowy.

Lottie podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Coriander. – To bezsens, Cory – oświadczyła. – Pacjentka zmarła.

Lecz Coriander nie była zainteresowana czyjąkolwiek opinią i odmawiała sprostania ewentualnej rzeczywistości.

- Chcę, żeby miała transfuzję – nakazała – i to teraz. Ruszajcie! Mamy siedem czy sześć jednostek krwi pozostałych na tej sali operacyjnej, więc ruszajcie się!

Wszyscy, a przynajmniej przestraszeni podwładni, jak siostra z sali operacyjnej i ten nieszczęsny stażysta, ruszyli się, jedno z nich przyczepiało butlę z osoczem do kroplówki, by wpłynęło w żyły umierającej dziewczyny. Coriander była tuż przy nich, masując serce, uderzeniami przywracając pacjentkę z powrotem do życia, gdy życie wygasало, czując smak własnych łez, gdy z mozołem uzyskiwała bicie serca i gdy je traciła, wykończona, spocona i przechodząca od wybuchu do wybuchu, aż w końcu osiągnęła poziom kompletnej rozpacz. Lottie stała tam tylko bezradnie, słuchając Coriander wydającej bezsensowne polecenia, obserwując personel sali operacyjnej podskakujący bardziej ze strachu niż z obowiązku.

- Nie ma pulsu – oświadczyła siostra.

- Straciliśmy ją – potwierdził stażysta.

Lottie zrobiła krok w przód, jej dłoń opierała się lekko na ramieniu Coriander. – Cory, proszę, nie rób tego...

Lecz Coriander nie była zainteresowana niczym poza tą umierającą dziewczyną. – Sprowadźcie tutaj płucoserce – rozkazała, strząsając dłoń Lottie z ramienia – i podłączcie ją



szybko. Ruszajcie się, no już! – A kiedy nikt się nie ruszał, podniosła głos. – CZY WSZYSCY OGŁUCHLI? – wrzasnęła, rozglądając się. – Sprowadzić tutaj maszynę, natychmiast!

- Coriander, skończ z tym – rozkazała Lottie. – To bez sensu, pacjentka nie żyje.

Coriander zawirowała wokół. – To nie jest twoja sala operacyjna, więc twoje opinie nie są brane pod uwagę.

- Lottie wycofała się, gdy ktoś zapylał, gdzie może być płucoserce, a w tym samym czasie ktoś wyliczył więcej powodów, dlaczego było to bezowocne. Lecz Coriander była już na korytarzu, wpychając zupełnie sama maszynę.

- Podłączcie ją! – W ciągu dwóch czy trzech sekund maszyna działała, a w ciągu trzydziestu sekund pacjentka została do niej podłączona. Coriander wyciągnęła taboret i usiadła, obserwując cyferki na respiratorze, uderzenia serca i ciśnienie krwi, słuchając zasysającego dźwięku pompy, gdy oddychała za dziewczynę.

Znowu Lottie próbowała ją odciągnąć. – Cory nie możesz jej wskrzesić, pozwól jej umrzeć w spokoju – prosiła.

- Odejdź – wyszeptwała Coriander z oczyma utkwionymi w pacjentce – po prostu zostaw nas same. – Lecz było to bezskuteczne, nawet maszyna nie mogła utrzymać jej przy życiu. Dwudziestodwuletnia dziewczyna zmarła około godziny później; jak się dowiedziano, była uczennicą szkoły pielęgniarstwa i niczego bardziej nie pragnęła, jak pracować na pourazowym w Szpitalu Ogólnym na Brooklynie, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkała.

Coriander nadal z nią była, gdy odłączano ją od maszyny; nikt, nawet Lottie, nie mógł jej odciągnąć. – Muszą usunąć ciało, Cory – znowu spróbowała Lottie. – Pozwól, proszę, zabrać się na dół. – Z oczyma przepelnionymi łzami, Coriander w końcu wstała, by delikatnie nakryć dziewczynę prześcieradłem. Jednak zawisła nad ciałem, osłaniając je przed kimkolwiek innym.

Lottie była zdesperowana. – Cory, potrzebują sali operacyjnej – błagała.

To wtedy Coriander skinęła głową do sanitariuszy, którzy czekali ze składanymi noszami, by wynieść ciało do kostnicy. Przynajmniej wszyscy mieli na tyle rozsądku, by jej nie zmuszać, bo wyszła z sali operacyjnej sama. Nie mrugnawszy okiem, wpatrzona wprost przed siebie, poszła na dół do tego małego hallu. Zamknęła drzwi, położyła się na kozetce w pozycji embriona i płakała tak, jakby pękło jej serce, po raz pierwszy, od kiedy usłyszała o Dannym.

\*\*\*\*\*

Coriander wreszcie skończyła pisanie wszystkich raportów, gdy ktoś zapukał do drzwi. – Proszę! – wykrzyknęła.

Drzwi otworzyły się. Była to Lottie, ostrożna i zmartwiona, i bardzo niechlujna w fartuchu poplamionym kombinacją betadyny i sosu marinara. – Wszystko w porządku? – zapytała ostrożnie.

Coriander obróciła się na krześle. – Przepraszam – powiedziała po prostu. – Naprawdę przepraszam.

Lottie potrząsnęła głową. – Nie przyszedłem tutaj po przeprosiny.

- Siadaj – powiedziała Coriander, wskazując drugie krzesło.

- Musisz opłakiwać, Cory...

- Co? Moje małżeństwo czy mojego męża, czy jedno i drugie...

- Tam, na górze, wybrałaś straconą sprawę.

- Bez względu na Danny'ego diabelnie walczyłabym, by ją uratować – zaprotestowała.

- Za bardzo się starałaś, Cory.

- Albo niewystarczająco.

- To inny problem...
- Więc nie zwalaj winy za to, co się stało na górze, na to, co się przydarzyło Danny'emu.
- To nie chodzi o winę, chodzi o pomylenie dwóch spraw i pozwolenie emocjom na to, by zaćmiły zdolność oceny.
- Zupełnie zdrowa kobieta obudziła się w swoim łóżku, by zostać zamordowana.
- Nigdy nie jest łatwo stracić pacjenta.
- To nie było stracenie pacjenta, to była bezsensowna strata życia...
- Tak samo jak przywożone tutaj rany postrzałowe, dzieci ze złamanymi kośćmi udowymi i prawie każdy przypadek, który wjeżdża przez te drzwi.
- Nie mogę hierarchizować wartości – powiedziała Coriander znużona.
- Więc przynajmniej spróbuj zaakceptować ustalony porządek rzeczy i nie podejmuj się zmiany czegoś, czego nie można zmienić.

Jej oczy napełniły się łzami. – Kiedyś wiedziałam, kiedy się poddać. Pamiętasz, Lottie, kiedyś wiedziałam, że coś jest beznadziejne... Teraz nie potrafię już odróżnić... – Pomachała ręką przed twarzą, tak jakby chciała pozbyć się żalu.

- On nie żyje, Cory, i musisz go opłakiwać.
- Ludzie opłakują ciała, dlatego w cywilizowanym świecie mamy pogrzeby. – Spojrzała na Lottie poprzez łzy. – Ja nie mam nic poza wątpliwościami...
- Może ty sama tworzysz te wszystkie wątpliwości.
- Nie, Lottie. Nie ma nic poza urną napełnioną prochami, które nawet nie należą do Danny'ego...

Sięgnęła po jej rękę. – Co mogę zrobić? Chcę ci pomóc, i Nienawidzę, gdy ludzie tak mówią, ale ja naprawdę chcę.

Coriander nic nie powiedziała, siedziała tylko przez I chwilę czy dwie, wpatrzona w dużą szczelinę na ścianie obok biurka. Wstrzymując łzy, zmieniła temat. – Co się dzieje na oddziale?

- Jak w dziale bielizny u Bloomingdale'a, nie przewidzisz, jaki będzie ruch. Lepiej dyskutować o przypadkowej śmierci.
- Niewiarygodna była ta ostatnia noc, prawda?
- Idź na oddział, poznaj moje cztery nowe złamania i zobacz jak niewiarygodny jest dzisiejszy ranek.
- A gdzie ja byłam, kiedy ich przyjęto?
- Na górze na operacji...
- Jeszcze jeden wypadek samochodowy?

- Trzy samochody i sanitariusze przynieśli ich wszystkich tutaj. Musieli chyba myśleć, że prowadzimy specjalny oddział z szynami gipsowymi – odpowiedziała Lottie, trąc oczy.

Coriander miała właśnie coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Obydwie ruszyły, by podnieść słuchawkę. Pokazała Lottie, by poczekała. To był Jorge. Od razu przeszedł do sedna. Nie dzwoniłby do niej do szpitala, gdyby przez całą noc nie próbował bezskutecznie dodzwonić się do domu i bał się, że jej nie złapie przed wyjazdem do Meksyku w interesach. Meksyk? Interesy? Wydarzenia w banku zatrzymały go w Nowym Jorku. Danny chyba zostawił jej trochę pieniędzy na wypadek, gdyby coś mu się stało. – Pieniądze – powtórzyła to słowo, świadoma, że Lottie ją obserwuje z drugiej strony małego pokoju. Zostało to załatwione bez testamentu, ponieważ Danny nie spisał testamentu, ale był bardzo świadomy swego zobowiązania. „Zobowiązanie” – od kiedy była zobowiązaniem? Wygląda na to, że Danny zostawił jej milion dolarów w gotówce, co oznacza, że nie będzie z tego potrącany żaden podatek; to nie powinno być dla niej niespodzianką, ponieważ Danny nie pochwalał kontroli rządowej i maszyny biurokratycznej; jednocześnie tłumaczyło to powody tej przyspieszonej kremacji. Arogancja...

Właściwie „zaskoczenie” to nie było słowo, które oddawałoby to, jak uderzyła ją ta wiadomość; bardziej odpowiednim słowem byłby „szok”, głównie dlatego, że Danny nigdy nie rozmawiał z nią o pieniądzach i testamentach... – Milion dolarów – wypowiedziała słowa na głos, zanim zadała milion pytań: skąd pochodzą te pieniądze, gdzie są teraz, gdzie Danny je trzymał i jak długo, co ma z nimi zrobić i jak Jorge wszedł w ich posiadanie – cała ta sprawa była niepojęta. Jorge zapewnił ją, że skontaktuje się z nią za kilka dni, przed wyjazdem do Meksyku albo za kilka tygodni po powrocie. Gdy odwiesiła słuchawkę, odezwała się do Lottie: – To był brat mojego męża...

Oszołomiona Lottie zdołała powiedzieć tylko: – Milion dolarów...

Coriander była blada. – Zdaje się, że Danny zostawił je dla mnie w gotówce. Czy możesz w to uwierzyć?

- A czy ty możesz?
- Czy Jorge mógłby tak strasznie kłamać?
- Nie wiem, a dlaczego miałby kłamać?
- To nie ma sensu.
- Przynajmniej jeśli to prawda, możesz pozwolić sobie na pozostanie w mieszkaniu.
- Jeśli to prawda, mogę sobie pozwolić na wyprowadzenie się bez zadłużania się na przeprowadzkę. Nie wiesz, jak dużo nie płaconych rachunków stale wypływa na powierzchnię, odkąd zaczęła się ta sprawa...

- Niewiarygodne – mruknęła Lottie, nadal nie mogąc ochłonąć po wiadomości – milion dolarów...

Coriander spojrzała na przyjaciółkę. – Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego Danny'emu coś takiego przyszło do głowy...

Lottie wstała. – Nie mogę po tym ochłonąć.

- Ja też.
- Co masz zamiar teraz zrobić?

Coriander pokręciła głową. – Muszę to przetrwać, zanim będę wiedziała, co myśleć, mówić, a dopiero potem | robić... – Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po trzeciej po południu. – Do której masz dyżur?

- Do szóstej.
- Idź. nie czekaj na mnie. Za chwilę przyjdę. Muszę wykonać szybki telefon.

Z ręką na klawiszu Lottie powtórzyła: – Milion dolarów...

Kiedy Lottie wyszła i drzwi znowu były zamknięte, Coriander podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Adama. Po recepcjonistce i sekretarce usłyszała Adama, jak pyta z oczywistym niepokojem: – Co się stało?

- Dlaczego myślisz... – zaczęła.
- Bo to zbyt wcześnie, byś dzwoniła ot, tak sobie.
- Coś bardzo dziwnego – zaczęła i po chwili namysłu dodała: – Czy mogę przyjść do twojego biura, by porozmawiać, albo czy możemy się gdzieś spotkać?
- Oczywiście, w każdej chwili.
- Prawdopodobnie wrócę dzisiaj późno, więc lepiej byłoby jutro...
- Będę się martwić, jeśli nie dasz mi żadnej wskazówki, o co chodzi.
- Pamiętasz, kiedy zapytałeś mnie w Meksyku, co zyskuję po śmierci mojego męża? – powiedziała niemal bez wahania.
- Tak, i powiedziałaś, że nigdy o tym nie rozmawialiście.
- Myliłam się.
- To znaczy rozmawialiście o tym?

- Nie, chodzi mi o to, że najwyraźniej mój mąż to rozważał, bo zrobił pewne zabezpieczenie.

Adam załapał. – Jak duże?

- Milion dolarów – powiedziała – gotówką.

Bingo. – Jak się o tym dowiedziałaś? – zapytał, starając się powściągnąć podniecenie.

- To dlatego wolałabym porozmawiać o tym osobiście, a nie przez telefon.

- Czy chciałabyś zjeść ze mną kolację dziś wieczorem?

- Z przyjemnością.

- Przyjadę po ciebie.

- Naprawdę chcesz aż tutaj po mnie przyjechać?

- Powiedz tylko, o której kończysz.

- Około dziewiątej.

- Masz samochód?

- Tak.

- Więc nie wezmę swojego. Możemy wrócić do miasta razem.

- W porządku – powiedziała. Dorzuciła jeszcze: – Dziękuję ci, Adam.

Rozmowa się skończyła. Coriander pomyślała o tym przelotnie, zawieszając stetoskop na szyi, wkładając do kieszeni na piersi małą latareczkę i kilka piór, przypinając plaketkę z nazwiskiem, i ruszając do następnej rundy. Obiad. Śniadanie. Co tylko chce. Wszystko zależy od niej. W końcu był specjalnym śledczym z Biura Prokuratora Okręgowego, a ona żoną obiektu dochodzenia. Albo wdową...

\*\*\*\*\*

Adam rozmyślał o tym przez chwilę. Oto on wypruwa żyły, by udowodnić, że jej mąż żyje, przez co sytuacja, która i tak była już skomplikowana, komplikowała się nawet bardziej z czysto osobistego punktu widzenia. Cała sprawa była zupełnie pomieszana, poza niektórymi uczuciami, które były nadzwyczaj jasne i skupiały się na niej. Wyobrażał sobie, jak to będzie.

Dziewiąta przejdzie we wpół do dziesiątej, zanim w końcu opuszczą szpital; będzie wpół do jedenastej, zanim dotrą na drugą stronę Mostu Brooklyńskiego, który – tak się składa – znajduje się blisko Chinatown, gdzie pewnie skończą w jednej z tych zatłoczonych ciasnych knajpek. Milion dolarów gotówką, słowa odbijały się echem w jego głowie; nie ma wątpliwości, że te pieniądze miały coś wspólnego z pięcioma czekami bez pokrycia Fernando Stampy. Wszystko w tej sprawie było tak grubymi nićmi szyte, że niemal sięgało głębiej niż dowody.

Adam nie powiedział natomiast Coriander, że nie dalej jak wczoraj jej ojciec dzwonił z Waszyngtonu, by umówić I się z nim na spotkanie w Nowym Jorku. Palmer miał zjawić się w jego biurze za niecałą godzinę. Chociaż były ambasador zapewnił Adama, że Coriander wie, że był w Waszyngtonie i wraca do Buenos Aires przez Nowy Jork, prosił, aby Adam nie wspominał jej o spotkaniu. Najwyraźniej chciał rozmawiać o pewnych sprawach, które mogłyby pomóc w dochodzeniu, ale które mogłyby powiększyć, nieszczęście Coriander. Nie było sensu przysparzać jej więcej bólu. Adam zgodził się trzymać wszystko w tajemnicy – przynajmniej na razie – ponieważ i tak zamierzał I przesłuchać Wyatta, zanim ten opuści kraj. Starał się nie myśleć o Coriander, gdy czekał na przybycie jej ojca.

## Rozdział 13

Palmer Wyatt, wchodząc do biura Adama, wyglądał na sprawnego, opalonego i wypoczętego mężczyznę. W spodniach khaki, jasnoniebieskiej koszuli i granatowej lnianej marynarce prezentował się bardziej elegancko niż wyglądałby we fraku. – Jestem wdzięczny, że chciał się pan ze mną spotkać – powiedział Palmer, ściskając dłoń Adama.

- A ja jestem zadowolony, że mamy szansę porozmawiać przed pana powrotem – odpowiedział Adam, wskazując mu sofę. – Czy mogę panu zaproponować kawę?

- Poproszę tylko o wodę – odpowiedział Palmer, rozejrzawszy się po zagraconym pokoju zanim usiadł. Od razu przeszedł do rzeczy. – Mam nadzieję, że zamierza pan dotrzymać słowa, panie Singer, i nie mówić mojej córce o tym spotkaniu.

Niosąc dwie szklanki i dwie butelki wody Perrier z małej lodówki w narożniku gabinetu, Adam podszedł do małego stolika, gdzie je ustawił, zanim zajął miejsce naprzeciwko mężczyzny. – Wolałbym, aby pan mi pozwolił ocenić to samemu...

- Ona została już wystarczająco skrzywdzona...

- Ona jest także silniejsza niż pan myśli.

- Myślę, że znam moją córkę lepiej niż pan, panie Singer, i wiem, że ma wystarczająco wiele powodów do zmartwień teraz, bez sięgania do przeszłości.

- A jeśli obiecuję nic nie robić, zanim nie przedyskutuję tego z panem?

Mężczyzna skinął głową, po czym zaczął mówić. – Kocham swoją córkę i znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji, co nie znaczy, bym po raz pierwszy znajdował się w trudnej sytuacji z powodu mojej córki i jej męża.

- Proszę zacząć od początku.

Palmer usiadł wygodnie. – Jednym z powodów, dla których starałem się utrzymać dobre stosunki z juntą, kiedy byłem ambasadorem, była ochrona Coriander. Zdaje się, że nie pod każdym względem udało mi się dla niej zrobić wszystko, co chciałem, ale były to złe czasy w Argentynie, straszne czasy...

- Intryguje mnie, jak udało się panu pozostać ambasadorem nawet wtedy, gdy zmieniła się administracja.

- Jeśli w dyplomacji możliwe jest istnienie ludzi niezastąpionych, to chciałem być takim człowiekiem. Zalewałem Waszyngton raportami, z których wynikało, że zmiana ambasadora zaszkodziłaby amerykańskim stosunkom z juntą. Rozumie pan, byłem przynajmniej w stanie utrzymywać dialog.

- Więc nie tylko z powodu córki chciał pan pozostać...

- To była przedziwna sytuacja.

- W jakim sensie?

- Jak długo ja tam byłem jako ambasador, Coriander była bezpieczna, i chociaż nie pochylałem jej związku z Dannym, to z drugiej strony on chronił ją przed Montoneros i stałą groźbą porwania.

- Czy kiedykolwiek martwił się pan, że córka może się zaangażować w tę działalność?

- Martwiłbym się nawet, gdyby nie była z nim związana. W tamtych czasach większość młodych ludzi zrobiłoby wszystko przeciwko juncie. Jeśli chodziło o mnie, większe zagrożenie widziałem w Montoneros, ponieważ zawsze potrzebowali pieniędzy i zrobiliby wszystko, co spektakularne, dla pieniędzy lub reklamy...

- Czy to spektakularność przyciągnęła Coriander do niego? – To pytanie zaprzętało mu głowę od jakiegoś czasu...

- Danny był starszy i atrakcyjny, wie pan prawdopodobnie, że był jej profesorem i kimś w rodzaju bohatera ruchu. W porównaniu z nim chłopcy w jej wieku byli tylko dziećmi. Był

człowiekiem, który robił więcej niż rozmowy o pozbyciu się tych potworów, on działał w tym kierunku.

- Z tego co słyszę, zgadzał się pan z nim.

Palmer uśmiechnął się lekko. – W dyplomacji nic nie jest czarne albo białe... Nie zgadzałem się natomiast z ich metodami.

- Z przemocą?

Palmer przytaknął. – Żyłem w strachu, że ktoś postanowi go zabić, kiedy ona z nim była, i nie chcący zabić ją.

- A czego teraz się pan obawia?

- Nie przyszedłem tutaj dlatego, że się boję. Przyszedłem tutaj, ponieważ mam informacje o Danny'ym Vidalu, które mogą panu pomóc. Widzi pan, panie Singer, on jest mordercą.

- Wracamy do wysadzenia tego samolotu...

- To inna historia, ja mówię o morderstwie, które popełnił wtedy w Argentynie.

- Biorąc pod uwagę to, co tam robił, musiał popełnić niejedno morderstwo.

- Mówię o szczególnym morderstwie. – Mężczyzna przerwał na chwilę, po czym podjął: – Danny Vidal zamordował honorowego konsula Stanów Zjednoczonych w Cordobie, człowieka, który był moim doradcą i dla którego w 1955 roku, kiedy byłem świeżo po szkole, Argentyna była pierwszą zagraniczną placówką. – Wyatt wyciągnął rękę po szarą kopertę, którą zaraz po przyjsciu położył przed sobą. Wręczył ją Adamowi, a on ją otworzył. Był to dokument Sądu Najwyższego z oficjalną pieczęcią Stanów Zjednoczonych Ameryki w lewym górnym rogu. Bez komentarza Adam zaczął czytać. Był to wniosek Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w Cordobie. Adam zerknął na oskarżenia, zanim przewrócił stronę, by przeczytać o szczegółach.

Dwunastego listopada 1977 wspomniani osobnicy wpadli do biura Johnsona i porwali go, napisali sprayem antyamerykańskie slogany na ścianach biura, po czym wrzucili swoją ofiarę do peugota 303, który czekał przed budynkiem. Później tego dnia w „raporcie wojennym” Montoneros Johnson został oskarżony o bycie „bezpośrednim przedstawicielem interesów jankeskich w naszej prowincji”. Johnson został skazany na śmierć przez rozstrzelanie, ale w dodatkowym oświadczeniu wydanym przez Montoneros stwierdzono, że wyrok zostanie „złagodzony”, jeśli przed upływem godziny 1900 13 listopada junta udowodni, że pięciu zaginionych Montoneros żyje. Zerkając na strony, Adam spojrzał na Palmera, po czym znów przeniósł wzrok na dokument, by przeczytać jego ostatnią część. Była to kopia odręcznie napisanego listu Johnsona do ambasadora amerykańskiego w Buenos Aires.

*Drogi Palmerze,*

*Wiem, że masz wystarczającą władzę, by sprawić, żeby rząd argentyński spełnił żądania Montoneros. Jeśli ci zaginieni członkowie żyją, proszę, użyj wszystkich swoich wpływów, by zapewnić, że pojawią się o oznaczonym czasie i godzinie.*

Adam skończył czytać. – Czy pan to zrobił?

- Miałem związane ręce – odpowiedział Palmer cicho. – Nic nie mogłem zrobić. Gdybym odpowiedział na list, zdyskredytowałoby to juntę do roli narzędzia w rękach rządu Stanów Zjednoczonych. Może pan zrozumieć, jaki byłem przerażony, by nie zrobić nic, co rozzłościłoby juntę, by z tego powodu nie cierpiała moja córka.

- Ale nazwisko Danny'ego Vidala nie jest wymienione w tym wniosku...

- Nie jest wymienione, ponieważ rząd uznał, że są większe szanse sądowego ścigania dwóch innych mężczyzn, którzy uczestniczyli w morderstwie. Do czasu, gdy policja się czegoś

dowiedziała, Danny wyjechał już na Kubę. Lecz w rzeczywistości to on strzelił Matthew Johnsonowi w głowę.

- Skąd pan to wie?
- Ponieważ mówił o tym później.
- Komu?

- Rozmawiał o tym z człowiekiem o nazwisku MacKinley Swayze.

Zmieszany Adam naciskał. – Cóż, są dwie rzeczy, których nie rozumiem. Po pierwsze, kim jest MacKinley Swayze, i po drugie, jak to się stało, że podsłuchał pan rozmowę?

Wyatt westchnął. – Junta podłożyła pluskwę w kryjówce Montoneros w La Boca, a także w biurze Danny'ego na uniwersytecie w Cordobie. Ja zaś podsłuchałem rozmowę, gdyż miałem w juncie kontakty z ludźmi, którzy dawali mi kopie każdej taśmy dotyczącej Coriander. – Ból zamajaczył na jego twarzy. – To były brzydkie sprawy, ponieważ taśma, na której mówił o morderstwie Matthew Johnsona, zawierała także to, czego nigdy nie powinienem był usłyszeć...

- Co pan ma na myśli?

Znowu Wyatt westchnął. – Najwyraźniej moja córka była w nim zakochana i mieli wspólne życie, ale wiedzieć o tym, to jedno, a słuchać tego, co innego. Tego wieczora, gdy Danny opowiadał o zamordowaniu Matthew Johnsona, był w domu w La Boca. To była ta noc, kiedy Coriander wyszła z klubu w Buenos Aires, a jej przyjaciel został zabrany przez tajną policję. Pobieгла z powrotem do domu w La Boca, by sprowadzić Danny'ego i oboje zjawili się w ambasadzie. Chcieli, abym wy dostał chłopca.

- Hernando...
- Powiedziała panu?
- Nadal czuje, że to jej wina...
- Nic nie mogłem dla niego zrobić...
- Czy Coriander wiedziała o morderstwie Matthew Johnsona?

- Wszystko było opisane w gazetach i oczywiście wiedziała, że Johnson był moim bliskim przyjacielem.

- Czy wiedziała, że to Danny go zabił?
- O ile mi wiadomo, nie. Przynajmniej na taśmie nie było nic, co by sugerowało, że wiedziała.

- Czy ma pan tę taśmę? – zapytał ostrożnie Adam. Bez słowa Palmer sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kasetę. Trzymał ją przez moment, zanim ją wręczył Adamowi. – Wszystko jest tutaj.

Rozmawiali jeszcze później o życiu w Argentynie podczas reżimu junty, o tle historycznym, które Adam już znał, ale nie miał nic przeciwko powtórnemu wysłuchaniu wspomnień, tym razem z innej perspektywy. Kiedy Palmer skończył opowiadać, Adam poprosił: – Wróćmy do tego Swayze.

- Swayze był jednym z przywódców Montoneros; był i nadal jest bliski Castro. To Swayze wciągnął Danny'ego i załatwił mu prowadzenie Credito de la Plata w Buenos Aires. Swayze przebywał także z Dannym na Kubie po zamknięciu banku.

- Czy myśli pan, że Swayze jest wplątany w tę sprawę z Dannym albo ma coś wspólnego z machinacjami pieniężnymi w Inter Federated?

- Zdaję sobie sprawę, że są to tylko domysły, ale dokładnie tak myślę.
- Jakie mogłyby być jego motywy? Przecież nie ma już junty w Argentynie, a komunizm nie wytrzymał próby czasu.

- Niech pan nie zapomina, że Swayze ma szczególną sympatię do Fidela, a na Kubie komunizm ciągle kwitnie. Ale kto wie, czy ma to coś wspólnego z polityką? W końcu pięćdziesiąt milionów to wystarczająca suma, by ludzie zapomnieli o idealizmie i rewolucji. – Palmer wypił łyk wody. – Ale jeszcze jedno chodzi mi po głowie...

- Co takiego?

- Tak się składa, że Swayze jest ekspertem w wysadzaniu samolotów przy użyciu bomby montowanej w wysokościomierzu.

- To, ambasadorze Wyatt, jest prawdopodobnie najistotniejsza rzecz, o której pan dzisiaj wspominał... – Uśmiechnął się. – Proszę powiedzieć mi więcej o tym Swayze.

Wręczając kilka raportów FBI i Departamentu Sprawiedliwości wraz z fotografiami mężczyzny zrobionymi na przestrzeni lat. Wyatt opowiadał krótko o akcjach Swayze'ego w Wietnamie i jego doświadczeniu z bombami w wysokościomierzach. Przynajmniej teraz Adam miał coś konkretnego, co mogło podeprzeć wszystkie plotki. Gdy przyglądał się zdjęciom, dostrzegł coś niejasno znajomego w łysym mężczyźnie z błyszczącymi czarnymi oczyma. Wystarczyło tylko kilka minut, by zdał sobie sprawę, że Swayze odpowiadał opisowi mężczyzny, który wykupił kawałki czarnej skrzynki na miejscu katastrofy. Adam postanowił nic o tym teraz nie mówić. Zamiast tego spytał:

- Czy zna pan treść komunikatu o wypadku wydanego przez Meksykanów?

Palmer zlekceważył pytanie. – To jest prawie tak prawomocne jak obietnica przedwyborcza. Komuś zapłacono.

- Nie ma pan pomysłu komu, prawda?

- Gdybym prowadził dochodzenie w tej sprawie, przede wszystkim szukałbym tam, gdzie ostatnio widziano samolot, czyli na lotnisku w Acapulco...

Na którym to właśnie współpracownicy Adama prowadzili już dochodzenie. A teraz było to łatwiejsze, ponieważ miał fotografię. – Jeśli to, co pan mówi, jest zgodne z prawdą, Danny może być bezpośrednio wplątany w morderstwo tych dwóch pilotów.

- A kto mógł być w tej trzeciej misce? – dociekał Palmer.

- Myślałem już o tym – powiedział Adam.

- Ktoś zjechał ciężarówką z drogi.

- Albo zjechał, albo ktoś pomógł znaleźć się ciężarówce na dnie wąwozu.

- Nie mogę przestać myśleć, że Danny jest wplątany... Coś dręczyło Adama. – Czy jest pan świadom, że pańska córka oczekuje dziecka?

- Oczywiście, że jestem – powiedział cicho Palmer.

- Czy to niczego nie zmienia?

Palmer zdawał się dobierać słowa bardzo uważnie. – Jest coś bardzo pocieszającego w pańskiej religii, panie Singer – zaczął. – Dziecko automatycznie przejmuje religię swojej matki, ponieważ nigdy nie ma wątpliwości, kim jest matka...

Adamowi przyszło do głowy, żeby zapytać, skąd Palmer wie, że on jest Żydem, ale uznał, że są teraz ważniejsze sprawy. – Czy sugeruje pan, że Vidal nie jest ojcem?

- Wcale nie, sugeruję tylko, że to dziecko należy do mojej córki. To jej dziecko, mój wnuk, a reszta się nie liczy.

Dwaj mężczyźni jeszcze trochę porozmawiali o Swayze'em i jego wcześniejszych związkach z Montoneros i o zadurzeniu Coriander w Dannym, aż Palmer oświadczył, że czeka go jeszcze spotkanie. Pogawędzili kilka minut o sprawie, obiecali sobie, że będą w kontakcie, aż wreszcie wstali i podeszli razem do drzwi. Gdy Palmer wychodził, zdawało się, że chce do czegoś wrócić. – Cokolwiek tu się zdarzy – powiedział cicho – chcę, żeby pan zrozumiał, że to dziecko jest darem, stanowi nowy początek dla nas wszystkich...



Kiedy wyszedł, Adam usiadł za biurkiem i próbował się skoncentrować nad swoimi dokumentami, papierami i fotografiami, które Palmer mu zostawił. Oderwały go myśli o Coriander i całej tej sytuacji z Dannym. Co więcej, stale słyszał słowa Palmera, dzięki którym zdał sobie sprawę, jak bardzo chciał zaoferować Coriander i jej dziecku ten nowy początek.

## Rozdział 14

Samochód wielobranżowej sprzedaży obwoźnej zaparkowany był przy podjeździe prowadzącym do pogotowia; stała przed nim jak zwykle kolejka osób czekających, by kupić wszystko od baterii po tabliczki czekolady, od kanapek gigantów po kawę. Taksówkarz podjechał do samej rampy i zatrzymał się przed tablicą z napisem „Szpital Ogólny – Pogotowie”. Kiedy Adam przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu drobnych, kierowca mówił. – Trzeba być wariatem, żeby przyjechać tutaj w nocy, chyba że człowiek umiera, a wtedy to jedyny ratunek w mieście, mam to napisane w notesie z kursami, że jeśli mnie postrzelą, mają zabrać mnie prosto tutaj, na pourazowy w Szpitalu Ogólnym na Brooklynie i reanimować, bo ja chcę wszystkich wyczynów, które tutaj zapewniają... – Adam uśmiechał się lekko, gdy odliczał to, co było hojnym napiwkami. – Jest pan lekarzem? – zapytał taksjarsz. Adam potrząsnął głową. – Nie jest pan gliną – ciągnął facet – mogę to poznać po napiwku. – Adam nie odpowiedział, nie był w nastroju. Otworzył drzwi, wysiadł z taksówki, kierując się do wejścia. Przechodząc przez jedną kombinację automatycznych drzwi, a później następną, znalazł się znowu w pogotowiu, pachnącym sosnowym płynem odkażającym. Na zegarze nad jego głową nie było jeszcze dziewiętej i gdy przechodził przez oddział, zauważył, że tego wieczora jest wyjątkowo tłoczno, ale nie było żadnych widocznych oznak szczególnego zagrożenia życia. Szedł dalej poprzez kilka długich korytarzy; poplamione na stałe linoleum wypolerowano na wysoki połysk, graffiti na ścianach wyglądało, jakby je wyszorowano do czysta. Co kilka metrów na wysokich drewnianych taboretach siedzieli uzbrojeni wartownicy, opierając się o coś, co przypominało pulpity. Adam był zaskoczony, że prawie nie zwracali na niego uwagi, wcale nie podnosili wzroku ani nie prosili o dokumenty, ani też nie sprawdzali mu kieszeni w poszukiwaniu broni.

Gdy stosunek umundurowanych policjantów do ilości osób, które tłoczyły się na korytarzach wzrósł, Adamowi wydało się jasne, że zbliża się do rejonu pourazowego. Przyjaciele, rodzina, czy może jedynie ciekawscy, stali oparci o ściany, paląc papierosy, pijąc kawę i szepcząc między sobą. Na dwóch skrzydłach wahadłowych drzwi wywieszone były napisy w języku angielskim i hiszpańskim, informujące, że wolno tam wejść tylko personelowi medycznemu.

Poprzez szybę w drzwiach widać było zamieszanie, ruchome łóżka stojące szeregiem w oczekiwaniu na wprowadzenie do zatłoczonych pokoi zabiegowych, personel krzątający się dookoła, tajniaków i umundurowanych funkcjonariuszy policji tłoczących się na korytarzu, sanitariuszy próbujących uspokoić tych pacjentów, którzy zachowali tyle świadomości, by krzyczeć i jęczeć, i kilka siostr wrzeszczących do telefonów, próbujących przekrzyczeć hałas. Adam nie był całkiem przekonany, czy powinien wejść do środka i poprosić kogoś, by powiadomił Coriander, że już jest. Decyzja została podjęta za niego, gdy weszła kobieta w fartuchu. Zdawała się znajoma. – Przepraszam – powiedział. – Szukam doktor Wyatt.

Kobieta zatrzymała się. – Jest pan z Biura Prokuratora Okręgowego. Nie pamięta mnie pan, prawda?

Zastanowił się. – Oczywiście, że tak – powiedział – rozmawialiśmy, kiedy przyszedłem tutaj po raz pierwszy...

- Tylko trzy tygodnie, pomyślał w duchu, a zdaje się całym życiem.

Wyciągając rękę przedstawiła się – Jestem Lottie Bruner.

- Idąc przed nim przytrzymała dla niego drzwi. – Coriander powiedziała mi, że pan przyjdzie. Ona nieco się spóźnia, ponieważ dziś wieczór mieliśmy dwa wypadki samochodowe, kierowca z epilepsją wjechał na trzech przechodniów.

- O... – zamruczał, wchodząc na oddział, świadomy chaosu i zbyt zmieszany, by wymyślić coś bardziej inteligentnego.

- Proszę się nie zatrzymywać, proszę się przesuwać – poradziła Lottie, przechodząc energicznym krokiem przez zamieszanie. Adam podążał za nią, chłonąc wszystko, rzucając przelotne spojrzenie na Coriander, gdy pracowała nad ruchomym łóżkiem w jednym z zabiegowych. Jej włosy ściągnięte były do tyłu w koński ogon i miała na nosie okulary. – Napije się pan kawy? – zaproponowała Lottie, prowadząc go do długiego i wąskiego pokoju. Dzbaneq z kawą i kilka talerzyków z pączkami stały na stole wciśniętym pod jedną ścianę, lodówka znajdowała się przy drugiej ścianie, tablica z korka z menu z kilku chińskich restauracji, sklepu z kanapkami i meksykańskiej restauracji na wynos wisiała nad nią. – Tak, dziękuję – odpowiedział – czarną.

- Niech pan śmiało mówi, gdy wystarczy – powiedziała Lottie, gdy napełniała dwa kubki, gestykulując równocześnie w kierunku sal zabiegowych. – Wydaje mi się, że musi to być dość szokujące dla kogoś, kto widzi to po raz pierwszy.

- Jak na razie, wszystko ze mną w porządku – potrząsnął głową – ale to dość niewiarygodne. – Było to bardziej niż niewiarygodne, było to prawie surrealistyczne, szeregi łóżek na kółkach, krew rozchlapana na podłogach i prześcieradłach, i na bandażach, które pośpiesznie były zawiązywane w karetkach po drodze, kroplówki płynące do żył, drewniane płyty unieruchamiające podejrzenia pękniętych karków, pianowa guma wetknięta pomiędzy nogi, by zabezpieczyć złamane kości, zanim radiologia to potwierdzi.

- Nie sądzę, bym powinna się kłopotać oferowaniem panu pączka?

Adam podziękował. – Nie, dziękuję. Na razie poprzestanę na kawie.

Lottie usiadła, wskazując Adamowi krzesło. – Trudno mi jest to sobie wyobrazić z pańskiego punktu widzenia, bo prawdopodobnie po jakimś czasie tracimy taką perspektywę.

- Czy zawsze funkcjonujecie na tym poziomie?

- Nie zawsze, ale zwykle, gdy myślimy, że osiągnęliśmy stan idealny, coś się tutaj wydarza i rozpętuje się piekło. – Wbiła zęby w pączka.

- Zdaje się, że pracuje tutaj wiele kobiet.

Lottie uśmiechnęła się. – Może dlatego, że jest to niewdzięczna praca. Musimy ich uratować dla rzutkich chirurgów na górze, którzy zdejmą ich ze stołów i przekażą do ozdowieńców. I cała rodzina, i przyjaciele czekają na górze, by podziękować ostatniemu lekarzowi, który ich dotknął, co oznacza, że my nie dostajemy nic...

- Dlaczego pani to robi?

- Robię to dlatego, że nie mam czasu, by pomyśleć o czymkolwiek innym.

- A co z Coriander?

- Musi pan ją zapytać...

- Jak długo ją pani zna?

- Spotkałyśmy się w pierwszym dniu naszego stażu na chirurgii jakieś osiem lat temu.

Och, do diabła, równie dobrze mógł zapytać: – Jak dobrze znała pani jej męża?

- Spotkałam go tylko parę razy.

- Z tego, co zdążyłem zauważyć, byli dobrym małżeństwem. – Znowu zapytał, aby usłyszeć coś, o czym nie chciał wiedzieć.

- Ona niewątpliwie przekonała siebie, że byli.

- To znaczy, że nie byli dobrym małżeństwem? – Adam starał się, aby to zabrzmiało nonszalancko.

Lottie pochyliła się w przód. – Co chce pan usłyszeć? Że był typowym macho z Ameryki Łacińskiej, który źle ją traktował, albo był najbardziej adorującym mężem na świecie i że byli najszcześniejszą parą, jaką kiedykolwiek spotkałam?

Adam zaskoczony był jej wyraźnym brakiem szacunku.

- Cóż, więc która z tych możliwości?

- Trochę ponad trzy lata temu, gdy dzwoniła do mnie, by mi powiedzieć, że wychodzi za mąż, nie mogła przestać płakać, a ja nie przestawałam się w duchu zastanawiać, o co tu chodzi, skąd te wszystkie łzy...

- Czy zapytała pani ją?

- Ona uważała, że jest szczęśliwa.

- Czy uwierzyła pani w to?

- Nie.

- Powiedziała jej to pani?

- Oczywiście, że nie.

- Czemu nie?

- Nie posłuchałaby. Miała swoje powody, aby za niego wyjść.

- Pewnie nie będzie pani miała ochoty jakoś mi to przybliżyć. – To było wariactwo stawiać się znowu w takiej sytuacji, by być zmuszonym wysłuchać tego ponownie.

Lottie dokładnie mu się przyjrzała. – Zawsze miałam uczucie, że nie spodziewała się, że to będzie trwałe.

- Po co w coś wchodzić, jeśli człowiek przynajmniej się nie łudzi, że zakończy się to sukcesem?

- Musi pan chyba żartować...Większość ludzi robi w życiu wszystko bez pewności, a małżeństwo jest prawdopodobnie najmniej pewną rzeczą ze wszystkich, ponieważ nie tylko ma się do czynienia z jakością nieznaną, ale równocześnie z nieprzewidywalną.

- Mam uczucie, że ma to wiele wspólnego z niedokończonymi sprawami.

- Więc zna pan tę historię.

Adam przytaknął. – Chciałbym ją usłyszeć z pani perspektywy.

Lottie opowiedziała tę historię tak, jakby wzywano ją do recytowania jej przez lata. – Było to bardzo proste, byli razem dziesięć lat wcześniej, rzucił ją i nagle znalazł się w Nowym Jorku błagając, by mógł wrócić do jej życia. – Wzruszyła ramionami. – Bycie uwielbianą jest marzeniem każdej kobiety.

- Czy ją kochał?

- Jak mogę na to odpowiedzieć?

- Czy wyglądał na szczęśliwego z nią?

- Wtedy, gdy ja go widziałam, wyglądał przede wszystkim na zdenerwowanego...

- Czy myśli pani, że on nie żyje?

- Pozwoli pan, że tak to ujmę: mam nadzieję, że nie żyje, i proszę nie zrozumieć, że mu tego życzę, chociaż nikt nie umarł ani nie wyleczył się od samych życzeń. Ale jeśli żyje i panu uda się go znaleźć, nie wiem, jak ona sobie z tym poradzi.

- Dlaczego daje mi pani takie szczere odpowiedzi?

- Bo zadaje pan szczere pytania.

- To nie jest powód.
- Zależy mi na niej – powiedziała cicho – i mam nadzieję, że ma pan bardziej pokerową twarz na sali sądowej.
- Co pani ma na myśli?
- Wszedł pan tutaj z uczuciami wypisanymi na twarzy.
- Może to troska.
- To, co widzę, sięga dalej niż troska – powiedziała Lottie mądrze – i niech pan się nie kłopotczy zaprzeczaniem, bo jeśli chodzi o życie innych ludzi, jestem ekspertem.

Była na tyle inteligentna, by wiedzieć, że doszli do punktu, gdzie dyskrecja zniechęca do dawania większej ilości odpowiedzi, a takt zniechęca do zadawania większej ilości pytań.

Lottie wstała i wrzuciła kubeczki po kawie do kosza na śmieci. – Czy chciałby pan wejść do środka i zobaczyć, jak bawimy się w Boga?

– Czy to to samo, co obserwacja Coriander w akcji? Lottie uśmiechnęła się. – Proszę za mną – powiedziała, prowadząc do sal zabiegowych.

Coriander, z oczyma jak stal, wyglądała na niezwykle spiętą, przechodząc od jednego łóżka do drugiego, wykrzykując instrukcje dla personelu, nachylając się nad pacjentami, przechodząc od zadziwiającego spokoju do zupełnej dzikości. Skończyła badanie pieszych, którzy zostali skoszeni przez kierowcę z epilepsją i była w trakcie badania młodego człowieka o dzikim wzroku, kiedy Lottie i Adam weszli na pourazowy. Przysuwając się na tyle blisko Coriander, by słyszeć wymianę zdań, starali się pozostawać poza zasięgiem jej wzroku.

Pacjent czuł nieokreślony ból, który był tak „przeszywający”, że powalił go wijącego się na podłogę. Podniesiony przez dwóch sanitariuszy, umieszczony został na I stole. Po kilku następnych próbach badania fizycznego, Coriander w końcu powiedziała: – Proszę wskazać miejsce, gdzie najbardziej boli.

Wskazał na całe ciało. – Moja szyja, pani doktor, gardło, piecze mnie tak, jakby przeszywały mnie noże i w piersi, strzelając aż do ramion, wyciskając mózg z głowy. Nie mogę już więcej tego znieść, umieram, pani doktor, moja lewa noga jest bezwładna, potrzebuję czegoś na ból...

- Otwórz usta – poinstruowała Coriander, po czym zajrzała mu w gardło świecąc małą latarką. – Nic nie widzę.

- To tam, na dole, niech pani patrzy dalej, pani doktor, to tam jest. Jakbym połykał szkło, jakby tam była krew, czuję smak krwi.

- Miałeś USG i prześwietlenie klatki piersiowej. Nie zgadzasz się, by ci pobrano krew...

- Boli mnie, pani doktor...

- Nadal nie rozumiem, jak to się stało.

- W pracy, pani doktor...

- On mówi, że zjadł ciastko i było w nim szkło – wyjaśniła pielęgniarka, wywracając oczy.

- W pracy? – Spojrzała na mężczyznę.

- Pracuję w fabryce ciastek Kapitan Chippo i jedno z ciastek miało wewnątrz szkło.

Ten był bardziej pomysłowy niż większość, nie tylko trudny do określenia ból, ale także obrażenie, które dałoby mu odszkodowanie. Miała przecucie. – Gdyby miał pan wybór, co mogłoby zmniejszyć ból?

Mężczyzna nerwowo rozejrzał się wkoło. – Morfina.

Mogłaby na to postawić. – Proszę mu dać dwa Tylenole i receptę na jeszcze sześć.

Reakcja pacjenta była do przewidzenia; mogła ledwie policzyć do pięciu, zanim to nastąpiło. – Co za pierdolony z siebie doktor? Tylenol nie ruszy mojego bólu. Potrzebuję czegoś mocniejszego, ty pieprzona suko!

Była niewzruszona. – Daję ci dzisiaj właśnie Tylenol. Jak nie chcesz, to nie.

- Odpieprz się – majaczył – co to za pieprzony szpital, wniosę oskarżenie, co to za pieprzony lekarz, ty nie jesteś lekarzem, ty jesteś znachorem... – dalej i dalej, aż weszła do sali ochrona, chociaż jeszcze powstrzymała ich przed uspokojeniem pacjenta. – Albo bierzesz tę receptę, albo me. ale jeśli chcesz czegoś mocniejszego, musisz poddać się kompleksowemu badaniu krwi.

- Nie gadaj – facet skomlał, najwyraźniej onieśmielony przez tych dwóch dobrze zbudowanych strażników, którzy wydawali się aż nazbyt chętni, by go uciszyć. – Miła z ciebie kobieta.

- To prawda, a miłe kobiety nie handlują narkotykami – powiedziała odchodząc.

- Pieprz się, znachorko! – wykrzyknął pacjent. Coriander miała właśnie przejść do następnego pacjenta, kiedy zauważyła Adama i Lottie. – Od jak dawna tu jesteście?

- Na tyle długo, by zdecydować się nigdy już nie jeść ciasteczek Kapitan Chippo – odpowiedział Adam zauważając, że wygląda nawet bardziej pociągająco z podsinionymi ze zmęczenia oczyma i z okularami nasuniętymi na czubek głowy.

Lottie wzruszyła ramionami. – Powiedziałam panu, że dziś wieczór jest niezwykle napięta sytuacja.

- Obawiam się, że będę musiała tutaj zostać jeszcze jakieś pół godziny – przeprosiła Coriander. – Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, jeśli będę mógł z tobą pójść.

Coriander rzuciła okiem na Lottie. – Co o tym sądzisz?

- Jeśli zemdleje, będzie w odpowiednim miejscu, by uzyskać pierwszą pomoc.

Coriander uśmiechnęła się. – Zamierzasz zemdleć? Rozejrzał się dookoła. – Nie, dopóki nie znajdę pustego łóżka.

Delikatnie się uśmiechnęła, zanim spojrzała na Lottie.

- Mam nadzieję, że pójdziesz do domu, zanim zostaniesz wplątana w jeszcze coś tutaj.

- Chciałam tylko dostarczyć twojego gościa – powiedziała Lottie i wyciągnęła rękę do Adama. – Niech pan się| nią opiekuje – dodała, wskazując na Coriander, która była już na drugiej stronie oddziału.

Wymienili spojrzenia. – Jeszcze raz dziękuję – powiedział, unikając podjęcia tematu, po czym przeszedł do miejsca, gdzie stała Coriander, i obserwował ją nie przeszkadzając. Skinęła z lekka głową, wskazując na łóżko, gdy podnosiła kartę przyczepioną do jego metalowej poręczy. Rozmowa między najmniej lubianym przez nią stażystą, który opisywał obrażenia pacjentki, i policjantem, który robił notatki, była w toku. Był to przypadek gwałtu. Ten szczególny stażysta miał ciągoty, by mówić do pacjentów niezrozumiałym medycznym żargonem, a do kobiet ze zbyt zrozumiałymi seksualnymi podtekstami.

- Ofiara włączyła się przy wejściu do Prospect Parku – wyjaśnił stażysta.

Coriander podeszła bliżej do łóżka, by sprawdzić kroplówkę, która wpływała do żyły w rękę pacjentki. – Czy była przytomna, gdy ją przywieziono?

- Była na tyle przytomna, że trzeba ją było trzymać.

- Agresywna?

- W karcie jest napisane, że pacjentka w ogóle odmawiała współpracy.

Policjant wszedł mu w słowo. – Proszę posłuchać, pani doktor. Mamy trzy lub cztery takie przypadki jednej nocy, wie pani o tym.

- A każdy z nich jest inny, wie pan o tym. Muszę przez to przejść. – Odwróciła się do stażysty. – Co oznacza w ogóle odmawiać współpracy?

- Z śladów na jej ramionach i ran pod językiem wynika, że jest narkomanką, a narkomani z reguły w ogóle odmawiają współpracy.

Zapytała: – Czy to ma jakieś znaczenie dla gwałtu?

- Może znaczenie ma to, że ma zaawansowaną rzeżączkę.

Zanotowała. – Nie widzę związku, doktorze.

- Moim zdaniem rzeżączka wyklucza gwałt.

- Czy nie myślę się zakładając, że uważa pan, iż gwałciciel sprawdza stan weneryczny ofiary, zanim ją zaatakuje, i ponieważ ta akurat ma wynik dodatni, oszczędzono jej gwałtu?

Gliniarz się roześmiał. Stażysta się zaczerwienił.

- Rzeżączka, prostytutka, prostytutka, narkomanka i statystycznie wiemy wszystko o gwałtach w tych przypadkach. Dla ludzi tego pokroju gwałt kwalifikuje się według innych kryteriów... – Coriander niemal głośno się roześmiała. – I jak to nazywamy, „gwałt na randce”? – Widziała, że stażysta miał właśnie coś powiedzieć i wtedy właśnie przeniosła uwagę z powrotem na policjanta. – Kto pierwszy nazwał to gwałtem?

- Znaleźliśmy ją nieprzytomną przy wejściu do parku wyjaśniał policjant – rozebraną od pasa w dół i w tym ogólnym stanie.

Coriander pochyliła się nad nią. – Ktoś na pewno zrobił coś wbrew jej woli.

Stażysta otrząsnął się. – Przede wszystkim jest w szoku po przedawkowaniu, co może wyjaśnić nieprzytomne zachowanie, albo nieprzytomne zachowanie może być wynikiem gorączki spowodowanej rzeżączką.

- A co z siniakami, nacięciami, pęknięciami? – zastanawiała się Coriander.

- Nie było mnie tam, doktor Wyatt, a pani? W każdym razie nie było mowy o żadnym gwałcie zaraz po przywiezieniu.

- Od kiedy jest limit czasu dla mającego pacjenta, by zgłosić napastowanie seksualne?

- Miała na tyle świadomości, by odmówić badania krwi i moczu.

- Proszę się zdecydować, doktorze.

- Zdecydowałem się, chciała uniknąć oskarżenia o narkomanię.

- Czy otrzymał pan już raport z laboratorium?

- Nie.

- Więc skąd pan już wie, że pacjentka ma rzeżączkę, a nie jakiś stan zapalny?

Stażysta zaczerwienił się. – Podałem diagnozę opartą na moim badaniu.

- Czy badał pan miednicę?

- Tak.

- Więc musiał pan zauważyć fizyczny dowód gwałtu.

- Trudno odróżnić obecność spermy od infekcji.

- Niech pan zapomni o spermie i o infekcji. To żyjąca osoba, a nie przypadek z anatomii Graya. – Zaczął coś mówić, ale ona nie dała mu dojść do słowa. – Jeśli potwierdzenie gwałtu, czy go nie ma? – Wyciągnęła wtedy rękę po kartę i zauważyła kątem oka, że Adam przysunął się bliżej. Lecz zanim zaczęła mówić, stażysta wygłosił jeszcze jedną opinię.

- Ten cały interes z gwałtami wymyka się spod kontroli. Każda prostytutka, która przychodzi tutaj, przysięga, że ją zgwałcono...

Coriander go zignorowała. – Naderwana prawa warga sromowa mniejsza – czytała na głos – spuchnięta szyjka, dowody wejścia na siłę, siniaki i otarcia po obu stronach wewnętrznej strony ud, brzuch i prawa pierś posiniaczona ze śladami niedopałków papierosów dookoła prawego sutka.

Spojrzała w górę i tym razem napotkała wzrok Adama. Nie przestawała czytać. – Opuchlizna na lewej kości policzkowej i prawej skroni, która może tłumaczyć rozszerzone

żrenice. Czy zrobiono jej tomografię, by wykluczyć krwawienie podczerwone? – Stażysta pokręcił głową. Okulary, które zsunęła na nos, gdy czytała, trzymała teraz w rękę i wskazywała nimi w kierunku łóżka. – Koniec końców i z czysto diagnostycznego punktu widzenia nie interesują mnie narkotyki, czy choroba weneryczna, bo odnoszą się one zarówno do tej kobiety, jak i całego naszego społeczeństwa.

Stażysta znowu odzyskał głos. – Moim zdaniem, pani doktor – powiedział – zmienia to pani w kwestię polityczną.

Coriander była wykończona, zniecierpliwiona i miała dość, och, jak ona miała dość! – Kiedy kobieta mówi, że ją zgwałcono, panie doktorze, wierzymy jej, dopóki nie zostanie udowodnione, że kłamie, niezależnie od tego, czy jest narkomanką, prostytutką czy nawet żoną lub dziewczyną jednego z naszych lekarzy. – Spojrzała na policjanta.

Kiedy będzie w stanie mówić, może pan ją przesłuchać – powiedziała i powtórzyła. – Chcę, aby natychmiast zrobiono jej tomografię i wtedy przewieźcie ją na górę na oddział. – Skinąwszy głową obu mężczyznom, odwróciła się, by wyjść.

Adam ociągał się przy łóżku jeszcze parę sekund, zanim wyszedł, a za nim gliniarz. Stażysta złapał Coriander, gdy zatrzymała się przy biurku, by podpisać koniec dyżuru. Był wściekły. – Tam, to nie była konsultacja – oskarżał – czy nawet ocena, to była kastracja.

Zdawała się zaskoczona. – Na kim?

– Na mnie.

– To niemożliwe, doktorze – odpowiedziała spokojnie. – Nie zajmuję się mikrochirurgią.

\*\*\*\*\*

Adam myślał o tym później, przez całą drogę na parking, gdzie poszli, by zabrać jej samochód. Kiedy wręczyła mu kluczyki i poprosiła, by on prowadził, pomyślał, że nie powinien był przyjeżdżać do szpitala. Powinni się spotkać gdziekolwiek indziej, w jego biurze, na ulicy, w kawiarni, gdziekolwiek, ale nie tam. Powinien zrobić wszystko, by nie dopuścić do tego, by ujrzeć ją w jeszcze jednym świetle, kiedy to jeszcze bardziej zdał sobie sprawę, że ona zupełnie zapiera mu dech w piersiach.

## Rozdział 15

Adam wziął Coriander pod ramię, gdy szli wolno samochodem w garażu na parkingu pod szpitalem.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie? Skinęła głową.
- Jak dajesz sobie radę z takim napięciem każdego dnia?
- Sądzę, że się przyzwyczaiłam.
- Czy kiedykolwiek się boisz?
- Cały czas.
- Jak pokonujesz ten strach?
- Mam własną hierarchię strachu.
- Co przez to rozumiesz?

– Kiedy byłam dzieckiem, bałam się zawierać przyjaźnie bo za każdym razem przenosiliśmy się, a gdy pewnego dnia przestaliśmy się przenosić i moja matka umarła... – Przerwała. – Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, bałam się i zaważyć staż i wtedy zaczęłam robić

chirurgię i bałam się ] popełnić błąd i kogoś zabić. – Znowu przerwała. – Przez wszystkie te lata kochałam Danny'ego i bałam się, że nigdy nie przeboleję jego straty, i wtedy on wrócił i pobraliśmy się. – Spojrzała na Adama. – A teraz to...

- Czy kiedykolwiek bałaś się, że znowu cię opuści?
- Nie myślałam o tym. Kiedy obiecujesz zacząć od nowa, koncentrujesz się na tym, żeby to wyszło, a nie na wszystkich negatywnych sprawach, które mogą się wydarzyć...
- Czy on był jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałaś?  
Co w nim było takiego, że mu ufała...
- Jedynym...
- Nie było nikogo innego nawet przez te dziesięć lat?
- Czy to brzmi dziwnie?
- Może nie dziwnie, ale na pewno niecodziennie.

Nie odpowiedziała, gdy wręczała mu kluczyki. – Czy możesz prowadzić?

Obszedł dookoła samochód, by otworzyć jej drzwi, i czekał aż usiądzie, zanim przeszedł na drugą stronę. Jechali w milczeniu, aż znaleźli się poza terenem szpitalnego parkingu, a potem przez serię wąskich uliczek o nazwach New York, Flatbush i Nostrad Avenue. Przejechali obok hond i chevroletów wiozących robotników i robotnice na zmiany w fabrykach lub biurach, podczas gdy biały nissan z przyciemnionymi szybami i nabuzowanymi koką pasażerami przejechał koło nich z piskiem opon. – To są średniego kalibru handlarze narkotyków – skomentowała Coriander.

Przynajmniej żyją przeciętnie jakieś dziesięć lat dłużej niż handlarze większego kalibru. Osiemdziesiąt procent tych handlarzy przynajmniej raz w życiu ląduje na moim oddziale z ranami postrzałowymi. Pięćdziesiąt procent nigdy / tego nie wychodzi...

- Czy nie boisz się jeździć sama po tej okolicy nocą?
- Jest tutaj pewien system. Uczysz się wszystkich przepuszczać albo cię blokują. Są jeszcze inne wskazówki, jak przeżyć na ulicach – ciągnęła – gdzie światła uliczne na każdym rogu są potencjalnymi pułapkami śmierci.

Przerwał jej. – Zostaw wystarczająco miejsca na natychmiastową ucieczkę, czy tak?

Uśmiechnęła się. – Nie ma nic gorszego niż być złapanym w pułapkę między samochody o drugiej w nocy bez jasno zaplanowanej trasy ucieczki.

- Czy twój mąż nie martwił się, że wracasz o różnych porach nocą?
- Każdy mnie o to pyta.
- Jak brzmi odpowiedź?
- Nie rozmawialiśmy o tym.
- No, teraz to brzmi dziwnie.
- Trudno jest wymyślić rozmowy czy zasady dla innych ludzi, ponieważ dynamika w każdym związku jest inna.

– Czy kochał cię tak bardzo jak ty go kochałaś? Poczula się tak, jakby kubeł zimnej wody wylano jej na głowę. – Dlaczego nie porozmawiamy o czymś innym i może sam sobie odpowiesz na to pytanie...

- Przepraszam – powiedział, czując się głupio. – Kto dał ci na imię Coriander?

Gdy odpowiadała na to pytanie, wzrok miała utkwiony w przestrzeń, wprost przed siebie. – To pytanie też mi wszyscy zadają – powiedziała z małym uśmiechem.

- Jaka jest na nie odpowiedź?
- Moja matka była Argentynką i chciała czegoś pikantnego, a nie czegoś wprost z Nowej Anglii, co wybrałby mój ojciec, gdyby to od niego zależało. Matka zawsze mówiła mi, że



wyobrażała sobie ludzi jako kolory i najwyraźniej ja przypominałam jej czerwony. – Uśmiechnęła się lekko.

- Albo ujrzała czerwony, gdy mnie pierwszy raz zobaczyła.
- Jej wzrok wypłynął za okno. – Czy miałaś kiedyś w ustach kolendrę?  
Odpowiedział od razu, chociaż nie miał pewności.
- Prawdopodobnie tak, nie wiedząc o tym.

Zbliżali się do ekspresowego wjazdu na Fort Hamilton Parkway, przejeżdżając przez ulice Linden i Caton, nazwane tak przez swych pierwszych mieszkańców – Żydów niemieckich, którzy w ten sposób chcieli może wskrzesić starą ojczyznę.

– Opowiedz mi o swoim małżeństwie – poprosiła nagle.  
- Nie wolałabyś raczej posłuchać o moim rozwodzie? Mogę ci obiecać, że to jest bardziej interesujące.

- Dlaczego nie po kolei...
- Cóż, mówiłem ci o Ewie i agencji FBI...
- O Ewie? – przerwała. – Żartujesz.  
Potrzęsnała głową. – Nie żartuję, ale to inna historia.
- Może lepiej posłucham tej. Uśmiechnął się. – Może.

Pochyliła się w przód. – Więc co się stało z Ewą... Potrzęsnała głową. – Nie mogę w to uwierzyć.

- Wszystko zaczęło się, gdy Ewa obudziła się pewnego ranka, jakieś sześć miesięcy zanim spotkała tego faceta.

Wyglądał na zażenowanego. – Powiedziała, że chce się spotykać z innymi ludźmi.

- Mogłeś jej wtedy powiedzieć, że nie ma innych ludzi. Roześmiał się. – Gdybym to wymyślił, pewnie bym powiedział. – Ciągnął dalej, mówiąc jej o postrzeleniu i spotkaniu z Ewą w szpitalu, i złości, jaką odczuwał, gdy go zostawiła, chociaż teraz uważa, że oplakiwał ten związek bardziej z powodu urażonej dumy niż z powodu głębokiego odczucia straty. Jego największym żalem jest to, że nie może się budzić każdego ranka i mieć dziecka przy sobie.

- Dziewczynka czy chłopiec?
- Córka.
- Czy mieszka z twoją eks-żoną?

- Tak i jej nowym mężem, ale widuję Penny tak często, jak to tylko możliwe. A co z tobą? – odwrócił lo wszystko w jej stronę. – Dlaczego do tej pory czekałaś z zajściem w ciążę?

Jeśli była zasmucona tym pytaniem, nie okazała tego.

To jest rodzaj namacalnego dowodu na to, że Bóg daje i Bóg zabiera, nie sądzisz?

Chciał dotknąć tej idealnie cudownej ręki, która przypadkiem znalazła się dokładnie między nim i siedzeniem. – To dobrze, że jesteś blisko ze swoim ojcem. – Adam szukał tematów do rozmowy.

- Nie widziałam go przez trzy lata, zanim to się stało.
- Dlaczego?
- Nie pochwalał mojego małżeństwa.

- Jednak przybiegł, by cię wesprzeć...

- Krew jest gęstsza niż proch – powiedziała cicho. Teraz mijali długie mola, jedno po drugim rozciągające się po bokach zanieczyszczonego portu, który oddzielał Nowy Jork od New Jersey. – Jeśli mam być zupełnie z tobą szczery, zawsze kieruję się instynktem, a to nie zawsze wychodzi na dobre...

- Dla mnie czy dla ciebie? Chciał powiedzieć o wizycie jej ojca w jego biurze. Lecz obiecał. – Mam dużo dylematów w tej sprawie.

- Wszyscy mamy dylematy.
- Moje kolidują z moją pracą...
- Moje kolidują z moim życiem...
- Czy chcesz mi powiedzieć najpierw o swoich dylematach?
- Aha, ponieważ, jeśli możemy rozwiązać twoje, mam wrażenie, że moje po prostu znikną.

Popatrzył na nią przez minutę i prawie się uśmiechał, aż wreszcie zaczął wolno kiwać głową, że się zgadza. – Jest tak wiele pytań, które chciałbym ci zadać, dotyczących ciebie i twojego męża, i powstrzymuję się. Z kimkolwiek innym waliłbym prosto z mostu, cokolwiek by mi przyszło do głowy.

- Co chcesz wiedzieć? Czy byliśmy szczęśliwi, bliscy sobie? To samo, o co ty i wszyscy inni pytacie mnie od momentu wypadku?

- Na przykład...

- Może byliśmy oboje zbyt zajęci naszymi sprawami zawodowymi, że zapomnieliśmy o rozmowach, a może to \_ tylko wymówka i Danny nie miał zamiaru mówić mi o niczym, co się działo w jego życiu.

- Coriander, z wielu powodów chciałbym zrozumieć całą historię.

- Chodźmy coś zjeść i porozmawiajmy o tym przy kolacji. – Uśmiechnęła się. – Do trzech razy sztuka.

- Co przez to rozumiesz?

- Za każdym razem, gdy razem byliśmy w restauracji, traciłam apetyt.

- – To wina atmosfery. Czy nie powinniśmy spróbować Jeszcze raz? – zapytał cicho.

Odpowiedziała. – Oczywiście, ale pojedźmy gdzieś blisko mojego mieszkania, żebyśmy mogli wstawić samochód do garażu, dopóki jeszcze mam garaż. Jest tam mały pub, który nie jest taki zły.

- A nie Chinatown? – zastanawiał się. – Seczuan albo Kanton?

- Mając wybór, postawię na estetykę.

- A nie autentyczność?

Powiedziała mu, że nie ma nic przeciwko chińskim restauracjom, pod warunkiem, że jest to miejsce małe i przytulne, i ciche, bez jarzeniówek i podłogi z linoleum, miejsce, gdzie podaje się dobre jedzenie.

- To jest estetyka – powiedział od razu

- Jest takie miejsce w pobliżu mojego domu.

- Kiedy będziemy blisko, pokieruj mnie tylko do garażu. Skierowali się na zachód i później Jedenastą Aleją. Gdy zbliżyli się do Dwudziestej Trzeciej Ulicy, zaczęli zauważać interesującą kolekcję kobiet. Niektóre były młode i ładne, ubrane w bieliznę noszoną jako strój wyjściowy, niektóre były zużyte i wzdęte z powodu zbyt wielu lat spędzonych na tych samych rogach. – Średnia ich wieku wynosi około czterdziestki, więc te, które wyglądają na stare, mają prawdopodobnie trzydzieści lat.

- Skąd tak dużo wiesz?

- Zanim dostałam etat w szpitalu na Brooklynie, niektóre z tych kobiet były moimi pacjentkami. Pracowałam kiedyś dwie noce w tygodniu w Szpitalu Roosevelta. To rozdzierało mi serce.

- Nie możesz zbawić świata, Coriander.

- Nie – powiedziała smutno nawet swojego.

\*\*\*\*\*

Ostatecznie wylądowali w chińskiej restauracji niedaleko jej mieszkania. Była bezpretensjonalna, ale wygodna, z umiarkowaną tylko klimatyzacją, a nie zwykłym wybuchem mroźnego powietrza, które sprawiało, że ludzie trzęśli się z zimna wewnątrz i oblewali potem po wejściu na zewnątrz, a coś takiego często spotykało się w Nowym Jorku w lipcu i sierpniu. Było to dokładnie to, czego obydwójce chcieli, kuchnia kantońska i seczuańska, i estetyka, wszystko za jednym zamachem, z przyciemnionymi światłami, lnianymi obrusami i dobrym jedzeniem.

Zostali poprowadzeni do narożnego stolika, co wywołało pierwszy poważny dylemat, czy usiąść jedno koło drugiego, czy twarzą w twarz. Coriander wsunęła się pierwsza i natychmiast porozkładała wokół siebie torebkę i inne drobiazgi, co wyeliminowało jakikolwiek wybór. Usiadł naprzeciw niej. Usadowieni, z zamówioną i podaną herbatą i przekąskami, byli w końcu sami.

- Kocham go – powiedziała nagle. Oświadczenie, jak wyzwanie, które miało pomóc przezwyciężyć ból, miało być dowodem, że żyje, wydostać go z niebytu, by nigdy nie zapomnieli o tym duchu między nimi – chodź tutaj, | odejdz, zostań, kochaj się ze mną, nie śmieję spróbować – wydawała sygnały szybciej niż zagrożony statek na morzu. Co mógł na to powiedzieć? – Co mogę powiedzieć?

- Żadne słowa nie sprawią, że przestanę go kochać.

- Co mam zrobić?

- Możesz mi powiedzieć, co oznacza ten milion dolarów.

- Jej oczy były zadziwiające, bursztynowe, w kształcie migdałów i przepelnione bólem.

- To część dylematu, o którym ci wspominałem – powiedział, przeciągając palcem po brzegu kieliszka. – Mogę albo skłamać, albo powiedzieć ci prawdę. Co wolisz?

- Prawdę.

- Tego się obawiałem... – Spojrzał na nią z ogromną czułością i próbował mówić tak delikatnie, jak to tylko możliwe. – Czy pamiętasz, jak mówiłem ci w Meksyku, że znalazłem w końcu świadka, który jest gotów zeznawać przeciwko twojemu mężowi? – Teraz przyszła jej kolej, by przytaknąć; wciąż miała wzrok utkwiony w jego oczach. Nie powiedział nic, tylko wsunął rękę do wewnętrznej kieszonki na piersi marynarki i wyciągnął jakieś papiery. W ciszy podał jej je przez stół, z zaznaczoną na żółto częścią, którą miała przeczytać. Było to oświadczenie Fernando Stampy, część dotycząca pięciu czeków bankowych, które podpisał na ogólną sumę miliona dolarów, o tym, jak Danny Vidal potwierdził te чеки bez pokrycia na koncie, zrealizował je i wyszedł z milionem dolarów czwartkowego popołudnia przed świętem Czwartego Lipca.

Wyglądała tak, jakby uderzono ją w twarz. Jednak nie przestawała czytać. Zaczęła jeszcze raz. I znowu wszystko od początku, każdą linijkę na wszystkich trzech stronach, zanim się zatrzymała. Odkładając kartki obok talerza, spojrzała na niego. – Mój mąż żyje – powiedziała całkiem spokojnie. – Wtedy, gdy opuszczał bank, wiedział, że nie wróci. – Może trochę zbyt spokojnie. – Zaplanował to wszystko – mówiła dalej, powoli kiwając głową; jej nie umalowane usta rozchylały się. – On żyje – powtórzyła.

Niekoniecznie – powiedział Adam, chociaż niewątpliwie lepiej było nie przedłużać niepewności.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki. – Jak możesz tak mówić, jeśli sam w to nie wierzysz; nawet nigdy wcześniej w to nie wierzyłeś. – Trzymała w górze oświadczenie. – Od początku wiedziałeś, że on żyje.

- Jeśli zmieniłem opinię, to dlatego, że nie chcę, abyś bardziej cierpiała, to ma dla mnie większe znaczenie niż udowodnienie sprawy.

- Śmierć to nie jest opinia, to jest stan.

- Wiele dla mnie znaczysz – powiedział.

Kiedy odpowiadała, jej głos był łagodny. – I z jakiegoś powodu polegam na tobie bardziej niż na kimkolwiek innym, ale to nie zmienia rzeczywistości.

- Może jest tutaj kilka poziomów rzeczywistości.

- Dlaczego miałby coś takiego zrobić? – zapytała, wybierając najodpowiedniejszy poziom.

- Dużo zaryzykował dla tego miliona dolarów. Najwyraźniej myślał, że ma to dla ciebie duże znaczenie.

- Więc nie miał pojęcia, co ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. – Spojrzała na mego. – Jak dwoje ludzi może być tak sobie bliskich i tak niewiele nawzajem o sobie wiedzieć?

- Chyba że jedno nie odczuwa bliskości tak samo jak drugie – powiedział cicho, sięgając przez stół, by dotknąć jej ręki. Nie cofając dłoni, wrócił do tematu pieniędzy. – Czy Jorge powiedział, kiedy przekaże ci pieniądze?

Wycofała rękę. – Powiedział, że się dowie.

- Kiedy?

- O tym nic nie powiedział poza tym, że wyjeżdża do Meksyku i odezwie się albo przed wyjazdem, albo po powrocie.

- Nie chcę go przesłuchiwać, zanim rzeczywiście ich nie przekaże.

- Więc będziesz musiał się znów ze mną spotkać albo przynajmniej ze mną porozmawiać...

Potrząsnął głową. To było szaleństwo, tak jakby mógł pozostać z dala. Trzymał się tematu. – Czy kiedykolwiek spotkałeś człowieka o nazwisku MacKinley Swayze?

- Nie, nie sądzę.

- Czy twój mąż kiedykolwiek o nim wspominał?

- Z tego co pamiętam, nie.

Adam sięgnął do kieszeni i wyciągnął fotografię. – Czy rozpoznajesz tego człowieka? – zapytał, pokazując jej zdjęcie Swayze'ego.

Przyglądała mu się przez moment. – Nie – powiedziała stanowczo. – Nigdy przedtem go nie widziałam. Kim on jest?

- Jest podejrzanym w tej sprawie – Adam odpowiedział wymijająco i zadał jeszcze jedno pytanie. – Czy twój mąż kiedykolwiek dał ci powód, byś sądziła, że wykorzystuje pieniądze Inter Federated do celów politycznych?

Pytanie, które napawało ją grozą, wreszcie padło. Tak wiele spraw wyczuwała, ale nie miała sposobu, by dowiedzieć się na pewno, czy były prawdą. Wiedziała natomiast o początkach w Cordobie, kiedy Danny porzucił ją, by pojechać do Buenos Aires. Rozumiała powody, dla których zniknął, zamiast zaginąć z innymi w piwnicy Szkoły Inżynierii Morskiej. A kiedy spotkała go znowu w Nowym Jorku, wierzyła, że sprawy mają się inaczej i że to, co było w Argentynie, skończyło się. Ile wiedziała? Jednakże zamiast odpowiedzieć Adamowi, sama zadała pytanie. – Czy mówisz mi całą prawdę? – Ich oczy spotkały się i przez kilka minut żadne z nich się nie odezwało.

- Nie – powiedział w końcu Adam. A potem sam zapytał: – A ty?

- Nie.

- Więc rachunki są wyrównane.

- Duszno mi – powiedziała nagle i ruszyła przez salę, zbierając po drodze swoje rzeczy. Adam nie kłopotał się nawet, by prosić o rachunek, sięgnął tylko do kieszeni, wyciągnął plik zgniecionych banknotów – trzydzieści czy czterdzieści dolarów – zostawiając pieniądze na stole i poderwał się do wyjścia. Zatrzymując się tylko, by odzyskać rzeczy, które pozostawiła za sobą, dogonił ją, ujął pod ramię i razem wyszli na zewnątrz.

Nadal trzymał jej ramię i szli dalej w milczeniu. Nie było między nimi słów, tylko szli, bo jakoś ogłuchła uświadamiając sobie, że było tak wiele więcej spraw, o których nie wiedziała; i oniemiała z powodu tego, że jedyna osoba, której ufała w tym bałaganie, mogła nie mówić jej wszystkiego. Najbardziej przerażało ją to, że nie wiedziała nic i wiedziała zbyt dużo równocześnie... W jednej chwili była mokra od potu, marznąc w następnej, trzęsąc się, wstrzymując łzy, pokonując pokusę, by się roześmiać głośno i fetować to, że Danny żyje, aż przypomniała sobie, że pozostawił ją bez słowa... Opierając się o Adama, idąc, zmuszała się, by pozostać na granicy tego koszmaru. Były to najdłuższe trzy przecznice w jej życiu; idź, dziewczyno, nie przestawaj, jeśli uda ci się dojść do domu, uda ci się dojść wszędzie. W końcu doszli do budynku i zatrzymali się. Portier ze swego posterunku na chodniku dyskretnie wszedł na korytarz. Obróciła się, by spojrzeć na Adama, miała właśnie coś powiedzieć, kiedy on to powiedział: – Chcesz, żebym cię odprowadził na górę? – Skinęła głową. Znowu wziął ją pod ramię, by towarzyszyć jej do środka, do windy, na czternaste piętro, aż drzwi otworzyły się na prywatny korytarz z jedwabiem na ścianach, marmurem na podłodze, żyrandolem z brązu w górze i kryształowym lustrem na ścianie. Puścił ją, gdy grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy i otwierała drzwi, i stanął z boku tak, żeby mogła wejść pierwsza.

Przez chwilę zastanawiała, się czy wcześniej dała mu coś do zrozumienia, czy po prostu stało się tak, że w jednym momencie stała tam idealnie normalna i przy zdrowych zmysłach, a w następnym była w jego ramionach, oblewając łzami jego marynarkę. Nic nie mówił, tylko ją trzymał, i za to była mu wdzięczna. Nie mruczał żadnych głupstw, które niektórzy mruczają bardziej, by ukoić własny dyskomfort. Dopiero gdy ustały łkania i nieco się odsunęła, chociaż nie na tyle, by zupełnie wyjść z jego objęć, całe życie z Dannym przewinęło się jej przed oczyma. Chciała opowiedzieć Adamowi całą historię w kilku zdaniach, po to tylko, by się z tego wyleczyć; jak spotkała tego przystojnego Argentyńczyka, który był czarujący, wykształcony i kulturalny, i jak to był jeden długi namiętny uścisk od samego początku aż do samego końca. Zamiast tego odsunęła się i przeszła do salonu, a on tam za nią podążył, by usiąść na krześle naprzeciwko niej. Zaskoczył ją, gdy powiedział tak po prostu: – Kocham cię.

Z jednej strony była przerażona, a z drugiej wystraszona. – To nie miało się wydarzyć...

– Może to po prostu fragment jeszcze jednej rzeczywistości, z którą trzeba sobie radzić...

Strzepnęła drobinę kurzu z poręczy krzesła. – Nie mogę usprawiedliwić swoich uczuć także dla tej rzeczywistości...

Zapytał z oczyma zmarszczonymi w mały uśmiech: -A tak właściwie, to o czym my tutaj rozmawiamy?

Była nadzieja, że nie do końca straciła poczucie humoru.

Uśmiechnęła się. – O moich uczuciach do ciebie – powiedziała tak cicho, że zauważyła, iż musiał się wysilać, by usłyszeć.

- Dlaczego musisz cokolwiek usprawiedliwiać?
- Bo to wszystko jest nie tak.
- A co jest słuszne? Zakochanie się w Dannym Vidalu i przechodzenie przez jego piekło?
- To co innego – spierała się. – Wyszłam za niego.
- Jeśli nie żyje, jesteś wdową, a jeśli żyje, to powinnaś być dla niego wszystkim, tylko nie żoną.
- Tak czy siak, powinieneś uciekać, gdzie diabli poniosą ode mnie i tego całego bałaganu.
- Naprawdę tak myślisz? – A kiedy nie odpowiedziała, dodał: – Jutro wyjeżdżam do Houston.

Niemal w panice zapytała: – Jak długo cię nie będzie?

- I na jej twarzy zobaczył ten sam wyraz niewiarygodnej dbałości i troski, połączony z odrobiną żalu. – Do jutra wieczór, chyba że coś się wydarzy, ale zadzwonię do ciebie...

Składała się z masy zaprzeczeń. – Pozwól mi z tobą pojechać.

Gdyby mu tak bardzo na niej nie zależało, byłoby to kuszące. – Lepiej, jeśli pojedę sam.

- Kiedy będziesz wiedział coś definitywnego?

- Może wkrótce – powiedział. Może nigdy, pomyślał.

Nic do niczego nie pasowało. Musiał okrzepnąć i odczekać, poukładać zamieszanie i rozpacz. Wstała za nim, by towarzyszyć mu do drzwi. – Znajdź mojego męża – powiedziała cicho. Potrzebna była odwaga, by poprosić, jeszcze więcej odwagi, by chcieć, aby go odnalazł.

Adam odpowiedział: – Spróbuję.

Kiedy zamknęły się drzwi windy, stała tam w tym malutkim korytarzyku, czując się samotna i bezwartościowa. Była tam, gdzie zaczęła, zanim znalazła Danny'ego, albo gdy on ją odnalazł, ponieważ ani ich historia, ani motyw, ani uczucia, ani powody, nie były już jasne. Bierzcie, na co macie ochotę, pomyślała, gdy kierowała się wolno do sypialni, tylko niedużo zostało do zabrania.

## Rozdział 16

Adam przybył lotem służbowym na międzynarodowe lotnisko w Houston w środku palącego popołudnia. W ręku niósł poobijaną brązową aktówkę, zawierającą fotografie Danny'ego Vidala, Jorge Vidala i Fernando Stampy, wszystkie wycięte z broszury korporacji Inter Federated, które zamierzał pokazać człowiekowi na prywatnym lotnisku. Miał także wydruk z budki telefonicznej w hallu Houston Hobby Airport, lotniska należącego do prywatnej korporacji, na którym Dassault Falcon wylądował, by do-tankować paliwa tej nocy, kiedy wydarzył się wypadek. Według raportu wydanego przez Southwestern Bell. nocą trzeciego lipca było kilka połączeń z numerem domowym Danny'ego Vidala. Adam rozważał kilka możliwości, które tłumaczyłyby te telefony. Vidal mógł rzeczywiście wysiąść z samolotu tuż po lądowaniu i pójść do terminalu, by zadzwonić do żony, zanim wszedł z powrotem na pokład. Jeśli tak było, miejsce jego pobytu jest oczywiste, nie żyje. Albo ktoś inny mógł wykonać te telefony i nawet nie wiedząc o tym wszedł na pokład samolotu, któremu pisane było rozbić się o wzgórze nad Acapulco. Jednak biorąc pod uwagę ten milion dolarów gotówką, najlogiczniejsza ewentualność była taka, że Vidal wysiadł z samolotu, poszedł do terminalu, by zadzwonić do swojej żony, po czym odszedł w noc. Coriander mówiła, że było kilka głuchych telefonów na jej automatycznej sekretarce. Mógł być natomiast pewien, że Houston było ostatnim punktem w zasięgu Stanów Zjednoczonych, czy gdziekolwiek indziej, gdzie ten Dassault Falcon był widziany w całości, zanim wszedł w meksykańską strefę powietrzną. Innymi słowy, od momentu startu w niebo Teksasu piloci, i ktokolwiek jeszcze był na pokładzie, mieli dwie godziny i czterdzieści minut życia.

Kiedy Adam dzwonił na Hobby, by umówić się z Kitem Frenchem, który miał służbę trzeciego lipca, zaskoczyło go to, że French wszedł jakoś w posiadanie części oryginalnego meksykańskiego raportu z wypadku. W oparciu o jego zawartość, własne obliczenia dotyczące pewnych następstw w czasie i wykresu lotu doszedł do wniosku, że jest zbyt wiele nieścisłości i pytań bez odpowiedzi, by przyjąć meksykańską wersję wypadków. Im więcej studiował pewne dane, tym bardziej mu się nie podobały; nie podobały mu się, to mało powiedziane – nie kupił ich. Co mogłoby wytłumaczyć, dlaczego FAA w Waszyngtonie i Prezydencki Departament Lotnictwa w Mexico City wydały wspólne oświadczenie, podające błąd pilota jako oficjalną

przyczynę wypadku. Wkrótce dokumenty zostały oficjalnie zalakowane bez dalszych wyjaśnień. Na ironię losu jedyne dochodzenie, które jeszcze nie zostało rozstrzygnięte, było prowadzone przez biuro Adama, a zostało ono zapoczątkowane przez federalny pozew sądowy. Ostatnio dostrzeżono Vidala w kilku punktach w kraju.

Uzbrojeni w fotografie argentyńskiego bankiera, agenci FBI przeczesywali całe Stany Zjednoczone w poszukiwaniu Vidala, a także, by zbierać oświadczenia od mnóstwa potencjalnych świadków, z których wszystkie okazały się kolosalną stratą czasu. Co nie znaczy, że niektóre z tych historii nie były zabawne... Jeden z klientów banku utrzymywał, że zauważył Vidala wsiadającego do białego cadillaca kabrioletu na międzynarodowym lotnisku Fort Lauderdale. Posunął się nawet do tego, by stwierdzić, że kiedy wykrzyknął jego imię, człowiek rzeczywiście odwrócił się i pomachał do niego. Inny klient przysięgał, że widział Danny'ego z brodą, w okularach przeciwsłonecznych i w towarzystwie dwóch blondynek, wszyscy troje jedli naleśniki w całodobowej przydrożnej restauracji dla ciężarówek w Nowym Orleanie o piątej rano. Lecz najlepsza lwia opowiedziana przez kogoś historia o zauważeniu Danny'ego w poczekalni gabinetu znanego chirurga plastycznego w Beverly Hills z zabandażowaną całą twarzą.

W tym przypadku doniesienie zostało skrupulatnie sprawdzone i doprowadziło do odkrycia, że pacjent, o którym była mowa, definitywnie nie jest Danny'm Vidalem, ale pomniejszym aktorem telewizyjnym, który raz dublował I Raul Julia na ekranie.

W drodze z bramki do biura wypożyczalni samochodów Adam próbował sobie wyobrazić myśli, obawy, wrażenia, żal Danny'ego Vidala. Ten proces nie był mu zupełnie obcy, ponieważ Adam od miesięcy starał się być w głowie tego faceta. Idąc przez lotnisko, zastanawiał się, czy Vidal przeszedł przez ten sam obszar terminalu trzeciego lipca i jeśli tak, czy widział to samo, co Adam teraz.

Lotnisko było pasmem stoisk z fast-food i neonów z tablicami reklamowymi oferującymi praktycznie wszystko, co potrzebne jest do przeżycia. Plakat „Wykręć Modlitwę” był najbardziej widoczny i oferował coś tak łatwego, jak wystukanie palcem 1-900-999-Bóg. Gdy natomiast problemem był związek, odpowiedź była tak blisko, jak wykręcenie 1-900-999-Miłość, podczas gdy depresja była łatwo uzdrawiana poprzez wykręcenie 1-900-999-Pomoc, ale nie mylić z 1-900-999-Ból, które przynosiło ulgę w osobie chiromanty.

Wózki elektryczne krążyły po gładkiej podłodze terminalu, panie o niebieskich włosach ze spuchniętymi kostkami, przytulające małe pieski, usadowione były obok mężczyzn o czerwonych twarzach, przytulających torby z wolną od cła tekillą. Reklamy pokrywały szeregiem ściany, podając szczegóły na temat lotów do Juarez, gdzie można było się dać zaobrączkować lub odobrączkować; fotografie Indianek z długimi warkoczami i w krótkich spódniczkach przywoływały turystów do nowiuteńskiego centrum konferencyjnego. Inne zmysłowe reklamy przedstawiały blondynki w skąpych bikini, pozujące przy basenach w motelach i ośrodkach rekreacyjnych.

Lecz gdy płacił za gazetę, nie przestawał myśleć o Coriander, wyobrażając sobie jej reakcję na wszystko, co było tak typowe dla Ameryki, a tak nietypowe dla Nowego Jorku.

Lotnisko Houston Hobby było jednopiętrowym budynkiem z sekwoi z napisem, który reklamował loty czarterowe, wypożyczalnie, hangary i lekcje lotów. Parkując wypożyczony samochód przed frontem budynku, wychodząc na zewnątrz i na pole startowe, Adam wyobrażał sobie assault falcon stojącego tam, gdzie stał teraz samolot marki Piper Cub. Licząc schody do wejścia na terminal, wszedł do środka. W narożniku hallu odlotów była długa lada ze sztucznego tworzywa, na której stał mikrofon na podstawce i telefon; na drugiej ścianie stała tweedowa sofa i parę krzeseł z płótna z małym stolikiem pośrodku, na którym leżały różnorodne tygodniki od

„Penthouse”, „Playboya”, „National Geographic” do „National Enquirer”; jedna strona pokryta była stosami lotniczych czasopism. Otwierając następane drzwi, Adam opuścił obszar odlotów, by wejść do właściwego hallu, który był ładny i błyszczący i pachniał jak wnętrze nowiuteńkiej nowojorskiej taksówki.

Mężczyzna w średnim wieku w dżinsach, kowbojskich butach i czerwonym sztormiaku wstał, gdy Adam wszedł do pokoju. Wysoki i kościsty, ze śladami po ospie na twarzy i wielką czupryną białych włosów, trzymał jakieś papiery i tubę do wysyłania dokumentów pod pachą. – Jestem Kit French – powiedział – a pan musi być z Biura Prokuratora Okręgowego.

Adam przedstawił się i potrząsnął ręką mężczyzny, po czym przeszedł z nim do narożnika, gdzie ustawione były krzesła i niski stolik. – Zawsze tu tak cicho? – zapytał, gdy usiedli.

– Złe czasy. Już prawie nikt nie może sobie pozwolić na wynajęcie prywatnego sprzętu, bo przez tych pieprzonych wielbłądziarzy paliwo jest takie drogie...

Adam zignorował tę ostatnią uwagę i próbował skierować rozmowę na temat, który był powodem jego przybycia do Houston. Nie mógł jednak przejść do sprawy, dopóki nie wysłuchał ze współczuciem tego, co French miał do powiedzenia o swojej przyjaźni z Royem, pilotem, i o osobistej stracie.

Kładąc na stole aktówkę, Adam czym prędzej ją otworzył i wyciągnął z niej szarą kopertę. Sięgając do środka, wyjął trzy fotografie i rozłożył je przed mężczyzną: Danny Vidal, Jorge Vidal i Fernando Stampa. – Czy rozpoznaje pan któregokolwiek z tych mężczyzn?

French nie wahał się. Wskazał od razu na fotografię Danny’ego Vidala. – To on, to facet, który wysiadł z samolotu.

- A co z innymi?

Mężczyzna potrząsnął głową. – Nie, nigdy ich nie widziałem. – Przyglądał się zdjęciom Adama przez następną minutę.

Adam zdecydował się przejść do następnej sprawy. – Rozumiem, że pan z nim rozmawiał – zaczął. – Kto zaczął rozmowę?

French wskazał na następną grupę krzeseł i stołów po drugiej stronie pokoju. – Siedziałem tam popijając kawę z moim kumplem Royem, kiedy facet zapytał mnie, czy były do niego jakieś telefony. Powiedział coś, że oczekuje paru telefonów w interesach.

- I były jakieś telefony?

- Nie, ani jednego.

- A jeśli dobrze rozumiem, powiedział pan Luckinbillowi, że słyszał pan, jak on sam dzwonił.

- Poszedł do budki, więc nie słyszałem go dokładnie, bo ciągle zamykał drzwi. Widziałem, że gdzieś dzwonił, a kiedy otworzył drzwi, słyszałem jak wykręca numer i odwiesza słuchawkę. W hallu było naprawdę cicho i naprawdę gorąco, klimatyzacja jest wyłączona, kiedy interes nie idzie, oszczędność energii, no wie pan. – Facet wzruszył ramionami.

- Jak długo obsługiwano samolot?

- Myślę, że około czterdziestu pięciu minut.

- Co stało się potem?

- Widziałem z tego okna, kiedy człowiek z obsługi naziemnej kończył tankować paliwo z ciężarówki. Pilot był w łazience, a Roy i ja skończyliśmy pić kawę. To wtedy facet wyszedł z budki i zaczął coś mówić, że ma problemy w interesach w Houston.

- Czy rozmawialiście o tym, że będzie musiał zostać w Houston?

French wyglądał na nieco zażenowanego. – Zdaje się, że zacząłem naciskać na postój, ponieważ interes tak źle idzie i miałem nadzieję, że będzie wolny hangar. Zaoferowałem im nawet dobrą cenę.



- Kiedy panu odpowiedział?

- Nigdy nie odpowiedział, bo wtedy pojawił się ten drugi facet, przypuszczam, że jego przyjaciel, i obaj wyszli na zewnątrz i rozmawiali przez jakieś piętnaście minut. Mam wrażenie, że drugi facet pojawił się, by wyjaśnić kłopoty w interesach, które tamten miał, tak jakby spotkanie było z góry ukartowane...

Adam zanotował coś. – Czy może pan go opisać?

- Nie miał rąk, tylko dwa metalowe haki...Wysoki, szczupły, więcej niż szczupły, był wychudzony, z czarnymi włosami, może po trzydziestce, trudno powiedzieć...

- Co się stało później? – zapytał Adam, spoglądając w górę.

- Widzi pan ten mikrofon tam, na stole? – French wskazał na obszar odlotów. – Cóż, był nastawiony tak głośno, że gdyby dzwonił telefon, usłyszałbym go nawet poprzez megafony, czy byłbym tutaj, czy nawet na zewnątrz. Nadeszło zgłoszenie, że następny mały samolot będzie miał lądowanie techniczne i potrzebowali mojej ciężarówki i obsługi naziemnej. Zająłem się tym...

- Gdzie byli wszyscy inni?

- Roy z pilotem byli już na zewnątrz, obok samolotu, a pasażer rozmawiał jeszcze z tym facetem na pasie startowym, w połowie drogi między samolotem i hallem.

- Jak długo rozmawiał pan przez telefon?

- Około pięciu minut, ale potem miałem problemy ze znalezieniem formularzy do lądowania, więc koniec końców byłem zajęty około piętnastu, może dwudziestu minut.

- Co to za samolot przyleciał po obsługę techniczną, pamięta pan?

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę. – Dwusilnikowa cessna.

- Czy ma pan jeszcze te formularze lądowania?

- Są w aktach na głównym lotnisku.

- Czy rozpoznałby pan pilota?

- Nigdy go nie widziałem, rozmawiałem z nim tylko przez radio.

- Czy coś pan o nim zapamiętał?

– Tylko to, że źle mówił po angielsku... Adamowi serce dudniło. – Hiszpański akcent?

- Nie, to nie był hiszpański, był bardziej słowiański czy jakiś, miał silny obcy akcent, ale to na pewno nie był hiszpański.

- Kto wysiadł z tego drugiego samolotu?

- Nikt.

- Czy widział pan kogoś wysiadającego?

- Nie widziałem za wiele... – Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

- Co się stało, kiedy znowu wyszedł pan na zewnątrz?

- Samolot Roya już wykołował na pasie i siedział na progu, czekając na zgodę z Houston International.

Adam poczuł się wypompowany, jakby przeszedł krok po kroku przez cały czterdziestominutowy postój na dotankowanie z żelaznymi kulami u nóg. – Czy widział pan pasażera gdzieś tutaj, w terminalu, albo na zewnątrz, na parkingu?

French potrząsnął głową. – Nie, nigdzie, ale mówiąc szczerze, wcale go nie szukałem. Zakładałem, że był w samolocie, bo w innym przypadku zrobiliby mu miejsce w hangarze.

Adam zebrał fotografie, które nadal leżały na stole. – Wspominał pan, że ma fragmenty raportu o wypadku... Jak udało się je panu zdobyć?

- Nieważne, jak je zdobyłem. Liczy się to, że nic w nim nie ma cholernego sensu.

Adam skinął głową. – Co pan ma na myśli?

- Po prostu zbyt łatwo jest podać błąd pilota jako przyczynę wypadku, szczególnie gdy ciała zostały skremowane, podpisano akty zgonu i wszystkie inne dowody wygodnie zniknęły.  
- Przyjrzał się Adamowi, po czym podjął. – Tak jak mówiłem panu przez telefon, nie kupuję żadnego dowodu.

Adam, chcąc lepiej widzieć, pochylił się nad czymś, co wyglądało na mapę. – Może przejedzie pan po tym wolno, żebym ja nadążył?

French skinął głową i zaczął. – Pokażę panu, co ja tutaj zrobiłem. Wziąłem mapę nawigacyjną i narysowałem na niej linię, która symuluje ukształtowanie terenu aż do 1555 mil z Acapulco. Później naszkicowałem tutaj tor lotu, ta przerywana linia, która wygląda jak schody i którą nazywamy procedurą nor te lub północną procedurą, a nie jest ona niczym innym jak tylko wzorem podchodzenia do lądowania dla pilotów latających na instrumenty.

- Dlaczego pan sądzi, że lecieli na instrumenty?

- Nocą lata się tylko na instrumenty – odpowiedział French, wracając do wykresu. Co oznacza, że pilot trzymał się tej procedury i robił dokładnie to, co kazały mu przyrządy, czyli że szli według tych schodów. – Przejechał palcem po serii kropkowanych linii. – I taki tor lotu omija wszystkie wzniesienia wokół lotniska wysoko nad Acapulco. – French położył rękę na kopercie z szarego papieru. – A część zapisu z raportu o wypadku pomaga udowodnić moje twierdzenie i po to właśnie zrobiłem ten wykres.

- Czy mógłbym zrobić kopie?

- Mam zamiar dać panu wszystko – zapewnił Adama French. – Już je zrobiłem.

- To świetnie...

French potarł podbródek. – Myślałem, że na początek wyjaśnię panu, jak działa radio w kabinie pilota. – Przerwał. – Chyba że już pan wie?

- Proszę po prostu-założyć, że nic nie wiem, a i tak będzie mnie pan przeceniać. – Adam uśmiechnął się szeroko.

- Krótko mówiąc, to jest tak: we wszystkich transmisjach VHF jest taki rodzaj transmisji radiowej, której zasięg można porównać do pola widzenia, co oznacza, że jeśli możesz coś zobaczyć, możesz z tym rozmawiać. Więc dokładnie tutaj, 29 mil od Acapulco – ciągnął, koncentrując się znowu na wykresie – jest miejsce zwane torro intersection. Zabrania się każdemu samolotowi, który nad nim leci, zejścia poniżej 13 tysięcy stóp.

- Kto im zabrania? – przerwał Adam.

- Przepisy ruchu powietrznego. – Obrócił wykres dookoła, tak że Adam widział go z odpowiedniej strony.

- Fragmenty stenogramu, które tutaj mam – popukał w kopertę – mówią, że pilot kontaktował się przez radio z Mexico City przy wysokości 14 tysięcy stóp czyli 35 mil od Acapulco, co jest wysokością zgodną z procedurą torro. Czy wszystko na razie w porządku?

Adam skinął powoli głową, jego oczy zwężyły się w skupieniu. – Gdzie zaczynają się nieścisłości?

- Dokładnie tam, na wysokości 14 tysięcy stóp.

- Ale myślałem, że to było w zasięgu radia.

- Zwykle tak jest, poza tym, że ktokolwiek wymyślił ten kawałek przedstawienia teatralnego, zapomniał o górach.

- Uśmiechnął się lekko. – Blokują więź transmisyjną...

- Jeśli nie możesz widzieć, nie możesz rozmawiać -Adam powtórzył zasadę. – A co z błędem pilota?

- Meksykanie chcą, aby wszyscy właśnie w to uwierzyli, i właśnie w tym momencie zaczyna to mieć jeszcze mniej sensu. Raport o wypadku stawia cały wykres lotu poniżej

możliwego pola widzenia w tym terenie, poza ostatnim punktem kontaktu radiowego, który miałby miejsce około 75 mil od Acapulco, czyli na wysokości 35 tysięcy stóp.

- Czy to był ostatni punkt, w którym samolot się zameldował?

- To jest rzecz sporna, chociaż z tego, co utrzymują Meksykanie, pilot źle odczytał wysokościomierz i podał, że jest oddalony o 35 mil i 14 tysięcy stóp w górze, zamiast że jest oddalony o 75 mil i 35 tysięcy stóp w górze.

- A co z błędem pilota w tym stadium?

French potrząsnął głową. – Możliwość jest tak odległa, że prawie nie istnieje.

- Dlaczego?

Mężczyzna oparł się na krzesło, by wyjaśnić. – Nad Mexico City jest miejsce, zwane obszarem kontroli lotów, gdzie ruch samolotowy jest zawsze duży. Wymaga się, aby każdy lot nad tym obszarem zgłaszał się do wieży kontrolnej co kilka minut i meldował swoją pozycję. W tym punkcie falcon był pod stałym nadzorem Mexico City. – French pochylił się znowu w przód. – Niech pan teraz śledzi to ze mną. Samolot zgłasza się co kilka mil nad Mexico City, aż minie ten punkt i do tego czasu jest już tylko 120 mil od Acapulco, co w czasie powietrznym stanowi około 25 minut.

Adam zaczął z wolna kiwać głową; cała rzecz zaczęła się układać w całość. – Proszę mówić dalej...

- Meksykanie starają się, by wszyscy uwierzyli w to, że po prawidłowym zgłaszaniu się przez cały czas nad Mexico City, pilot nagle popełnia ten ogromny błąd. Zamiast powiedzieć 75 mil od Acapulco, mówi 35 mil, co stanowi około ośmiu minut różnicy, czyli prawie pięćdziesięcio-procentowe odchylenie od jego ostatniej potwierdzonej pozycji nad obszarem kontroli lotów. – French wolno pokręcił głową. – Gdyby ten pilot przylatywał po przekroczeniu oceanu, a Mexico City było jego pierwszym punktem meldunku, zrozumiałbym błąd tak duży jak ten. Ale nie, gdy zgłaszał się co kilka minut...

- To błąd 40 mil – powiedział Adam w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w mężczyźnie.

- Za żadną cholere nie mógł tego zrobić. A gdyby zszedł z kursu, ktoś by to wyłapał dużo wcześniej, kiedy leciał nad Mexico City, co oznacza, że ktoś coś pieprzy z danymi.

- Jak dużo ludzi byłoby potrzebnych, by sfalszować takty w sprawie takiej, jak ta? – zapytał Adam.

- To zależy – odpowiedział French. – Potrzebny byłby ktoś, kto ma władzę, by zażyczyć sobie wszystkich informacji post factum. Wie pan, na ogół facet siedzący na wieży kontrolnej ma tyle samolotów do obsłużenia, że nie może zapamiętać jednego prywatnego samolotu...

- Nawet jeśli się rozbił?

- Nie, jeśli nie zbierze danych. A jeśli dane zostały już zebrane przez kogoś wplątanego w przykrywkę, nie ma sposobu, by się dowiedzieć.

Adam zastanowił się nad tym, a potem wrócił do wykresu. – Wróćmy do wypadku... Mam mieszane uczucia co do punktu uderzenia, czy przynajmniej tego, co Meksykanie podają jako punkt uderzenia. W końcu były tam te wszystkie góry, nie można temu zaprzeczyć.

- Proszę powiedzieć, jaki był punkt uderzenia?

- 7600 stóp – odpowiedział Adam.

- Albo 45 mil od Acapulco – powiedział French.

- Ma pan rację – zgodził się Adam. – Czy nie jest możliwe, że samolot uderzył w góry w tym punkcie?

French jeszcze raz pochylił się nad wykresem. – Niech pan posłucha. Powiedzmy, że jestem gotów zgodzić się ze wszystkim, co Meksykanie utrzymują o samolocie wchodzącym w

kontakt 35 mil od Acapulco, i powiedzmy, że gotów jestem zrobić wyjątek w sprawie pola widzenia i tych przeszkadzających gór, może jest dziura w terenie, którą ja przegapiłem, a znalazł ją pilot, tak że mógł obniżyć lot i wejść w kontakt radiowy...

- Wtedy co? – zapytał Adam uważnie.

- Jak, u diabła, samolot może skontaktować się 35 mil od miejsca przeznaczenia i później rozbić się o 45 mil od niego? Chyba że pilot najpierw się połączył, a potem zawrócił samolot poprzez chmury, by się rozbić? – Potrząsnął głową. – Nie ma mowy. Ten samolot już podchodził do lądowania.

To miało sens. – Na co pan stawia?

- Wybuch.

- Bomba?

- Cóż, pozwolę sobie ująć to tak: mało prawdopodobne, że był to przewód paliwowy, ponieważ zbiorniki samolotu były już wtedy prawie puste.

- Ale dlaczego tam? – upierał się Adam. – Dlaczego ktoś by ryzykował i czekał aż do ostatniej części podróży, by go wysadzić?

- Ma pan odpowiedź – powiedział French. – O wiele łatwiej znaleźć przykrywkę w Meksyku niż w Stanach. Przerwał. – I jest jeszcze coś innego. Właśnie mówi pan o największej ironii losu z możliwych.

- Co to takiego?

French uśmiechnął się lekko. – Meksykanie stawiają na błąd pilota, podczas gdy podkładający bombę liczył na dokładność pilota.

- Co pan przez to rozumie?

- Podkładający bombę liczył, że samolot osiągnie dokładnie wyznaczone poziomy wysokości nad dokładnie wyznaczonymi miejscami, tak że bomba wybuchnie na wysokości 10 tysięcy stóp dokładnie w tym punkcie lotu.

- Co oznacza, że jeśli nawet samolot zostałby zmuszony do lądowania awaryjnego z jakichś powodów w Mexico City, bomba i tak wybuchłaby wcześniej – powiedział Adam wolno.

- Dokładnie tak, ponieważ Mexico City leży na wysokości 7 tysięcy stóp...

- Jakiego rodzaju bomby wybuchają w ten sposób, w zaprogramowanym wysokościomierzu? – zapytał Adam pewny odpowiedzi.

- Coś wyzwolonego przez wysokościomierz i zegar, który uruchamia ładunek wybuchowy.

- Jaki jest najskuteczniejszy ładunek wybuchowy? – ciągnął Adam, starając się trzymać ton swojego głosu na jednym poziomie.

- Prawdopodobnie TNT.

- Co wyjaśnia, dlaczego stały wszystkie te drzewa – powiedział Adam niemal do siebie. Spojrzał na mężczyznę.

- Tak jak powiedział Luckinbill, gdyby samolot wrył się w szczyt tej góry, wszystkie drzewa połamałyby się jak zapałki.

- Wszystko wskazuje na wybuch w powietrzu – powiedział French smutno.

Trwali w milczeniu przez kilka chwil, każdy zatopiony w swoich myślach, aż French powiedział: – Muszę iść. Następny samolot przylatuje za dziesięć minut. – Wstał i wyciągnął rękę. Adam też wstał, ściskając jego dłoń, i zobaczył, że zwija wykres, by włożyć z powrotem do tuby.

– Proszę – powiedział French – to dla pana wraz ze stenogramem. Mam kopie...

- Naprawdę jestem panu wdzięczny i będę w kontakcie. Poinformuję pana, jak zakończyła się ta sprawa. – Przerwał. – Gdyby pan się czegoś dowiedział, byłbym wdzięczny za telefon.

- Jedna rada, którą na pewno pan już zna.
- Co to takiego?

- Jedynym sposobem, by mógł pan udowodnić, że nie był to błąd pilota, jest znalezienie czarnej skrzynki.

- Próbujemy, panie French. W naszym interesie jest także udowodnienie, że teoria o błędzie pilota jest fałszywa, ponieważ to, z czym mamy do czynienia, sięga dalej niż katastrofa samolotu...

- Cholerna szkoda – powiedział French, potrząsając głową. Ściskając ramię Adama, powiedział: – Niech pan robi co może i niech pan będzie ze mną w kontakcie.

- Dziękuję – odpowiedział Adam – i proszę robić to samo.

Cała historia robiła wrażenie. Adam po prostu postąpił przez minutę czy dwie, zanim podszedł do budki telefonicznej. Znowu stał tam przez minutę czy dwie, po czym wślizgnął się do środka i usiadł, zamykając drzwi, otwierając, zastanawiając się, podejmując decyzję...

Znał numer na pamięć. Podniósł słuchawkę, wykręcił i czekał, by elektroniczny głos telefonistki pojawił się na linii, aby mógł włożyć kartę kredytową. Wsłuchiwał się w sygnał i telefonu – jeden, dwa, trzy dzwonki – zanim usłyszał jej głos. | Brzmiał tak, jakby brakowało jej tchu. – Halo?

- Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

- Dzwonisz po to, żeby mnie o to spytać?

- Nie – powiedział. – Dzwonię... – Dlaczego, do diabła, dzwoni, poza tym, że chce usłyszeć jej głos? Było to zaraźliwe w tej budce...

- Czy jesteś w Houston? – zapytała, wypełniając ciszę.

- Niedługo wracam do domu. – Dom. Siedział tam z brodą opartą o słuchawkę, którą trzymał między podbródkiem a ramieniem.

- Twój głos brzmi okropnie – powiedziała, z nutą troski w głosie – Co się stało?

Widział jej twarz tak wyraźnie, tę zmarszczkę między brwiami, głowę przechyloną na bok. Zamknął oczy, a słuchawka była wciąż wyważona między podbródkiem i ramieniem. – Może jestem zmęczony – powiedział – chociaż nie wiem już, co to znaczy zmęczenie, ponieważ nie mam tego z czym porównać.

- Czuję się winna, gdy tak mówisz.

Wstał, uderzając kolanem o półkę, na której był telefon.

- Ja jestem tym, który powinien mieć poczucie winy. Jestem Żydem.

- Dzisiaj przywieziono kartony do przeprowadzki...

- Teraz ja czuję się winny. Jeśli poczekaś jeden dzień, pomogę ci.

- Dzięki, ale nikt nie może zrobić tego, co robię teraz, sortuję... – Sortuję życie. Zatrzymała to dla siebie.

Wziął oddech. Niewiarygodne, jak za nią tęsknił, za kobietą, której niemal nie znał pod względem czasu, a jednak której niemal każdy fizyczny szczegół mógł wyrecytować z pamięci. – Mam ci coś interesującego do pokazania, po czym wyjaśnił jej krótko wykres i teorię Frencha. Musiał się z nią spotkać, nawet gdyby mieli rozmawiać tylko o tej sprawie... – Czy jutro pracujesz?

- Tylko pół dnia – powiedziała lekko. – Dwanaście godzin.

- Nie sądzisz, że powinnaś trochę przystopować?

- To trzyma mnie przy zdrowych zmysłach.

- Czy trzyma cię przy zdrowiu?

- Nie jestem chora, Adam. Jestem w ciąży.

Poczuł ukłucie. Mogłoby się potoczyć inaczej dla nich dwojga; mógłby bardziej kochać matkę swojego dziecka, a trochę mniej matkę cudzego dziecka. – A gdybym zadzwonił po przylocie i jeśli nie będzie zbyt późno, może bym do ciebie zajrzał?

- To może poczekać, Adamie – powiedziała, znowu z tą nutą troski w głosie. – Jedź do domu i prześpij dobrze całą noc, a jutro porozmawiamy.

Nie umknęło jego uwagi, że rozwinęła się między nimi poufałość. – Zobaczymy, jak będę się czuł na miejscu – powiedział, odchylając głowę. Lecz wtedy przypomniał sobie. – A propos, czy znasz kogokolwiek, albo czy Danny kiedykolwiek wspominał ci o kimś z hakami zamiast rąk? Słyszał, jak z trudem łapie powietrze. – Co się stało?

- Adam, przyjeźdź do domu – wyszeptała – proszę... Stał w budce telefonicznej. – Co się stało? – powtórzył.

- Po prostu przyjeźdź do domu, czekam na ciebie...

- Siedział tam w budce przez kilka sekund, trzymając słuchawkę, kiedy ona się już rozłączyła. O co, do diabła, chodzi... Każdego dnia pojawiała się coś nowego, by zanurzyć go głębiej w tę sprawę, by zmusić go do zaakceptowania jako czegoś nieuchronnego tego absolutnego zauroczenia nią, któremu się poddawał. I co jeszcze bardziej komplikowało tę sprawę; nie jej nie złamało, nic, co do tej pory się wydarzyło, nie wygasilo tego światła buntu w jej oczach. Jeszcze nie...

## Rozdział 17

Metalowe haki zamiast rąk. Coriander nie mogła myśleć o niczym innym, gdy sortowała książki i papiery, wrzucając je do kartonów lub do kosza. Część jej umysłu nie dopuszczała nawet możliwości, że Hernando żyje, a druga część wierzyła w to prawie tak mocno, jakby widziała go na własne oczy. Coriander była na tyle inteligentna, by rozumieć, iż fakt, że między swoim uwolnieniem a „samobójstwem” Hernando nigdy się z nią nie skontaktował, wykracza daleko poza samego Hernando oraz jej urażone uczucia. Sięgało to dalej niż jej poczucie winy, spowodowane tym, że poświęcając własne szczęście mogłaby uratować jego życie. Zdawała się lekko zmieszana, od kiedy jej mąż z zaginionego i uznanego za zmarłego stał się zmarłym uznawanym za zaginionego.

Zatrzymała się, by popatrzeć w lustro, gdy kierowała się na korytarz. Poprzez jeden z jej policzków i czubek nosa przechodziły smugi kurzu, jej rozpuszczone, nie uczesane włosy opadały bezładnie. Nie zadała sobie nawet kłopotu, by zetrzeć brud z twarzy czy wygładzić włosy, gdy otwierała drzwi. Adam był w mieszkaniu tylko chwilę, a już zdążyła go wziąć za rękę i zaczęła tłumaczyć. – Wiem, kim jest ten mężczyzna, ten z Houston z metalowymi hakami...

Starła się ją uspokoić. – Powoli.

Lecz była zbyt podniecona. – Nie mam wątpliwości, że Danny żyje...

Odwrócił rękę, by schwycić dłoń. – Skąd to wiesz?

Rozgadała się. – Mężczyzna z metalowymi protezami, ten na lotnisku, jest kimś, kto był bardzo bliski nam obojgu dawno temu w Argentynie. – Uwolniła się z jego uścisku.

- Nie rozumiesz? To Hernando... Nie pamiętał...

- Mój przyjaciel, z którym byłem tej nocy, kiedy zaginął.

- Ale Danny powiedział ci, że nie żyje, że popełnił samobójstwo...

Było w tym coś nieomal komicznego. – Zmarły dla mojego męża znaczy coś innego niż dla większości ludzi. Nie było co do tego wątpliwości. – Ale powiedziałaś mi..

- Nie, Adamie – zaczęła spacerować. – Kłamałam... – Poprawiła się: – Przez niedopowiedzenie kłamałam.

- Spokojnie, Coriander, i spróbuj wyjaśnić mi to powoli.

- Kiedy spotkałam Danny'ego w Nowym Jorku po wielu latach, pierwsze, o co zapytałam, to był Hernando...

- To wtedy powiedział ci o jego rękach? Przytaknęła. – I wtedy powiedział mi, że Hernando wkrótce po uwolnieniu popełnił samobójstwo...

- A ciało?

- Nie pytałam. Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać.

- Szalała. – Do tego czasu staliśmy się już tak beznamiętni, że wcale nie oczekiwaliśmy ciała...

- A teraz pojawia się w Houston.

Podeszła krok bliżej, aż znalazła się w jego ramionach, głowę oparła na jego barku. – Jestem tak zmęczona – powiedziała.

Adam trzymał ją. – Wiem – mówił kojąco. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. – Może byśmy gdzieś usiedli?

- Jeśli znajdziemy miejsce, by usiąść w tym bałaganie.

Przepraszając za nieład, poprowadziła go przez mieszkanie okrężną drogą, bardziej, by zebrać myśli, niż by pokazać mu to, co było jej życiem. Szli po pięknie wypastowanych marmurowych podłogach, na które niekiedy narzucony był orientalny dywan, przez korytarze, gdzie na ścianach szeregiem wisiały grafiki Piranesiego i Ensora, poprzez mały salonik, gdzie stały antyki na różnych etapach pakowania, by popłynąć tam, skąd przybyły, pod gotyckim łukiem i do większego salonu, gdzie obrazy zdjęte były już ze ścian i spoczywały na podłodze. Tam właśnie zatrzymali się przed rzędem okien, które zajmowały całą jedną ścianę. – Czy przykro ci opuszczać to mieszkanie?

- Jest tak wiele spraw, z powodu których przykro mi i smutno, ale nie jest to jedna z nich.

- Kiedy się wyprowadzasz?

- W przyszłą niedzielę.

- Tak szybko?

- Nie mogę pozwolić sobie na pozostanie tutaj kolejny miesiąc, a nawet gdybym mogła, nie chciałabym. Niedziela jest jedynym dniem, gdy mam trochę czasu.

- Dokąd się wyprowadzasz?

- Z powrotem tam, skąd przybyłam – powiedziała z odcieniem ironii.

- Do Buenos Aires?

Właściwie przez chwilę brała pod uwagę takie wyjście... – Nie, wracam do mojego starego mieszkania na West Side, gdzie mieszkałam, zanim znalazł mnie Danny.

- Czy to dobry pomysł?

- Sama już nie wiem. Czuję się, jakbym traciła nad tym wszystkim kontrolę.

- Myślę, że dobrze sobie radzisz.

Trwali w milczeniu przez kilka chwil i spoglądali przez okna. Światła miasta iskrzyły się bielą i świeciły złotem ze wszystkich stron: z południa, od grupy drapaczy chmur, gdzie na szczycie jednego z nich czas i temperatura zmieniały się w sekundy i stopnie; z zachodu poprzez Central Park i poprzez niesamowity nocny cień Metropolitańskiego Muzeum Sztuki i tego placu zabaw, „gdzie będą się bawić dzieci, querida”. – Czy widzisz ten plac zabaw, tam? – wskazała.

Przysunął się bliżej. – Tak, dlaczego?

- Kiedyś włożyłam całą nadzieję w ten plac zabaw. Stawałam tutaj i wyobrażałam sobie, że moje dzieci tam się bawią. Wymyślałam plan zajęć tak, żeby nie stracić ani jednego dnia z nimi, kiedy wrócę do domu po pracy...

- Spojrzała w dal. – Naprawdę wierzyłam, że możemy mieć to wszystko: miłość, rodzinę, bezpieczeństwo...

- Wiesz, co ja myślę? Potrząsnęła głową.

- Nie sędzę, żebyś kiedykolwiek w to wierzyła... Znowu skoncentrowała się na parku w oddali. – Może tak bardzo tego chciałam, że stało się to dla mnie prawdziwe.

- Czy twoi rodzice byli szczęśliwi?

- Moi rodzice pili, kiedy się kłócili, albo wznosili toasty nawzajem za swoje zdrowie, kiedy się godzili.

- Zawsze w twojej obecności?

- Wystarczająco często, żebym dorastała zdeterminowana, że moje życie musi być inne. Byłam przekonana, że jeśli wyrzeknę się namiętności, to zachowam jasność umysłu, a wtedy, gdy spotkałam Danny'ego, pomyślałam, że mogę mieć to wszystko. – Uśmiechnęła się jak przez mgłę. – Namiętność, jasność umysłu i oczywiście poczucie winy...

- Z powodu? – Dotknął czule jej policzka.

Obróciła się tak, że plecami opierała się o szybę. – Z powodu ultimatum, jakie ojciec dał mi tamtej nocy: że jeśli porzucę Danny'ego i wrócę do domu, zrobi co będzie mógł, by wypuścili Hernando.

- Więc wmówiłaś sobie, że jeśli wyjdiesz za Danny'ego, to przynajmniej to, co przytrafiło się Hernando, nie pójdzie na marne, czy tak?

- Tak – potwierdziła cicho i wzięła go za rękę. – Chodź.

- Wyprowadziła go z głównego salonu i poprowadziła przez następny długi korytarz, gdzie na jednej ścianie wisiały szeregiem miniatury, a na drugiej kilka obrazów południowoamerykańskich i meksykańskich prymitywistów. Zatrzymał się, kiedy doszli do powiększonego zdjęcia dziecka, które nie mogło mieć więcej niż pięć lub sześć lat. Miało uśmiech Coriander i rozszerzaną princeskę. Na nogach, niczym dorosła, dziewczynka miała buty na wysokich obcasach, a poprzez małe i delikatne ramię przewieszoną nieporęczną torebkę. – To ja – powiedziała Coriander gdzieś zza Adama.

Odwróciwszy się przyglądał się jej, jakby chciał porównać dziecko z kobietą, po czym znowu zwrócił twarz na zdjęcie. – Ile miałaś lat?

- To zdjęcie zaledwie sprzed roku, zanim zaczęły się te wszystkie kłopoty. Sądziś, że się postarzałam?

Wdzięczny za chwilę humoru, trochę się rozluźnił. -Masz tę samą buzię, może trochę starszą, ale wszędzie bym cię poznał. – Znowu obrócił się, żeby spojrzeć na fotografię. – Będziesz miała śliczne dziecko, Coriander Wyatt – prorokował, świadomy, że chciałby powiedzieć tak wiele więcej, ale nie mógł, bo było tak wiele więcej rzeczy, których ona nie mogła usłyszeć.

- Od tak dawna pragnęłam tego dziecka...

- To jeszcze jedna dobra rzecz, która wynikała z tej sytuacji.

- Prawie boję się tak myśleć.

- Nic złego się już nie zdarzy – powiedział stanowczo.

- Danny kiedyś mi tak powiedział.

- Nie jestem Dannym. – Nie odpowiedziała od razu, przynajmniej dopóki nie zapewnił: – Jestem tutaj przy tobie, Coriander, bez względu na to, co się stanie, i dopóki tylko będziesz mnie chciała.



Wszystko to było aż nadto znajome. – Potrzebuję czasu.

- Nie śpieszę się.

Przeszli przez hall do wyłożonego boazerią pokoju, który był gabinetem Danny ego. Powiedziała mu, że tak jak niektórzy ludzie używają rewolwerów, jej mąż za broń wybrał telefon. Używał go bez przerwy o każdej porze dnia czy nocy, przemierzając odległości od jednej strefy czasu do drugiej. Wskazała Adamowi długą, brązową, sztruksową kanapę, sama zaś przeszła do półek na książki, gdzie stał szereg kryształowych karafek. – Masz ochotę czegoś się napić?

- A ty się napijesz?

- Za jakieś sześć miesięcy.

- Czy wtedy będę ci mógł postawić?

- Jeśli do tego czasu nie uciekniesz gdzie pieprz rośnie...

- Obróciła się wtedy i nie pytając co oraz jak, naląła whisky prosto do szklanki i przyniosła mu na kanapę.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała, podając mu drinka.

Jak mógł wytłumaczyć, że miało to wszystko wiele wspólnego z dylematem, który odczuwał myśląc o odnalezieniu Danny ego Vidala, szczególnie po wysłuchaniu kasety, którą dał mu Palmer. Jak mógł jej powiedzieć, że większą część nocy spędził wycinając intymne momenty na i kasecie, fragmenty, które nie miały nic wspólnego z polityką, pieniędzmi czy morderstwem, tylko z miłością. Jak mógł opisać to, co słyszał, bez poniżania jej – te przytłumione okrzyki, szepty, nierówny oddech, oczywiste rytmiczne skrzypienie łóżka, noc miłości w La Boca, po tymi jak Hernando zabrała tajna policja, albo schadzke w jego gabinecie między zajęciami...Niewiarygodne było tylko to, że jej ojciec nie powycinał tych kawałków, zanim wręczył mu kasetę. Kiedy Adam zapytał o to następnego ranka odpowiedź Palmera była przynajmniej szczerą. Bał się, że gdyby chciał powycinać te fragmenty, oskarżono by go o zacieranie śladów. Był także szczery, gdy przyznał, że w jego interesie jest jedynie oddać Danny'ego Vidala w ręce sprawiedliwości, nawet kosztem i ofiarą wszystkiego innego, włącznie z prywatnością jego córki.

- Mogłeś zostawić aktówkę w hallu – stwierdziła Coriander, zauważywszy, że niósł ją ze sobą przez cały dom.

- Jest w niej coś, co chciałem ci pokazać.

- Czy powinnam się bać?

- Nie, jeśli oprzesz się na hierarchii strachu, o której mi I mówiłaś.

- Co masz na myśli?

- Kiedyś powiedziałaś mi, że Danny nie jest złodziejem, i byłaś tego absolutnie pewna, pamiętasz?

Przytaknęła. – W Meksyku...

- Teraz, kiedy wiesz o tym milionie dolarów, czy zmieniłaś zdanie?

- O czym ty mówisz?

Chciał ją wziąć w ramiona. – Czy to możliwe, że twój mąż wysadził w powietrze ten samolot?

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Powiedz mi coś, Coriander. Czy w mieszkaniu jest jakiś sejf czy schowek, który trzymał zamknięty i nie miałaś do niego dostępu? – Czuł się cholernie źle, bo wiedział, że ją naciąga.

Zawahała się... – Czasami zamykał drzwi swojego gabinetu.

- Czy to nie wydawało ci się dziwne?

- Nic nie wydawało mi się dziwne, bo zawsze miał logiczne wytłumaczenie. Powiedział, że nie chce, by sprzątaczką przewracała rzeczy na jego biurku.

- A teraz?

Zaczerwieniła się. – Teraz wydaje mi się to dziwne.

- Nie próbuję cię przypierać do muru.

Odwróciła wzrok. – Dlaczego po prostu nie powiesz mi, czego dowiedziałeś się w Houston?

Zamiast odpowiedzi sięgnął, by otworzyć aktówkę i wyjąć raport z wypadku i wykres, który dał mu Kit French. Rozkładając wszystko na stole, zaczął mówić jej o górach, ponieważ wiązały się z polem widzenia, tłumacząc jej, jak funkcjonuje komunikacja między kabiną pilota i wieżą kontrolną, i że podaje to w wątpliwość, że samolot sam rozbił się o góry, oraz o prawdopodobieństwie tego, że ktoś umieścił na pokładzie bombę, która wybuchła w powietrzu.

- Ktoś, ale nie Danny. – Była niewzruszona.

Co gorsza, podziwiał jej lojalność. – Chcę ci włączyć kasetę.

- Czy to ta gorsza część?

Co, do diabła, mógł powiedzieć? Nie powiedział nic. Jej wzrok ani na chwilę go nie opuścił, gdy sięgał znowu do aktówki, by wyciągnąć mały magnetofon, który umieścił na stole. Spojrzawszy na nią, jakby prosił o pozwolenie, nacisnął przycisk i zauważył, że przestraszyła się w momencie, gdy pokój napelnił się głosem Danny'ego; Danny Vidal opisywał morderstwo Matthew Johnsona, jak wystrzelił jedną kulę w prawą skroń mężczyzny, gdy ten klęczał z rękoma związanymi do tyłu. Coriander zbladła. Adam wyłączył magnetofon. – Dobrze się czujesz? – zapytał.

- Włącz to – wyszeptała.

Adam znowu wcisnął przycisk i znowu pokój napelnił się głosem Danny'ego, który nadal wyjaśniał, jak wraz z kilkoma innymi owinął ciało flagą Montoneros, po czym razem przetrzucili je przez mur amerykańskiej ambasady. Bez wątpienia zrobiło to niezapomniane wrażenie, zauważył „Mac” na taśmie. Coriander i Adam spojrzeli na siebie, zdając sobie sprawę, że Danny rozmawiał z mężczyzną o nazwisku MacKinley Swayze. Adam i Coriander słuchali, jak Swayze powiedział następnie, że cała Argentyna dostrzeże, że Montoneros znowu działają i ani trochę nie boją się wywołania międzynarodowego incydentu; tym razem nie chodziło o pieniądze, ponieważ nie brakowało ich po porwaniu – po dobrym posunięciu z sześćdziesięciomilionowym okupem; tym razem dotyczyło to honoru i dumy, a przede wszystkim było przesłaniem skierowanym do tego pompatycznego dupka w amerykańskiej ambasadzie, człowieka, który uważał, że są niczym innym jak „bandą dzikusów”. Adam wyłączyli magnetofon.

- Skąd masz tę taśmę?

- Ktoś mi ją dał.

- Kto?

- Coriander, ja...

Przyglądała mu się przez moment. – Tylko wojsko mogło nagrać taką taśmę.

- To już bez znaczenia.

- Wszystko ma znaczenie – spierała się – bo nagle wszystko jest kwestią życia i śmierci.

- Powiedzmy, że był to ktoś, komu na tobie zależy.

W jej oczach pojawiła się iskierka zrozumienia. – Czego nie robimy z miłości... – Spojrzała na niego. – Chciałabym być w swoim życiu nieco mniej kochana.

- A co powiedziałabyś, żeby być kochaną nieco inaczej? W mgnieniu oka była przy nim, jej głowa spoczęła na jego ramieniu, a w następnej chwili wzięła ją w ramiona, by ją

przytrzymać. – Już prawie po wszystkim – powiedział kojąco, z ustami ukrytymi w jej włosach.

- Jeszcze nie – wyszeptała.

- Przynajmniej już prawie zupełnie skończyło się zamieszanie.

- Znajdź go – wyszeptała znowu.

- Nie jestem pewien, czy tego chcę, Coriander – Adam powiedział po prostu.

Usiadła z powrotem. – To nie jest rozwiązanie.

- Myślałem o tym, że może byłoby lepiej, gdybym się wycofał.

Podniosła głowę. – Co takiego jest we mnie, co sprawia, że mężczyźni mnie opuszczają, kiedy nadchodzą ciężkie czasy?

Uśmiechnął się. – Nie opuszczam cię. Sugeruję tylko przekazanie dochodzenia komuś, kto byłby bardziej obiektywny.

- Kiedy prowadzisz sprawę z tak potencjalnie spektakularnym zakończeniem, obiektywizm trzeba wyrzucić przez okno.

- Jesteś tak pełna sprzeczności, Coriander Wyatt Vidal, albo rezonujesz jak dziecko, albo jesteś największym cynikiem, jakiego spotkałem.

Potakiwała wolno. – Nie chcę mówić jak dziecko, ale co będzie dalej?

- W abstrakcyjnym czy obiektywnym świecie? – kluczył.

- W obydwu.

- W świecie realnym czekamy, aż Jorge da ci pieniądze, w abstrakcyjnym czekamy, by zobaczyć, jak będziesz się czuła.

- Zastanawiam się...

- Powiedz mi coś – zaczął Adam bez zastanowienia – jeśli go wcale nie znajdziemy, czy zamierzasz spędzić następne dziesięć lat w ten sam sposób, w jaki spędziłaś ostatnie dziesięć?

- Co masz na myśli? – Jednak wiedziała.

- Sama, nie pozwalając sobie kochać kogoś innego.

- On nadal jest ojcem mojego dziecka.

Nie było co do tego wątpliwości. – Może zbyt upraszczam sprawę, ale powinien pamiętać o tym, zanim wystartował i zabił trzy niewinne osoby.

- Nadal nie mogę tego przyjąć...

- Jakikolwiek będzie wynik dochodzenia, nigdy nie powinien cię wystawiać na niebezpieczeństwo, ani stawiać w takiej sytuacji.

- Jestem dorosłą kobietą, Adam. Ja sama postawiłam się w takiej sytuacji. Nie przystawił mi bronii do głowy.

Jeszcze nie, pomyślał Adam, ale nic nie powiedział.

Był to długi dzień, a noc nawet dłuższa. Cokolwiek każde z nich wiedziało i opowiedziało, było już historią. I chociaż przeżyli cały szereg emocji, nie stanowiły one usprawiedliwienia, ani nie tłumaczyły tego, co wydarzyło się przy drzwiach, gdy czekali na windę. Dla niego oznaczało to punkt zwrotny w życiu, kiedy delikatnie ujął jej podbródek palcami i pocałował jej twarz, wilgotną obok kącików ust. Lekko westchnęła, gdy przyciągnął ją do siebie, dołączyły! się nagle jej usta, jej język, jej ramiona. Jego oddech zmienił się i za moment poczuła jego ciało przyciśnięte do swojego. Był na tyle duży, że mogłaby zniknąć w jego ramionach, a jakże tego pragnęła. – Przepraszam – wyszeptała bardzo! poważnie, gdy ich usta się rozłączyły.

- Kocham cię – wyszeptał równie poważnie, zanim wszedł do windy.

- Wybacz mi – zamruczała, gdy zamykała drzwi mieszkania.

## Rozdział 18

Jedynym dźwiękiem był wiatr otwierający i zamykający z trzaskiem bramę w oddali. Danny Vidal siedział na leżaku z czarnej skóry w składanej chacie na owczym ranczu w Ushuaia i czytał o własnej śmierci. Zapuszczał brodę, a włosy miał dłuższe niż kiedykolwiek. Ubrany w obcisłe dzinsy, mokasyny bez skarpet i sweter w szpic, wyglądał bardziej jak włoski gwiazdor filmowy grający miejskiego partyzanta niż jak prawdziwy partyzant.

Na temat bezpośrednich reperkusji jego zniknięcia gazety wiedziały raczej mniej niż mógł przewidywać. Spekulacje na temat Danny'ego Vidala różniły się w zależności od kraju i poziomu publikacji. Brukowce donosiły, że popełnił samobójstwo z powodu nadchodzącej katastrofy finansowej i przy okazji wysadził w powietrze dwóch niewinnych mężczyzn. Tygodniki sugerowały możliwość, że pracował dla kilku tajnych służb poczynając od izraelskiej, poprzez irlandzką aż po południowoafrykańską. Dzienniki koncentrowały swe doniesienia na przedziwnym zbiegu okoliczności, polegającym na tym, że bankier ginie w przededniu ruiny finansowej. „The Wall Street Journal” zrobił najciekawszą uwagę w serii artykułów o upadku banku. Chociaż Jorge Vidal był wtajemniczony w większość machinacji finansowych swojego brata, nie było konkretnego dowodu, który by go łączył z jakąkolwiek kryminalną działalnością. Nigdy nie podpisał ani jednego dokumentu bankowego czy pozwolenia na kredyt, nie był też członkiem żadnej komisji zajmującej się kredytami. A w komunikacie wydanym przez swego prawnika, Jorge Vidal poparł twierdzenie gazety utrzymując, że jego związek z Inter Federated ograniczał się do posiadania kilku tysięcy akcji, co czyni z niego taką samą ofiarą jak ze wszystkich innych.

Inter Federated był przez wiele tygodni zamknięty, a wszystkie raporty, akta i majątek zajęte były przez Biuro Prokuratora Okręgowego i Nowojorską Stanową Komisję Bankową. Chociaż Federalna Korporacja do Spraw Ubezpieczeń Depozytów zabezpieczała rachunki depozytowe poniżej stu tysięcy dolarów, mowa była o przejęciu przez Republic Exchange – dziwnym zbiegiem okoliczności banku, z którego usług korzystał Fernando Stampa – który chroniłby depozytariuszy bez konieczności gwarancji rządowych. Danny mniej się martwił jakimkolwiek przejęciem przez Republic niż Fernando Stampa. To on wzbudzał współczucie w każdym artykule, jaki napisano na temat skandalu; był systematycznie przedstawiany jako ofiara pozostawiona z pięcioma czekami bez pokrycia na ogólną sumę miliona dolarów. I w każdym takim artykule znajdowały się oświadczenia wydawane przez specjalnego śledczego z Biura Prokuratora Okręgowego, człowieka, który zdawał się tak ściśle obserwować Coriander.

Jak dobrze ją znał, swoją Coriander, tak dobrze, że mógł niemal słyszeć ją sprzeczącą się, że gdyby miała do wyboru oszustwo i śmierć, chętniej wybrałaby śmierć. Nie było dnia czy godziny, by nie rozmyślał o niej lub o ich wspólnym życiu. Gdy tylko wiatr przynosił wilgotny zapach ziemi czy gryzącą woń roślin rosnących dookoła obozu, zaraz myślał o niej. Zobaczywszy dwa woły zaprzężone do wozu – myślał o nich obojgu. Na widoki rozległej pampy rozpościerającej się w oddali w nieskończoność, myślał z dreszczem o swej samotności i o tym, że| stracił własne życie.

Naprzeciwko ogień wybuchał w kamiennym palenisku, nad którym wisiała głowa dzika z cięciami czerwonej farby dookoła pyska. Z jednego okna widać było płot w kolorze ochry i wiatr szarpiący nagimi gałęziami drzew i krzewów. Z drugiego widoczny był w oddali kanał Beagle i postrzępione zarysy wysp Hoste, za którymi niewidoczna Cieśnina Murraya wiodła do Cieśniny Magellana i archipelagu Horn, za nimi zaś już była Antarktyda. Według legendy, tysiące lat temu Patagonia stoczyła się z góry w pryzmę niebieskiego lodu w jedno z wielu jezior, by spocząć w idealnym stanie na jego dnie.

Jak dobrze znał swą Coriander, tak dobrze, że mógł przewidzieć jej reakcję, kiedy skonfrontowano ją z tym milionem dolarów. Znowu, gdyby mogła wybrać, wolałaby wiedzieć co, u diabła, się stało niż walizkę wypełnioną milionem szeleszczących, stu- i pięćsetdolarówek. Nie zastanawiałaby się ani przez chwilę... To na czas mojej nieobecności, querida, zabezpieczenie dla ciebie i dla dziecka na wypadek mojej śmierci, chociaż nie miała to być forma przeprosin. Każdego dnia odbywał wymyślone rozmowy, w których odpowiadał na jej pytania, mówił, jak spędza czas. Zawsze tak samo. Opowiadał jej, że prawie nie prowadzi życia towarzyskiego, prawie wcale nie wychodzi, przeważnie po prostu siedzi i czyta albo patrzy na wiatr.

Tęsknił za nią jak cholera, a krew wrzała mu w żyłach, kiedy o niej myślał. Patagonia była jedynym miejscem na ziemi, gdzie wieczność ma granice, a „zawsze” nabiera kształtu i treści. Z przyjemnością myślał, że posiada jedynie nóż myśliwski, pistolet, listę pretensji i wspomnienia o niej. Ich wspólne przeżycia były romansem, kosmiczną namiętnością, tak inną od tanich przyjemności, a nawet w tym przedśmionku „donikąd” były spore możliwości tego ostatniego. Co najmniej sześć razy Swayze umieścił dziewczynę w jego łóżku, i za każdym razem, gdy otwierał oczy, by poddać się konfrontacji z pokusą zapomnienia, jego reakcja była taka sama. Odpychał dziewczynę z nieco ojcowską protekcyjnością, która wzbudzała troskę jego rówieśników. Chcieli, by był szczęśliwy, zadowolony i nie czuł żalu. Równie dobrze mogliby chcieć, by leżał w kawałkach w tej misce w Chilpancingo. Danny otworzył oczy i spojrzał za okno. Swayze stał przy ognisku, w którym paliły się pale i patyki pod metalowym rusztem, czekając, by wrzucić dwa skruszałe króliki do garnka z wrzącą wodą i niewątpliwie przyjść do chaty, żeby porozmawiać... Skupiając znów swoją uwagę na chacie, Danny powrócił do inwentaryzacji wyposażenia miejsca, które stało się jego więzieniem aż do rozpoczęcia następnej fazy planu, kiedy to miał wyjechać do Hawany.

Angielskie antyki zagracały pokój, sprzęty nie na tyle stare, aby miały prawdziwą wartość, ale i nie na tyle nowe, by były uznane za śmieci. Sama chata leżała na terenie owczego rancza na zróżnicowanym, pofałdowanym terenie, gdzie znajdowały się strome wzgórza, równiny, lasy, strumienie i vegas, czyli podmokłe łąki ze żwirowymi podjazdami prowadzącymi do budynków na posesjach.

Danny spojrzał w górę, gdy Swayze wszedł do chaty. Otrząsając kurtkę, mężczyzna przez chwilę grzał ręce nad ogniem, po czym usiadł. Przeszedł od razu do sprawy.

- Twój brat skontaktował się z Coriander w sprawie pieniędzy. W chwili, gdy je jej przekaże, zdemaskuje się.

- Ale banknoty nie są znaczone.

- Facet z Biura Prokuratora Okręgowego tylko czeka, by ten milion dolarów gdzieś się pojawił. Bądź rozsądny. Ile jeszcze innych walizek z milionem dolarów krąży po Nowym Jorku?

- Które z nich jest najbardziej kłopotliwe?

Swayze nie wahał się. – Oboje – powiedział. – I dodał:

- A jeszcze jest Stampa.

Danny ociągał się. – Co jeszcze może zrobić?

Swayze potrząsnął głową, przyglądając się Danny'emu tak, jakby nie mógł uwierzyć w jego naiwność. – Nie myślisz jasno – zaczął. – To jest człowiek, który przewoził co miesiąc do Hawany sześćset tysięcy dolarów i może rozszyfrować wszystkie kody w naszych aktach. Nie doceniałeś go, a może przeceniałeś ich obu, kiedy zostawiłeś Stampę z pięcioma czekami bez pokrycia, a ze swojego brata zrobiłeś chłopca na posyłki. Po prostu oddałeś im dwa najłabsze ogniwa.

- Stampa też się zdemaskuje, jeśli powie o przekazywaniu pieniędzy do Hawany co miesiąc.

- Może cały problem polega na tym, że po prostu nie znasz amerykańskiego systemu prawnego. – Swayze dobitnie wypowiadał słowa. – Zawrze układ. Danny był zniecierpliwiony. – Wiem wszystko o amerykańskim systemie prawnym i mam pełną świadomość zawierania układów, ale jeśli to zrobi, będą oczekiwać od niego, by powiedział, gdzie jesteśmy, a on nie jest w stanie tego zrobić.

- Wie, że żyjesz.

- Co mam zrobić?

- Powiedz Jorge, żeby się pozbył pieniędzy. Niech je wrzuci do rzeki albo spali. Ostatnie, czego możemy sobie życzyć, to żeby prokurator okręgowy zdał sobie sprawę, że w ostatniej chwili planowałeś zakup nieruchomości.

- Gdzie jest teraz Jorge?

- Gdzieś między Nowym Jorkiem i Acapulco.

- Dlaczego pojechał z powrotem do Meksyku?

- Wysłałem go tam, by spotkał się z moimi ludźmi, kiedy wrócą z gór z resztą czarnej skrzynki.

- Odzyskali ją w całości?

- Całą. Widzisz, hombre, ja dopełniłem swojej części umowy. – Czekał na pochwałę.

Danny tyle mu przyznał. – To rzeczywiście ulga.

- Powiedz Jorge, żeby wyrzucił te pieniądze – powtórzył Swayze.

Tak jakby była jakaś diabelna szansa, że się dostosuje.

- Jeśli tego chcesz...

Swayze zdawał się usatysfakcjonowany. – Wiesz, Danny – ciągnął – ona nadal nie jest przekonana, że nie żyjesz i chociaż się staram, nie mogę sobie wyobrazić, co by z tobą zrobiła, gdyby cię znalazła. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że zabiłaby cię własnymi rękoma. – Roześmiał się. – Ale tak jak przewidywałem, stali się sobie bardzo bliscy, Coriander i ten specjalny agent.

Swayze trzymał go w garści na każdym poziomie: praktycznym, prawnym, emocjonalnym. – Jak dużo mówi im Stampa? – zapytał, zmieniając temat. Jego myśli gnały w poszukiwaniu rozwiązania, które dotyczyło tylko jej. Coriander. Zanim będzie za późno.

- Sypie jak szalony, bo cholernie boi się więzienia i szczerze powiedziaławszy, hombre, w jego wieku, kto może go winić?

Spoglądając w dal, Danny zaciągnął się głęboko papierosem. – W tym sęk, prawda...

Swayze pojednawczo wzruszył ramionami. – On jest stary i chory. Jego życie niewiele jest już warte.

- A co z Jorge? – zastanawiał się Danny, starając się, by brzmiało to nonszalancko. – Co, jeśli nie skontaktuję się z nim na czas?

Niestety, Swayze nie mógł nic obiecać, chociaż mógł go absolutnie zapewnić, że jeśli ten milion dolarów zostanie zniszczony, nie będzie żadnych problemów. – On jest twoim bratem, hombre. Upewnij się, że dotrzesz do niego na czas.

- To nie jest odpowiedź, Mac.

- Jest nas trzech, Danny – ty, ja i Hernando.

- A co z moją żoną?

- Cor-i-an-der. – Swayze wypowiedział imię, dzieląc je na cztery sylaby. – Ona nie jest twoją żoną, hombre, ona jest wdową po tobie. – Przerwał i, jakby właśnie przyszło mu to na

myśl, dodał: – Może ucieknie z tym wspaniałym gliną i będą dalej żyć długo i szczęśliwie. Do tego czasu zapomną o tym, by cię szukać – eon suerte, zapomną! o tobie zupełnie.

Danny powstrzymał się, by nie skoczyć i złapać Swayze'ego za gardło. Przy odrobinie szczęścia Swayze wpadłby! wraz z królikami do garnka z wrzącą wodą.

- Właściwie nie ma to nic wspólnego ze suerte, Danny. To ma to coś wspólnego z czasem. Z biegiem czasu kobiety godzą się ze wszystkim. Jedyne problem w tym, że im inteligentniejsza kobieta, tym więcej jej to zabiera czasu, a twoja kobieta jest bardzo inteligentna. – Wzrok Danny'ego powędrował na zewnątrz, zaś Swayze mówił dalej. – Co z tobą, Danny, martwię się o ciebie. – Przybrał ojcowski ton. – Ile czasu trzeba, żeby cię przywrócić do życia? Wiesz, ta dziewczyna ma tylko siedemnaście lat, jest bardzo wrażliwa. Ranisz jej uczucia za każdym razem, gdy wyrzucasz ją z łóżka. – Spróbował się uśmiechnąć. – Możesz ją wpędzić w kompleksy.

- Powiedz jej, że nie lubię dziewczyn.

- Nigdy nie uwierzy, że jesteś maricon.

- Kto tu mówi o maricon? Powiedz jej, że lubię tylko kobiety.

- Nie zrozumie.

- Kiedy dorośnie, zrozumie, a kiedy tak się stanie, nie wyrzucę jej z łóżka.

- Spróbuj jej – namawiał Swayze. – Zgódź się, żebym ci ją przysłał dziś wieczór.

Bolała go głowa, waliło mu serce, widział twarz Coriander, czytał w myślach Swayze'ego: była to kwestia odłączenia przeszłości od teraźniejszości. Trzęsły mu się ręce, więc ociągał się z wzięciem papierosa do ust. A niech to, było to tego warte. Niech Swayze przysła dziewczynę, cokolwiek, by uzdrowić jego umysł. Mężczyźni tego pokroju jak psy, które znaczą własne terytorium po innym psie, muszą mieć tę samą kobietę. – Por cambiar las ideas – zgodził się. – Prześlij ją.

Swayze wstał i dosłownie go uściskał. Jak mało wystarczyło, by uszczęśliwić starego capa, obietnica, że nie wyrzuci jakiejś nastoletniej prostytutki z łóżka. Jeszcze przez następne dziesięć minut słuchał abstrakcyjnych wywodów o tym, że Jorge nie przedstawia żadnego problemu pod warunkiem, że będzie powściągliwy, pod warunkiem, że nigdy nie postawi się go w sytuacji, że będzie musiał działać sam, ani nie zmusi do podejmowania trudnych decyzji bądź ratowania własnej skóry kosztem pozostałych... Lecz ten problem zdawał się również rozwiązany i jaka to ulga, ponieważ męczyło go dostarczenie miliona dolarów, które mogłoby ich kosztować wszystko, co osiągnęli dotychczas. Jeżeli zaś chodzi o Stampę, nawet nie warto rozmawiać, chociaż kiedyś miał nadzieję, że będzie mógł osiąść na cichej emeryturze i żyć z pieniędzy, które jego żona zapracuje robiąc swetry na drutach.

Przez dziesięć minut Danny słuchał wypowiedzianych w tempie dyktanda hipotez, że nie ma miejsca dla indywidualnych żądz i zobowiązań, jeśli mają osiągnąć wszystko, co zaplanowali. Swayze chwycił się małą armią, którą miał na miejscu, paru dobrych ludzi, którzy akurat teraz byli w Nowym Jorku, gotowi zrobić wszystko co konieczne, by bronić ich celu. Swayze wstał. Nie ma się czym martwić, jeśli tylko będą zgodni co do tego, jak należy poprowadzić sprawę. Wydawało się, że przynajmniej strona uczuciowa znalazła się pod kontrolą, a rany się goją; Coriander ma przed sobą całe życie i wątpliwe, by spędziła je oplakując go lub żyjąc w samotności. Życzył jej dobrze... Co do nich trzech tutaj, w Ushuaia, w środku patagońskiej zimy, plany się zmieniły. Było na tyle spokojnie, że mogli wyjechać na Kubę wcześniej niż zakładali. Zgodnie z planem Swayze wyjedzie pierwszy z pieniędzmi, Danny i Hernando za nim z aktami i wyposażeniem komputerowym.

Danny, słuchając Swayze'ego, nie miał wątpliwości. Musi do niej dotrzeć. Coriander. Zanim będzie za późno. Podszedł za Swayze'em do drzwi, zachowując obojętność, gdy ten

ściskał mu ramię; nie odzywał się, gdy Swayze wyraził swoje zadowolenie z tego, że wkrótce Danny dołączy do grona żyjących. Jeśli pieprzenie jest życiem, to miał się wkrótce narodzić na nowo... Swayze znowu go uścisnął, włożył kurtkę i znowu powiedział, że nic nigdy nie stanie pomiędzy nimi, bo są zespołem, rodziną. Kiedy wyszedł, Danny nie ruszał się z miejsca zastanawiając się nad tym, że wszystko to brzmi mgliście znajomo, chociaż w tym momencie nie mógł sobie dokładnie uzmysłowić, gdzie to wcześniej słyszał...

Nieme sygnały, rozważał Danny, paląc papierosa, nie wypowiedziane słowa, chociaż coś jeszcze go martwiło.

Najwyraźniej Swayze miał rację co do pewnych spraw, że Stampa jest stary i schorowany i żyje w pożyczonym czasie, że jego życie nie ma już wartości. Najbardziej nagłym problemem jednakże był ten milion dolarów i jak pokierować Jorge bez wzbudzania podejrzeń Swayze'ego, żeby nie odwoływać doręczenia przesyłki. Mógł się zdecydować na wersję, że próbował, ale Jorge nie usłuchał, coś o późno rozwiniętym poczuciu obowiązku i odpowiedzialności, bo Coriander jest w ciąży. Albo że próbował i nie mógł się skontaktować z bratem... Jeśli tylko pieniądze do niej dotrą, nie dba o to, co stanie się później. Dryfując w jedną i drugą stronę, jego myśli wyczarowały ją. Leżała na łóżku i patrzyła na niego, gdy całował ją w le ulubione miejsca: oczy, nos, uszy, szyję i usta, i znowu, i później jeszcze raz. Do widzenia, kochanie.

Swayze nigdy nie rozumiał rozległości ani głębi jego uczucia do Coriander, tylko młody chłopak mógł to zrozumieć. Rozsiadł się na krześle i czekał aż Hernando wróci z miasta, podjąwszy już decyzję, że porozmawia z nim o problemie z pieniędzmi. Hernando znajdzie rozwiązanie, ponieważ dotyczy to Coriander. W końcu on też kiedyś ją kochał...

Co ciekawe, zawładnęło nim przytłaczające uczucie pożądania. Gdy zapadał w drzemkę, jego myśli zwróciły się do tej nastoletniej prostytutki, a potem gdy nagle obudził się z przestachem, zlany potem, z myślami wirującymi w tysiącach różnych kierunków. Nagle uświadomił sobie coś, co uderzyło go jako znajome. Była to znowu sprawa Matthew Johnsona, ta sama znajoma sprawa Montoneros dotycząca honoru, dumy i zbrodni.

## Rozdział 19

Prokurator okręgowy naciskany był przez Stanową Komisję Bankową w Nowym Jorku, której groziła Federalna Korporacja do Spraw Ubezpieczeń Kredytów w Waszyngtonie, a ta była molestowana przez Biuro Kontrolera Gotówki. Wszyscy chcieli, by przedstawiono akty oskarżenia każdemu co do jednego członkowi zarządu Inter Federated, członkom komisji kredytowych i Jorge Vidalowi. Jednak najbardziej chcieli konkretnych zeznań Fernando Stampy przeciwko Danny'emu Vidalowi. Frustrujące było to, że chociaż Stampa miał zapewniony całkowity immunitet, rzucał im tylko nędzne ochłapy, a Adama kusił tylko maleńkimi smakowitymi kąskami z obietnicą na więcej, co niemal uniemożliwiało szybkie zakończenie sprawy. Prokurator okręgowy przesłał Adamowi wiadomość, że nadszedł czas, by grać twardo. Później będą się martwić, żeby w akcie oskarżenia wszystko się zgadzało.

Adama zastała ta wiadomość, kiedy przybył do biura, co oznaczało, że tego dnia ma przed sobą nie tylko przedzieranie się przez stosy papierów na biurku, ale także dwa razy tyle czasu spędzi bawiąc się w dentystę z Fernando Stampą. Łatwiej byłoby wyrwać ząb...

Mężczyzna przybył czterdzieści minut przed czasem, w towarzystwie żony, a mimo to udało mu się wydobyć Adama z innego spotkania w ciągu pięciu minut. Niewiele dłużej czekali w hallu. Ku zaskoczeniu strażnika, który tego dnia miał służbę, Adam przybiegł, by ich osobiście



przywitać. Stampa stał cicho, a jego żona mówiła za nich dwoje, tłumacząc, że jest tu tylko po to, by się upewnić, że jej mąż nie będzie niepotrzebnie kłopotany pytaniami.

Po drodze do wind na tyłach marmurowego hallu i w górę na piąte piętro, gdzie mieściło się Biuro Prokuratora Okręgowego, Adam gawędził ze Stampami o pogodzie i klimatyzacji, którą w końcu naprawiono. Przytrzymując otwarte drzwi, zaprosił ich do środka, ustawiając krzesła w półkole przy stoliku do kawy, zbierając akta, papiery, gazety i kilka ciężkich książek prawniczych, po czym zaproponował im kawę i przeprosił za bałagan. Kiedy ich już posadził, zostawił ich na chwilę samych. Nie wspomniał Stampom o tym, że zaprosił Coriander do biura, by przejrzeć kilka osobistych dokumentów i książeczek czekowych Danny'ego. Zanim powrócił do swych gości, poinstruował sekretarkę, by wezwała go natychmiast, gdy nadejdzie Coriander. Usiadł i przyglądał się Elsie Stampa.

Była niską kobietą o delikatnej budowie, uroczej twarzy i z pewnością pięknych niegdyś rudych włosach. Teraz przebiegały po nich gęste pasma siwizny, ale nadal delikatne i rozwiane kłębiły się dookoła jej czoła i szyi, wyplątując się z koka, zwiniętego z tyłu głowy. Jej twarz pokryta była zmarszczkami, lecz oczy zachowały błękit porcelany, chociaż było w nich znużenie światem osoby, która widziała i wycierpiała o wiele za dużo, a teraz dokłada starań, by zamaskować jakiś ból. Roztoczyła opiekuńcze skrzydła nad mężem, co było widoczne w tym, jak zerknęła, kiedy mówił, poklepywała go po rękę, kiedy milkł, przerywała rozmowę, by poinformować Adama, że ten cały koszmar drogo ich kosztował, i to nie ją, lecz jego, ponieważ on ma słabe serce i jest już u kresu wytrzymałości, więc gdyby mogli mieć to z głowy jak szybko, jak to tylko możliwe...

Adam zaczął wolno przedstawiać powody tego nagłego spotkania. Przykro mi, ale prokurator okręgowy się niecierpliwi – wyjaśnił delikatnie.

Elsa Stampa odpowiedziała za męża. – Może mógłby pan wyjaśnić panu prokuratorowi okręgowemu, że mój mąż nie jest zdrowy.

- On to wie, pani Stampa, i współczuje państwu, ale są naciski z Waszyngtonu.

- Może pan to też powiedzieć swoim przyjaciółom z Waszyngtonu, że mój mąż nie jest silnym człowiekiem.

Adam zapewnił ją, że im szybciej będą mogli zacząć, szybciej się to wszystko skończy i wziął jej milczenie za zgodę. Rozpoczął wolno i w porządku chronologicznym, nawiązując do pewnych incydentów, o których dowiedział się z taśmy Palmera Wyatta, chociaż nie wspomniał, skąd o nich wie. Stampa przyznał się do wszystkiego, poczynając od planu porwania tego kierownika kiedyś w Buenos Aires, a kończąc na spisku, w którym on sam osobiście przewoził co miesiąc sześćset tysięcy dolarów z banku, by przekazać je w ręce Montoneros. Mężczyzna mówił urywanymi zdaniami, zatrzymując się co parę chwil, by przesunąć językiem po spierzchniętych wargach albo wypić łyk wody podanej mu przez Elsę i uśmiechnąć się słabo do żony, zapewniając ją z wysiłkiem, że jest w stanie dalej mówić. Kobieta przerwała tylko raz i to tylko po to, aby się upewnić, że bez względu na to, w jakim stopniu jej mąż był wmieszany w sprawę Danny'ego Vidala i wydarzenia w Nowym Jorku oraz Buenos Aires, będzie miał nadal zapewnioną nietykalność. Adam zapewnił ją o całkowitej ochronie, pod warunkiem, że jej mąż będzie mówić prawdę. Stampa podjął na nowo swoją opowieść. – Aktówka przygotowywana była z wyprzedzeniem. W pierwszym tygodniu każdego miesiąca Danny wzywał mnie do swojego gabinetu, by mi to przekazać.

- Zawsze przekazywał ją panu osobiście?

- Zawsze. Czasami przerywał inne spotkanie, by zobaczyć się ze mną osobiście i przypomnieć mi. bym wszedł do niego, jak tylko wrócę.

Elsa Stampa wyjęła swoją robótkę na drutach, które metalicznie stuknęły, gdy nabierała oczka i przekładała zgrabne rzędkę z jednego druta na drugi. Okulary przysiadły na czubku jej nosa, a ona słuchała swego męża, odkładając co chwila robótkę, by sprawdzić reakcję Adama, po czym znów zwracała uwagę na coś, co – jak wytłumaczyła – będzie swetrem. Doszło w końcu do tego, że Adam czuł się rozluźniony jedynie wtedy, gdy słyszał jej stukające druty.

- Brałem taksówkę sprzed banku na lotnisko Kennedy'ego, skąd miałem bezpośredni lot do Montrealu. Z reguły samolot do Hawany spóźniał się trzydzieści pięć do czterdziestu minut. Danny zawsze nalegał, żebym nie zostawał na noc, i nigdy tego nie robiłem, czyli wszystko było doskonale wyliczone w czasie. Kiedy zjawiłem się w Hawanie, popędzał mnie przez odprawę celną ktoś z rządu, po czym wiozł mnie samochodem bezpośrednio do domu przy plaży, a tam ktoś czekał na aktówkę.

- Kto był właścicielem domu?

- Nie wiem.

- Skąd pan wiedział, że aktówka zawiera pieniądze?

- Ponieważ zawsze otwierano ją przy mnie, przeliczano pieniądze, a ja dostawałem pokwitowanie, które zabierałem z powrotem do Nowego Jorku.

- Gdzie są teraz te pokwitowania?

- W osobistych zakodowanych aktach Danny'ego.

- Czy umie pan odczytać kod?

- Tak.

Adam zapisał to w notesie, który balansował mu na kolanie. – A czy suma za każdym razem była taka sama?

- Tak, było to zawsze sześćset tysięcy dolarów zapakowanych w tę samą aktówkę w banknotach o dużych nominałach.

- Czy znał pan osobę, która odbierała pieniądze?

- Tak, był to jeden z przywódców organizacji, który zastępował Danny'emu ojca, od kiedy jego prawdziwy ojciec zmarł, gdy Danny był bardzo mały.

- Jak się nazywa?

- MacKinley Swayze.

Adam nie dał nic po sobie poznać. – Czy przychodzi panu do głowy, gdzie on teraz może być?

- Po raz ostatni widziałem go jakiś rok temu w Hawanie.

- I wtedy to po raz ostatni zawiózł pan pieniądze? Stampa przytaknął. – Później bank nie miał wystarczających zysków, by ściągać procenty.

- I to wtedy Vidal zaczął kraść całe depozyty? Stampa przytaknął. – Do tego czasu Danny zaczął się robić bardzo podejrzliwy i paranoiczny, nie wierzył już nikomu. Zdecydował się zająć sam wszystkimi transferami pieniędzy.

- Jak?

- Na ile zdążyłem się zorientować, codziennie wynosił małe sumy pieniędzy w walizce.

- Czy nikt w banku nie zastanawiał się, co było w walizce?

- Jeśli nawet tak było, nikt nic o tym nie mówił.

- Czemu nie?

- On był szefem, więc jeśli ludzie nie byli przygotowani, by złożyć doniesienie na policję, to jaki był sens konfrontacji z nim?

Nie podnosząc wzroku znad drutów, żona Stampy zaproponowała bardziej logiczne wytłumaczenie. – Wie pan, on był niesłychanie czarujący, ciepły i troskliwy, pamiętał imiona wszystkich pracowników, pytał o ich rodziny, wiedział, kogo boli krzyż, a kto ma chorą matkę

starszkę. To leżało w jego interesie, by być włączonym i poinformowanym o życiu każdego, więc ludzie sądzili, że naprawdę o nich dba. – Elsa spojrzała znad okularów. – Byli nim oczarowani, więc milczeli.

- Dlaczego ktokolwiek miał mu stawiać wyzwanie, jeśli dostawał kopertę z pensją? – dodał Stampa.

- I zawsze miał na wypłaty – powiedział Adam cicho, rozczulając się nad jego talentami.

- Pracownicy byli dla niego priorytetem.

- Zaraz po sobie samym – dodała Elsa i znów skupiła uwagę na robótce.

- Czy kiedykolwiek rzeczywiście powiedział panu, że pieniądze przeznaczone są do Hawany, panie Stampa? – zapytał Adam.

- Powiedział mi, że kiedy będzie miał całą sumę, zamierza wynająć prywatny samolot, by tam polecieć z pieniędzmi.

- Czy pana zdaniem to właśnie zamierzał zrobić przed świętem Czwartego Lipca?

- O ile wiem, według planu miał polecieć do Hawany, z międzylądowaniem w Acapulco, by zabrać Jorge.

- Co zamierzał zrobić z pieniędzmi po przylocie do Acapulco?

- Nie wiem.

- Myślałem, że powiedział pan, że pojechał szukać domu.

- Nie – przyznał mężczyzna. – To była tylko oficjalna wersja, dla każdego, kto o to pytał.

- Jak pięćdziesiąt milionów mogłoby się zmieścić w dwóch walizkach?

- To nie było pięćdziesiąt milionów tylko czterdzieści sześć milionów czterysta tysięcy.

Niech pan nie zapomina, że przez pół roku przewoziłem po sześćset tysięcy co miesiąc...

Adam starał się ukryć irytację w głosie. – Jak można czterdzieści sześć milionów czterysta tysięcy zmieścić w dwóch walizkach?

Danny wyliczył to co do jednego dolara.

- Czy mówi pan, że Danny miał te pieniądze ze sobą, gdy opuścił Nowy Jork i wsiadł do tego samolotu?

Stampa miał łzy w oczach. – To było straszne zrzędzenie losu, ale tak było.

Kiedy zadzwonił telefon, Stampowie spojrzeli w górę pytająco. Adam sięgnął po słuchawkę i słuchał. – Daj mi parę minut – powiedział, po czym odłożył słuchawkę i skorzystał z tej przerwy jako okazji do zmiany tematu. – Czy jesteście zaznajomieni ze sprawą Matthew Johnsona?

Elsa Stampa przestała robić na drutach. – Mój mąż nie miał z tym nic wspólnego – wygadała się.

- Nikt nie mówi, że miał, pani Stampa – odpowiedział Adam spokojnie. – Poza tym pani mąż jest nadal chroniony na zasadach porozumienia o nietykalności.

- Tak – powiedział cicho Stampa – znam tę sprawę. Johnson był honorowym konsulem amerykańskim w Cordobie.

Adam usiadł z powrotem na krześle i skrzyżował ramiona.

- Czy Danny Vidal go zamordował?

Stampa nie zadał sobie nawet trudu, by rzucić okiem na żonę z prośbą o przyzwolenie, gdy przedstawiał fakty, które pasowały niemal słowo w słowo do tego, co Danny sam opisał na taśmie. Kiedy skończył, Adam ocenił, że nadszedł czas, by sprowadzić rozmowę z powrotem do teraźniejszości. – Był pan wyraźnie blisko z Dannym.

- Tak, przez to wszystko jest dla mnie tak trudne.

- On był częścią bardzo bolesnej przeszłości – dodała cicho Elsa.

Adam ostrożnie kontynuował. – Rozumie pan chyba, panie Stampa, że to biuro nie prowadzi dochodzenia w sprawie morderstwa Matthew Johnsona. Podjąłem ten temat jedynie po to, by nieco lepiej zrozumieć postępowanie tego człowieka, człowieka, który był panu tak bliski i któremu pan ufał, a który naraził pana na ryzyko oskarżenia o popełnienie przestępstwa. Przede wszystkim, nigdy nie przyszedłbym rozmawiać z panem, gdyby Danny nie postawił mnie w takiej sytuacji zgodził się Stampa z widocznym wzruszeniem.

Przez moment Adam pomyślał o Coriander siedzącej w hallu, wyobrażając sobie, co się stanie, gdy ją wezwie. Już miał w głowie plan. – Chcę, żeby pan wiedział, że rozumiem, iż była to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie kiedykolwiek pan podjął. – Przerwał. – Widzi pan, gdyby nie to, że byliście z Dannym tak związani, byłbym absolutnie pewny, że upozorował własną śmierć – skłamał. – Ze względu na fakt, że byliście tak sobie bliscy, wierzę, że Danny nigdy nie zrobiłby czegoś takiego z tymi czekami, chyba że z góry powziąłby zamiar, by to wszystko naprawić. – Znowu przerwał. – To dlatego wierzę, że zginął w tej katastrofie.

Chociaż Stampa przyjął wnioski Adama niemal z wdzięcznością, jednak Elsa podała je w wątpliwość. – Wiele nocy nie spałam, próbując wymyślić, jak pokryłyby te czeki.

- Tego się nigdy nie dowiemy.

- Nie wierzę, że Danny kiedykolwiek zamierzał mnie skrzywdzić – powtarzał uparcie Stampa.

- I w ten sposób wracamy do mojego wyjściowego pytania, panie Stampa. Dlaczego nie zwlekał pan z przyjściem do mnie?

Mężczyzna wyglądał na zawstydzonego. – Bałem się powiedział cicho.

- Miał pan wątpliwości, prawda?

- Moja żona... – zaczął

Elsa mówiła spokojnie. – Przeszliśmy przez wystarczający...

- To był szok – przerwał Stampa.

- Milion dolarów to dużo pieniędzy – zgodził się Adam, pewien, że Elsa Stampa wymusiła to na mężu.

- Jestem starym człowiekiem...

Adam przytaknął. Musiał teraz starannie dobierać słowa, ponieważ cała rzecz tkwiła w odpowiednim nastroju, a on miał tylko jedną szansę, kiedy Coriander wejdzie do jego gabinetu.

- Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Dannym Vidalem?

- Mniej więcej tydzień przed katastrofą samolotu.

- Czy jest pan absolutnie pewien, że nie odbył z nim pan rozmowy później? Może po tym, kiedy jego samolot wylądował w Houston?

- Absolutnie.

Adam wzruszył ramionami. – Widzi pan, panie Stampa, będzie dla pana lepiej, jeśli będzie można wykazać, że Danny nie żyje. W innym przypadku, ktoś może odnieść wrażenie, że byliście wmieszani w tę sprawę razem, aż do momentu, gdy pozostawił pana zatrzymując tę walizkę z milionem dolarów. Jeśli o czymkolwiek pan wie, co udowadnia, a przynajmniej sugeruje, że udałby własną śmierć... – Wydawało się, że żona Stampy zapomniała nagle o robótce. – A co z nietykalnością?

- Nietykalność może być odwołana, o tak – Adam pstryknął palcem – w momencie, gdy ktokolwiek będzie miał podejrzenia, że pani mąż kłamie albo nie mówi całej prawdy. – To nic, że wymyślał reguły: po pierwsze – facet kłamał, po drugie – Adam czuł ściskanie w dołku i chciał mieć to z głowy tak szybko, jak to możliwe.

- Spodziewali się dziecka – oświadczył Stampa bez emocji, prawie nie podnosząc wzroku z podłogi, gdy to mówił.

- Planowane? – zastanawiał się Adam.

Mężczyzna spojrział w górę. – Skąd mogę wiedzieć? – zapytał zgnębiony.

- Kiedy Danny powiedział panu o tym, że spodziewają się dziecka?

- Przed wieloma tygodniami – powiedział Stampa bez zastanowienia.

Adam przerwał. Usłyszał coś, co cały czas podejrzewał, co miał nadzieję usłyszeć i czego równocześnie się bał. Niemożliwe, by Stampa wiedział o ciąży na wiele tygodni przed wypadkiem. Musiał o tym usłyszeć najwcześniej tego dnia, gdy Danny wyleciał do Acapulco, co oznaczało, że musiał z nim rozmawiać, kiedy już się dowiedział o czekach bez pokrycia. A jeśli tak było, wtedy pozostaje pytanie, dlaczego przyszedł do Biura Prokuratora Okręgowego w świąteczny weekend. Chyba że te czeki nie należały do umowy i spanikował. Adam przeprosił i sięgnął po słuchawkę telefonu. – Jestem już gotowy – powiedział i poczuł wszechogarniający smutek. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach nic nie powiedział, czekając aż otworzą się drzwi i Coriander wejdzie do biura. Nie miał już więcej ochoty na prowadzenie gry.

Weszła, zanim Fernando i Elsa Stampa zdołali przynajmniej zapytać, co to znaczy. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych. – Wszyscy się państwo znają, prawda? – spytał Adam, spoglądając to na nich, to na nią.

- Tak, oczywiście – powiedziała Coriander, pierwsza odzyskując równowagę. Podchodząc do kobiety, wyciągnęła dłoń. – Przykro mi z powodu całej tej sprawy, pani Stampa – powiedziała, po czym zwróciła się do jej męża.

- Panie Stampa, jak się pan miewa?

Jej niewiarygodna klasa robiła ogromne wrażenie na Adamie. – Coriander, kiedy powiedziałaś Danny'emu, że jesteś w ciąży?

Jej twarz tylko przez moment zarejestrowała zmieszanie, zanim odpowiedziała: – Trzeciego lipca, w dniu, w którym wyjechał. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ pan Stampa mówi, że Danny powiedział mu o tym wiele tygodni wcześniej.

Potrzebowała tylko chwili, by zrozumieć. Jej wzrok wędrował od jednego do drugiego, zanim powiedziała cicho: – Gdzie on jest? – Stampa wyglądał, jakby go spoliczkowano. Elsa zrobiła się biała jak prześcieradło.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój mąż. Proszę, wiem, że nic się panu nie stanie, jeśli pan powie. – Spojrzała błagalnie na Adama. – Nie powiedziałaś im o tym?

Adam nic nie odpowiedział, tylko mięsień drgał na jego szczęcie.

Coriander najpierw spojrzała na Stampę, potem na jego żonę. Proszę, gdybym tylko wiedziała, że naprawdę nie żyje, mogłabym się z tym pogodzić, a tak, są to prawdziwe tortury..

To Elsa zaczęła mówić. – Czy zdaje sobie pani w ogóle sprawę, przez co przeszliśmy?

Coriander wzięła oddech. – Oczywiście, że tak. Nie rozumiem jednak, dlaczego chronicie tę samą osobę, która was w to wplątała. – Nie umknęło jej uwagi, że po raz pierwszy rzeczywiście oskarżyła o coś Danny'ego.

- To pani ojca oskarżam o to, co stało się z naszym synem. On przyjmował tych morderców w waszej ambasadzie.

Znowu Cordoba, chociaż tym razem miała odpowiedź. – Nawet gdyby mój ojciec nie utrzymywał kontaktów z wojskowymi, czy zmieniłoby to w jakimkolwiek stopniu los państwa syna?

- Może nasz syn żyłby, gdyby pani ojciec zadał sobie trud interweniowania.

- Mój ojciec robił, co mógł.

- Życie pani ojca nie było narażone na ryzyko.

- Nie, ale wierzył, że moje życie było narażone, i dlatego utrzymywał stosunki z wojskowymi. Zrobilibyście państwo to samo, by chronić własnego syna, gdybyście mieli szansę.

Po raz pierwszy od lat rzeczywiście zrozumiała motywy postępowania swojego ojca.

Wtedy Adam przerwał. Celowo neutralnym tonem powiedział: – To wszystko nie ma związku ze sprawą i nie ma nic wspólnego z tym, co teraz dzieje się w banku.

- Gdyby nie śmierć mojego syna, nigdy nie zaangażowalibyśmy się w pracę w banku, ponieważ nigdy nie przyjechalibyśmy do Nowego Jorku – upierała się Elsa.

- Byliście związani z Dannym, zanim zginął wasz syn i zanim Danny próbował pomóc wam go odnaleźć – spierała się Coriander.

– Dopóki to nie przestało być dla niego wygodne. Znowu Coriander stanęła w obronie męża. – To nie ma nic wspólnego z wygodą, Danny był sam przeciw armii.

- Wierzyliśmy, że jest w stanie uratować życie naszego syna – powiedział Stampa.

- Nie, wy chcieliście w to wierzyć, panie Stampa, i nie mogę was za to winić. Nikt tak naprawdę nie rozumiał na początku, co się dzieje. Hanny dał wam nadzieję. Dał nam wszystkim nadzieję.

- Tragedia polega na tym, że wierzyliśmy Danny'emu, a on nas oszukał, bo wszystko, co robił, robił dla pieniędzy. Jak możemy zapomnieć, że już raz rozczarował nas znikając tak jak teraz, tylko że teraz mamy do kogo się zwrócić.

Wtedy Fernando Stampa próbował uzyskać jej poparcie. – Czy może pani zapomnieć, jak panią skrzywdził? Czy może pani mu wybaczyć, że zostawił tak panią i dziecko?

Z oczyma pełnymi łez Coriander mówiła cicho: – Proszę was tylko o to, byście mi dali prawo wiedzieć, co powinnam czuć. Jeśli nie żyje, chcę go opłakiwać. Jeśli żyje, chcę mieć prawo odczuwać gniew.

- Dlaczego mamy pani dać prawo wyboru, jeśli sami nigdy takiego nie mieliśmy? – zapytała gorzko Elsa.

- Więc dlaczego go chronicie? – wykrzyknęła Coriander.

- Chronimy siebie.

Straciła spokój. – Jak może wam pomóc to, że nie chcecie mi powiedzieć, gdzie on jest, ani tego, co wiecie?

- Skąd ta pewność, że coś wiemy?

- Jedyną rzeczą, którą wiemy, jest to, że muszę oczyścić swoje nazwisko – dodał Stampa.

- Mój mąż próbował jedynie ukarać ludzi, którzy zabili I waszego syna, nie kierował się innym motywem.

Elsa zapytała: – A teraz czym się kieruje?

Coriander pokręciła tylko głową. – Nie wiem...

Lecz kobieta znowu nabierała rozpędu. – Wiem jedynie to, że mój syn zginął, ponieważ niewiele znaczyliśmy, a pani żyje, ponieważ pani ojciec był amerykańskim ambasadorem.

- Ma pani rację – powiedziała cicho Coriander. – Nie mogę temu zaprzeczyć...

- Myślę, że to wystarczy – przerwał Adam. – Mamy tutaj układ. Albo pan Stampa będzie mówił i odpowiadał uczciwie, albo jego nietykalność zostanie cofnięta i zostanie oskarżony ze wszystkimi innymi.

- Nie mamy nic więcej do powiedzenia – oświadczyła Elsa Stampa, wkładając swoje rzeczy do torebki. – Zamierzamy wynająć adwokata. – Jej poszarzały na twarzy mąż także wstał. Wzrok miał utkwiony w podłogę, gdy czekał, aż żona wszystko pozbiera, by mogli wyjść. Nie mieli już nic więcej do powiedzenia. Elsa Stampa wzięła męża pod ramię, by wyprowadzić go za drzwi. Przed wyjściem odwróciła się. – Może mąż nie kochał pani wystarczająco mocno.

Mimo że była to już stara historia, Coriander odpowiedziała: – Albo może ja kochałam go za bardzo.

Adam nie zrobił nic, by zatrzymać Fernando Stampę. Miał czas, by anulować jego nietykalność, czas, by przyprzeć go do muru o szczegóły, nawet jeśli był przekonany, że może to jedynie doprowadzić do dalszych kłamstw. Podeszedł do okna i wyrztał na zewnątrz. Zwrócony twarzą do okna słuchał, jak zatrząskują drzwi, a obcasy Stampów stukają o marmurową podłogę, gdy kierowali się do windy. Dopiero wtedy obrócił się i podeszedł wolno do Coriander, by wziąć ją w ramiona. Oparła głowę na jego ramieniu, nie stawiając oporu. – Wiesz, ona ma rację.

- W sprawie? – Poglaskał ją po włosach.
  - Nie kochał mnie wystarczająco mocno. – Łzy znowu napłynęły jej do oczu.
  - A co byś powiedziała na to, gdybym ja cię kochał za mocno? – wyszeptał.
- I tylko stali tam obejmując się...

## Rozdział 20

Była szósta trzydzieści rano, kiedy samochód po raz pierwszy pojawił się na północno-wschodnim rogu Trzeciej Alei i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Była to czterodrzwiowa honda, beżowa lub szara, trudno było rozróżnić kolor pod błotem oblepiającym klamki i tablice rejestracyjne. Samochód skierował się w prawo, w Trzecią Aleję, jadąc nie szybciej niż dwadzieścia czy dwadzieścia pięć mil na godzinę, zanim skręcił na wschód w Siedemdziesiątą Ulicę, po czym jeszcze trochę kluczył, by skierować się z powrotem w Trzecią Aleję. Zrobił jeszcze kilka rund dookoła bloku nie przyspieszając, chociaż zakręty brał w różnych miejscach między Drugą a Trzecią Aleją. Dokładnie o szóstej czterdzieści dwie samochód zatrzymał się z włączonym silnikiem na tym samym północno-zachodnim narożniku Trzeciej Alei i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy.

Właściciel koreańskiego targu, mieszczącego się w pobliżu, przybył kilka minut po szóstej i zaczął układać cięte kwiaty w gablotach wystawowych przed sklepem. Kilka metrów na północ znajdowało się stoisko z gazetami, którego właściciel, przybywszy mniej więcej w tym samym czasie, zajął się utykaniem dodatkowych egzemplarzy niedzielnego nowojorskiego „Timesa”, które właśnie wyrzucono z ciężarówki na chodnik. Po drugiej stronie Trzeciej Alei wznosił się nowoczesny wieżowiec. Budynek odsunięty był od chodnika, a półkolisty podjazd prowadził do wejścia i w dół poprzez rampę do garażu. O szóstej trzydzieści osiem starszy mężczyzna wyszedł z budynku, by skierować się wolno w kierunku Trzeciej Alei, zanim skręcił na północ, tak jak każdego ranka mniej więcej o tej samej porze, by kupić pomarańcze i gazetę. W brązowym sztormiaku, beżowych spodniach, przyciemnianych okularach i brązowych sandałach z ciemnobrązowymi skarpetkami wyglądał jak cudzoziemiec, tak przynajmniej ktoś później powiedział. Idąc Trzecią Aleją, znalazł się na rogu Sześćdziesiątej Dziewiątej dokładnie w chwili, gdy światło zmieniło się na zielone, pozwalając mu przejść. Nigdy nie udało mu się dotrzeć na drugą stronę.

Gdy tylko zszedł z krawężnika, honda nadjeżdżająca z Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy skręciła w lewo i trafiła wprost w niego, uderzając go z całej siły. Siła uderzenia spowodowała, że mężczyzna poszybował w powietrzu, trzaskając głową o zaparkowany samochód, zanim dwa metry dalej odbił się od chodnika. Nie wycofując się ani nie tracąc rozpędu, samochód z piskiem opon odjechał na zachód, aż zniknął z zasięgu wzroku.

Jeszcze zanim mężczyzna został odrzucony od samochodu, kobieta patrząca z okna trzeciego piętra zaczęła piszczeć i wrzeszczeć, by kierowca się zatrzymał. Kilka sekund później Koreańczyk wybiegł na środek Trzeciej Alei i bezradnie patrzył, jak samochód z piskiem opon kryje się za rogiem i odjeżdża na zachód. Sekundy później sprzedawca gazet ruszył zza stoiska

do narożnej budki, by wezwać policję. W ciągu kilku minut wszyscy trzej świadkowie, w tym kobieta, która zbiegła na dół w szlafroku ściskając dziecko w ramionach, stali na rogu Trzeciej Alei i Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, wpatrując się w zmasakrowaną postać na chodniku. Mężczyzna nie żył.

\*\*\*\*\*

Coriander weszła do szpitala i skinęła na powitanie do I rzędu strażników tłoczących się koło pierwszych wahadłowych drzwi i czekających na rozpoczęcie swojej zmiany.

- Jak się pani doktor miewa?
- Wygląda pani szałowo, pani doktor.
- Cześć, pani doktor!

Korytarz pachniał sosnowym płynem dezynfekującym, a permanentnie poplamione podłogi z linoleum były wyczyszczone na wysoki połysk. Nawet graffiti na ścianach wyglądały na wyszorowane do czysta. Przechodząc przez pogotowie, Coriander uśmiechnęła się do personelu za kuloodporną szybą poczekalni, gdy nad głowami Roy Orbison nosowym głosem śpiewał *Running Scared*. Słowa piosenki uderzyły ją: „gdyby wrócił, którego z nich byś wybrała?”. Zatrzymując się przy automacie, wrzuciła monety i czekała, aż jej kubek napełni się kawą i odrobiną mleka. Poczekalnia była niemal opuszczona, poza kilkoma osobami, które przychodziły codziennie po koktajle z meladonu czy zastrzyki z insuliny. W niedzielne poranki panował tu na ogół spokój, poza oddziałem położniczym, tak jakby dzieci getta były na tyle mądre, by przychodzić na świat podczas szabasowego zawieszenia broni, tego krótkiego wytchnienia przed ponowną walką w środku tygodnia, która do piątkowej nocy miała się przemienić w otwartą wojnę. Szesnastu nowych stażystów miało zacząć pracę dziś rano, dwaj interniści bez specjalizacji, trzej interniści, jeden stażysta z drugiego roku, trzej z trzeciego roku i jeden z czwartego.

Niosąc kawę, Coriander przepychała się przez wahadłowe drzwi prowadzące do pourazowego, gdzie natychmiast zatrzymał ją jeden z towarzyskich stażystów. – Czy wygłasza pani swój poranny wykład w audytorium czy w biurze szefa?

- Czy rzeczywiście ma pan zamiar przyjść? – zapytała z uśmiechem.
- Nie mógłbym go opuścić, doktor Wyatt.
- Więc jak to się stało, że zawsze pan opuszczał moje wykłady, gdy był pan u mnie na stażu?
- Kiedy nie pracowałem, miałem dziesięć do piętnastu minut, by się przespać – przekomarzał się z nią stażysta. ,
- Czy to nie było straszne? – spytała uśmiechając się.
- Proszę sprawdzić na tablicy, ale myślę, że w audytorium.'
- Przerzucając torbę na drugie ramię, szła dalej, obok zabiegowych i poprzez hall, aż dotarła do małego biura na tyłach oddziału. Wykład, który wygłosi, miała już w głowie, notatki nigdy nie były jej potrzebne, ponieważ wszystko pochodziło z rzeczywistych wydarzeń i sytuacji, które miały miejsce w ostatnich tygodniach na jej dyżurach. Zawsze podkreślała, że najistotniejsze jest sprowadzenie entuzjastycznie nastawionych nowych lekarzy na ziemię, przywrócenie im poczucia rzeczywistości, szczególnie dlatego, że byli jeszcze przekonani, że tutaj częściej życie pacjentów w cudowny sposób się ratuje niż głupio traci. Jakże się mylili...

Zamykając drzwi, Coriander podeszła do szafki, by odłożyć torbę, i zatrzymując się na moment oparła czoło o zimną metalową powierzchnię szafki. Dzisiaj po raz pierwszy zrobiło jej



się niedobrze i był to przedsmak porannych mdłości, chociaż zmęczenie, które odczuwała, było bardziej emocjonalne niż fizyczne.

Od czasu konfrontacji ze Stampami jej współczucie i cierpliwość wyczerpały się; odczuwała je jedynie w stosunku do tych niewinnych ofiar, które podczas dyżurów przechodziły przez jej ręce. Nikt nie musiał jej mówić, że złą polityką było ocenianie wartości pacjentów. Medycyna jest jak seks: jeśli jest wstrętna, odpowiada dziewięćdziesięciu procentom, jeśli dobra, nikt się nad nią nie rozwodzi. Wolno rozebrała się i powiesiła ubranie w szafce, po czym wślizgnęła się w niebieskie spodnie i biały fartuch. Siadając przy biurku, rozpoczęła codzienną rutynę, myszując w szufladzie w poszukiwaniu paru piór i małej latareczki, którą zatknęła do kieszonki na piersi, a następnie zawiesiła stetoskop na szyi.

Wyszła na korytarz i szybko ruszyła do windy. Wchodząc do środka zastanawiała się, czy może to wszystko jest tylko kwestią oceny, a jeśli tak, to ona była ostatnią osobą, która mogła powiedzieć, co należy wobec kogo czuć. Ostatecznie zakochała się w mężczyźnie, przejmując całą jego udrękę i ból, zaufała mu, wyszła za niego, dzieliła z nim życie, planowała, miała nadzieję, po to tylko, żeby odkryć, że nic w nim nie było prawdziwe... Wychodząc z windy, mogła tylko być wdzięczna, że nie musi prowadzić wykładu o zaletach małżeństwa. Wkraczając do audytorium wypełnionego co najmniej pięćdziesięcioma, a może nawet sześćdziesięcioma osobami, zastanawiała się, jak to się stało, że Adam Singer stał się tak ważną częścią jej życia. Czy też był to tylko jeszcze jeden przykład złej oceny?

\*\*\*\*\*

W zeszłym miesiącu Hermine Mashavas otrzymała doroczną nagrodę dla najlepszego pracownika hotelu Sheraton, wręczaną podczas małej uroczystości w stołówce pracowniczej. Dla Hermine najbardziej wartościową częścią nagrody było to, że mogła wybrać, na jaką zmianę będzie w przyszłym roku pracować.

Hermine wybrała zmianę dzienną od ósmej rano do czwartej po południu, co oznaczało, że mogła zabierać dziecko od swojej matki i iść do domu, by przygotować obiad, i po powrocie męża z pracy cała rodzina mogła zjeść razem posiłek. Hermine wybrała także pracę w niedzielę z wolnym dniem w środku tygodnia, żeby jej dziecko mogło być jeden dzień samo z każdym z rodziców, a jej matka mogła mieć dwa pełne dni odpoczynku.

Ostatnie kilka godzin tej szczególnej niedzielnej zmiany było bardziej gorące niż zwykle. 34 członków Połączonej Kompanii Ubezpieczeniowej wymeldowywało się w południe, zaś o czwartej miało się zameldować 26 kierowników z Barnum i Bailey Circus. Hermine i dwie inne pokojowe pracowały szybko, by przygotować pokoje na zaplanowaną na drugą inspekcję nadzorującego. Rozeszły się pogłoski I z recepcji, że niektórzy z Barnum i Bailey piją już dodatkowe drinki w barze hallu, niespokojnie oczekując na wejście na górę.

Dokładnie o pierwszej trzydzieści cztery Hermine zamknęła drzwi do pokoju 1636 i policzyła, że ma jeszcze tylko cztery pokoje do końca: 1638, 1640, 1642 i 1644. Popychając przed sobą płócienny wózek, zatrzymała się między pokojami 1638 i 1640 i wyjęła zapasowy klucz, by otworzyć drzwi do pokoju 1640. Pukając najpierw i licząc do trzydziestu, by się upewnić, że jest wolny – zasady hotelu Sheraton – przekręciła klucz i weszła do środka.

W pokoju panowała ciemność, bo w oknach zaciągnięte były podwójne zasłony. Po jednej stronie małego wejściowego korytarzyka znajdowała się łazienka. Włączając światła Hermine zauważyła, że łazienka wygląda na nie używaną. Ręczniki były złożone na wieszakach, mydła i szampony stały nie rozpakowane na półce obok umywalki i nawet opaska z papieru toaletowego dookoła zamkniętego sedesu była nie naruszona. Lecz zasady hotelu Sheraton mówiły, by

zmieniać prześcieradła i ręczniki po każdej wypowiedzi, nawet jeśli wyglądały na nie używane, a łóżko na nietknięte. Hermine zastanawiała się jednak nad tym, czy któraś z dziewcząt na piętrze nie obsłużyła już tego pokoju. Wychodząc na korytarz, gdzie pracowały inne pokojowe, zatrzymywała się przy każdym pokoju, by o to zapytać, i wszędzie dowiadywała się, że żadna go nie sprzątała.

Jeszcze raz Hermine weszła do pokoju 1640 i przeszła do łazienki, by zebrać ręczniki i włożyć je do torby z praniem wiszącej po jednej stronie jej wózka. Trzymając świeże ręczniki w rękę, weszła do łazienki i umieściła je na półkach nad zlewem, po czym zamknęła drzwi łazienki, by skierować się do sypialni. Potrącając nogą krzesło, przeszła ostrożnie do prawej strony okien, by odsłonić zaciemniające żaluzje. Hermine miała właśnie przejść na lewą stronę okna, by je odsunąć, kiedy przypadkiem spojrzała na łóżko. Prerażona widokiem i zbyt zszokowana, by biec, stała tam tylko wrzeszcząc wniebogłosy. Prześcieradła i poduszki, podobnie jak ubranie mężczyzny leżącego na plecach, przesiąknięte były krwią. Oczy wpatrzone miały w sufit, a gardło poderżnięte od ucha do ucha.

\*\*\*\*\*

Pod koniec wykładu Coriander sięgnęła po szklanę, by wypić łyk wody. Dokładnie wtedy otworzyły się drzwi z tyłu audytorium i wszedł przez nie mężczyzna. Był to Adam.

Coriander miała kłopoty z koncentracją, gdy na sali siedział Adam. Coś musiało się stać, inaczej by nie przyszedł. Skracając wszystko oświadczyła, że czeka na pytania. Jakiś tuzin rąk podniósł się w górę, ona zaś słuchając i odpowiadając, co kilka chwil spoglądała w odległy koniec audytorium. Wreszcie, odpowiedziawszy na wszystkie pytania, podziękowała grupie za uczestnictwo i po raz kolejny powitała swoich nowych stażystów, dodając, że jest zawsze do ich dyspozycji, gdyby potrzebowali pomocy lub mieli jakieś pytania.

Oklaski były długie i głośne, rzędy klaszczących rąk zamazały się przed jej oczyma, gdy zdjęła okulary. Owacje trwały nawet, gdy zeszła z podium, przeszła przez scenę i ruszyła po trzech schodach prowadzących do publiczności. Jej myśli dotyczyły tylko Adama. Wkładając okulary zatrzymała się, by uścisnąć ręce kilku lekarzy z personelu i kilku stażystów, którzy otoczyli ją, by jej powiedzieć, z jak wielką przyjemnością wysłuchali wykładu. Adam był wtedy nie dalej niż półtora metra od niej, wyraźnie tak jak ona pragnąc, by wszyscy wyszli. Wyglądał na zmartwionego. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach ostatecznie wszyscy się rozeszli i mogła skierować się do niego.

- Co się stało? – zapytała niespokojnie.

Biorąc ją pod ramię, poprowadził przez przejście.

- Wyjdźmy stąd.

Czując, że ją popędza, z trudem za nim nadążała. – Co się stało? – powtórzyła, próbując wyczytać to z jego twarzy, gdy szli do windy.

Zamiast odpowiedzi powiedział jej komplement. – To był bardzo ciekawy wykład, nic dziwnego, że przyszły takie tłumy.

Nieco zdyszana odpowiedziała: – Nie przyszedłeś tutaj na wykład. Co się stało?

Kiedy wreszcie doszli do windy, złapał ją pod ramię i powiedział szybko: – Stampa nie żyje.

Zbladła. – Jak to się stało?

- Ktoś go potrącił samochodem i uciekł.

- Gdzie?

- Lepiej byłoby zapytać „dlaczego” – powiedział Adam właśnie w tym momencie, gdy przyjechała winda. Wprowadził ją do zatłoczonej kabiny i jechali w milczeniu, z przymkniętymi oczyma, aż dotarli do parteru.

- Dlaczego? – zapytała natychmiast, gdy wyszli.

Trzymając jej łokieć, prowadził ją przez korytarz w kierunku pourazowego. – Powiem ci wszystko, kiedy będziemy gdzieś w odosobnionym miejscu.

Była wyraźnie poruszona, gdy próbowała nadążyć za jego długimi krokami. – Chodźmy do mojego biura.

Wkraczając przez wahadłowe drzwi do części magazynowej, nie informując nikogo, dotarli w końcu do jej biura z tyłu oddziału. Otwierając drzwi weszła, a za nią Adam. Nie byli w środku dłużej niż dwie lub trzy sekundy, w ciągu których zdążyła jedynie zamknąć drzwi,

- Nie możesz być sama.

- Dlaczego?

- To jest niebezpieczne.

- Adam, o czym ty mówisz?

- Jorge także nie żyje. Ścisnęła oparcie krzesła. – Co? – Westchnęła z zaskoczenia.

- Dzisiaj po południu jedna z pokojówek znalazła go w pokoju hotelowym. – Adam przerwał. – Miał podcięte gardło.

Oszołomiona zatopiła się w krzesło. – Nie wierzę w to wyszeptła. – Dlaczego?

Adam ukląkł przed nią. – Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie możesz być sama? Jej głos trząsł się. – O czym ty mówisz?

- Obawiam się, że cię znajdą.

- Kto? – zapytała, a w głowie jej się kręciło. – Myślałam, że to my kogoś szukamy.

Wziął ją za ręce. – Dwie osoby nie żyją – powiedział, wyraźnie wymawiając słowa. – Zamordowani. Czy nie rozumiesz, co się dzieje?

Powiedziała to nie zastanawiając się. – Dlaczego Danny miałby skrzywdzić własnego brata? To nie ma sensu.

- To nie chodzi o sens, Coriander. To chodzi o dolary, miliony dolarów.

- A co to ma wspólnego ze mną? – powiedziała prawie błagalnie.

W jego głosie brzmiało wyczerpanie. – Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że Jorge został zamordowany z powodu tego miliona dolarów.

- Ale Danny to zaaranżował.

- A Swayze prawdopodobnie przejrzał głupotę... -Adam wstał i przesunął krzesło, po czym znów usiadł.

- Posłuchaj mnie, Coriander. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Oni dwaj zostali zamordowani, ponieważ jeden z nich powiedział nam o pięciu czekach bez pokrycia, a drugi powiedział nam o milionie dolarów. Czy nie rozumiesz? To łączy dwa osobne zdarzenia i nie pozostawia wątpliwości, że Danny planował dać ci milion dolarów, bo wiedział, że nigdy nie wróci. To udowadnia, że prawdopodobnie żyje i ze wszystko ukartował, a to go wplątuje w trzy morderstwa.

Powtórzyła pytanie: – Ale dlaczego chciałby mnie skrzywdzić? Kochał mnie.

- Wystarczająco, żeby cię tak zostawić, w ciąży? Nagle ogarnęła ją wściekłość.– Porzucenie mnie to jedno, do cholery, to wystarczająco trudne do przyjęcia, ale planowanie morderstwa dwóch pilotów jako sposobu ucieczki to co innego, dla mnie niewyobrażalnego! A teraz chcesz, bym uwierzyła, że kazał zabić własnego brata i jakiegoś żalosego starca?

Tego dnia nie oferował jej otuchy. – Zapomniałaś o tym torsie w misce, ale dlaczego jesteś tym tak zaskoczona? Czy zapomniałaś o Matthew Johnsonie? – Trzymając nadal jej dłonie,

potrząsał nimi, by uzyskać jej pełną uwagę – Ci ludzie są bezwzględni, Coriander, a on jest jednym z nich.

Jakby była w transie, powiedziała: – Wyprowadzam się dzisiaj... – Tak jakby robiło to jakąś różnicę.

- Pomogę ci się przeprowadzić i albo z tobą zostanę, albo ty zostaniesz ze mną w moim mieszkaniu.

- A co z moją pracą i twoją pracą, i moim życiem, i twoim życiem, i wszystkim innym...

Nic się nie liczyło. – Będą musieli sobie tutaj przez jakiś czas poradzić bez ciebie... – Przerwał. – Co do mojego życia i twojego życia, i wszystkiego innego, to inna kwestia.

- Nie mogę się przez całe życie ukrywać – powiedziała cicho. Wstała. On także był na nogach i za moment znalazła się w jego ramionach.

- Nic nie jest na zawsze, Coriander – powiedział, zanim jego wargi odnalazły jej usta.

Coriander wyciągnęła rękę w górę, by je opleść wokół jego szyi i pocałowali się czule. Kiedy skończył się pocałunek, ich oczy się spotkały. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego twarzy. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? – wyszeptwała.

Znowu ją przyciągnął do siebie. – To bez znaczenia, ponieważ od teraz będziesz ze mną.

Przyszły jej na myśl jego słowa, że nic nie jest na zawsze. Jednak nie odezwała się.

## Rozdział 21

Miał twarz nieboszczyka, wynędzniałą i bladą, o płaskich oczach, pozbawioną życia i znudzoną, ale nie tak, jakby wszystko już widział, lecz jakby nawet nic go nie interesowało. Poruszał się z gracją, ruchy miał płynne, krok pewny jak klasyczny tancerz, któremu w głowie nieustannie rozbrzmiewało adagio. Wysoki i szczupły, szedł nieco pochylony w przód, stąpając na czubkach stóp; jego spodnie wiszące wokół bioder, podciągnięte wysoko w pasie, dawały niejasne wrażenie, że pod każdą kieszenią wystaje mu kość biodrowa. Stawiając długie kroki, szedł dalej przez strome ulice Ushuaia.

Miał swoje zdanie na temat tego, co zdarzyło się w Nowym Jorku. Istniały pewne granice, przynajmniej jeśli chodziło o niego. Kradzież to jedno, porwanie także, nawet morderstwo, jeśli zostało popełnione przeciwko wrogom i jeśli nie było innego sposobu, by coś przekazać, rozpocząć ofensywę albo zapewnić sobie obronę. Lecz zabijanie starego człowieka – rozjechanie go jak zwierzę – było na tym samym poziomie braku człowieczeństwa, jak to, co kiedyś robiły te potwory. A jeśli chodzi o Jorge, mimo jego wątpliwej moralności i broń Boże nie nieskazitelnego charakteru, podcięcie gardła w anonimowym pokoju hotelowym było brutalnym i bezsensownym aktem przemocy. Danny popadł w depresję, nawet gorszą niż po śmierci Alicji.

Minęły miesiące, odkąd Hernando przybył do Ushuaia, i gdy szedł ulicami miasta, zdał sobie sprawę, dlaczego zawsze przyjazd tutaj w środku zimy wprawiał go w przygnębienie. W zasięgu wzroku nie było nikogo poza bezpieczeństwa psami, które włóczyły się lub tłoczyły w drzwiach, porzucone przez tych, którzy przyjechali pracować na tymczasowych kontraktach dla jednej z państwowych firm budowlanych lub elektrycznych.

Gwałtowny wiatr nawiewał na ład kawałki lodu z zatoki Ushuaia i prawie uniemożliwiałby chodzenie, gdyby nie obecność lin i metalowych barierek wzdłuż chodników. W samym mieście nie było nic pociągającego poza widokiem gór i lasów, które z nim graniczyły i ogromnymi obszarami wody, które rozpościerały się do Navarino i wysp Hoste po chilijskiej stronie kanału Beagle. Niezależnie od tego, jak dużo czasu upłynęło między wizytami Hernando, wszystko pozostawało w tym samym zawieszonym i nieskończonym stanie remontu nabrzeża. Pokryte

śniegiem dźwigi i kontenery stały beczynnymi, czekając na wiosenną odwilż, podczas której mogła być wznowiona budowa, bo później pozostawało tylko kilka krótkich miesięcy przed brutalnymi wiatrami jesieni i powracała zima.

Szedł dalej obok rzędu małych drewnianych domków pokrytych pordezewiałą blachą i typowymi piernikowymi wzorami, tak przypominającymi carską Rosję, które jakoś znalazły drogę do najbardziej na południe wysuniętego kraju na ziemi.

Skontaktowanie się z nią chodziło mu przez cały czas po głowie i odkąd tylko podjął decyzję, by to zrobić, nie myślał już o niczym innym. Ze swoich zamiarów zwierzył się jedynie Danny'emu, chociaż powiedział mu, że zrealizuje je bez względu na jego opinię. W reakcji Danny'ego było coś fatalistycznego, kiedy zdał się na jego wybór, sam wołąc zdecydować na końcu – kiedy dopadnie ich koniec.

Przykro mu tylko było, że nie pomyślał o tym wcześniej. Był pewien, że to uratowałoby życie Jorge. Nigdy nie pojawiłyby się kwestia tego miliona dolarów. Lecz nic było sensu rozwodzić się nad oczywistym, czy lamentować nad przeszłością. Czas uciekał.

Swayze przygotowywał się, by wyjechać dzisiaj do Hawany z dwoma walizkami wypełnionymi ponad czterdziestoma sześcioma milionami dolarów, ponieważ uznano, że nagle zrobiło się bezpieczniej na Kubie niż w Argentynie. Według planu mieli do niego dołączyć w niedzielę.

Zmienił kierunek i po kilku ulicach architektura nabrała innego charakteru. Zamiast domów w carskim stylu znajdowały się tam budowle z betonu i robotnicze domki z prefabrykatów w szwedzkim stylu, stłoczone wzdłuż chodnika. Znowu i znowu ćwiczył, co jej powie. Nawet jeśli ją zastanie, będzie to krótka, beznamiętna rozmowa, z odmową odpowiedzi na pytania, czy wyjaśnić przez telefon. Poza datą i miejscem spotkania niczego jej nie powie. A jeśli jej nie będzie, to po prostu zostawi wiadomość, którą tylko ona zrozumie.

Agencja turystyczna Tierra Major była zaraz za rogiem na Avenida San Martin, niedaleko najlepszego i największego w Ushuaia hotelu Albatros. Jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, Marie Ines nie poszła na lunch i czeka na niego, spotkanie umówione było na południe. Była już za trzy dwunasta, gdy dotarł do drzwi agencji, otworzył je na dźwięk szklanych dzwoneczków zwisających z wędkarskiej żyłki. Z ulgą zobaczył, że jego przyjaciółka rzeczywiście go oczekuje. Spoglądając w górę nad biurką, uśmiechnęła się i obróciła telefon tak, że tarcza była na zewnątrz. – Hola, Hernando – powitała go – Mam nadzieję, że masz mnóstwo czasu, by czekać na połączenie. – Hernando zrozumiał. Czasami na rozmowę z zagranicą oczekiwano się godzinami, zdarzało się to szczególnie zimą, kiedy było tak mało telefonistek i ograniczona liczba linii telefonicznych. Jakkolwiek dużo czasu miałyby to zabrać, było to lepsze niż stanie na ulicy i proszenie kogoś, by mu pomógł napełnić kapryśny aparat telefoniczny cospeles. Siedząc za biurkiem, Hernando podziękował Marie Ines, zanim przedsięwziął pierwszy krok w długiej podróży w czasie. Podnosząc słuchawkę, metalowym hakiem jednej z protez wykręcił numer telefonistki i czekał, aż wejdzie na linię, by podać jej numer szpitala na Brooklynie. Była tylko jedna trudność w tym pod innymi względami idealnym planie, coś, o czym Hernando nie mógł wtedy wiedzieć. Jak zwykle Swayze był przygotowanym na każde oszustwo, idealnym przywódcą. Rozkazał już zamordować Stampę i Jorge, nakazał śledzenie Hernando, załatwił też z właścicielką agencji turystycznej rejestrację rozmów telefonicznych – nie tylko czasu i opłat, ale także nazwiska i numeru osoby, do której dzwonił. Miną zaledwie godziny od momentu, gdy Hernando odwiesi słuchawkę, do chwili, gdy Swayze naprawi dokonane zniszczenia. Gdy Swayze zdecydował się na coś, rzadko ponosił porażkę.

\*\*\*\*\*

W planach była kolacja w jakiejś pobliskiej restauracji, zanim Adam spędzi noc w nowym mieszkaniu Coriander. Wiedział, że nie ma dyżuru i poszła do szpitala tylko po to, by porozmawiać z dyrektorem na temat urlopu.

Była nieznacznie spóźniona, ledwie dziesięć minut, ale wystarczająco, by Adam zaczął się niepokoić. Logika mówiła mu, że to nie jest niezwykle. Instynkt podpowiadał mu coś innego. Starał się nie martwić. W końcu często przychodziła spóźniona z pracy. Prawdopodobnie dyrektor -zatrzymał ją albo utknęła gdzieś po drodze w korku. Z czystego zdenerwowania zaczął wykręcać jej numer domowy, odkładając kilka razy słuchawkę, gdy zgłosiła się i automatyczna sekretarka, zanim w końcu zostawił wiadomość, że jest w biurze i ma nadzieję, że nie pomylił czasu i miejsca spotkania.

O szóstej trzydzieści, gdy spóźnienie osiągnęło trzydzieści minut, Adam podjął decyzję. Do diabła z tym, zadzwoni do szpitala i każe ją wezwać – poczuje się jak głupiec, gdy okaże się, że ona jest jeszcze na spotkaniu.

Słuchawkę podniosła Lottie. – Miałam właśnie do pana dzwonić – powiedziała. – Czy Coriander już jest?

- Jeszcze nie, dlatego ja dzwonię. Zacząłem się trochę martwić.
  - Proszę się nie martwić. Widziałam ją, gdy schodziła na dół, by czekać na taksówkę.
    - To czemu miała pani do mnie zadzwonić?
  - Ponieważ odbieram wiadomości dla niej. Zostawiono naprawdę dziwną wiadomość i nie wiem, czy ją odebrała.
    - Dlaczego pani ją ma, jeśli Coriander ją odebrała wcześniej?
    - Ponieważ zawsze przysyłają wydruk z komputera, a ja przypadkiem byłam w naszym biurze, gdy to nadeszło. – Zaśmiała się nerwowo. – Tutaj są albo zbyt sprawni, albo kończy im się krew w banku krwi.
      - Jaka to wiadomość? – Oparł się w krzesło, przekrzywił słuchawkę i wziął głęboki oddech tak, by Lottie tego nie usłyszała.
      - Telefonistka powiedziała, że dzwonił mężczyzna i nie przedstawił się, powiedział tylko, że chce spotkać się z nią w piątek. – Zawahała się. – Pojutrze.
        - To wszystko? Nie powiedział gdzie?
        - Dlatego miałam właśnie zadzwonić. Czy nie wydaje się to panu dziwne?
- Bardziej niż dziwne. Adam poderwał z krzesła. – A co z telefonistką przyjmującą wezwania, czy może mnie pani z nią połączyć?

W ciągu zaledwie kilku sekund Lottie zadziałała tak, że zarówno ona, jak i Adam byli na linii. Telefonistka była zakłopotana. Rzeczywiście pamiętała telefon do doktor Wyatt i nie tylko dlatego, że brzmiał z daleka i mężczyzna mówił po angielsku z obcym akcentem, ale z powodu tego, co powiedział. Właściwie przekazała doktor Wyatt całą wiadomość, chociaż nie wpisała jej w całości do komputera. Kobieta miała nadzieję, że nie sprawiła tym żadnych kłopotów, ale było tak wiele telefonów od dziwaków i wariatów, że czasami trudno rozróżnić, co prawdziwe, a co nie, nie wspominając już o prywatnych telefonach od żon i narzeczonych lekarzy, wszystko to uniemożliwiało utrzymanie idealnego w porządku. – Jaka była reszta wiadomości? – zapytała Lottie.

Przejdź do sprawy – Adam zmuszał kobietę siłą woli, po prostu powiedz to.

W końcu telefonistka wyjaśniła: – Mężczyzna powiedział coś o spotkaniu z nią, tam gdzie jest karzeł...

\*\*\*\*\*

Do czasu, gdy Adam pojawił się w kamienicy przy Siedemdziesiątej Szóstej Zachodniej, Coriander już wyszła. Zszedł na dół i okrążył korytarz, po czym nacisnął mosiężny dzwonek na drzwiach prowadzących do mieszkania Mirandy Malone. – Kto tam? – przez domofon popłynął głos z brytyjskim akcentem.

- Adam Singer, przyjaciel Coriander Wyatt. Byłem tutaj wczoraj wieczór...

- Wiem, kim jesteś, kochanieńki, poczekaj tylko, już idę. Próbował się uspokoić, ale było to bezskuteczne.

- Jeszcze chwilkę, kochanieńki – ciągnął głos – te wszystkie zamki, zasuwki i łańcuchy... – W kwiecistym kimonie i aksamitnych wyszywanych kapciach, z rudymi włosami związanymi do góry bardziej jaskrawoczerwoną jedwabną chustką niż zazwyczaj, z widocznymi siwymi odrostami i paznokciami pomalowanymi na czerwono, Miranda Malone otworzyła drzwi i oświadczyła: – Ona wyszła, kochanieńki.

Jego serce zatępeło. – Dokąd?

Tak, jakby nie dosłyszała pytania. – Wyszła godzinę temu.

Znowu zapytał niezwykle niskim głosem: – Czy wie pani, dokąd poszła?

Miranda zawahała się przez chwilę, zanim otworzyła drzwi. – Proszę wejść, jest cholernie gorąco.

Adam wszedł za kobietą do zagraconego mieszkania, potrącając dwa stojące na środku hallu kartony ze sklepu spożywczego pełne butelkowanej wody. – Nie wniosą nawet ich do kuchni – narzekała. – Myślą, że przywożąc wyświadczają już wystarczającą przysługę.

- Może ja mógłbym je pani wnieść do środka – zaproponował Adam.

Miranda nie wahała się. – Tędy prosto, kochanieńki, przez hall i uważaj na kosze na śmieci.

Adam podniósł kartony ustawione jeden na drugim i przeszedł za kobietą przez skąpo oświetlony korytarz do dużej kuchni z miedzianymi garnkami i patelniami wiszącymi na hakach nad piecami i ladami. Umieścił wszystko na kuchennym stole. – Gdzie je postawić? – Żołądek mu się wywracał, czuł się podle.

- Jest pan dżentelmenem – powiedziała – niech pan po prostu je tu zostawi, a ja zajmę się nimi później.

Wrócił do tematu Coriander. – Czy przypadkiem wie pani, dokąd ona pojechała?

- Na lotnisko.

Adam wziął oddech. – Buenos Aires?

Miranda wzruszyła ramionami. – Ostrzegałam ją przed małżeństwem z nim. Mówiłam jej, że kobiety nigdy nie mogą się z nich wyleczyć, tak jak z żółtaczki stale pozostającej w stanie uśpienia, wie pan, co mam na myśli? Napije się pan kawy, kochanieńki? Wygląda pan nieco błado.

Nie było to nic osobistego, tylko musiał się kontrolować, by nie stracić cierpliwości, nie wpaść we wściekłość ani nie oszaleć. – Buenos Aires – powtórzył. – Czy to wszystko?

- Ona jest dziwną dziewczyną, mądrą z wyjątkiem chwil, gdy chodzi o niego. – Przerwała, by podnieść jednego kota. – Ten oto Lucyfer ma więcej zdrowego rozsądku niż Coriander...

Chociaż – gdy pomyślał – nie miał wątpliwości, że ma początki choroby wrzodowej, czuł wszystkie możliwe wątpliwości całego świata, czy to przeżyje. Zapamięta tę sprawę do końca życia, niezależnie od tego, jaki będzie wynik, będzie ją zawsze pamiętał niezależnie od tego, gdzie skończy...

- Czy powiedziała pani, gdzie ma się z nim spotkać?

- Niezupełnie, kochanieńki, ale nie pojechała tam także, by odwiedzić ojca, to pewne. I widziałam wyraz jej oczu, kiedy przyszła się pożegnać. Było to wypisane na całej jej twarzy, czyste wariactwo. Szczerze mówiąc, nigdy nie wierzyłam w to, że on nie żyje, a pan?

Nigdy w nic nie wierzył, szczególnie w to, że się w niej zakocha. – Czy powiedziała, gdzie ma się z nim spotkać w Buenos Aires?

Miranda pokręciła głową. – Nie, kochanieńki, tylko że jedzie do Buenos Aires.

Pocił się w lej zmrożonej od klimatyzacji kuchni Mirandy Malone. – Czy mogę skorzystać z telefonu? – Nie tylko pozwoliła mu skorzystać z telefonu, ale posadziła go wygodnie w fotelu z piwem i książką telefoniczną w ręku. Zadzwoił do Aerolinas Argentinas, ale na lot rozpoczynający się za czterdzieści minut nie było żadnego wolnego miejsca, chociaż i tak by mu się nie udało tam dotrzeć na czas. Rezerwujący urzędnik odmówił informacji, czy Coriander jest na liście pasażerów. Odkładając słuchawkę, Adam próbował dzwonić do kilku innych linii lotniczych, które latały do Buenos Aires, aż w końcu udało mu się zrobić rezerwację na piątek, pojutrze. Dokonawszy tego, po prostu siedział przez kilka minut, zanim Miranda wróciła do pokoju. – Planuje pan za nią tam pojechać prawda?

Przytaknął.

- Kocha ją pan, prawda?

Znowu przytaknął. Jeśli jej pytanie o miłość uderzyło go jako niedorzeczne, jego pytanie musiało ją uderzyć jako dziwaczne. – Czy przypadkiem nie wspomniała czegoś o karle?

Kimkolwiek Miranda była, była także damą o wielkiej wrażliwości, która nie wydawała sądów o żadnej kobiecie czy mężczyźnie. Kręcąc głową, spojrzała na niego ze smutnym, niemal matczynym wyrazem twarzy i powiedziała: – No już, kochanieńki, nie wyobrażaj sobie nic. Jestem pewna, że gdy tylko wyrzuci go ze swego serca, zda sobie sprawę, jakim dobrym jesteś człowiekiem, więc nie rozmyślaj nad tym, że jest ktoś inny, gigant czy karzeł...

Jak właściwie mógł podziękować za jej uprzejmość? Wyszedł z kamienicy jak człowiek w transie, niezupełnie żywy, ale też nie martwy. Jak, do diabła, miał ją znaleźć w Buenos Aires? Mógł tylko wyobrazić sobie siebie włóczącego się po ulicach miasta w poszukiwaniu karla.

## Rozdział 22

Oto ona z powrotem w Buenos Aires, idąca po Corrientes tak, jakby wszystkie te minione lata mogły zmieścić się w zeszłym miesiącu. Na długo zanim Coriander powiedziała Danny'emu pierwsze „żegnaj”, zanim powitała go z powrotem w swoim życiu w Nowym Jorku, zanim ich wspólna egzystencja stała się fikcją, którą stworzył, miała szczęśliwe wspomnienia beztróskiego czasu spędzonego w tym mieście.

Corrientes ze światłami, muzyką i śmiechem pozostała sercem miasta. Spodziewała się, że Hernando spóźni się albo nie przyjdzie wcale i była przygotowana przeżyć na nowo całą niepewność, która zaczęła się tego dnia, tak dawno temu, kiedy go straciła, a później odmówiła wystarczająco dużego poświęcenia, by go odzyskać.

W Nowym Jorku dostała się na samolot w ciągu dwudziestu minut i przybyła do Buenos Aires w czwartek rano, meldując się w małym hotelu na Recoleta o tej samej nazwie. Hotel był blisko cmentarza i tylko tam się wybrała w ten czwartek, by pójść na grób matki. Chodząc po małych uliczkach i alejkach cmentarza Recoleta, miejsca pełnego dobrze urodzonych zmarłych, pamiętała o tym, jak typowy jest dla Argentyny. Eklektyczny, z różnymi stylami architektury, reprezentującymi wiele różnorodnych kultur i narodów. Niektóre z mauzoleów miały filigranowe żelazne bramy i mosiężne dzwonki; inne szklane drzwi i uskrzydłone anioły przycupnięte na dachach; na wszystkich imiona i zawody zmarłych wyrte były na kamiennych fasadach. Coriander przechodząc zawsze odczuwała pokusę, by zadzwonić dzwoneczkiem, tak jakby leżący w środku zmarły mógł rzeczywiście wstać i odpowiedzieć.



Spacer po Recoleta sprawił, że natychmiast zapomniała o tęsknocie za matką; widok grobu matki sprawił, że natychmiast zapomniała o tęsknocie za Dannym. Resztę czasu spędziła w pokoju hotelowym, obawiając aby nie wpaść na kogoś znajomego.

Był piątkowy zimowy sierpniowy poranek tego dnia, którego miała się spotkać z Hernando. Zaczęła chodzić po Corrientes, przeczesując małe księgarnie, które otwierały się na ulicę. Nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, gdzie zamierzał się z nią spotkać.

Ona, która nie była znana ze szczególnej punktualności, znalazła się w odpowiednim miejscu o umówionej godzinie, dodając lub ujmując dwanaście godzin, bo nie było jasne, czy miała tam być rano, po południu czy wieczorem. Wchodząc i wychodząc ze sklepów, rzuciła okiem na gazety, czasopisma, książki na sprzedaż, listę bestsellerów, aż zawróciła i wyszła na zewnątrz, by rozpocząć jeszcze jedną rundę. Skierowała się w dół długiej przecznicy do miejsca, gdzie Avenida Callao łączy się z Corrientes. Do Argentyny rzeczywiście wróciła demokracja, na ulicach była masa dziur, bezdomni stali szeregiem na bulwarach, żebracy wynurzali się z cieni za marmurowymi pomnikami, które przedzierały ogromne, ciągnące się bez końca aleje. Sklepy trzymane były pod kluczem, samochody miały znaczki na szybach informujące potencjalnych złodziei, że nie ma w nich nic wartościowego do ukradzenia, ludzie chodzili jedząc fast-food. Zdawało się, że nie ma już nie-śpiesznych lunchów i sjest. Gdzie są mężczyźni w sztywnych wojskowych mundurach, którzy jeździli dookoła, by zbierać ciała i śmieci pod koniec demonstracji? Poczowała przytłaczający dystans do tego miejsca, które kiedyś było jej domem. Nie należała już do niego tak jak inni Portenos, ci mieszkańcy Buenos Aires, których sama nazwa wskazywała, że byli imigrantami do Portu z odległych miejsc. Może była inna, może należała do tego miejsca bardziej niż inni. Była tam jej krew, bo jej przodkowie byli tam od dziewiętnastego wieku, a jej matka została tam na zawsze, pochowana w jednej z tych różowych marmurowych krypt na Recoleta; jej ojciec także tam był, jego fotografia wisiała w Ambasadzie USA, wraz z fotografiami innych byłych ambasadorów.

Znowu skierowała się w dół poprzez Corrientes, obok dawnych kafejek z wysokimi oknami w drewnianych framugach, które otwierały się na ulicę, kiedy było ciepło, obok kin grających amerykańskie filmy i obok kilku sieci fast-food. Owinęła się mocniej płaszczem, chroniąc się przed wiatrem. Było jej zimno, była zmęczona i przestraszona i żałowała, że nie ma z nią Adama, ale to była inna historia... Dokładnie w tym momencie interesowało ją jedynie to, by spotkać Hernando i Danny'ego, chociaż nadal nie było jasne, czy jeszcze zobaczy któregokolwiek z nich. Podejmowała ryzyko.

Przez całe życie oskarżano ją, że nie ma poczucia humoru, poważna dziewczyna, mówili, lubiąca się uczyć i zamyślona, nie taka jak inni młodzi ludzie, którzy tańczą, flirtują, zakochują się i odkochują. Coriander przechodziła przez życie z celem, poświęceniem i determinacją, twierdzili, dojrzała ponad swoje lata, przez co wyobrażali sobie, że Danny byłby ostatnią osobą, którą przygarnęłaby do serca. Wzięła ich obu, Hernando i Danny'ego, jednego dla jego umysłu, drugiego dla duszy. A później był Adam. Może nie było za późno, by dziewczyna bez poczucia humoru zaśmiała się po raz ostatni...

Nie było nic bardziej przygnębiającego niż nocny klub w środku popołudnia, tak ponury jak plaża w Punta del Este po sezonie. Jaskrawe światła La Verduleria odkrywały plamy na dywanie, postrzępione brzegi czerwonych aksamitnych zasłon, wyblakłe obrusy i kurz na plastikowych roślinach i kwiatach. Muzycy mieli ziemiste cery, a ramiona śpiewaczki bez miękkiej różowej lampy, która rzuciłaby młodzieńczy blask, albo przyciemnionych żółtych promieni, które odbiłyby się od jej cekinowej sukienki, wyglądały na zwiotczałe.

Byli na tyle uprzejmi, by pozwolić jej usiąść w klubie i poczekać. Karzeł siedzący w odległym końcu baru, postarzały i zasuszony, miał podwinięte rękawy koszuli i bezwłosymi

ramionami opierał się o ladę. Nie było nic gorącego do picia, ani kawy, ani herbaty, bo było za wcześnie. Ustawivszy krzesło tak, aby mieć widok bezpośrednio na ulicę przed klubem, pociągała wodę mineralną ze szklanki.

Przez kilka godzin siedziała i czekała, aż zaszło słońce i przygaszono światła, a kilku mężczyzn wtoczyło fortepian na scenę. Kilku muzyków usiadło dookoła i grało wprawki, podczas gdy karzeł przywdziewał swoją czerwoną marynarkę z mosiężnymi guzikami oraz czarną czapkę z cieniutkiej skóry. – Witamy w La Verduleria, senoras v cabaleros, cumbie, samby i tanga zaczną się o trzeciej rano...

Zeszła ze stołka w barze, przeszła przez wahadłowe drzwi i stanęła na ulicy. Oto on. Bez słowa ujęła delikatnie jego nadgarstki w swe ręce i pocałowała każdy z nich nad metalem. Trzymała je, patrząc mu w twarz. Łzy napłynęły jej do oczu i nie mogła mówić. On zaś uśmiechnął się z czystej przyjemności zobaczenia jej znowu, mimo że z całych sił starał się wyglądać na naburmuszonego. W ciągu paru chwil napięcie między nimi zniknęło, opuścił ramiona i wydawał się rozluźniony. Gdy zaczął ich starą rutynę sprawdzania jej przygotowania do nie zapowiedzianych testów z anatomii, stało się jasne, że zapomniane zostały wszystkie lata osobno. Wskazując na miejsce na swym ciele lub twarzy, pytał o nazwę kości pod spodem. Śmiejąc się przez łzy nazywała je po łacinie – Tibia, zygomatic, temporal, humerus... Nadal ją kochał, chociaż Coriander jako kobieta nosząca dziecko jego mentora nie była dla niego źródłem radości. – Powiedział mi o dziecku – oświadczył, gdy skończyła się ich gra. Przez pierwsze sześć czy siedem minut starała się z całych sił nie wspominać o Danny, a teraz odczuła niepomiarne ulgę, że wszystkie jej wątpliwości w końcu zniknęły. Nie była jednak zaskoczona... – Czemu wyjechał?

- Nie miał wyboru, Coriander, ale zawsze planował po ciebie posłać.

- Powinien był mi powiedzieć, powinien wytłumaczyć.

- Nie miał pewności, że zrozumiesz. Wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem.

- Jesteś taki naiwny – zaczęła smutno. Był taki chudy, taki blady. Dotknęła jego policzka.

– To ty nie rozumiesz.

Obrócił twarz, a w jego głosie brzmiała złość. – Sama mu o tym powiedz, gdy się z nim spotkasz.

– Zabierzesz mnie do niego? Nadal patrząc w dal, skinął głową.

Obróciła delikatnie jego twarz ku sobie, tak że zmuszony był na nią spojrzeć. – A ty, dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną przez te wszystkie lata?

Przez moment wyglądał znów na dwudziestolatka, chłopaka z bandoneonem, który stał się wojownikiem. – Czy mógłbym jeszcze dla ciebie grać?

- Ale żyłeś...

- Czy sądzisz, że to wszystko? – Potrząsnął głową.

- Miałem dwadzieścia lat, gdy straciłem ręce, i za co? – Nie śmiała oddychać. – Czy kradłem? Czy zabiłem kogoś?

- Łzy popłynęły po jego wychudzonych policzkach i stał się nagle jednym z tych, którzy cierpieli albo zaginęli w rękach junty. – Co to było? Jakie popełniłem przestępstwo? – Stał tam nie ruszając się z miejsca, aż w końcu wyciągnęła rękę gdzieś w powietrze pomiędzy nimi.

- Hernando – powiedziała, głos jej się łamał – to była ich zbrodnia, nie nasza. – I znowu zrozumiała całą wściekłość, bestialstwo i okrucieństwo tego, co się wydarzyło, tylko że teraz liczyło się to tylko dla tych, którzy sami cierpieli, a nie dla tych, którzy żyli na obrzeżach tego cierpienia. – A Danny? – zapytała.

- Powiedział mi, bym stanął i walczył...

To było szaleństwo. – Stanąć i walczyć – powtórzyła cicho, po czym zapytała: – Walczyć z czym, Hernando, dlaczego?

- Aby to się nie powtórzyło...

- Żyjesz w innym czasie – powiedziała błagając, aby zrozumiał. – To, w co wierzysz, nie ma teraz podstaw w rzeczywistości.

Wzruszył ramionami. – Rzeczywistość jest taka, że w niedzielę wyjeżdżamy do Hawany. Czy to nie robi różnicy?

Nic nie robiło różnicy albo wszystko robiło, zależnie od chwili. W tej chwili oceniała powody, by być nielogiczną i nieracjonalną, chociaż Hernando zdawał się jednak usprawiedliwiony. Nietrudno było zrozumieć, że musiał tym żyć, aby przetrwać. Jej mąż to inna historia; idealista, który stał się członkiem korporacji, szef, który stał się przestępcą. – Gdzie on teraz jest?

- Jest na estancia moich rodziców w Ushuaia. Mamy zamiar przejechać część drogi samochodem, a później polecieć samolotem z Bahia Blanca.

Nie mogła z nim nie pojechać. Musiała znowu zobaczyć Danny'ego, choćby po to tylko, by zrozumieć wszystko, czego nigdy nie zadał sobie trudu wytłumaczyć.

\*\*\*\*\*

Adam przyjechał do Buenos Aires w sobotę rano – dwa dni po Coriander. To taksówkarz zasugerował mu, by zatrzymał się w centralnie położonym hotelu Alvear, w środku centrum handlowego zwanego Galeria Promenadę w sercu Barrio Norte. Na ironię losu hotel był tak blisko cmentarza Recoleta, że aby do niego dotrzeć, wystarczyło jedynie przejść przez jedną ulicę i przez zadbane park, który otaczał nekropolię. Gdyby Coriander tego dnia odwiedziła grób matki, byłoby bardzo prawdopodobne, że Adam by ją spotkał.

Meldując się Adam spytał portiera: – Gdyby ktoś powiedział komuś, że spotkają się w Buenos Aires tam, gdzie jest karzeł, wiedziałby pan, gdzie to jest? – Wyraz twarzy urzędnika stojącego za błyszczącym mahoniowym biurkiem w recepcji sprawił, że Adam pomyślał, iż powinien chyba poczekać z zadawaniem pytań do czasu, aż się zamelduje. -To jest przekręcona wiadomość, którą od kogoś otrzymałem – ciągnął dalej z zakłopotanym uśmiechem.

Jednak recepcjonista zachował się całkiem profesjonalnie, kiedy przytaknął tak, jakby rozumiał problem. Sprawdzę dla pana, señor – powiedział, zanim wezwał gońca, który stał na stronie czekając, by zabrać walizkę Adama do pokoju. W ramach wyraźnej uprzejmości mężczyzna rozmawiał ze swoim kolegą po angielsku, powtarzając pytanie, utrzymując obojętny wyraz twarzy i łagodny ton.

Lecz goniec zrozumiał natychmiast. – Musi mieć pan na myśli La Verduleria – powiedział. – To jest znany nocny klub na Corrientes, gdzie karzeł stoi przy drzwiach. – Obrócił się wtedy do portiera i dodał coś po hiszpańsku, na co mężczyzna odpowiedział uśmiechem i kręceniem głowy.

- Oczywiście, La Verduleria jest bardzo dobrze znana powtórzył. – Ale wie pan, señor, jeśli idzie pan tam, aby tańczyć tango albo sambę, musi pan poczekać do trzeciej nad ranem. Tańce zaczynają się dopiero wtedy.

Adam podziękował mu, pamiętając opis nocy, którą Coriander spędziła z Hernando – tańcząc do piątej nad ranem, aż zaczęła martwić się o Danny'ego, o tym, że kiedy w końcu opuścili klub i wyszli na Corrientes, nadjechał z piskiem opon ten samochód i wyskoczyli zeń tajniacy, by zabrać Hernando...

Idąc za gońcem przez świecący hall i do windy, która była odnowioną starodawną klatką, Adam postanowił pójść od razu do La Verduleria. Zbliżało się południe, więc było ponad dwanaście godzin za wcześnie, by tańczyć i prawdopodobnie o dzień za późno, by znaleźć Coriander.

Gdy taksówka jechała przez Buenos Aires w drodze do La Verduleria, Adam wyglądał przez okno, zafascynowany wszystkim, co widział. Miasto było tak wspaniałe, jak opisała mu je Coriander, z ogromnymi bulwarami, wzgórkami zadbanej trawy, otoczonymi ławkami. Budynki stojące szeregiem na bulwarach były albo w starodawnym europejskim stylu, albo też były nowoczesnymi szklano-chromowymi drapaczami chmur. Wyszukane pomniki starożytnych greckich i rzymskich postaci na rydwanach lub pojedyncze marmurowe statuetki argentyńskich wyzwolicieli i bohaterów stały na kolistych asfaltowych podwórkach, prowadzących do kilku budynków biurowych i domów mieszkalnych. Jadąc taksówką, Adam dostrzegł kościoły i uliczne targi, czerwone autobusy miejskie marki Mercedes oraz małe stoiska ze szklanymi frontami, zwane kioscos, oświetlone w całości światłami neonów. Zapytał kierowcę, co to takiego, i dowiedział się, że chociaż nie są większe od średnich rozmiarów schowka, otwarte są dwadzieścia cztery godziny na dobę i kupić w nich można wszystko od papierosów i mydła do kuponów na loterię. Było coś przedziwnie znajomego w tym mieście, chociaż nigdy przedtem tu nie był. Uderzyło go głęboko znajomą nutą, z powodu tego, co usłyszał od niej o jej życiu w tym mieście, a bardziej jeszcze dlatego, że wryła się tak głęboko w jego umysł i serce.

Nie miał wątpliwości, gdzie są, gdy tylko kierowca skręcił w Corrientes. Znowu było dokładnie tak, jak to opisała – ulica, która nigdy nie śpi – z kinami, tłumami ludzi, ruchem, restauracjami, klubami nocnymi, jaskrawymi światłami na zewnątrz nawet w pełnym świetle dziennym i dochodzącą ze środka muzyką. Taksówka podjechała przez La Verduleria i zatrzymała się. Gdy płacił kierowcy i wychodził, mimowolnie przeszyły go dreszcze. Wtedy uderzyło go to, że wszyscy w Buenos Aires, którzy mieli czternaście lat lub więcej, byli albo urodzeni w czasach junty, albo przeżyli ją, albo cierpieli z jej powodu. Kiedy wszedł do środka i zobaczył karła siedzącego w odległym końcu baru, było to tak, jakby zobaczył łącznika między wtedy i teraz, bo był on tak dawno temu świadkiem wydarzenia, które wyzwoliło serię wypadków mających zmienić tak wiele ludzkich losów...

Adam przyniósł ze sobą fotografię Coriander, by pokazać ją, kiedy o nią pytał. Karzeł pamiętał, że widział ją zaledwie wczoraj i wskazał dokładnie miejsce, gdzie siedziała. Jak mógłby ją zapomnieć, siedziała tutaj wiele godzin czekając na kogoś. Zanim zaprosili ją do środka, spacerowała tam i z powrotem przez Corrientes. wracając, by postać przed klubem. Nikt inny w La Verduleria nie mógł dostarczyć więcej informacji, ponieważ najwyraźniej nie rozmawiała z nikim poza barmanem i to tylko po to, by poprosić o kilka butelek wody mineralnej. Kiedy jej przyjaciel w końcu przybył, pośpieszyła do drzwi niemal zapominając o płaszczu.

Właściciel klubu był zatroskany. Podszedł do Adama, by powiedzieć, że ma nadzieję, iż nie będzie miał żadnych kłopotów z policją, ponieważ nigdy wcześniej nie widział tej kobiety. Był tylko uprzejmy, kiedy pozwolił jej poczekać w środku, nic o niej nie wiedział. Adam zapewnił mężczyznę, że nie ma to nic wspólnego z policją, a jest to raczej osobista sprawa między nimi. Karzeł z ulgą skinął głową i uśmiechnął się, mamrocząc coś o son cosas ciel coraztm. a Adam nie był rozbawiony tym, że uznano go za porzuconego kochanka czy zazdrosnego męża. Kontynuował zadawanie pytań; czy ktoś mógłby opisać mężczyznę czy samochód, czy ktoś podsłuchał, dokąd zamierzali się udać? Nikt niczego nie słyszał. Dopiero kiedy Adam miał już wychodzić, podszedł do niego karzeł. Było coś więcej, o czym nikt nie wspomniał, albo nikt tego nie zauważył, coś wzruszającego. Kiedy kobieta wybiegła na ulicę, by przywitać przyjaciela,

pocałowała jego rękę. Adam musiał wyglądać na zszokowanego, ponieważ karzeł pośpieszył z wyjaśnieniem, że to, co pocałowała, to nie były dokładnie jego ręce, ale raczej jego nadgarstki. Widzi pan, mężczyzna nie miał rąk, tylko metalowe haki.

\*\*\*\*\*

Zaraz po przyjeździe do Buenos Aires Adam nie miał zamiaru kontaktować się z Palmerem Wyattem. Po wyjściu z La Verduleria zmienił zdanie.

Kiedy wrócił do hotelu, zatrzymał się przy recepcji, by sprawdzić wiadomości – tak jakby ktoś mógł do niego zadzwonić – zanim wjechał windą do swego pokoju. Wszedł do środka, usiadł na łóżku i zatelefonował do byłego ambasadora. Wyatt podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

Tylko kilku minut potrzeba było Adamowi, by go wprowadzić w temat i wytłumaczyć z pełną dokładnością, co tu robi. Ambasador słuchał nie przerywając, ani nie zadając wielu pytań, na które Adam nie mógłby odpowiedzieć przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Co pan wie o mężczyźnie, którego spotkała w klubie? – zapytał Adam.

- To człowiek, o którym panu mówiłem. Nazywa się Hernando Sykes i mam już od lat jego akta, od czasu, kiedy został aresztowany.

Adam wstrzymał oddech w nadziei, że Wyatt ma dostęp do tych akt, zakładając, że miało to coś wspólnego z tą taśmą z domu Danny'ego, która miała wiele wspólnego z Coriander. Palmer powiedział mu, że sprawdzi i oddzwoni do niego. Po dziesięciu minutach zadzwonił telefon. – Jego rodzina ma owcze ranczo w Ushuaia – powiedział Wyatt – i wygląda na to, że są to uczciwi, pracowici ludzie.

- Jak mogę się tam dostać?

- Dlaczego pan sądzi, że właśnie tam pojechali?

- Nie wiem, ale rozmowa z rodziną tego człowieka ma więcej sensu niż uganianie się za nim po Buenos Aires.

Adam był w pełni przygotowany na argumenty, które dalej nastąpiły. Wyatt przedstawił wszystkie logiczne powody, dla których powinien towarzyszyć Adamowi w podróży do Ushuaia. W końcu Adamowi udało się go przekonać, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli poczeka w domu. Było zbyt dużo do stracenia poprzez pogłębianie starych nienawiści, a Wyatt przywoływał wspomnienia bolesnego okresu w życiu tych ludzi.

Chociaż w dni powszednie były dwa loty z Buenos Aires do Ushuaia, w weekendy był tylko jeden lot dziennie. Sobotni samolot już odleciał. Adam zarezerwował sobie miejsce na niedzielę rano, dzięki czemu dotrze do Ushuaia sześć godzin później albo około piątej po południu. Obiecał zadzwonić do Wyatta w momencie, gdy tylko coś będzie wiedział; zadecydują wtedy, czy i on powinien przyjechać. Gdyby coś się stało i Adam nie byłby w stanie zadzwonić, przynajmniej Wyatt będzie wiedział, gdzie on jest.

## Rozdział 23

Aerolineas Argentinas 737 opadł nad kanałem Beagle, którego wzburzone wody obmywały rozrzucone kopce małych wysepek. Samolot huśtał się nierówno na boki, kiedy przedzierał się przez postrzępione szczyty gór, które ograniczały wąską drogę przestrzeni powietrznej. Lecąc nad spokojniejszymi wodami zatoki Ushuaia, samolot zrobił końcowe podejście na najkrótsze i

najniebezpieczniejsze lotnisko na świecie. Uderzając w pas startowy, pilot natychmiast nacisnął na hamulce i samolot z piskiem opon zatrzymał się.

W środku terminalu, obok obszaru bagażowego, stała Coriander. Wnętrze budynku pokryte było plakatami ostrzegającymi przed cholerą, przedstawiającymi rysunki owoców i warzyw gotujących się w beczkach wody; inne plakaty ostrzegały przed meria roja, śmiertelną chorobą, która atakowała ryby morskie i owoce morza w niektóre miesiące roku. Na ścianie nad biurkami Lade, Austral i Aerolineas Argentinas były powiększone fotografie owiec pasących się na bujnych zielonych pofałdowanych wzgórzach i drewniane kadłuby łódek żeglarskich przywiązanych do nie wykończonych doków, bursztynowych dzikich kwiatów kropkujących linię brzegową w oddali. Spoglądając w górę, zobaczyła druty zwisające z sufitu z miejsc między metalowymi rurami.

Otuliła się mocniej płaszczem w obronie przed lodowatym wiatrem, który wdzierał się poprzez pokrywające dziury w ścianach łaty z desek.

\*\*\*\*\*

Z okna po jednej stronie samolotu Adam widział obszary jałowej ziemi, mile nie naruszonego śniegu, na którym rozrzucone były domy z czerwonymi dachami i małe enklawy budów, domy z rusztowaniami i porzewiałe maszyny. Furgonetki i pikapy do połowy zakopane w śniegu. Z drugiej strony samolotu widać było niską porzewiałą budowlę z okrągłym dachem, która przypominała miejsce dowodzenia w koszarach wojskowych; z lewej strony stało kilka innych prymitywnie zbudowanych, podobnych do koszar budynków. Gdy samolot kołował w kierunku rzędu oczekujących schodów na asfalcie, Adam zauważył dwusilnikową cessnę. Na schodach prowadzących z drzwi samolotu siedział mężczyzna. Nie miał rąk.

\*\*\*\*\*

W terminalu znajdowało się tylko kilka osób, wszyscy tłoczyli się dookoła kiosku, w którym sprzedawano wolne od cła perfumy i kosmetyki. Hernando zadzwonił wcześniej na estancia, by porozmawiać z Dannym, który zapewnił go, że będzie na nich oczekiwał, kiedy przybędą.

Coriander na wpeł spodziewała się, że tam będzie, kiedy dojechali do terminalu. Teraz jej oczy prześwietlały każde wyjście hali w obawie, by go nie przegapić. Nigdy w całym swoim życiu nie była tak przerażona, chociaż był to mniej-strach przed zobaczeniem go niż podjęciem decyzji, której żałowałaby później do końca życia.

– Coriander, querida.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu i obróciła się. Wyglądał jakoś inaczej albo ona go inaczej postrzegała. Miał dłuższe włosy, krótką brodę, jego oczy błyszczały intensywnie i miał na sobie te same czarne spodnie i golf, co w tym dniu, kiedy ją opuścił.

Niemożliwe było, aby wtedy coś powiedziała. Szok wywołany jego widokiem przytłoczył ulgę wywołaną tym, że w końcu wiedziała na pewno, że nie umarł, że tylko porzucił ją nie kłopotząc się, by podać powód, czy zaproponować rozmowę zanim po prostu zniknął. Trzęsąc się patrzyła na niego, świadoma dudniącego w piersiach serca.

Nie zawahał się. Zachowywał się tak, jakby czekał na nią od tygodni, tak jakby to ona opuściła go bez słowa. Biorąc ją w ramiona, przycisnął usta do jej ucha. – Dzięki Bogu, że jesteś tutaj... – Jego słowa brzmiały mgliście znajomo, brzmiał w nich ten sam dziwny wyraz,

wdzięczności, który kiedyś usłyszała, gdy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Mimowolnie zeszywniała. – Może nie powinnaś była przyjeżdżać, querida...

– Źle! – wrzasnęła bezgłośnie, nadal zbyt oszołomiona, aby mówić. Może ty nie powinienesz być wyjeżdżać...

– Może jestem samolubny chcąc mieć cię ze sobą... Może byłoby lepiej, gdybyśmy to zostawili... Chcę tylko dla ciebie jak najlepiej...

Nadal tłumaczył się, niejasno usprawiedliwiając swoje czyny, tak jak zawsze, dla dobra czegoś lub kogoś, nigdy dla siebie, zawsze pod płaszczykiem bezinteresowności i altruizmu. Lecz tym razem to nie wystarczało; cały ból i smutek przepłynął przez nią, by wynurzyć się jako kompletna wściekłość. Rzuciła się na niego, waląc pięściami w jego twarz i piersi, po jej policzkach płynęły łzy, gdy wrzeszczała: – Jak mogłeś coś takiego zrobić? Jak mogłeś mnie w coś takiego wpakować...

Jeśli był zaskoczony jej gwałtownym wybuchem, nie okazał tego. Złapał ją po prostu za nadgarstki i trzymał je w powietrzu, gdy mówił kojąco: – Próbowałem cię chronić, czy nie rozumiesz, nie chciałem, abyś w cokolwiek była wmieszana.

Złapała oddech, by się uspokoić, i dopiero wtedy on zwolnił z uścisku jej ręce, cofając się o krok.

- Obiecałeś mi, Danny – płakała – przysięgałeś, że nigdy nie dasz się znowu w coś takiego wplątać...

Jego instynkt był maksymalnie wyczulony, co było jasne po sposobie, w jaki oceniał jej reakcję, walcząc o odpowiednie słowa, by ją uspokoić. – Kochałem cię za bardzo, by pozwolić ci odejść.

- Okłamałeś mnie...

- Moją jedyną zbrodnią jest to, że pragnąłem cię tak bardzo...

- Doprowadziłeś do tego, że całe nasze wspólne życie przestało mieć teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Wrócił do początku tej historii. – Nie mogę bez ciebie żyć... – W jakiś sposób czuła, że stoi obok tej sceny, że jest raczej obserwatorem niż uczestnikiem, stojąc na obrzeżach sceny uczuciowej, która miała być zagrana do końca. Słuchając tego, czuła jak łzy napływają jej do oczu, ręce się trzęsą, a kolana miękną. – Jak mogłaś uwierzyć, że mogłem coś takiego zrobić? – zapytał.

Zacisnęła szczękę, powstrzymując dalsze łzy. – Jak mogę kiedykolwiek znowu ci uwierzyć?

- Ponieważ to jest nowy początek.

- Nie, to jest tylko następny koniec.

- To jest początek nieskończoności, kochanie, z naszym dzieckiem.

Lecz ona nie słuchała już jego obietnic. – Zamordowałeś Matthew Johnsona – oskarżała, krztusząc się łzami – i skłamałeś mi o Hernando, i wiedziałeś, że ten samolot wybuchnie, po tym jak wysiadłeś w Houston...

– Wszyscy ci ludzie byli tragicznymi ofiarami rewolucji. Znowu wściekłość ją zatykała.

– Jakiej rewolucji? Zeszywniał. – Ogólnoświatowej.

- O czym ty mówisz? – krzyknęła bliska tego, by znowu się na niego rzucić. – To czyste szaleństwo...

Mówił wolno, rozognionym wzrokiem wpatrywał się w jej oczy. – Nie rozumiesz, querida, to moje życie, ja się temu poświęcam, próbowałem ci to wyjaśnić wiele lat temu.

Stała tam, wpatrzona w niego, po raz pierwszy czując ogromną falę współczucia z powodu tego, kim się stał.

- Jedyne błęd, który popełniłem to taki, że wyobrażałem sobie, iż muszę poświęcić jedyną osobę na świecie, którą kocham. – Przerwał. – Nauczyłaś mnie tego dawno temu w Cordobie, nie pamiętasz?

Mówiła wolno jak do dziecka. – Danny, mówimy o morderstwie. To były istoty ludzkie...

Lecz on mówił o swojej sprawie. – Jak mam cię przekonać, że zagrożenie wróciło? Może nie być mundurów ani orkiestr czy wieców i może nie być nawiązań do ojczyzny, junty czy nazistów, ale nic się nie zmieniło. Pojawia się to za idealnie akceptowaną fasadą podczas każdej politycznej kampanii, na całym świecie. To jest nowe oblicze faszyzmu...

Było to przerażające, ponieważ w jego słowach tkwiła odrobina prawdy, jeszcze bardziej przerażające było to, że mógł się tym posłużyć, by usprawiedliwić swój czyn.

- Ukradłeś pieniądze niewinnych ludzi.

- Nigdy nie dla siebie.

Z trudem oddychała. – Kiedy to się skończy? – wyszeptowała.

Wyciągnął rękę. – Z tobą to wszystko kończy się dla nas razem, potrzebuję cię, jedź ze mną...

Był mordercą, kłamcą, złodziejem. Był jej jedynym kochankiem, jej mężem, ojcem jej nie narodzonego dziecka.

Zbliżyła się i wzięła jego ręce w swoje, by spróbować wytłumaczyć mu to znowu, jakby mógł to zrozumieć, żeby mogła iść za nim wszędzie, by żyć długo i szczęśliwie. – To nie tłumaczy tego, co zrobiłeś i niczego nie usprawiedliwia. Czy nie widzisz, że jesteś tak zły jak oni, kiedy robisz takie rzeczy? – Łzy płynęły po jej policzkach. – Kocham cię – powiedziała łamiącym się głosem – zawsze cię kochałam, ale nie mogę być tego częścią...

- Nosisz w sobie moje dziecko.

- A co sobie wyobrażałeś, kiedy mnie zostawiłeś? – Opanował ją nagle nowo odnaleziony spokój.

- Nigdy nie planowałem opuścić cię na zawsze.

W jej głosie brzmiał smutek. – Problem polega na tym, że niczego nie planowałem na zawsze...

- To nieprawda – zaprotestował, ale jego głos brzmiał mniej pewnie.

Mogłaby wspomnieć o katastrofie samolotu i banku, i milonie innych jego wymówek czy dolarów, by podeprzeć argumenty, że z góry powziął zamiar pozostawienia jej na zawsze. Zamiast tego pożaliła mu wziąć się pod ramię i wyprowadzić na zewnątrz. Nadal wyjaśniał. – Zamordowali tysiące – mówił z oczami przepelnionymi łzami – zabrali najlepszych i najmądrzejszych, ponieważ byli to ci, którzy mieli siłę im się przeciwstawić... – Nawet gdyby chciała odpowiedzieć, nie było szans. Hernando podchodził już do nich i pytał po hiszpańsku, czy leci z nimi. Wiatr wzmagął się i pilot zaczynał się denerwować. Wyciągając rękę, Danny błagał: – Chodź ze mną...

Oplakując, pomyślała w duchu, jestem zatroskaną wdową, oplakującą żyjącego męża, napelnioną moim własnym szaleństwem. Obaj zobaczyli niewiarę w jej oczach, smutek i współczucie, gdy patrzyła to na jednego, to na drugiego. Danny podszedł jeden krok bliżej, nadal błagając w swojej sprawie. – Cokolwiek zrobiłem, czy jak bardzo cię skrzywdziłem, zawsze cię kochałem, byłaś miłością mojego życia.

Nagle to do niej dotarło i zastanawiała się, dlaczego nie zdała sobie wcześniej z tego sprawy. Potrzęsając głową, stała bez ruchu. – Nie, Danny, nigdy nie byłam miłością twojego życia... – Wszystko stało się tak jasne. – To była zawsze Alicja, nigdy nie przestała nią być...

Wyglądał blado i jedyne, co mógł wyszeptać, to było jej imię, nawet nie zaprzeczenie. Lecz było to bez znaczenia, bo chodziło o coś więcej niż gniew czy krzywdę, bo każdy odczuwał



osobistą udrękę z powodu przeżycia brudnej wojny, gdy inni jej nie przeżyli. To właściwie działało na jego korzyść. Namiętność o zimnych oczach, którą ze sobą przywiozła do szpitala, gdy leczyła inne ofiary, zniknęła. Kiedyś była w stanie być oddaną i odległą równocześnie; teraz trzęsa się, gdy szła między nimi w kierunku małego samolotu. To działało właściwie na jego korzyść, czy przynajmniej niemal podziało...

Adam jakby w zwolnionym tempie biegł w jej kierunku, z rozwianymi włosami i falującą kurtką. Był nie dalej niż dwa metry od niej, wrzeszcząc przez wiatr: – Coriander, poczekaj...

Poczuła falę paniki i ulgę równocześnie. – Co tutaj robisz? – wykrzyknęła.

Lecz on mówił tylko do Danny'ego. – Puść ją. W odpowiedzi Danny ścisnął mocniej jej ramię.

Adam podszedł bliżej.

- Adam – zaczęła mówić – nie...

- Ona jedzie ze mną – powiedział Danny pewnym głosem.

- Czy to prawda, Coriander? Po tym wszystkim, co wiesz, i po tym wszystkim, co zrobił, mimo wszystko z nim jedziesz? – Podszedł jeszcze jeden krok bliżej.

- Jest moją żoną...

- Więc dlaczego nie zrobisz pierwszej przyzwoitej rzeczy w swoim życiu i me zostawisz jej w spokoju?

- To nie twoja sprawa.

- Adam, odejdz, proszę, zajmę się tym... – Jej oczy napełniły się łzami.

- Czym, do diabła się zajmiesz? He razy cię opuścił, ile razy cię okłamał...

Hernando podszedł do nich i ku zaskoczeniu wszystkich, Coriander zawirowała dookoła, by wrzasnąć: – Trzymaj się od tego z daleka!

- Wiatr się wzmaga – błagał zdesperowany. – Jeszcze kilka minut i Milos nie będzie w stanie wystartować.

Adam rozpaczliwie mówił dalej: – Poproś, by powiedział ci o tym torsie w misce, poproś, by opowiedział ci, jak zastrzelił niewinnego człowieka i zepchnął jego ciężarówkę do wąwozu, ponieważ potrzebowali ciała...

Lecz zaprzeczenie przyszło szybko. – Nie zastrzeliłem go. Nawet mnie przy tym nie było...

- Powiedz jej, kto go zastrzelił. Dlaczego nie wyjaśnisz, skąd o tym wszystkim wiedziałeś i gdzie byłeś, kiedy się to stało... – odległość między dwoma mężczyznami zmniejszała się.

- Zjeżdżaj stąd! Narażasz jej życie poprzez stratę czasu.

- Adam, proszę – błagała Coriander. – Pozwól mi odejść, a ja obiecuję, że wrócę...

Adam zrobił następny ostrożny krok naprzód. – Nigdy nie pozwoli ci odejść, a jeśli spróbujesz uciec, zastrzeli cię.

- Nosisz nasze dziecko.

- Nie dbał o to wcześniej...

- To jest nasz nowy początek, querida.

Milos wynurzył się wtedy z samolotu, z rękoma wepchniętymi w kieszenie podszytej futrem kurtki. – Musimy już startować, wiatr...

– Nie możemy tracić więcej czasu, Danny – przypomniał Hernando. – Pieniądze już tam są.

Wyciągając rękę, Danny zapytał z nieskończonym smutkiem: – Lecisz ze mną?

Nie powiedziała nic, gdy wzięła jego twarz w swe ręce i pocałowała go głęboko w usta. Cofnęła się wtedy o krok, a jej oczy napełniły się łzami, gdy potrzasała wolno głową. – Nie mogę z tobą polecieć... – A w myślach wyliczyła powody, od Alicji, Matthew Johnsona, po Jorge i Stampę.

Nie mieli już czasu. Wiatr osuszył łzy, które przecinały jej twarz, gdy obróciła się, by niemo wypowiedzieć słowa: „Kocham cię”, ponieważ kochała go i będzie zawsze kochać. Obserwowała, jak poszedł za Hernando do samolotu, zauważając wyraz jego oczu, błysk żalu, gdy wykrzykiwał instrukcje do pilota: – Milos, włącz silnik...

Adam był przy niej, ściskając ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać, osłaniając ją od wiatru i świata. Lecz ostatnią rzeczą, o którą dbała, było oddychanie, czy czucie, czy widzenie czegokolwiek poza Dannym opuszczającym ją po raz ostatni.

Odgłos silnika zatapiał co drugie słowo Adama – ...kocham... na zawsze. – Wiatr omiótł jej twarz, by osuszyć łzy. Wznosząc się poprzez postrzępione białe chmury do szczytów pokrytych śniegiem gór, cessa wynurzyła się na szafirowym niebie, wzbijając się wyżej i wyżej w kierunku błyszczącego słońca, które odbijało się w jej srebrnych skrzydłach.

Wybuch rozpruł ciszę, trzęsąc nawet ziemią, na której stali. Błyski ognia pojawiły się nad ich głowami, gdy seria eksplozji odbijała się echem wokół nich. Kawałki samolotu, dostrzegalne tylko poprzez ogon czarnego dymu i sporadyczne wybuchy ognia, spadły na ziemię. Skręcona i płonąca masa opadła do szczeliny starożytnego lodowca.

Coriander po prostu stała tam, z rozchylonymi nieco ustami, z suchymi wargami, ze wzrokiem utkwionym w niewidzialny koszmar w oddali. Przez sekundy była oszołomiona i zaszokowana, aż w końcu z jej ust wydobyło się zduszone łkanie i obróciła się, by schować twarz na piersi Adama. – Trzymaj mnie – płakała – po prostu mnie trzymaj.

– Nigdy cię nie opuszczę, Coriander – obiecywał. – Jesteś moja na zawsze...

Kiedyś dawno temu w hotelu Tropezón na Tigre Delta usłyszała te same słowa. Tym razem jednak brzmiały prawdziwie.